



# Long Kate

## Podręcznik złej matki

Charlotte uczy się w liceum, kiedy zachodzi w ciążę. Karen, jej matka, ma zostać babcią, ale czy się z tego cieszy? Jest też Nan, która niezbyt martwi się ciążą wnuczki, zajęta innymi sprawami.

Powieść opisuje rok z życia trzech niezwykłych kobiet, które nie mogą uwierzyć, że sprawy przybrały taki właśnie obrót. Ta komiczna i zarazem mądra książka trzeźwo patrzy na macierzyństwo – i dzieciństwo – od momentu pęknięcia prezerwatywy do momentu wniesienia pozwu rozwodowego czy, w bardziej optymistycznym przypadku, od chwili, gdy słyszy się pierwszy krzyk swego dziecka, do chwili, gdy przychodzi zrozumienie, że jest tyle rodzajów matek, ile dzieci, i że są w życiu chwile, kiedy liczy się tylko miłość.

W potyczce między paskiem od torebki a klamką  
o wiele lepiej jest wykończyć torebkę,  
niż pozwolić klamce mieć poczucie,  
że to ona wygrała.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### NAN ŚNI:

Kiedy miałam dwanaście lat, upadłam i złamałam sobie rękę w łokciu. Był rok 1929, dzień wyborów, a my wdrapaliśmy się na murek obok lokalu wyborczego. Murek miał około sześciu stóp wysokości i nie stwarzał zagrożenia, jeśli siedziało się okrakiem na wieńczących go gzymsowych kamieniach, tyle że ja zasiadłam sobie na nim jak na damskim siodle do konnej jazdy, żeby wyłowić wzrokiem wszystkich tych, którzy głosowali na konserwatystów; tata powiedział, że będzie widać to po ich twarzach. Jimmy szturchnął mnie w bok i zaczęliśmy śpiewać:

*Głosuj! Głosuj!*

*Głosuj na Aleca Sharrocka*

*Na pewno dzisiaj wygra*

*A my puszki po łososiu zgromadzimy*

*Z konserwatystów konserwy zrobimy*

*I już nigdy świat ich nie ujrzy.*

Machnęłam nogami, żeby zaakcentować ostatnie słowa, i nim zdążyłam się zorientować, leżałam na ziemi z dziwnie wywiniętą ręką. Jimmy zaczął robić mi temblak z żółtych muślinowych proporczyków, którymi machaliśmy, ale kiedy podniosłam wrzask, rozpłakał się z przerażenia. Czułam przenikliwy ból i obawiałam się, że gdy wstanę, ręka zostanie na ziemi.

Kiedy okazało się, że laburzyści wygrali, tata tak się spił, że za nic nie mógł sobie poradzić z otwarciem furtki na tyłach domu.

- Wpuszczę go - zaofiarował się Jimmy.

- Ani mi się waź! - ucięła matka. - Niech tam tkwi. Leżałam więc sobie na kanapie z unieruchomioną ręką -

i obserwowałam jego daremne wysiłki. W końcu fiknął koziołka, a matka zaciągnęła zasłony.

Zabawne, nigdy przedtem nie tykał alkoholu.

Miał zupełnie inne słabości.

## STYCZEŃ 1997

Następnego dnia po tym wydarzeniu wszystko wydawało się takie samo jak zawsze. Przez zamknięte drzwi mojego pokoiku słyszałam, jak mama usiłuje przekonać babcię. Stara się nie okazywać złości, ale prawdę mówiąc, ostatnio nie stać jej na żadne inne emocje.

- No chodź już, Nan, czas na kąpiel.

- Nie mogę. Ręka mnie boli.

- Nie, nie boli cię. To tylko znowu ten sen. Chodź już. W naszym domu nieustannie coś ginie; klucze, aparaty

słuchowe, dowody tożsamości. Tego ranka wybuchła awantura o kiełbasę. Matka usmażyła dwie kiełbaski dla babci i zostawiła je na talerzu, żeby ostygły. Wtedy przyszedł czyściciel okien i matka poszła mu otworzyć, a kiedy wróciła do kuchni, kiełbasek nie było.

-Co z nimi zrobiłaś? - spytała babcię (przepełnionym cierpliwością głosem).

- Nie tykałam ich.

- Owszem, tykałaś, na pewno. -To pies.

-Nie mamy psa, Nan. Gdzie one są? Po prostu chcę wiedzieć. Nie mam pretensji. Zjadłaś?

-No, możliwe. Wczoraj. Na obiad.

-Jak mogłaś zjeść wczoraj, kiedy dopiero co je usmażyłam? Wielki Boże, tak jest z każdym drobiazgiem. - Gestem pełnym znużenia matka przesunęła dłonią po twarzy i westchnęła. Często tak robi.

-O rety! Po co ten krzyk? Nieznośna z ciebie kobieta. Jak moja córka Karen, nic tylko się stroszy.

-Ja jestem twoją córką Karen.

-Uhm.

Następnego dnia to ja znalazłam te kielbaski; zawinięte w dwie plastikowe torebki leżały w pojemniku na pieczywo.

Nie, żeby to tylko babcia miała monopol na wywoływanie zamieszania.

Wiem, że jestem siedemnastolatką o imieniu Charlotte i że kiedy mam kiepski dzień, to wiem tylko tyle i nic więcej. „Bądź sobą”, mówią mi zawsze ludzie, starsi ludzie; taa, jasne. Jakie to proste.

Czasami wypełniam te kwestionariusze w czasopismach dla dziewczyn. Jesteś wyluzowana czy spięta, jaki masz styl uwodzenia, jak określić typ osobowości na podstawie swojego ulubionego koloru, charakteru pisma, godziny urodzin... Czyja

a) wierzę w te bzdury?

b) odnoszę się do nich ze stosownym lekceważeniem? Tak naprawdę, zależy to od mojego nastroju.

Czasami babci się wydaje, że jestem jej ucieleśnionym dzieciństwem.

- Biedna mała - mówi, sięgając po cukierek toffi - jej ojciec tak ją złościł, że zwymiotowała na podłogę, a wtedy

znowu ją ztoit. Zostawił rodzinę i jej matka musiała brać pranie. Biedna gołąbeczka. Zjedz toffi. Moją matkę doprowadza to do szału, chce jej się wyć. Nie znosi, kiedy ktoś trwoni szczere współczucie, szczególnie na mnie, bo uważa, że ja mam rajskie życie.

- Masz możliwości, jakich ja nigdy nie miałam - powtarza mi. - Wykształcenie jest wszystkim. Ile masz dzisiaj lekcji do odrobienia? - Na Gwiazdkę kupiła mi specjalny terminarz, ale go zgubiłam... nie zebrałam się jeszcze na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. - Musisz coś w życiu osiągnąć. Nie popełnij mojego błędu.

Fakt, że ja sama stanowią część tego błędu („Zostałam matką w wieku szesnastu lat, rozwiodłam się w wieku dwudziestu jeden”), stawia mnie w niezwyklej sytuacji: jestem także jej odkupicielką, gwarancją tego, że nie całkiem zmarnowała życie. Moje przyszłe sukcesy będą jej sukcesami, a ludzie będą mi mówić: „Twoja matka była mądrą kobietą. Z wielu rzeczy zrezygnowała dla ciebie”.

W każdym razie ma nadzieję, że tak będzie.

A tymczasem ja znalazłam się w tarapatach.

Kiedy wczoraj Nan nakryła mnie na uprawianiu seksu z Paulem Benthamem, nie odezwała się ani słowem. Trzeba przyznać, że jest zaskakująco ruchliwa, pomimo worka. Kolostomię wykonano u niej już całe lata temu, jeszcze przed moim urodzeniem, żeby usunąć gwałtownie rosnący guz nowotworowy.

-WIE PANI, KRÓLOWA MATKA TEŻ TO MA! - wrzasnął wtedy do niej lekarz.

-Ojej. Cudownie - odparła Nan, wyraźnie pod dużym wrażeniem. - No tak, Ivy Seddon twierdzi, że Cliff Richard też to ma, a tańczy i kręci się jak fryga.

Myślałam, że się wygada tamtego wieczoru, kiedy oglądałyśmy *Coronation Street*. Odezwała się nagle:

- Była za młoda, nie wiedziała, co robi. Powiedziałam jej, nie frasuj się, już ja się tym zajmę. Mama, która właśnie wchodziła do pokoju z filiżanką herbaty dla babci, tak gwałtownie trzasnęła podstawkiem o blat stolika, że herbata chlusnęła na obrus; mnie zaś obrzuciła baczynym spojrzeniem. Chryste, babciu, nie mów nic, jeśli nie chcesz mojej zguby. („Dzisiaj przed sądem stanęła trzydziestotrzyletnia kobieta oskarżona o zatłuczenie na śmierć swojej nastoletniej córki. Narzędziem zbrodni był prawdopodobnie terminarz. Sąsiedzi zeznali, że do późnej nocy słyszeli podniesione głosy...”)

Wciąż trochę mnie boli. Nie wiedziałam, że tak będzie bolało. Wiedziałam tylko, że będzie krew, bo czytałam gdzieś o tym, jak to w dawnych czasach wywieszali w oknach prześcieradła, by wszyscy bez wyjątku mogli zobaczyć, że panna młoda była *virgo Intacta*. Ja użyłam starego T-shirtu, który potem splukałam; jeśli matka mnie spyta, powiem, że to krew z nosa.

Nie jestem żadną tam zdzirą. Po prostu tu wokół niewiele się dzieje. Bank Top, tę naszą małą nudną miejscinę, rozciągniętą wzdłuż grzbietu wzgórza, spływającą po jego zboczach dwoma rozległymi osiedlami, można przemierzyć w kwadrans. Z najwyższego punktu widać panoramę przemysłowego Lancashire; fabryki, magazyny i mnóstwo rzędów szeregowców z czerwonej cegły, a na horyzoncie majaczy niewyraźna szarzielona smuga wrzosowisk, porastających gruboziarnisty piaskowiec. Po stronie południowej sterczy maszt telewizyjny, w miejscu, gdzie rzekomo



pięćdziesiąt lat temu spadł niemiecki samolot; po północnej tkwi ledwie zaznaczona na tle linii horyzontu Blackpool Tower. Potrafiłam godzinami wpatrywać się w ten punkt, żeby dostrzec iluminację wieży, ale znajdowałam się zbyt daleko.

W Bank Top są trzy rodzaje siedzib. Przy głównej ulicy ciągną się wiktoriańskie domki, z tej ich odmiany zwanej „dwa na górze, dwa na dole”, natomiast na obrzeżach stoją same nowoczesne pudła z garażami i identycznymi trawnikami. Mieszkańcy tych „luksusowych osiedli” w ogóle z sobą nie rozmawiają; wystarczy, że przez tekturowe ściany słyszą od sąsiadów wszystko, co trzeba. Pod tymi wypucowanymi, nowiutkimi domami przemieszczają się i trzeszczą fundamenty, postawione na zlikwidowanych kopalnianych szybach - ostatnią kopalnię zamknięto czterdzieści lat temu, czyniąc z Bank Top zapadłą miejscę, dosłownie i w przenośni.

Jest jeszcze osiedle komunalne, bliźniaki z lat trzydziestych, gdzie po ulicach wałęsają się bezpańskie psy i perfidnie srają na chodniki. Tu właśnie mieszkamy. Kupiliśmy ten dom w 1984 - roku ożywienia gospodarczego (i rozvodu). Matka uczciła to zainstalowaniem frontowych drzwi w stylu króla Jerzego oraz okien z szybkami w ramach z udawanego ołowiu. Należący do mnie miniaturowy pokój od frontu ma okno na parking klubu U Pracujących; wierzcie mi, tam to dopiero w sobotni wieczór odchodzą przedziwne numery.

Pośrodku miasteczka stoją kościół i dom kultury, w towarzystwie szeregu tandetnych sklepików, kiosku z prasą, pralni, taniego supermarketu. Dwa puby, mniej więcej naprzeciwko siebie, zaspokajają potrzeby mieszkańców, przy czym jeden urządził starszym ludziom i całym rodzinom

z nowych osiedli wieczory quizowe okraszone pizzą z kurczakiem, a ten drugi przyciąga bardziej nieokrzesaną klientelę. Nie odwiedzam żadnego z nich. Wolę dla rozrywki wybrać się autobusem do Wigan. Staję pod wiatą cuchnącego moczem przystanku. Spieprzaj, oznajmia napis nad jednym ze słupków podtrzymujących daszek, co właśnie robię.

Czuję się obco w tym miasteczku. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie czułabym się u siebie. Może na jakiejś innej planecie.

Leżę więc na plecach, nagusienka i sztywna jak truposz, kiedy Nan przyczłapuje do mojego pokoiku.

-Jak raz koń właśnie przegalopował pod oknem na półpiętrze - informuje Paula.

- Dokąd pobiegł? - pyta ją Paul.

- Dokąd po biegł?-powtórzyłam później. -Co ty, masz odbite jak ona?

- Chciałem tylko podtrzymać rozmowę. - Wzruszył kościstymi ramionami pod kołdrą. - A co z nią? Jest stuknięta czy coś takiego?

- Nie bardziej niż większość ludzi - odparłam dość ostro. Zawsze staję w jej obronie, chociaż jest taka nieznośna. -Bywają dni, kiedy myśli trzeźwiej ode mnie. Ale jest po prostu stara. Tobie też się może tak porobić, jak się zestarzejesz.

- Prędeż sobie w łeb strzele.

- Nie, nie strzelisz. Wszyscy tak mówią, a jakoś nikt nie strzela.

Największe problemy tego domu biorą się z hormonów. Zbyt wiele tu skondensowanej kobiecości jak na jeden były

dom komunalny. Wszędzie unoszą się wielkie obłoki mocno naładowanych estrogenów, a kiedy się spotkają, wypełniają atmosferę deszczem iskier; powietrze aż szczypie. Nan, naturalnie, nic już z estrogenów nie zostało, choć zachowała je dłużej niż inne kobiety (urodziła moją matkę w wieku czterdziestu sześciu lat! Nie miałam pojęcia, że ludzie w tym wieku mogą jeszcze uprawiać seks), za to ilość tych hormonów u mnie przerasta zapotrzebowanie. I na pewno jest ich więcej, niż matka by sobie życzyła. Podejrzewa, że mam DNA dziwki (zapewne po niej odziedziczone). Jeśli odkryje, że uprawiałam seks, to mnie zabije. Słowo daję.

Mogę sobie wyobrazić sytuację jak ze złego snu:

CHOLERNY CHOLERNY cholerny świat. Cholerna Nan, bo zafajdała łóżko. Znowu. Nie jej wina, ale co mnie to obchodzi, przecież ja nikogo nie obchodzę. NO ZŁAZ, ty cholerne prześcieradło z gumką, drański pomioście pościelowego PIEKŁA. Dźwigam pełne naręcze do kosza z brudną bielizną i NIECH TO SZLAG, upuściłam rajstopy, a NIECH TO SZLAG, upuściłam majtki, kiedy próbowałam podnieść rajstopy, teraz już cały ten cholerny kłęb wylądował na podłodze. Granatowa skarpetka pośród białego, niewiele brakowało. Charlotte po prostu NIE MA ZWYCZAJU segregować swoich brudnych ciuchów według kolorów, co też za flejtucha wyhodowałam, człowiek oczekiwałby po niej więcej dbałości. Marzę o filizance herbaty, program z praniem wstępnym do bawełny, mocno zabrudzonej, wszystko w tym domu jest mocno zabrudzone. To nie jest wina Nan, ta cholerna taśma nie trzyma się jej skóry, jeśli dostanie się pod nią krem Nivea, a to

co, co to takiego? Coś wypadło na podłogę z brudnej poszewki na poduszkę.

O rany, prezerwatywa. Charlotte uprawiała seks.

Znam Paula Benthama od szkoły podstawowej. Zabawne, jak się pomyśli o tych wszystkich drobnych zdarzeniach, które prowadzą do jednego dużego. Pamiętam, że miałam wtedy jakieś dziesięć lat i obserwowałam, jak chłopcy na boisku grają w piłkę nożną, po pięciu z każdej strony. W pewnej chwili Paul przymierzył się do ekstramocnego wykopu, coś mu nie wyszło i piłka uderzyła mnie z całą siłą w twarz. Moje koleżanki natychmiast zrobiły w tył zwrot i powędrowały, żeby na niego naskarżyć, więc był przekonany, że czekają go duże nieprzyjemności. Uszy miał całkiem czerwone. Ja jednak nawet się nie rozplakałam, chociaż mój nos wyraźnie zmienił kształt. Paul chyba docenił moją postawę. Potem, jeszcze przed pójściem do nowej szkoły, były walentynki. Wiedziałam, że przygotował dla mnie kartkę, bo wszyscy jego koledzy podśmiewali się ze mnie z tego powodu, i czekałam; minęła jedna długa przerwa, pora obiadowa, druga długa przerwa. Była już czwarta, kiedy wcisnął mi ją wreszcie do ręki. Tekst wierszyka został przez niego przerobiony:

~~*Chwasty goryczą*~~

~~*Kwiatki osłoda*~~

~~*Jak pójdziesz ze mną*~~

~~*Ja pojde z tobą*~~

*Kwiatki goryczą*

*Chwasty osłoda*

*Musiałbym zwariować*

*Żeby iść z tobą*

Nie przejęłam się tym szczególnie. Wiedziałam, że to Martin Hedges go do tego namówił.

Bardziej zirytowałam się, kiedy nie tańczył ze mną na dyskotecie dla absolwentów. Wiedzieliśmy, że idziemy do dwóch różnych szkół, on do technikum, ja do liceum, więc myślałam, że będzie miał ochotę na całusa, ale on nawet się do mnie nie zbliżył, szalał tylko po sali, waląc swoich kumpli balonami po plecach i wciskając im serpentyny za koszule. Opowiedziałam o tym potem mojej mamie (w tamtym czasie nieźle się jeszcze dogadywałyśmy). „Cóż, czego oczekujesz, to przecież jeszcze chłopiec”, odparła. Wtedy te słowa kazały mi się zastanowić, kiedy on dorośnie.

Na szczęście w miejscowości tak małej jak Bank Top nie da się nikogo uniknąć. Spotykaliśmy się na przystanku autobusowym, spoglądaliśmy na siebie obojętnie, po czym zajmowaliśmy miejsca na czerwonej dermie jak najdalej od siebie. To wszystko pozwalało mi się domyślać, że może być zainteresowany. Kiedy był z kolegami, rozkładał się z tyłu jadącego do Wigan autobusu numer 214, mówił głośno, sporo przeklinał, bazgrał na szybie, wydrapywał litery i wpisywał inne, zmieniając na przykład napis WYJŚCIE AWARYJNE na WYJŚCIE NIEWINNE. „To twoje drzwi”, mówili potem do siebie jego koledzy, „To wyjście, którego ty powinieneś używać”. Prawdziwe piętno.

A teraz żadne z nas nie mogłoby już z niego korzystać.

Myślałam, że poczuję się inaczej, kiedy przestanę być dziewczycą, ale jedyne, co czułam, to strach.

- Robiłaś już to? - spytał, rozpinając zamek błyskawiczny przy dżinsach.

Wiedzieliśmy, co się wydarzy. Było to moje noworoczne postanowienie i powiedziałam mu o nim.

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

- Nie. A ty?

- Czy to ważne?

Nie byłam pewna, co należy odpowiedzieć, więc ściągnęłam spódniczkę. Zupełnie jakbyśmy się przebierali na WF; daj, co masz cennego, na przechowanie. Jestem pewna, że powinniśmy się rozbierać wzajemnie, a przynajmniej całować, ale wydawało nam się to zbyt intymne. Zaczęłam drzeć, z nerwów i z zimna.

-Możesz włączyć ogrzewanie? Masz bliżej - poprosiłam.

Termostat zrobił KLIK, a my wskoczyliśmy do łóżka.

I wtedy odniosłam wrażenie, że czas się na chwilę zatrzymał, a ja wróciłam do zeszłorocznej sierpniowej parady, kiedy to siedziałam sobie na naszym frontowym murku i patrzyłam na przesuające się przed moimi oczami platformy, machałam do przebranych za pszczołki maluchów i wtedy on podszedł wolnym krokiem, z tym swoim wiaderkiem monet. Ubrany był w kostium pirata, czarny, zakręcony wąs wyrysowany nad delikatną górną wargą nadawał jego skórze jeszcze większą gładkość, czyniąc ją niemal dziewczęcą. „Uwiera ta opaska na oko”, oznajmił, ściągając ją, i pomasował zaczerwienione miejsce na policzku. „Na pewno coś sobie uszkodziłem. A te wysokie buty dosłownie mnie wykańczają i w ogóle”.

Usiadł obok mnie i gawędziliśmy nieśmiało, potem poszliśmy na boisko, żeby wysłuchać werdyktu i popatrzeć na niezliczone grupy mażorettek podnoszących wysoko nogi w podkolanówkach, wymachujących ogromnymi pomponami. Megafon skrzeczał imionami księżniczek i królowych. „Dlaczego w każdym zespole musi być jedna grubaska?”, zapytał. Orkiestra dęta grała *Kiedy święci idą do nieba*, powietrze aż się skrzyło. Wokół biegały rozwrzeszczane maluchy, nastolatki leżały na trawie, wystawiając na słońce odsłonięte brzuchy. „Musisz kiedyś wpaść do mnie,

to posłuchamy płyt albo coś takiego", powiedział przed pójściem do domu. Słońce odbijało się od jego sztyletu. „Aha, dobrze”. KLIK.

Gmerał między moimi nogami i wpychał mi do środka palec, Chryste, dwa palce, dźgał nimi i obracał je niezdarnie. (Czy nie tym właśnie chełpią się chłopcy - ile palców udało im się wcisnąć - jak utrzymują moje szkolne koleżanki?) Nie. Rozmyślałam się. To kiepski pomysł. Dość. Poszukałam jego wzroku, bo chciałam mu powiedzieć, że może przyhamujemy, damy temu spokój, zejdziemy na dół i obejrzymy *Simpsonów*, ale sparaliżowało mnie dzikie pożądanie, jakie dostrzegłam w jego oczach. Słyszałam, że ludziom płoną oczy, nigdy jednak czegoś takiego nie widziałam. To było tak, jakby cała jego męskość tam się skupiła, coś wstrząsającego.

Nagle znieruchomiał i odchylił się w bok. Serce mi podskoczyło, po czym uświadomiłam sobie, że naciąga prezerwatywę. Jego wygięty kręgosłup rysował się wyraźnie pod skórą, a ja powiodłam wzrokiem po tej krzywiźnie aż do samej podstawy. Czy wszyscy mężczyźni są tacy kanciaci? KLIK.

Potem odwrócił się do mnie, z determinacją chwycił fiuta i siłą wcisnął go we mnie. Ajajaj, zakłuło tak okropnie, że całą siłą woli musiałam powstrzymać się od wrzasku. Piłka w twarz to przy tym drobiazg. Leżałam sztywno i wczepiona palcami w jego plecy zastanawiałam się, jak to przeżycie, któremu przyczepiono etykietkę czegoś wręcz olśniewającego, może być takie straszne. Dlaczego nie uprzedzili nas o tym w szkole? Jestem przekonana, że gdyby kiedyś któraś z nauczycielek oświadczyła: „A tak przy okazji, to podobne uczucie, jakby ktoś jeździł wam papierem ścier-

nym po szyjce macicy", to nie musieliby sobie zawracać głowy tymi wszystkimi ostrzeżeniami przed AIDS i całą tą gadką o moralności. Osobiście na pewno dobrze bym się przedtem zastanowiła.

Doszedł szybko, czemu towarzyszyła seria drgań, i opadł na mnie całym ciężarem.

Właśnie w tym momencie wkroczyła Nan, należą mu się więc słowa uznania za to, że w ogóle potrafił wydobyć z siebie coś sensownego.

Dopiero później przyszedł czas na zażenowanie. Chociaż pobiegłam natychmiast i zamknęłam drzwi, to nadal miałam przed oczyma nieobecne spojrzenie i półuśmieszek Nan. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć; i była krew, i byliśmy oboje nadzy. Z podestu na półpiętrze dobiegł nas śpiew babci:

*Ubiegłej nocy, no wiesz, gdy nadszedł świt bury  
Do drzwi zapukały trzy małe kocury  
Jeden miał skrzypki, drugi bębenków kilka  
Trzeciemu naleśnik przykleił się do tyłka.*

- Nie wrzucaj tego do kosza! - wrzasnęłam, kiedy wziął prezerwatywę i zawiązał na niej porządny supełek. - Rozpęta się piekło, jak ją matka znajdzie między chusteczkami higienicznymi...

-To niby co mam zrobić? Nie chcesz przypadkiem zatrzymać jej sobie na pamiątkę?

Wymachiwał nią w tę i w ową, po czym zamachnął się, celując we mnie. Krzyknęłam i wzdrygnęłam się. Skoczył na mnie i zatoczyliśmy się oboje na łóżko; po chwili przerodziło się to w bitwę na poduszki. Założę się, że coś takiego nigdy nie zdarza się w powieściach z wyższych sfer, które czyta moja matka. Jego żebra przesuwają się pod bladą



skórą, błękitne oczy lśniły, a ja pomyślałam sobie, że tak naprawdę to jeszcze chłopiec. Dyszał i uśmiechał się, a ja wiedziałam wtedy, że postąpiłam właściwie.

W końcu potoczyliśmy się pod wezgłowie. On walnął się w brodę, a ja zrzuciłam ze ściany obrazek, który spadł za łóżko.

- O kurde, przepraszam, zaraz go wyciągnę. Zanurkował kościstym ramieniem pod łóżko i wyciągnął obrazek, dwoje ręcznie namalowanych imbirowych kociać w koszyku, a nad nimi napis „Szczęsny czas!”

*Zawsze z nadzieją na spotkanie Przyjaciela, którego kocham szczerze Mój drogi, ślę to proste pozdrowienie I że świat potraktuje cię dobrze, wierzę.*

- Ramka się trochę uszkodziła. - Podał mi obrazek. Cienka czarna listewka nadłamała się w jednym rogu, pękło szkło.

- Kupię nową. Ale lepiej, żeby matka tego nie widziała. - Otworzyłam nocną szafkę i wsunęłam obrazek pod stos czasopism. - Wiem, że to tandeta, ale ma wartość sentymentalną. To jedna z urodzinowych kart Nan, z czasów, kiedy była mała, trzymała ją kiedyś w swoim pokoju, a ja zawsze miałam na nią chrapkę. Zwinęłam ją, kiedy Nan zaczęła szwankować na umyśle. To taki sposób na zachowanie kawałka dzieciństwa, rozumiesz, co mam na myśli? Na przekór wszelkim zmianom... Nigdy nie zauważyła jej braku.

- Bardzo ładna. Może wpadniesz do mnie w sobotę? Nikogo teraz nie ma w domu, muszę więc wracać, żeby wpuścić Daniela. Im wcześniej dostanie własny klucz, tym lepiej dla wszystkich. - Mówiąc, naciągał sweter.

- Nie możesz zostać jeszcze trochę?

- Przykro mi. Braciszku i w ogóle. Widziałaś gdzieś moją skarpetkę?

Wygramoliłam się, żeby włożyć coś na siebie, znaleźliśmy skarpetkę, a potem on poszedł do domu. Leżałam na łóżku, żałując, że nie pocałował mnie na do widzenia, zamiast tylko potargać mi włosy. Powinnam była poprosić. A może nie wypada. Jakie tu w ogóle obowiązują reguły? Może niektórzy mężczyźni po prostu nie są wylewni; nie musi to niczego oznaczać, tacy są.

No i tak to wygląda, to wielkie uwiedzenie. Chyba przedstawiłam je jako coś grubiańskiego. Bo takie częściowo było. Rzecz jednak w tym, rzecz w tym, że teraz jestem kobietą, osobą dorosłą. Może ludzie to zauważą, kiedy tylko na mnie spojrzą (Boże, mam nadzieję, że nie! Dziewczyny w szkole powtarzają, że potem dziwacznie się chodzi.) Rzecz w tym, że mam jakieś życie, które nie należy do mojej matki, i że jest ono początkiem dużych zmian, które tu wkrótce zajdą.

Wiem, że od teraz wszystko już będzie inaczej.

Poznałam Billa, kiedy przybiegł z drugiej strony ulicy, żeby pomóc mi nieść kosz z praniem. Kosz był czubaty, przykryty na wierzchu wielkim białym prześcieradłem, a ja wiedziałam, że jak go upuszczę na ziemię i coś się pobrudzi, moja matka chyba tego nie zniesie. Bo już raz się tak zdarzyło, kiedy byłam mała i Jimmy trzymał kosz za jedną rączkę, a ja za drugą. Nieśliśmy do doktora Liptota jego cotygodniowe pranie, ledwie dając sobie radę z ciężarem, kiedy nagły poryw wiatru ściągnął! z wierzchu dwie czy trzy koszule i cisnął nimi o jezdnię. Zbierając je, zwijaliśmy się ze śmiechu, gdy

jednak wróciliśmy do domu i pokazaliśmy matce, ona wsparła głowę na stole i rozplakała się. Wcześniej Billy smalił cholewki do dziewczyny, którą poznał kiedyś w sanatorium dla gruźlików, urodnej niewiasty, co jak się okazało, nie miało znaczenia. Dziesięć osób było na naszym ślubnym poczęstunku, a potem złapaliśmy pociąg do Blackpool. W Chorley wsiedli jacyś młodzieńcy i zauważwszy to całe konfetti w moich włosach, zaczęli wyśpiewywać: „Dzisiaj się pobraliśmy, podróż poślubną zaczęliśmy”. Kiedy dotarliśmy do pensjonatu, gdzie czekał na nas pokój, dałam właścicielce rybę, żeby przygotowała ją nam na kolację. „Pani Hesketh, czy mam już podać rybę?”, spytała mnie ta kobieta następnego wieczoru. A ja się w ogóle nie zorientowałam, że mówi do mnie, bo byłam jeszcze niezwykajna tego nazwiska.

Kiedy wróciłam do przedzalni, miałam rumieńce, i wszystkie dziewczęta mówiły, że na pewno jestem w ciąży.

Gdzie jest Charlotte? Spędza popołudnie w Wigan, na pewno, i wydaje pieniądze, których nie ma, na jakąś tandetę, której nie potrzebuje. Nan? Śpi w fotelu, nogi rozstawione, usta lekko rozchylone. Boże, żebym tylko ja taka nie była. I dlaczego w tym domu nigdy nie ma niczego do pisania? Kładziesz długopis, a on znika. A oto szuflada z najpotrzebniejszymi drobiazgami, co za cholerny bałagan, nie mam pojęcia, po co trzymamy większość tego śmiecia. Papier ścierny, obrączki na serwetki stołowe - jakbyśmy miały ich kiedyś użyć - płyn do wywabiania plam wyciekł na szczotkę do ubrań. Doszło dzisiaj do poważnego starcia odkurzacza z nogą stołową; zламаłam jedną z końcówek - i w rezultacie mam kolejną sprawę do załatwienia. No proszę! Czarny długopis, nieco wyszczerbiony przy końcówce, ale ujdzie. No to bierzemy się do roboty.

*Miłość i Konkrety*

*Znajdziemy Ci partnera na przygodę życia*

***Kwestionariusz wstępny***

***Prosimy o szczerłość***

Nazwisko Karen Cooper

Stan ***Prawdę mówiąc, beznadziejny.*** Rozwiedziona.

Adres Brown Moss Road 21, Bank Top k. Wigan, Lancashire W124 5LS. ***Zamieszkanie z matka miało oznaczać start odnowa.***

Wiek 33. ***Czasami czuję się, jakbym miała 60.***

Dzieci Jedno. ***Siedemnastoletnia pannica.***

Zawód Nauczycielka Asystentka klasowa na pół etatu. ***W mojej starej podstawówce! Życie zatoczyło po prostu wielkie koło.***

Wykształcenie Zdane egzaminy z 10 przedmiotów na zakończenie szkoły średniej. ***Tak, dziesięciu. Mogłabym mieć wyższe wykształcenie, gdybym zechciała. Czy to zresztą ma jakieś' znaczenie? Uczęszczałam na Uniwersytet Życia (choć pierwotnie moim celem był ten w Leeds).***

Pobory (w przybliżeniu) Gówniane. *Te niepotrzebne drobiazgi kupiłam sobie w prezencie od Nan (podejmując po prostu pieniądze z jej konta na Gwiazdkę, urodziny itd., kupuję sobie niaoet kartki z życzeniami).*

Czy uważasz się za klasę robotniczą, klasę wyższą,  
klasę średnią, nie jesteś pewna

Przekonania polityczne *Jakby przyszło co do czego, petunie bym odpowiedziała, że konserwatywne. To znaczy, konserwatyści będą przy władzy wiecznie, prawda? W każdym razie, gdyby nie Maggie Thatcher, nie byłoby nas stać na kupno tego domu (choć już Johna Majora niespecjalnie cenię). Prawdę mówiąc, dla ludzi takich jak my niewiele się zmienia, obojętnie kto się szarogęsi przy Downing Street 10.*

Wyznanie Brak. *Mama wstawi się za nami, kiedy już znajdzie się w niebie.*  
*Wygląd*

Wzrost 173 cm. *To już na samym początku zniechęci wielu mężczyzn.*

Waga (rozmiar ubrania) 12-14 *Zależy od tego, jak uciążliwa jest Nan. Są dni, kiedy na jedno posiedzenie zjadam całe opakowanie herbatników.*

Kolor włosów Kasztanowe. *Aktualnie. Nieustannie poszukuję idealnej fryzury, takiej, co to rozwiąże dla mnie problem, jak żyć. A w międzyczasie czekam, aż mi włosy odrosną po trwalej.*

Oczy Odcień szarości. *Charlotte ma niebieskie po swoim tacie. Nan ma piwne. W tym domu nikt do nikogo za cholerę nie pasuje.*

Zainteresowania Czytanie, picie, oglądanie telewizji. *Nie brzmi zbyt inteligentnie, co? Ale możecie mi wierzyć, że jeśli ma się do wyboru*

*zmianę worka kolostomijnego u matki albo kłótnię z córką, to wszystko inne wydaje się lepsze. Zawsze zamierzałam zająć się czymś wartościowym, ale jest jak jest. Prawdę mówiąc, dużo czytam. Joanna Trollope, Rosamunde Pilcher, takie tam. To mi pomaga.*

### **Osobowość**

Czy któreś z poniższych określeń pasuje do Ciebie? (Spytaj także kogoś z przyjaciół lub krewnych.)

***Chyba żartujecie. Charlotte posiusiałaby się ze śmiechu, gdyby to przeczytała.***

- wylewna  hojna  zorganizowana
- nieśmiała  cierpliwa  twórcza
- optymistyczna  życzliwa  spontaniczna
- lojalna  praktyczna  wyrozumiała

***Szczerze mówiąc, żadne z wymienionych nie wydaje mi się odpowiednie.***

Proszę dodać poniżej własne propozycje:

***Wykończona, zgorzkniała, niespełniona, działająca na własną zgubę.***

***Stąd ten kwestionariusz.***

Jakie relacje pragniesz nawiązać z poznanymi za naszym pośrednictwem osobami? ***Chryste. Dajcie se spokój.***

Mój ostatni znajomy był przypadkiem klasycznym. Poznaliśmy się U Pracujących. Lokal dość pospolity, ale chodzę tam od czasu do czasu, bo tanio i blisko i jeśli Nan zrobi coś rzeczywiście szalonego, Charlotte może przebiec na drugą stronę ulicy i dać mi znać.

W każdym razie siedziałam przy barze, kołysząc szklanką ze słabym koktajlem rumowym i ogólnie czując się smętnie, kiedy podszedł on. Siwiejący... cóż, właściwie siwy, ale nie łysiejący, normalnej postury, mniej więcej mojego wzrostu. Miał na sobie kraciastą koszulę z podwiniętymi rękawami i dżinsy, co mi niewiele mówiło. Kiedy podawał barmanowi pieniądze, zauważyłam owłosione przedramiona, brak ślubnej obrączki, czyste paznokcie.

- Mogę pani postawić drinka, skoro już tu jestem?

To pozwoliło mi przyjrzeć się dokładniej jego twarzy. Wyglądał zwyczajnie, sympatycznie, żadnego dziwactwa i takich tam.

- Dzięki. Nie widziałam tu pana wcześniej. - Była to prawda; U Pracujących zawsze są te same twarze.

- Zgadza się. Kiedyś mieszkałem w pobliżu Bolton i teraz odwiedzam stare śmieci. A pani? Często tu pani przychodzi?

- Niespecjalnie. - Boże, co za pomysł. - Wpadam od czasu do czasu. Jak już mam wszystkiego dość.

— Roześmiałam się głośno, ale tak naprawdę miałam ochotę walić czołem o bar. Głupia odzywka.

On jedynie się uśmiechnął, a wtedy jego twarz pokryła się zmarszczkami. Zastanawiałam się, ile też może mieć lat, nie, żeby to miało jakieś znaczenie. Czasami bywam taka; zdesperowana.

Dobrze wiem, że szukanie mężczyzny nie jest dobrym pomysłem na porządkowanie sobie życia, łatwiej jednak coś takiego powiedzieć, niż zrobić, kiedy jest się tą samotną w tłumie. Czasami byłoby tak miło, gdyby cały ostrzał wziął na siebie ktoś inny, nie wspominając już o przyzwoitym seksie.

Każdego dnia na całym świecie dochodzi do stu milionów zbliżeń; można by się spodziewać, że jedno z tej liczby przytrafi się mnie. W naszym domu nikt nie rozumie, że ja też mam potrzeby. Jest zupełnie tak, jak mówi Montel Williams - wczoraj po południu był na Channel 4, w programie *Nienawidzę nowego przyjaciela mamy*. „Czy mama nie ma prawa do odrobiny szczęścia?”, pytał



tych nadąsanych nastolatków. Publika klaskała. Omal nie zawołałam na dół Charlotte, ale była zajęta wkuwaniem do egzaminów.

Sześć koktajli później, urzeczona tą jego siwizną, znalazłam się na parkingu, gdzie całowałam się z nim namiętnie, odkładając tę chwilę, kiedy będę musiała wrócić do domu, zmienić Nan worek i znosić miny Charlotte. Nawet siąpiący deszcz i światło samochodowych reflektorów nie wrywały mnie z transu. Tak sympatycznie było tkwić, choćby przez parę chwil, w czyichś objęciach. I wtedy omal nas nie zmiotło jakieś cofające auto i czar prysł. Wyplątałam się z jego ramion.

- Zaprosiłabym cię do siebie, ale córka się kręci po domu... Trochę to skomplikowane...

- Możemy się jeszcze spotkać? Strzał w dziesiątkę.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i dał mi swoją wizytówkę, bardzo wytworną, powiedział też, że nie będzie mnie poganiał, ale żebym po prostu zadzwoniła.

- Wkrótce - dodał.

To mi się podobało, było w stylu prawdziwego dżentelmena; oznaczało również, że nie będę musiała siedzieć i czekać, aż on do mnie zadzwoni. Powinnam była wtedy wiedzieć, że zbyt dobrze to wszystko wyglądało.

Następnego dnia w szkole opowiadałam o tym Sylv, sekretarce.

- Może nie był aż tak seksowny, ale był w porządku. Chętnie bym się z nim znów spotkała.

- Jak się nazywa? - spytała z jakąś dziwną miną. Podałam jej wizytówkę. Przyjrzała się jej badawczo ze ściągniętymi ustami.

- Chyba wiesz, że to jest były Vicky, co? - Z zadowoloną miną oddała mi kartonik. Nie lubię już Sylv, nigdy jej tak naprawdę nie lubiłam. Rysuje sobie brwi i nosi za ciasne spódniczki.

- Vicky? Naszej wicedyrektorki? Vicky Roberts? -Aha.

- To ten, z którym się rozwiodła tuż przed tym, jak zaczęłam tu pracować?

- Ten, któremu nie stawał, jeśli nie nosił specjalnych gumowych gatek. - Sylv zniżyła głos i z wielką przesadą poruszała bezdźwięcznie wargami.

-Jezu.

- I chciałam, żeby zakładała na twarz jakąś maskę. Wtedy właśnie kazała mi się wynosić. - Sylv cmoknęła z lubością.

Byłam przekonana, że pozeruje na tym przez całe miesiące. Już nigdy nie powiem jej nic osobistego. Miałam ochotę paść na kolana i błagać, żeby nie opowiadała tego nikomu, ale widziałam, że byłaby to tylko strata czasu; do lunchu Gumowy Gość znajdzie się na ustach wszystkich w pokoju nauczycielskim. Przynajmniej tym razem byłam zadowolona, że mam dyżur na boisku.

- No cóż, i tak był za stary - oświadczyłam, zamiast prosić ją o dyskrecję.

- Więc się już z nim nie spotkasz? - zawołała za mną, kiedy wychodziłam z sekretariatu.

Dobrze się stało, że Sylv nie złapała mnie na tym, jak kseruję swoją próbną wersję kwestionariusza do „Miłości i konkretów”. Wydaje mi się, że teraz już jestem gotowa wypełnić go właściwie.

Nie pozwólcie sobie nigdy wmówić, że jeśli sprawy układają się źle, to nie może być jeszcze gorzej.

Byłam pogrążona w głębokim śnie, kiedy usłyszałam jakiś trzask. Walczyłam z pościelą, zaplątana w nią na skutek jakiegoś gorączkowego snu, zarzuciłam szlafrok, na wszelki wypadek, gdyby to był intruz, chociaż wiedziałam, że nie jest, i pospieszyłam na dół.

Salon pogrążony był w ciemności, natomiast z kuchni docho-

dzily jakieś przytłumione odgłosy. Otworzyłam drzwi i zamrugałam oślepiona jasnym światłem.

- Co robisz, Nan?

W rzeczywistości widziałam, co robi. Wyciągała szuflady i wyrzucała wszystko z plastikowych pojemników na podłogę. U jej stóp leżało sześć puszek łososia.

- Szukasz czegoś do zjedzenia? - zapytałam.

- Zgubiłam klucz.

- Jaki klucz?

- Do drzwi od tyłu. A niech to wszyscy diabli. - Mocowała się z plastikową przykrywką, po czym cisnęła ją na kafelki. Usiadła znużona.

- Niepotrzebny ci klucz od tyłu. Po co byś miała wychodzić na dwór? Jest środek nocy. I przeraźliwie zimno.

- Muszę sprawdzić pojemniki na śmieci.

- Nie, nie musisz. Rano je przejrzałaś. Nie pamiętasz? Charlotte ci pomagała.

Rzecz w tym, że ona się zamartwia, czy nie wyrzuciłyśmy do śmieci kopert z naszym nazwiskiem i adresem, bo wtedy ktoś mógłby je stamtąd wyciągnąć. „No to co, Nan? Co by zrobili z tymi kopertami?”, pytamy, „Och, różności”, odpowiada tajemniczo, wokół pełno jest niegodziwców”.

Naprawdę ją to martwi i dlatego pozwalamy jej drzeć koperty na maleńkie kawałki. To jedna z tych rzeczy, które stały się normalnością. Jednakże ta nocna aktywność była czymś zupełnie nowym.

- Chodź już, Nan, chodź do łóżka, bo się zaziębisz. Rano to posprzątam.

- Koperty!

- Podarte. Na maleńkie kawałki. Zresztą rano przyjeżdżają śmieciarze. -1 jest mi cholernie zimno, i Chryste, jest już dwadzieścia po trzeciej, i za pięć godzin muszę iść do pracy, i nikogo nie obchodzi, że mam kompletnie spieprzone życie.

- Tylko odłożę tego łososia.

- ZOSTAW TO! Po prostu CHODŹ i ZOSTAW ten bałagan. Proszę. - Przed rozwodem zdarzało mi się płakać, teraz chyba nie potrafię. Zamiast tego się wściekam.

Stała tam dalej, wobec czego ruszyłam do niej i szarpnęłam gwałtownie. Jest niska i całkiem lekka. Zatoczyłyśmy się, a ja uderzyłam ramieniem o kuchenkę.

- Jasna cholera.

Nan podniosła na mnie wodniste oczy.

- Musisz sobie przyłożyć żywokost.

- Zamknij się. - Staralam się nie przeklinać.

- Albo zażyć cudowne tabletki na wszystko doktora Cassela. Wyleczyły wuja Jacka, a przecie miał malarię. Złapał ją w Mezopotamii podczas Wielkiej Wojny. Przez to musiał mieć zamknięte wszystkie drzwi i wszędzie solidnie napalone. Jak wyemigrował, przysłał nam jagnię. Matka zaniósła je do rzeźnika, żeby poćwiartował, ale nigdy nie dostała wszystkiego z powrotem.

- PÓJDZIESZ WRESZCIE DO ŁÓŻKA?!

Odwróciła się i próbowała skupić na mnie spojrzenie. Potem przybliżyła twarz do mojej.

- Nie muszę robić tego, co mi każesz - oświadczyła spokojnie. - Nie jesteś moją córką. Twoja matka miała na imię Jessie. Nie wiedziałaś? Nie jesteś moja.

- Miałaś orgazm? Chcę ci dać orgazm, Charlotte. - Na ścianie za nim David Beckham szczyrzył zęby w uśmiechu obwieszczającym pewność siebie; ten to nie miał seksualnych zahamowań.

Leżeliśmy pod kołdrą w barwach Manchester United, a od naszego pierwszego razu minęły cztery tygodnie. Na zewnątrz wrzeszczały dzieci, w ogrodzie po sąsiedzku szczekał zamknięty za siatką owczarek alzacki. Dom Paula nie

jest ani trochę spokojniejszy od naszego. Zerknęłam na okno (zasłonki w barwach Manchester U.).

- Śnieg pada? Jest już chyba wystarczająco zimno. Jak spadnie śnieg, to nasze osiedle będzie wreszcie wyglądać trochę lepiej.
- Słyszałaś, co powiedziałem?
- Przepraszam. Taa. Szczerze mówiąc, nie. Nieważne. Fajnie było.
- Fajnie? To wszystko? - Paul przewrócił się na plecy i z rękoma pod głową patrzył w sufit. Pod pachami miał małe kępki włosów, które lubiłam gładzić. - Chcę, żebyś się czuła fantastycznie, żeby strzelały fajerwerki, i takie tam... Bo nie czuję, żebyś zawsze była...
- Co? - Oparłam się na łokciu i obserwowałam widoczne na jego twarzy zmagania.
- Jakby, że tak powiem, no nie wiem, ze mną. Och, nie potrafię tego wyjaśnić. To nie tak jak w telewizji, prawda?
- Nic nie jest takie jak w telewizji. To jest życie. - Położyłam się i przybliżyłam twarz do jego twarzy.
- Ale i tak jest o wiele lepiej niż przedtem. -1 była to prawda. Przede wszystkim już nie bolało, szczególnie kiedy udało mi się w końcu pozbyć zapalenia pęcherza. I kiedy robiliśmy to w jego domu, byłam bardziej odprężona; żadnego zrywania się i pospiesznego zacierania śladów, żadnego lęku, że ktoś nas nakryje. Mama Paula odeszła dwa lata temu, a ojcu życie seksualne syna było zupełnie obojętne. Miałam wrażenie, że moglibyśmy to robić na dywanie w salonie, a on by narzekał tylko wtedy, gdybyśmy zasłonili mu ekran telewizyjny.
- No taak, dobrze. Ćwiczenie czyni mistrza, he? - Wyciągnął ramię i przesunął dłoń po moich piersiach. - Są wspaniałe. - Przejechał palcem wokół sutka i obserwował, jak sztywnieje i się unosi. - Kapitalne. - Potem przekulał

się na bok i położy) obie dłonie płasko na mojej klatce piersiowej. Westchnął z zadowoleniem. -  
Znowu mnie bierze.

To było podniecające, ta moc, o której posiadaniu nie miałam najmniejszego pojęcia. Odrzuciłam kołdrę i patrzyłam, jak rośnie mu członek, jak drga na tle bladego uda; nie było w tym już nic przerażającego. Czułam się niczym bogini seksu. Otarłam się o niego, a on jęknął.

- Dotknij go.

Ciągle nie znałam właściwej techniki, ale nie miało to specjalnego znaczenia. Cokolwiek zrobiłam, on wywracał oczyma, jakby miał jakiś atak, i dyszał. Poniżej napiętego, błyszczącego czubka było mnóstwo luźnej skóry. Zaczęłam eksperymentować, a on zaklął cichutko.

-Tak, właśnie tak. Szlag. Jasny szlag.

Kiedy moje włosy opadły do przodu i omiotły jego brzuch, wciągnął ze świstem powietrze.

-Zaczekaj moment.

Macał po blacie nocnej szafki i chwycił prezerwatywę, którą zresztą natychmiast upuścił pod wpływem szoku, kiedy pochyliłam głowę i pocałowałam go w brzuch.

-Ja sięgnę. - Wychyliłam się za łóżko i podniosłam z podłogi pakiecik.

- Nałóż mi ją. No już. To będzie takie podniecające. Musiałam mieć bardzo niepewną minę.

- Pokażę ci jak.

Pomyślałam, że skoro już jestem kobietą, to powinnam się tego nauczyć, nigdy przecież nie wiadomo, jaka umiejętność okaże się przydatna.

Rozerwał pakiecik z jednej strony i wycisnął oślizgły krążek. Przyglądałam się bacznie, tak jak to robiłam na lekcjach chemii, kiedy demonstrowano nam palniki bunsenowskie. Potem podał mi krążek. Postarałam się nie wzdrygnąć.

-Trzymaj tą stroną do góry. Wyciągnij ten sterczący koniec, odrobinę, delikatnie. Delikatnie! To moja ostatnia. Teraz nałóż na czubek w ten sposób... - poprowadził moją rękę do swojego krocza... - o tak, rozwiń teraz do końca... Rany...

I natychmiast był na mnie, we mnie, pompował biodrami, kryjąc twarz na moim ramieniu.

-Zrobię tak, że dojdiesz - szeptał z furją. Brzmiało to zupełnie jak groźba.

Poruszyłam biodrami, a on zwolnił rytm i dodał do pchnięć coś w rodzaju ruchu obrotowego.

-1 jak tam?

- Mi... fantastycznie - wyszeptałam zdyszczanym głosem. Wpadłam w lekką panikę. Nie bardzo wiedziałam, jak mam się zachować. Może już doszłam, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. Nie, przecież dziewczęta w szkole mówiły, że się na pewno wie, kiedy ma się orgazm. To jak kichnięcie, powiedziała Julia. Kichnięcie?

- Ooo, ale wspaniale. - Paul dalej kręcił biodrami.

- Mmm.

Czy powinnam udawać? Spróbowałam dyszeć ciężko i trochę pojękiwać, ale nie miałam do tego przekonania i dałam spokój. Pewnie by się zorientował, a to byłoby okropne. Ale co mam powiedzieć? On nieprzerwanie działał, a ja z roztargnieniem gładziłam go po plecach, rozglądałam się po pokoju, obejrzałam przypięty do ścian zbiór programów meczów piłki nożnej, udrapowany nad nadprożem czerwono-biały szalik, przyczepioną do komputera kokardkę. Jego biodra zaczęły się poruszać w rytm skocznej piosenki kibiców: Trzymaj czajnik na ogniu, trzymaj czajnik na ogniu...

- Doszłaś już? - zainteresował się.

- Nie, ale było świetnie. A ty?

-Taa. Wieki temu. Na samym początku. - Wyglądał na urażonego moim pytaniem. - Ciągnąłem to tylko dla ciebie. Myślisz, że byłeś już niedaleko?

- Nie wiem - odparłam zgodnie z prawdą.

- Chcesz spróbować trochę dłużej?

Pokręciłam głową i znów postarałam się nie wzdrygnąć.

- Słuchaj, Paul, to naprawdę nie takie ważne. Jakoś, to jakoś się samo ułoży. Prawdopodobnie muszę się jeszcze bardziej odprężyć. Nie przejmuj się tym. - Ponownie obdarzyłam go dodającym otuchy uśmiechem. Jest wspaniale. Ty jesteś wspaniały.

- No to w porządku. - Uśmiechnął się. - Boże, ale jestem wykończony. - Odsunął się. - A niech to szlag.

-Co się stało?-Widziałam, że patrzy w dół z przerażoną miną. - Skaleczyłeś się? Może ja cię skaleczyłam?

-Ta guma. Ona jest... - Wskazał gestem na obwisłego, nagiego członka. - Ona jest nadal... Czy możesz...? Słuchaj, ona chyba jest nadal w tobie. Cholera jasna. Mogłabyś ją, ee, wymacać?

Poczułam się, jakby mnie walnięto obuchem w głowę, zrobiłam jednak to, co zasugerował. Położyłam się płasko na łóżku, podciągnęłam kolana i ostrożnie wsunęłam do środka palce.

-Nie patrz! - Czułam, że wewnątrz mam jakieś dziwne, poobcierane. Staralam się oddychać głęboko, nie zaciskać mięśni. - Nie mogę... Och, Boże! Paul!

- Daj, ja spróbuję. Jestem ustawiony pod lepszym kątem. - Zachichotał nerwowo.

Kiedy odwrócił się do mnie, zamknęłam oczy. Miałam wrażenie, że jestem u lekarza. Raz w szkole jednej dziewczynie utknął na dobre tampon i nauczycielka musiała go jej wyciągnąć. Pamiętam, z jakim przerażeniem słuchałam



tej historii. Teraz chciałam umrzeć z lęku i wstydu. Otworzyłam lekko oczy i zobaczyłam, jak skoncentrowany, z wysuniętym koniuszkiem języka, stara się dosięgnąć zguby.

-Mam ją! - Wyciągnął na zewnątrz ten oślizgły przedmiot i trzymając go przed oczyma, obejrzał dokładnie. Potem skinął głową. - Uff! Mamy szczęście, nie rozerwało się i w ogóle. Wrzucę do kosza.

- Cisnął ją przez cały pokój. Miałam nadzieję, że nie zawoła „Gol!”, jak miał w zwyczaju, i rzeczywiście tym razem nie zawołał. - Chryste, mógłbym się doskonale bez tego obejść! - oświadczył po prostu.

Ty mógłbyś, pomyślałam i czując się bardzo nieszczęśliwa, owinęłam się kołdrą. Była to niewątpliwie, miała to być, najgorsza chwila w całym moim dorosłym życiu.

- Głowa do góry. To był pryszcz. - Wyciągnął rękę i potargał mi włosy. - Zaraz skoczę i przyniosę nadziewane herbatniczki. I włączę czajnik. Będziesz miała ochotę zagrać w *Tomb Haider*, jak się ubierzesz? Dzisiaj rano świsnąłem ją Danowi.

Mówiąc, wkładał szybko kolejne części garderoby. No to pewnie wszystko jest w porządku. Dlaczego jednak nie powiedzą człowiekowi, że seks może być tak cholernie kłopotliwy. Muszę przyznać, że nie tak to sobie wyobrażałam. Może nie dość kocham Paula, a może to coś we mnie samej. Tak czy owak, muszę poznać odpowiedzi na pewne pytania i wydaje mi się, że wiem, gdzie ich szukać.

Rzecz w tym, czy Nan mówi prawdę. A jeśli mówi, to co? Muszę, muszę się tego dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Bóg mi świadkiem, mądry człowiek był z Billa. Nie wiem, co we mnie zobaczył. Nie dziwota, że kiedy był jeszcze młodzikem, czasami odsyłali go wcześniej ze szkoły do domu, bo nie miał już nic do roboty. Nauczyciel powtarzał, „Hesketh! Pokaż, co ci wyszło, a jeśli jeszcze nie skończyłeś, to jesteś w tarapatach”. A on wychodził z ławki i wszystko miał zrobione, i wszystko poprawnie, i szedł do domu o wpół do czwartej zamiast o czwartej. Powinien był uczyć się dalej, miał głowę do nauki, ale kiedy skończył trzynaście lat, musiał iść zarabiać, tak samo jak ja.

Poszedł do kopalni, jak jego ojciec, i nienawidził tej pracy. Nigdy nie miał prawdziwego wytchnienia. Wieczorami szedł do sklepu spożywczego Boba Mossa, żeby pakować zamówione towary i rozwozić je do klientów taczka. Potem przyplątała się gruźlica, no i tak się już potoczyło. Spółdzielcze sanatorium w Blackpool, gdzie poznał swoją przyszłą narzeczoną. Nazywała się Alice Fitton, mieszkała przy drodze na Chorley i była urodna. Złamał jej serce, kiedy z nią zerwał i zaczął zalecać się do mnie. Tak po prawdzie powinnam była jej współczuć. Ale ja miałam to, czego chciałam. Widziałam wcześniej, jak cierpiała moja matka, i znałam wartość przyzwoitego mężczyzny.

Po ślubie dostał pracę w papierni Cooka i dołączył do Orkiestry Dętej Bank Top, gdzie grał na rogu tenorowym.

Mawiał, że są jedną z najlepszych drugorzędnych orkiestr amatorskich w całym tym ruchu. Ćwiczyli codziennie w stodole za kuźnią i wpłacali co tydzień po pensie na wspólny fundusz. Kiedyś zagrali w Ogrodach Zimowych w Southport przed czterema tysiącami słuchaczy i zdobyli puchar, pierwszy raz w ogóle. Dyrygent, pan Platt, był wniebowzięty. Wrócili do domu po północy, a on chciał, żeby idąc główną ulicą, grali *Semper Fidelis* Souzy. „Chyba nie powinniśmy. Wszystkich pobudzimy”, hamował go Bill. „No dobrze”, odparł pan Platt, „w takim razie ściągniemy buty i skarpetki”. W końcu płuca nie pozwoliły mu dalej grać; miał przecież gruźlicę, no i palił, od kiedy skończył trzynaście lat. Nie wysłali go na wojnę; został w kraju i był sanitariuszem w obronie terytorialnej. W naszym domu nigdy nie brakowało bandaży. Ale w końcu te płuca go zabiły. Miał ledwie sześćdziesiąt trzy lata. Razem przeżyliśmy czterdzieści dwa. I było to szczęśliwe małżeństwo, bez wątplenia. I gdyby jeszcze ta jedna rzecz...

Gdzie szukasz odpowiedzi, kiedy masz siedemnaście lat? Cóż, zaczynasz od przepychania się przez ten zaczarowany las otaczających cię ludzi, którzy uważają, że je znają: rodziców, nauczycieli, autorów artykułów w czasopismach z rodzaju „rozwiązę twój problem życiowy w dwadzieścia minut”. Mama sądzi, że fakt, iż spieprzyła własne życie, czyni ją ekspertem od mojego (gdzie tu jakaś logika?), ale nie dostrzega, że jestem w takim samym stopniu podobna do niej, w jakim ona jest podobna do Nan, to znaczy ani trochę. Kiedy się patrzy na nas obie, można dojść do wniosku, że znaleziono mnie pod żywoplotem. W pewnym sensie ulżyłoby mi, gdyby rzeczywiście tak było. Przynajmniej wiele by to tłumaczyło.

Oczywiście nieobecność taty rzuca się w oczy. Och, dobrze wiem, gdzie mieszka, całkiem niedaleko stąd, ale gdybym pojawiła się na jego progu i zaczęła prosić o radę w sprawach osobistych, dostałby kota. To nie jego dziedzina. Poza tym wydaje mi się, że i tak go przerażam.

Nauczyciele mają dobre intencje, w każdym razie większość z nich, tyle że postrzegają wszystko w kategoriach wyników egzaminów, jakby twoje oceny, umieszczone w przyszłym CV, w jakiś magiczny sposób mogły wskazać twoją drogę życiową. „5 5 4 4, rachunkowość w Bristolu, błyskawiczna kariera w firmie konsultingowej, małżeństwo w wieku dwudziestu sześciu lat, ładny dom w Surrey i dwoje zdrowych dzieci przed trzydziestką (proponowane imiona Annabel i Max)”. Podejrzewam, że zwykła dziewczyna spytałaby przyjaciółki, ale ja mam tylko koleżanki, z którymi się kumpluję, ale którym nigdy się nie zwierza m. Czy to sprawa natury geograficznej czy psychologicznej? John Donne napisał: „Nikt nie jest samotną wyspą”, no ale on nie mieszkał w Bank Top. Miał, cholera, szczęście.

Problem po części tkwi w tym, że to miasteczko położone jest na końcu świata i nie mieszka tu nikt z mojej obecnej klasy. Wszyscy z dawnej klasy w podstawówce powędrowali do technikum, obdarzając mnie przy okazji szyderczymi uśmieszkami: widuję ich tu i tam, ale nie bardzo mają ochotę zadawać się ze mną, skoro już oficjalnie mam etykietkę snobki. Większość z uczniów liceum mieszka po tamtej stronie Bolton (w, trzeba to jasno powiedzieć, dużo bardziej przestronnych domach). Nie mam prawa jazdy -z braku pieniędzy na lekcje i chociaż tata szczerze obiecywał, że mnie nauczy, wiem, że nigdy do tego nie dojdzie -a autobusy przestają kursować o 22.30. Mama nie może

mnie wozić, bo nie lubi zostawiać Nan bez opieki; boi się, żeby nie zrobiła czegoś szalonego. I tak to wygląda. Do tej pory mnie to nie martwiło. Dopiero teraz.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie należę do takich, co to nie potrafią się z nikim kumplować, wiem, gdzie usiąść w świetlicy, wychodzę z domu (i wcześniej wracam). Po prostu niepotrzebna mi zażyłość, jaka łączy niektóre dziewczyny. W porze lunchu chodzą wokół boiska, zdradzają sobie tajemnice - to zupełnie nie w moim stylu. Możliwe, że byłabym taka, nawet gdybym mieszkała gdzie indziej. W St Mary's zawsze trzymałam się na uboczu; podczas przerwy obiadowej wołałam pomagać pani Ainscough w bibliotece, niż bawić się przy śmietniku. „Za dużo czasu spędzasz we własnej głowie”, powiedziała mi kiedyś matka podczas szaleńczej awantury o nic, i choć przychodzi mi to z trudem, muszę przyznać, że chyba miała rację.

No więc dokąd się udałam? Cóż, do tego zwyczajnie wyglądającego, nowoczesnego bliźniaka na przedmieściach Bolton, do którego można było od nas bez trudu dojechać autobusem. Za frontowymi drzwiami ze zdobioną w tulipany szybą poruszyła się jakaś postać.

-Jedną chwilę. Nie chcę wypuścić kota. - Drzwi uchyliły się lekko, ukazując pulchną twarz przy szczelinie. - Mogłabyś... a niech to. - Jednym płynnym ruchem szary cień przemknął obok jej stóp i natychmiast zniknął. - Nieważne. Wejdz.

Zatrzymałam się w białym przedpokoju o tepowanych ścianach, pełnym zamotanych muślinów, kościelnych świec i figurek; zupełnie jakby telewizyjny program *Dekoratornia* wyrwał się twórcom spod kontroli.

- Cześć, jestem Jackie. A ty jesteś Charlotte? Wspaniale. Przejdź tędy. Uważaj na kryształki.

Kiedy prowadziła mnie do pokoju na tyłach domu, uchylałam się przed rozhuśtanymi ozdobami. Pokój był cały w czerni i czerwieni, przesiąknięty wonią olejku paczulo-wego. Na ścianach wisiały zdjęcia Jackie z czasów, kiedy była młodsza (i szczuplejsza), oprawione w ramki dowody uznania oraz plakat z jednorożcem stojącym dęba na tle tęczy. Stół nakryty był szenilowym obrusem. Jackie zapaliła stojące w kącie kadzidełka.

-A teraz usiądź sobie i zaczniemy od czytania z ręki.

Usiadłyśmy przy stole z obu stron narożnika i wtedy ujęła moją dłoń. Przeszedł mnie zimny dreszcz, ale udało mi się nie wyrwać ręki.

-Odpręż się - powiedziała cicho, delikatnie dotykając miękkiego wnętrza mojej dłoni.

Poczułam się idiotycznie. Co ja tu, do diabła, robię? - pomyślałam. Jackie trzymała głowę pochyloną i obejrzałam jej ciemne odrosty. Paznokcie miała nienagannie wyma-nikiurowane, na pulchnych palcach mnóstwo pierścionków.

- Na pewno zastanawiasz się, co tutaj robisz - odezwała się, nie podnosząc wzroku.

Szlag szlag szlag.

- Nie, skądże znowu. - Czułam, że się czerwienię. - Polecono mi panią. Taka jedna dziewczyna ze szkoły. Kiedy zobaczyła na korytarzu walizki, a potem jej tata wyniósł się z domu, pani powiedziała, żeby się nie przejmowała. I rzeczywiście, wrócił po dwóch tygodniach. Zrobiło to na niej cholerne wrażenie. Wszystkim o tym opowiadała.

- Rzeczywiście. - Usiadła głębiej, odchyliła się do tyłu i przyglądała badawczo mojej twarzy. - Tyle że mnóstwo ludzi odczuwa skrepowanie, kiedy zasięga porady u wróżki.

-Taak, no cóż, będę szczerą... nie mam pojęcia, co my-

śleć. Czy to ważne? Czy przeszkodzi to tym wibracjom, jeśli ja, ee, nie całkiem wierzę...

- Nie - rzuciła pewnym głosem. - Co chcesz wiedzieć, Charlotte?

-Ja, hm, o Boże, dobre pytanie. Chyba muszę się dowiedzieć, co zrobić ze swoim życiem. Chcę, żeby ktoś mi powiedział, jak wyrwać się z Bank Top, bo to zadupie, i gdzie mogłabym być szczęśliwa. Czy jest takie miejsce, do którego powinnam, że tak powiem, zmierzać? Proszę mnie skierować we właściwą stronę. Proszę pokazać, jak mogę dokonywać zmian w swoim życiu. - Kobieta słuchała uważnie, co wytrącało mnie z równowagi, nie byłam do tego przyzwyczajona. - Bo wydaje mi się, że ciągle coś zmieniam, tymczasem wszystko jest tak samo... Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Kiedy zmarszczyła brwi, widać było, jak grubo pokryte są makijażem jej powieki i rzęsy. Znów się pochyliła i wpatrzyła w moją dłoń. Potem, ze wzrokiem wciąż utkwionym w moją rękę, zaczęła mówić, szybko i z przekonaniem:

-Jesteś osobą niezależną. Wokół ciebie kipi od konfliktów. Masz chwile zagubienia, a czasami odnosisz wrażenie, że nikt cię nie rozumie.

Witajcie w świecie przeciętnej nastolatki, pomyślałam.

-Przed tobą wiele wyborów. Nie wiesz, którą pójść ścieżką. Czekają cię trudne chwile, ale przed końcem roku wszystko się rozwiąże.

Najwyraźniej do tego czasu poradzę sobie z wypełnieniem kwestionariusza na uczelnię.

- Przez najbliższe dwanaście miesięcy musisz zwracać szczególną uwagę na zdrowie.

- Matka pilnuje zebym jadła owoce - zażartowałam. Nie zareagowała.

-Twoje życie uczuciowe się skomplikuje. Zasadniczo masz zbyt miękkie serce, ale starasz się to ukryć. Ostatecznie jednak znajdziesz prawdziwą miłość.

Taak. No cóż, nie spodziewałam się usłyszeć nic innego. Nie mogła przecież powiedzieć:

„Zamieszkas z kulawym karłem z Adlington, który co wieczór będzie cię bił”.

-Szuka cię ktoś z tamtej strony - wyszeptała, wciągnąwszy powietrze, kiedy właśnie przywoływałam na usta cyniczny uśmiech. - Jest tu teraz.

Zamarłam, słysząc cichutki, jakby dziecięcy płacz.

- O Boże. - Okręciłam się na krześle przerażona. - Jakiś nieboszczyk? - Zobaczyłam tylko własne odbicie w drzwiach na taras i kota domagającego się, żeby go wpuścić.

- Chłopczyk.

Czekała na moją reakcję. Wzruszyłam ramionami.

- Jakieś osiem, dziewięć lat, ubrany w staromodny strój, kaszkiecik i krótkie spodnie. Duże, mocne buty, jak saboty. Nie chce mi podać swojego imienia, jest zbyt nieśmiały. Wyciąga jednak do ciebie bukietek niezapominajek. - Twarz Jackie stała się pusta, wzrok utkwiała w punkt ponad moim ramieniem. Zaczęło mnie to trochę przerażać.

- Nie znam żadnych nieżyjących dzieci. Boże, to takie dziwaczne.

-Jest mu bardzo zimno, bardzo zimno. Mówi, że masz szczęście, należysz do tych, którzy mają szczęście. Mówi, że powinnaś maksymalnie wykorzystać możliwości, jakie daje ci życie.

- Pewnie rozmawiał z moją mamą. To jakiś spisek. -Napięcie wyzwoliło mój śmiech.

- Poszedł sobie. - Jackie spojrzała groźnie i puściła moją rękę. Powiedziała to tak, jakby mnie winiła.

- Świetnie.



-Ale nigdy nie odchodzi daleko.

- Chryste, niech pani tak nie mówi, bo nie zasnę w nocy. -To przyjaciel.

-Jasne.

Wstała i gwałtownym gestem zaciągnęła zasłony. Widziałam, że jest na mnie zła, posłałam więc tylko w mrok niepewny uśmiech. Potem zapaliła świece i wyjęła talię tarota.

-Chcesz, żebym kontynuowała? - Miała bardzo przenikliwe spojrzenie; czułam się jak w pierwszej klasie podstawówki.

-Taa, koniecznie. Przepraszam. - Niech chociaż dostanę to, za co płacę.

- Wobec tego wybierz kartę.

-A to paskudny gnojek - zirytował się Paul, kiedy mu o tym powiedziałam. - O, to go naucz. - Cisnął adidasem w pustą przestrzeń w nogach łóżka. - Sio. Idź szpiegować kogoś innego, zboczony świntuszk. Wracaj na swoją chmurkę i graj na harfie albo na czym sobie chcesz.

- Myślisz, że może w tym coś być? - Siedziałam owinięta kołdrą. Od powrotu do domu nie mogłam się rozgrzać. „No cóż, w końcu jest środek zimy, no nie?” - powiedział Paul, kiedy mu o tym wspomniałam.

- Duchy w kaszkietkach? Zupełnie jak ludziki z reklamy herbaty Tetley. Nie świruj, Charlie. Zachichotałam wbrew sobie.

-Aż do tamtej chwili jej nie wierzyłam. Ale zaraz potem zaczęła przyprawiać mnie o gęsią skórkę. Sam byś się poczuł nieswojo. Na pewno. Przestań się śmiać.

- Ile zapłaciłaś tej starej jędzy?

- Odwal się. Powiedziałam ci to tylko dlatego, że sądziłam, że cię to zainteresuje.

-Interesuje I owszem. Ściągaj biustonosz. -Wiem, że to była tylko kupa bzdur... - Odpięłam z rezygnacją stanik.

- No to przestań się martwić. - Całował moją szyję i ramiona, a żar bijący od jego ciała był naprawdę cudowny.

-W każdym razie jesteś poza wszelkimi podejrzeniami. -Mmm?

- Powiedziała mi, że jakiś ciemnowłosy chłopak skrzywdzi mnie tak, „jak nikt cię w życiu nie skrzywdził”. Tak stało w kartach. Więc ciebie to nie dotyczy.

-Niby dlaczego? Bo jestem blondynem? - Bardzo niechętnie odsunął wargi od mojego ramienia.

-Właśnie.

- Super. A teraz przestaniesz wreszcie gadać? - spytał.

Tym razem nie musieliśmy się tak szaleńczo spieszyć, bo mama zabrała Nan na kontrolę do szpitala, a ponieważ auto zdechło, pojechały autobusem. Podróż do piekła i z powrotem, pomyślałam.

-Zrobiłaś coś z tamtym obrazkiem? - spytał Paul, omiatając spojrzeniem pokój. Byliśmy coraz lepsi w pozblize-niowych rozmowach. - Tym, który wtedy potłukłaś?

- Masz na myśli ten, który ty potłukłaś? Kiedy unosiliśmy się na falach namiętności? Nie. Chociaż już kupiłam nową ramkę. Nie mogłam zdjąć tej starej, więc dałam spokój.

-Ale z ciebie chuchro. Chcesz, żebym to zrobił? Dawaj go tu.

Pogrzebałam ręką pod stosem czasopism w nocnej szafce i wyciągnęłam obrazek.

- Nie mogłaś jej ściągnąć? O co chodzi, zastosowali superklej czy coś takiego?

- Obejrzyj sobie.

Obrócił obrazek i przyjrzał mu się z tyłu. -Jezu, teraz już rozumiem.

Grubą tekturkę pokrywały przecinające się druty; ich końcówki wbite w nieregularnych odstępach w ramkę. W rogach brązowiły się zastygłe krople starodawnego kleju.

- Zerwałam już pierwszą warstwę tektury i taśmy klejącej. Pomyślałam sobie, że jeśli będę zrywała dalej, to uszkodzę obrazek. Może potrzebny jest śrubokręt albo coś takiego, żeby podważyć te wbite druty? Mamy taki w domu, ale nie wiem gdzie.

-A tam, wystarczy scyzoryk. Podaj moje dzinsy. Pochłonęło go to zajęcie. Przyglądałam mu się i myślałam o moim małym duszku.

W końcu wszystko zaczęło się rozchodzić.

- No i gotowe. Potrzeba było tylko męskiej ręki. Zebrałam wszystko razem i położyłam na łóżku.

-Jak mi dasz nową ramkę, złożę ci to do kupy i w ogóle - zaofiarował się.

- Poczekaj chwileczkę. - Podnosiłam kolejne warstwy. -Coś tutaj jest. Mój Boże, tylko popatrz, to jakiś list. Rozłożyłam dwie kartki cienkiego poźółkłego papieru. - Wygląda, że to... Kurde, tylko posłuchaj. - I zaczęłam czytać:

**Szanowna Pani Robinson,**

**Dot. Sharon Pilkington**

**Dziękuję za list z informacją o tym, że Komisja Adopcyjna zatwierdziła tę małą dziewczynkę do adopcji bezpośredniej. Jestem pewna, na tyle, na ile można być pewnym w tych okolicznościach, że matka jest w tej sprawie całkiem zdecydowana. I że się nie rozmyśli.**

**Z poważaniem, P. Davis**

-Sharon Pilkington? Kto to taki? Ktoś obciął górę kartki i nie widać adresu ani daty. - Odwróciłam ją, ale po drugiej stronie była pusta. - Zobaczmy, co jest na tej drugiej.

### **Informacje dla Komisji Adopcyjnej**

**Imię i nazwisko dziecka: Sharon Anne Pilkington**

**Waga przy urodzeniu: 3200 g**

**Data urodzenia: 13.4.63**

**Waga obecna: 4000 g (w wieku 3 tygodni)**

**Matka: Panna Jessie Pilkington**

**Zawód matki: robotnica Wiek: 16 lat**

**Ojciec biologiczny: Wiek: Zawód ojca:**

**Rekomendacja: Pani R Davis**

**Obecne miejsce pobytu dziecka: z matką w Domu Samotnej Matki, Hope Lodge, Walls Road 46, Londyn N4**

### **Uwagi ogólne**

**Jessie Pilkington nie jest w stanie utrzymać dziecka, ma zaledwie szesnaście lat, a w domu jest kilkoro małoletnich siostr i braci. Uważa, że trudno wymagać od jej rodziców, a w szczególności od matki, żeby wychowywała kolejne dziecko. Nie chce, albo nie potrafi, podać tożsamości ojca, nie można więc oczekiwać żadnej pomocy z tej strony. Dlatego Jessie uważa, że adopcja i wychowanie w szczęśliwej rodzinnej atmosferze leży w najlepszym interesie dziecka.**

**Prosiła, żeby dziecko umieścić u jej znajomej, niejkiej Nancy Hesketh, która nie może mieć własnych dzieci. Jessie jest przekonana, że podjęła właściwą decyzję, oddając dziewczynkę, i na zawsze zrzeka się praw do dziecka.**

### **Szczegółowe informacje dot. matki**

**Charakterystyka: usposobienie miłe, reputacja dobra Wygląd zewnętrzny: ładna cera, 168 cm wzrostu, oczy szare Zdrowie: rodzina silna i zdrowa**

### **Szczegółowe informacje dot. dziecka**

**Pani Davis widziała dziewczynkę i mówi, że to ładne dziecko z ciemnoblond włosami i szarymi oczyma. W niektórych miejscach jej skóra jest nieco przesuszona. Ma skłonności do kolek, ale jej uśmiech jest uroczy.**

### **Uwagi dodatkowe**

**W rodzinie matki nie odnotowano chorób psychicznych, alkoholizmu, porywczności, brutalności, występków nieletnich, żadnych przestępstw.**

- No i co ty na to? - Paul był zajęty rozkładaniem w wa-chlarzyk wszystkich ostrzy scyzoryka i ich podziwianiem. -Charlie? Nic ci nie jest?

Na chwilę zaniemówiłam, a potem znów przeczytałam obie kartki.

- Och, Paul... nie mogę w to uwierzyć... - Wróciłam do daty urodzenia u góry kartki i poczułam, jak mnie coś ściska w gardle. - Posłuchaj. To chyba moja mama.

-Kto?

-Ta Sharon Pilkington. Bo, bo przecież Nancy Hesketh to Nan i data urodzenia się zgadza, niech policzę... 63, 73, 83, 93, 97, no taa. I, mój Boże, wszystko zaczyna pasować, Nan była naprawdę stara, kiedy rzekomo urodziła mamę, i wszyscy mówili, że to cud, bo przecież całe lata próbowała zajść w ciążę. Tego właśnie słowa używała zawsze Nan, cud. - Położyłam list na łóżku i objęłam głowę rękoma. - Nie mogę tego pojąć. Czyżby ona rzeczywiście nie wiedziała? To znaczy moja mama. O Jezu, Paul, to zdumiewające. Z tego wynika, że Nan nie jest moją babcią. Jest nią ta jakaś Jessie. Kimkolwiek jest. Gdziekolwiek jest.

- No cóż. - Paul wzruszył ramionami i zamknął z trzaskiem scyzoryk. - Tego ta twoja wróżka nie przewidziała.

- Masz krew na pantoflu. - Zauważyłam też plamę na rajstopach Nan, kiedy uknęła, żeby wyciągnąć spod stołu połówkę herbatnika. Jej stawy są naprawdę zdumiewająco giętkie jak na ten wiek; lekarzowi w szpitalu trudno w to uwierzyć. Podobnie nie chciał mi wierzyć, kiedy mu powiedziałam, jak jej czasami odbija, bo akurat podczas wizyty była w świetnej formie, mówiła z sensem, gawędziła sobie z nim, jakby go znała przez całe życie. Nawet z nim flirtowała. „Czuję się dziś fantastycznie. Czy pan się do mnie zaleca?“, spytała go wtedy. „Przystojny z pana młodzian. Ma pan samochód?“ Gość uważał, że to słodkie; ja, że okropne. Miałam ochotę przyłożyć jej w głowę basenem, tyle że wtedy to mnie by wsadzili do czubków. Co może nie byłoby najgorszym rozwiązaniem. Zauważyłam te ślady krwi rano, kiedy otwierałam pocztę. Sylv doradziła mi - wiem, że nie miałam jej już nigdy niczego mówić, ale ona ma te swoje sposoby - zatem Sylv doradziła, żebym zwyczajnie napisała i poprosiła o odpis swojego świadectwa urodzenia; z niego się dowiem, kto jest moją matką. Dlatego tak ostatnio biegam do drzwi, żeby jak najszybciej zabrać listy z wycieraczki.

- Skaleczyłaś się?

- Nie. Gdzie? - Kręciła głową w jedną i drugą stronę, żeby się obejrzeć.

- W nogę, w kostkę. Usiądź na chwilę. Zostaw ten herbatnik. Siadaj, mammo.

- Gdzie? Nie widzę. - Usiadła na krześle i szarpała za rajstopy.

I wtedy zobaczyłam, że krew spływa na piętę.

- O Boże, podnieś do góry stopę. - Przykucnęłam i delikatnie zsunęłam jej pantofel.

- To nie moja krew - oświadczyła natychmiast.

- To czyja, do diabła? - Nie miałam zamiaru tak wrzasnąć.

- Aj, jesteś niedobra. Wiem, co ci doskwiera. Brakuje ci jeszcze jednego dziecka.

-Jezu, mammo, jakże się mylisz. Po co mi niemowlę, kiedy mam ciebie, hę?

Ostatecznie okazało się, że zdarła sobie strup z kostki i nie było tak źle, jak wyglądało. Wkładając jej pantofel z powrotem, pomyślałam sobie: Właściwie dlaczego ja się tobą zajmuję? Kim ty w ogóle

jesteś? I kiedy wróciłam do poczty, od razu na nie natrafiłam, na swoje świadectwo urodzenia. Miała rację. Nie jestem jej córką. Jestem Sharon Anne Pilkington z Londynu, znikąd.

Data i miejsce urodze nia	Imię, jeśli zostało nadane	Płeć	Imię i nazwis ko ojca	Imię, nazwis ko i nazwis ko panieńs kie matki
1	2	3	4	5
13marc a 1963 Hope Lodge Dom Samotn ej Matki	Sharon Anne	dziewc zynka	-----	Jennie Pilkinto n

Zatem moja matka - prawdziwa matka, biologiczna, czy jak ją zwać - pochodzi z tej okolicy. Bóg jeden wie, skąd wzięłam się w Londynie. Najpewniej tam uciekła. Mogę to zrozumieć. Zabawne, że ostatecznie i tak wylądowałam na północy. Może taka wtedy była polityka adopcyjna. Może uważali, że dzieci z północnymi genami mogą się chować jedynie na nodze wołowej

i pierniczkach. A może nie chcieli, żebym skaziła rasę południowej Anglii. Chciałabym powiedzieć, że nadal w to nie wierzę, ale to nieprawda. W jakiś sposób potwierdza to odczucie, które zawsze mi towarzyszyło - że ja tu nie pasuję. Kiedy byłam mała, a tata żył jeszcze, w zimowe wieczory zaciągaliśmy zasłony i siadaliśmy wszyscy, żeby oglądać te szmatławe programy: *Wheeltappers and Shunters* czy *Bullseye* (super-hiper-przebój!). Ulubionym programem mamy był teleturniej *Golden Shot*. Ja brałam butelkę lemoniady i dużą torebkę toffi, żeby wszystkim częstować, i słuchaliśmy tego odległego głosu, kiedy uczestnicy przez telefon kierowali kamerzystami mającymi zawiązane oczy: w lewo, w lewo, stop, odrobinę w prawo, w dół, stop, troszkę w górę, troszkę w górę, ognia! Cisza albo brzęk monet i okrzyki radości. Kiedyś w tym całym podnieceniu tata upuścił obsypane kokosem ciagutki i białe płatki długo jeszcze walały się po dywanie. Szczęśliwe czasy, w pewnym sensie, ale nawet wtedy nie miałam poczucia pełnej przynależności. Gdzieś tam było nie dane mi dzieciństwo w stylu Beatrix Potter, mlecze i łopiany, i Jim Bowen, ten prezenter telewizyjny. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy to już wszystko. Więc może powinnam była zostać wtedy w Londynie. Z moją matką. Wyobrażam sobie, że wygląda jak Julie Christie, macha torebką, nosi krótki płaszcz z paskiem i używa czarnej kredki do oczu. Założę się, że kiedy była w ciąży, przesiadywała w kawiarni ze smętną miną, a na zewnątrz lał deszcz i ludzie spieszyli do domów. W Londynie zawsze wszyscy się spieszą. A może to tylko obraz, jaki pozostał mi w pamięci z jakiegoś filmu. Teraz, kiedy znam prawdę, robi wrażenie autentycznego wspomnienia. Czy to możliwe, czy można się dostroić do wspomnień innych ludzi?



Następnym oczywistym krokiem jest wpisanie się do Rejestru Adopcji. To lista ludzi, którzy chcą się nawzajem odnaleźć, tak więc jeśli Jessie Pilkington chce do mnie dotrzeć, będzie to mogła zrobić. Jestem przekonana, że chce. Nie mogę się doczekać.

Ludzie poruszali się powoli, ociężale, jak pod wodą. Powietrze było ciężkie, nagrzane, czuło się, że dopiero co wyszło z czyichś płuc. Dudniąca muzyka waliła jak obuchem, a kiedy włączono światło stroboskopowe, rozedrgane otoczenie nabrało surrealistycznego wyglądu. Zamknęłam oczy, ale to migające światło przebijało się przez powieki.

Pięćdziesiąt minut do zamknięcia.

Tkwiałam w Krystal's Nite Club w Wigan i był to jeden z tych przypadków, kiedy człowiek sobie myśli, że popełnił błąd, ruszając się z domu.

Gilly Banks obchodziła urodziny i pojawiła się co najmniej połowa naszej klasy, a może nawet wszyscy; od początku semestru nie zamieniłam z nią nawet dwóch słów, a przecież dostałam zaproszenie, więc nie była szczególnie wybredna, jeśli chodzi o listę gości. „+ osoba towarzysząca” napisano na złocistej karcie, przyszłam jednak sama, bo właśnie się pokłóciłam z moją osobą towarzyszącą.

- Myślisz, że powinniśmy spróbować czegoś innego? - spytał Paul po ostatniej sesji. Z włosami zmierzwionymi po uprawianiu seksu wygląda niemal za ładnie, jakby żywcem wyjęty z jakiegoś boys bandu. Tamtego jednak dnia było to irytujące, a nie słodkie.

-Co, naprawdę moglibyśmy gdzieś pójść? Albo porozmawiać? Byłoby to coś nowego. - Przez cały tydzień mia-

lam zły humor, obarczona rewelacjami Nan oraz zbliżającym się egzaminem z historii, i w ogóle czułam się nieswojo. Na dodatek Paulowi udało się wynaleźć tę jedyną w świecie kartkę walentynkową, na której nie było słowa miłość.

-W porządku, nie musisz zaraz rzucać się z pazurami. Pójdziemy do kina, skoro ci tak zależy, do jasnej cholery. Chodziło mi tylko o to, że moglibyśmy wypróbować jakieś nowe pozycje, o których czytałem. - Wyciągnął spod łóżka jakieś czasopismo i zaczął przerzucać kartki. - Jest taka, gdzie ty jesteś u góry, tyle że zwrócona twarzą do moich stóp.

- Brzmi uroczo, co za widok.

- No nie, daj spokój, nie bądź taka. Piszą, że wtedy możesz, ee, „kierować swoją rozkoszą”, czy coś w tym sensie. Nie pamiętam dokładnie. No dobra, nieważne. - Cisnął magazyn w róg pokoju i zaczął udawać zainteresowanie zadartym paznokciem. - Po prostu pomyślałem sobie...

-Co? -Nic.

-Znowu chodzi ci o ten orgazm, co? - Sięgnęłam po majtki, żeby móc spierać się z większą godnością.

- Czemu ciągle do tego wracasz? Co w tym takiego ważnego? To żaden problem. Ale ja już zaczynam odnosić wrażenie, że coś jest ze mną nie tak.

- No właśnie. Mogłabyś kopnąć się do lekarza. Niech cię zbadają. Sprawdzą, czy nic nie... szwankuje - wyrzucił z siebie jednym tchem.

(- WSZYSTKO GRA? - zawołała Gilly, przekrzykując hałas. - DOBRZE SIĘ BAWISZ? -

Przemknęła obok, w drodze do baru, jubilatka, w panterkach, miniaturowym podkoszulku, z wystającym ramiączkiem stanika. Należy do

tych, co to zawsze są na luzie. Założę się, że ma mnóstwo orgazmów.

-O TAK. ZNAKOMICIE. JEST BARDZO MIŁO. - Przez kłęby dymu wyciągnęłam ku niej kieliszek i uśmiechnęłam się, a w uchu zabrzmiał mi głos Paula, „Niech cię zbadają”. Drań.)

-Ty draniu! - wrzasnęłam i pospiesznie wciągnęłam na siebie resztę ciuchów. - Nie wierzę własnym uszom! Co, do diabła, sugerujesz? Że jestem nienormalna?

Leżał sobie, ssąc paznokieć, i obserwował, jak walczę ze spodniami. Zaczepiłam dużym palcem o obrębek i pchałam coraz mocniej, chcąc rozerwać szew.

- Uważaj, podrzesz je.

-Jezu! - Nitki puściły i moja stopa wystrzeliła na zewnątrz. Zatoczyłam się na łóżko.

-Ja tylko chciałem powiedzieć, że to nie było, no wiesz, jak się słyszy, że będzie. - Wyglądał na zmieszanego, ale zdecydowanego, jakby zamierzał powiedzieć, co ma do powiedzenia, niezależnie od konsekwencji. Wyciągnął do mnie rękę, w geście, który mógł uchodzić za uspokajający. - Czy tak naprawdę sama nie myślałaś podobnie?

-A czy nie istnieje przypadkiem możliwość - przybliżyłam rozognioną twarz do jego twarzy - czy nie może być tak, że ty wszystko niewłaściwie pojmujesz? Że zawodzą te twoje wspaniałe techniki? -

Kiwnęłam głową w kierunku jego oklapniętego członka, spoczywającego niewinnie na udzie. - Że znakomite wyposażenie nie bardzo się sprawdza?

Naciągnął na siebie kołdrę i oblał się rumieńcem.

- Nie - rzucił ostro. - Nie przyszło.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I powiem ci dlaczego.

- No mów. - Już czułam, co za chwilę usłyszę.

- Ponieważ. Ponieważ Jeanette Piper nigdy nie miała z tym żadnych problemów, właśnie dlatego. Skończyłam się więc ubierać i wyszłam. Minęłam smutnego owczarka alzackiego sąsiadów, ławkę, na której nie było już ani jednej deski, trawniki z obrzeżami rozjechanymi przez samochody, rozwaloną wiatę przystanku autobusowego, aż dotarłam do domu, zamknęłam się w swoim pokoju i płakałam przez pół godziny.

To prawda, nigdy nie twierdził, że jest prawiczkim. Ale też nigdy nie powiedział, że nie jest.

Powinłam była go wypytać, tylko co robi człowiek, kiedy nie usłyszy tej odpowiedzi, na której mu zależy? „Stop, koniec z tym, wciągaj gatki; sypiam wyłącznie z niesprofanowanymi!” Nie sądzę. Poza tym nic już nie mógł poradzić, nie da się przecież cofnąć czasu. Co się stało, to się nie odstanie.

Powinłam to, do cholery, wiedzieć.

Nie, nie chodziło o to, że był ten jeden krok do przodu, choć szczerze mówiąc, nie jest miło usłyszeć, że zanurzył swój knot gdzieś indziej (dzięki Bogu choć za to, że nie znam tej Jeanette Piper, chyba mieszka w Dzielnicy Standish. Powiedział co prawda, że była nieciekawa, zanim z trzaskiem wyszłam, ale chyba jedynie po to, żebym się lepiej poczuła). Nie, chodzi o to, co powiedział wcześniej. O mnie. O jakimś felerze. A co, jeśli to prawda?

-TAM, PRZY BARZE. CHYBA MASZ WIELBICIELA -zaszczebiotała Gilly, przeciskając się obok mnie z półlitrowym kuflem piwa w każdej ręce.

Wysiliłam wzrok, ale zobaczyłam tylko morze głów i ciał, na dodatek miałam przed sobą jakiegoś wielkiego tłusciocha. Cofnęłam się o krok i od razu nadepnęłam komuś na stopę.

-Przepraszam. PRZEPRASZAM.

To był Daniel Gale, od niedawna w naszej klasie, przyjechał skądś z południa i natychmiast uznano go za nudnego kujona. Przeczesał dłonią rozwichrzoną czuprynę i rzucił mi dziwaczny uśmiech. Co, na miłość boską, robi tu ktoś taki jak on? Powinien być w domu i przeszukiwać internetowe strony z pornografią.

- NIE SZKODZI - nachylił się ku mnie - TO PROTEZA.

-CO TAKIEGO? - Nadal usiłowałam sięgnąć wzrokiem baru.

-ZE WZMOCNIONEJ PLATYNĄ CYNKOWANEJ STALI. BIONICZNA. ZAŁOŻONO MI JĄ PO TYM, JAK MIAŁEM TEN OKROPNY, DZIWACZNY WYPADEK. MOŻNA BY UPUŚCIĆ MI NA NIĄ MINICOOPERA I NIC BYM NIE POCZUŁ. JAKBY MNIE WRZUCIĆ DO MORZA, MOJE PALCE WSKAZYWAŁYBY PÓŁNOC.

-ŻE CO?

Jego koszula rozbłysła spektakularnie, kiedy włączono ultrafiolet: wyglądało to tak, jakby głowa oderwała się od ciała. Nie wiem, co dokładnie działo się na mojej twarzy, ale nie mogła wyrażać nic pozytywnego. Błysnął z wyrzutem okularami i otworzył usta, po czym je zamknął.

-TAKI ŻART - oświadczył ze smutkiem i zgarbiony odpłynął w tłum.

Wtedy dopiero dostrzegłam, że przygląda mi się oparty o filar wysoki facet. Przerzucił przez ramię czarną marynarkę, zupełnie jak jakiś model z katalogu; ciemne kręcone włosy, wąski nos, może i przystojny, ale trudno to było stwierdzić z daleka. Pomachał. Odwróciłam wzrok. Ponownie spojrzałam. Zaczął przepychać się w moją stronę, z uśmiechem na twarzy. Bzdety, pomyślałam. A potem, dlaczego, do diabła, nie? To by była nauczka dla tego drania Paula, no nie?

Był już bardzo blisko, kiedy zobaczyłam, że nosi skórzane spodnie.

Nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o skórzane spodnie, i jedyne, co wiem na ich temat, usłyszałam z ust komika odgrywającego londyńskiego cwaniaka - że przemieniają intymne partie ciała w buchający piec. Z bliska wyglądał całkiem sympatycznie, ciągle jednak miałam w głowie obraz uprażonych, pokrytych pomarszczoną jak żółwia szyja skórą jąder i zwiniętego w harmonijkę penisa. Zmarszczyłam brwi.

- O CZYM TAK ROZMYŚLASZ? - rzucił, kiedy znalazł się obok mnie.

Nie mogłam przecież powiedzieć, że myślę o jego genitaliach.

- WYGLĄDASZ, JAKBYŚ PRZEBYWAŁA ZUPEŁNIE GDZIE INDZIEJ. NAPRAWDĘ. Z TYMI SWOIMI WIELKIMI OCZYMA. JAKBYŚ CZEKAŁA NA RATUNEK. NICZYM KSIĘŻNICZKA.

- Położył mi dłoń na ramieniu. - SKĄD WIĘC JESTEŚ?

Nie przychodziła mi do głowy żadna stosowna odpowiedź - a za nic nie przeszłoby mi przez gardło „Bank Top” - wobec czego zadarłam głowę i przylgnęłam ustami do jego ust. Kątem oka widziałam, że przygląda nam się Daniel Gale, więc przesunęłam się i stanęłam do niego plecami.

Ten gość bez wątpienia wiedział, jak się całować. Żadnej zbędnej śliny, żadnych wyczynów w postaci nedorzecznego rozpychania szczęk czy zderzania się przednich zębów, wyłącznie miła powolna akcja. Dałam się jej ponieść i już po chwili zainstalowaliśmy się w kącie, gotowi spędzić w ten sposób resztę wieczoru. Te skórzane spodnie były dość dziwne w dotyku, ale jednocześnie zdecydowa-

nie bezpieczniejsze. Nie pozwalały czuć niczego osobistego, tylko wystające zgrubienia i fałdy, w miejscach, gdzie marszczyła się skóra. Zatańczyliśmy ze sobą ostatni taniec, a właściwie obcałowaliśmy się, wolniutko wirując, a potem zapaliły się światła i nagle staliśmy, mrużąc oczy i spoglądając na siebie z zakłopotaniem. I wtedy zauważyłam, że jest dużo starszy ode mnie.

Na zewnątrz w cichym zimnym powietrzu jego spodnie skrzypiały.

- Możemy się spotkać? - wymamrotał poprzez to skrzypienie.

Wciąż lekko dzwoniło mi w uszach i trwało chwilę, zanim jego słowa dotarły do mnie.

- Ile masz lat? - wyrwało mi się.

Wokół ludzie szli parami i większymi grupami, pokrzykiwali albo się obejmowali, klepali dachy przejeżdżających wolno aut. Przed wejściem do sklepu ktoś wymiotował, co zostało nagrodzone wiwatami.

Przechylił głowę i wyciągnął do mnie dłonie. Byłam pewna, że w świetle latarni dostrzegam na jego twarzy kurze łapki.

- Hej. O co chodzi? Czy to ważne? - zapytał.

Czy to ważne? To samo powiedział Paul, kiedy spytałam, czy robił to już wcześniej. I owszem, okazało się ważne jak cholera. Więc to nie jest takie mądre pytanie, twardzielu.

- Wezmę twój telefon. Zadzwonię - oświadczyłam.

Wzruszył ramionami. Potem, z niemałym trudem, wyciągnął z tylnej kieszeni długopis i napisał mi numer na dłoni, nie wypuszczając z uścisku moich palców. Popatrzył mi głęboko w oczy.

- Mam dwadzieścia osiem lat, jeśli już musisz wiedzieć. Boże. - Pokręcił głową. - Nadal nie pojmuję, w czym rzecz. A ile ty masz?

-Jak powiedziałam, zadzwonię. - Wysunęłam dłoń z jego uścisku. - Do zobaczenia. - I dołączyłam do Julii i Gilly na postoju taksówek, z uczuciem, że w jakiś sposób komuś odpłaciłam.

Odwiedzić lekarza. Jeszcze czego.

To nie było nic wielkiego, zwyczajne tańce u Mechaników, ale i tak napytałam sobie biedy. Kiedy miałam szesnaście lat, umyśliłam sobie, żeby wyrzucać trzewiki i najlepszą sukienkę przez okno, a potem mówić matce, że idę do Maggie Fairbrother. Jej matka zazwyczaj wychodziła z domu na kielicha, więc mogłyśmy robić to, na co nam akuratnie przyszła ochota. Najczęściej szłyśmy do Harropa na tańce. Jednak ostatnim razem była to zabawa karnawałowa i kiedy wróciłam do domu, we włosach i w mankietach miałam pełno konfetti. Otrzepywałam się bez końca, ale nie pozbyłam się wszystkich. Matka znalazła kilka na podłodze, wygarbowała mi skórę i posłała do łóżka. Ciężko była wściekła i śmiertelnie zmęczona, zgięta nad balią i tarą albo maglownicą. I jeszcze do tego przepełniona wstydem. Bo widzicie, ona nie umiała utrzymać przy sobie chłopca, nigdy nawet nie miała własnego domu. Bała się, że skończę tak samo.

Wybrałam się do Wigan, żeby dowiedzieć się tego, co już i tak wiedziałam.

Był taki czas, chyba pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy podróż do tego miasta przypominała przejazd przez teren objęty



wojną. Jechałyśmy z Nan autobusem, a ja gapiłam się przez okno na nie kończące się rzędy zburzonych szeregowców, na ceglane skorupy, stopy gruzu. Przemykały mi przed oczami puste place ze schodkami prowadzącymi od skraju chodnika donikąd, zdziczałe kwiaty ogrodowe przebijające się przez szczeliny muru, resztki kafli podłogowych unurzane w błocie. Na horyzoncie zawsze majaczyły te rozkołysane metalowe kule na wysięgnikach. Wzdrygałam się na samą myśl o ich sile. Był to okres postępu, kiedy nagminnie przenoszono ludzi do wieżowców (nie wiem, jak nazwali ten okres, gdy ich stamtąd wyprowadzano).

Podróż przez to pobojowisko zawsze wywoływała u mnie niepokój. Zanim jednak dojechałyśmy do hali targowej, zdążyłam dojść do siebie. Nan odwiedzała każde po kolei stoisko, gawędziła i żartowała z właścicielem przy każdym zakupie, a ja wierciłam się w miejscu i spoglądałam w górę, na stalowe belki, gdzie trzepotały gołębie i uporczywie chygotały się zerwane z uwięzi baloniki. Z budki ze zdrową żywnością pachniało napojem z korzenia sarsaparili, imbirem i syropem owocowym. Jeśli byłam grzeczna, to dostawałam wstążkę do włosów ze stoiska pasmanteryjnego i sama mogłam wybrać jej kolor.

Teraz jechałam więc przez przedmieścia zaprojektowanego od nowa Wigan, z wielkimi połaciami trawników oraz z nowymi, luksusowymi osiedlami o takich nazwach, jak Łabędzia Łąka czy Bażancie Wzgórze. Niezłą mają wyobraźnię ci deweloperzy. Zostawiłam za sobą Scholes, jednokierunkowymi ulicami dotarłam do mostu na Douglas, po drugiej stronie rzeki minęłam stadion ligi rugby i przejechałam pod wiaduktem kolejowym przy Chapel Lane. Ogromne billboardy obiecywały, że zmienią moje życie, jeśli tylko kupię nowy samochód, płatki zbożowe, szampon: jeśli tylko. Znalazłam się na obrzeżach miasta z drugiej strony i zerknęłam na plan rozłożony na miejscu pasażera. W końcu skręciłam w Prentis Road.

Kiedyś takie ulice były brukowane, ale władze lokalne już lata temu pokryły je asfaltem. Na początku ulicy dwie krótkie przecznice szeregowców wpychały się na chodnik. Znam te zwrócone do siebie tyłem domy, jest ich wystarczająco dużo w Bank Top. Płaskie czerwone frontony, białe schodki, które wiodą prosto na chodnik, a od tyłu wyłożone kamiennymi płytami podwórko otoczone dwumetrowym murem i wejście prowadzące na żużlową ścieżkę. Wszystkie oryginalne wychodki zlikwidowano w latach sześćdziesiątych, dobudowano małe wąskie kuchnie, dzięki czemu aneks jadalny powiększył się i zamienił w pokój wypoczynkowy. Potem, w latach siedemdziesiątych, wydano zakaz palenia w kominkach, w związku z czym zniknęły wszystkie szopy. W tym czasie większość ludzi zburzyła ścianę między dwoma pokojami na parterze i wstawiła w jej miejsce harmonijkowe przepierzenie (o ileż bardziej uniwersalne!). Pozbywano się wszystkiego, co było wiktoriańskie. (Trza zerwać te listwy wykończeniowe i inne takie, mówiła wtedy Nan.)

To tutaj dorastała moja prawdziwa matka.

Zaparkowałam auto i szłam powoli chodnikiem, a w głowie rozbrzmiewała mi ta głupia piosenka, ta, którą w młodszych klasach śpiewaliśmy zazwyczaj na szkolnych wycieczkach.

***Jedziemy tam, gdzie słońce jasno świeci (BLACKPOOL!) Jedziemy tam, gdzie wody widać błękit (RZEKA DOUGLAS!)***

***Widzieliśmy to już w kinie jako małe dzieci***

***Teraz sprawdzimy, czy prawda to, czy też kit (TO DUPELE!)***

Chryste, pomyślałam sobie, zamieniam się w Nan. A to przecież powinno być niemożliwe.

Przynajmniej nie wyśpiewałam tego na głos.

Zacząłam liczyć numery domów, chociaż na długo przed tym, nim doszłam do końca, wiedziałam, że mi ich zabraknie. Dwudziesty ósmy był ostatni w rzędzie, dalej rozciągał się porośnięty

trawą plac, na którym ustawiono tablice „Zakłady Przemysłowe Hollinsa”. Nieopodal stał pierwszy budynek, przypominający hangar, „Naylor-Reperacja Nadwozi”. Przed nim czekał rząd aut dla klientów warsztatu i kręcił się ociężałe obrotowy znak z napisem: „Otwarte w niedziele”. Z hangaru wyszedł młody człowiek w kombinezonie i zauważył, że się rozglądam.

- Szuka pani czegoś? Szef jest tam z tyłu - zawołał.

- Nie, dziękuję.

Wzruszył ramionami, wszedł do jednego z samochodów i nie zamykając drzwi, zaczął przegazowywać silnik. Poszłam kawałek dalej, mniej więcej do miejsca, gdzie powinien się znajdować numer 56, i w duchu pobłogosławiłam moją matkę. Wiedziałam, że jej tam nie będzie. Cały czas to wiedziałam. Była w Londynie i żyła pełnią życia.

A skoro już o życiu mowa.

Mam czekać na Pana Odpowiedniego, ale co w tym czasie? Gotowa byłam chwilowo zadowolić się Panem Na Razie Jeśli Nie Jesteś Grymaśna. „Miłość i Konkrety” podesłało mi Davy'ego, przypominał trochę tego aktora, który grał Jezusa z Nazaretu w latach siedemdziesiątych, tyle że nie był taki święty. W moim wieku, ale z całkowicie odmiennym podejściem do życia. Ubierał się jak młodzik, palił skręty. Wysoki i szczupły. Spotkałam się z nim dwa razy: na szybkim drinku w Zaprzęgu (spieszył się na jakieś spotkanie) i na włoskim jedzeniu w Bolton (rachunek zapłaciliśmy po połowie: w porządku, mamy przecież lata dziewięćdziesiąte). Od pierwszej chwili dawał mi do zrozumienia, że prowadzi bardzo bogate życie towarzyskie. No cóż, pomyślałam, założę się, że nie masz matki wymagającej nieustannej obsługi i córki gotowej w każdej chwili się wykoleić. Uśmiechnęłam się tylko i oświadczyłam: „Gratuluje. Mam nadzieję, że i dla mnie znajdzie się w nim miejsce”, co zabrzmiało całkiem do chrzanu i desperacko (znowu).

Kiedy byliśmy u Luciana, poinformował mnie, że jest rozwiedziony, co, jak sędzę, było prawdą, oraz że odwiedził trzy biura matrymonialne i „Miłość i Konkrety” jak dotąd okazało się najlepsze (mówiąc to, puścił do mnie oko). Potem pokazał mi kilka sztuczek z pałeczkami chlebowymi. Uznałam je za szalenie zabawne, ale może dlatego, że miałam już wtedy nieźle w czubie. Powiedział też, że jest akwizytorem i w miarę regularnie można się z nim kontaktować jedynie przez komórkę. No taak, wiem, że to najstarsza sztuczka, ale jeśli chce się komuś wierzyć, to się wierzy.

Nie przyprowadziłabym go do domu, ale zaproponował, że zajrzy do mojego auta. Poza tym była sobota wieczór, czas drzemki Nan, wiedziałam też, że Charlotte jak zwykle pojechała do miasta, więc droga wolna. Ha. Kiedy, do cholery, mam wolną drogę?

Tkwiał pod autem ledwie dwie minuty, kiedy w drzwiach frontowych pojawiła się Nan. Pokazałam jej gestem, żeby się wycofała, ale ona tylko odmachnęła, oparła rękę na framudze i zeszła ze stopnia. Po czym, trzymając w górze jakąś kartkę, przyczłapała do mnie.

- Wygrałam rangę rovera - oświadczyła, podtykając mi pod oczy świstek. - Charlotte może go sobie wziąć, będzie miała czym jeździć do szkoły.

Przypomniałam sobie, że tego ranka nie było żadnej poczty, ale też, że Nan wstała przede mną.

- Popatrzmy. - Wyrwałam list z jej ręki i przebiegłam wzrokiem treść. - Co za bzdury. Nic nie wygrałaś, mammo. To po prostu reklamowe śmiecie. Poza tym adresowane do mnie.

- Nieprawda. - Nan wyglądała na obrażoną.

- To zobacz, co tu jest napisane. - Pokazałam palcem adres w okienku. - Widzisz?

Wyteńczyła wzrok i się naburmuszyła. Potem zauważyła Davy'ego, który wynurzył się spod auta, kiedy rozmawialiśmy.

- Kto to?

- Davy, mammo.

- Jamie? Ee, darzysz względami Niemca? - Opuściła rękę i dotknęła jego nogi. - Jest obcokrajowcem?

- Nie. Chodźmy, zrobię ci herbaty. Posłała mu obojętny uśmiech.

- Uważaj na te szykowne portki - rzuciła na odchodnym. - Nie uwalaj ich.  
Zabrałam ją do domu, nie puszczając jej łokcia, żeby mi nie uciekła, ulokowałam w fotelu i włączyłam telewizor. *Statek miłości*, doskonale. Potem wróciłam na dwór.  
Przejechał autobus z Ribble i zatrzymał się na rogu. Wysiadła z niego Charlotte z miną jak burza gradowa. Kiedy była już blisko, uniosła torbę.  
- Nie chcieli przyjąć z powrotem! - rzuciła z wściekłością. - Nie do wiary! Tylko dlatego, że wyprałam. Wiesz co, już nigdy nie zrobię zakupów u tych cholernych zdzierców. - Ze złością dała krok nad nogami Davy'ego i zatrzymała się, uświadomiwszy sobie, że wystają spod mojego samochodu. - Jasna cholera - zaklęła ze wzrokiem skierowanym w dół. - Mamo? Mamo, kto to taki?  
- To Davy. Ee, mój przyjaciel. Obdarzyła mnie miażdżącym spojrzeniem.  
Davy pozbierał się z ziemi, z przyklejonym uśmiechem na twarzy wycierał dłonie w tłustą szmatę. Nagłe mina mu zrzędła. Zapanowało milczenie.  
- Jezu, mamo, przecież my się znamy - oznajmiła Charlotte lodowatym tonem. - Z ubiegłego tygodnia, z Krystal's. A ty na pewno sobie przypominasz te wszystkie nastolatki - zwróciła się do Davy'ego. Boże, co za obrzydliwość. Dwadzieścia osiem, sraty graty! W biały dzień to dopiero widać te zmarchy, panie Skórzane Gacie. Nigdy nie nosisz nic innego? Na pewno już zaczęły cuchnąć.

Wreszcie zaczęło do mnie docierać.

- Ty stary, pieprznięty draniu - rzuciła moja córka i okręciła się na pięcie.

Patrzyłam za nią z otwartymi ustami. Charlotte?

- Świat jest mały — oświadczył Davy.

- Dam ja ci mały świat - warknęłam. Noga mi drżała, całą siłą woli powstrzymywałam się przed wymierzeniem mu kopniaka. - Powinnam złożyć doniesienie. Zabieraj łapy od mojego auta i zostaw moją córkę w spokoju, bo zrobię ci coś bardzo nieprzyjemnego tym kluczem.

- Pewnego dnia będziesz się z tego śmiała - usłyszałam na odchodnym.

Kiedy weszłam do domu, rozzłoszczona Charlotte zdążyła już zniknąć na górze, natomiast Nan wciąż oglądała *Statek miłości*. Kadrowana miękkim obiektywem para całowała się na tle błękitnego morza, a z mostka, uśmiechając się szeroko, obserwował ją jakiś chłopczyk. Kapitan trzymał rękę na ramieniu malca, a w oku rozblęsnęła mu łza.

- Chyba twoja mama znalazła to, czego szukała, Jimmy -oświadczył, kiedy głośniejsz zabrzmiała muzyka i po ekranie zaczęły się przesuwać napisy końcowe.

- Zapomniałam ci powiedzieć, wygrałam range rovera -oznajmiła Nan, wyciągając kopertę spod poduszki.

- Jezu Chryste - westchnęłam i wyrwałam ją Nan. Tym razem jednak nie były to reklamowe śmiecie, tylko ten list z biura adopcyjnego.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nie miałam pojęcia, co robić.

Jeśli odezwę się do niego pierwsza, czy okażę się wcieleniem nędzy i rozpaczyny? Czy jego koledzy usłyszą, że stałam się szaloną, namolną prześladowczynią, która nie chce przyjąć do wiadomości oczywistego jak jasna cholera faktu, że chłopak ją rzucił? Bo przecie to zrobił, no nie? A może to ja dałam mu kopa? A może ani jedno, ani drugie?

A co, jeśli kompletnie źle to sobie kombinuję i on siedzi samotnie w swoim pokoju, ze złamanym sercem, zbyt przygnębiony, żeby podnieść słuchawkę? Kiedy rozwiał się tuman gniewu, pomyślałam sobie, że się pogodzimy, może będziemy się boczyć przez kilka dni, ale potem padniemy sobie w ramiona, a on wyczaruje na poczekaniu kilka magicznych słów, które już na zawsze oczyszczą moją głowę z wszelkich wyobrażeń przedstawiających wymachującą kończynami, dyszącą i pokrzykującą Jeanette Piper.

Ale przecież minęły już dwa tygodnie. Och, DLACZEGO się nie odezwał? Choćby żeby to definitywnie zakończyć. Bo wiecie, kiedy wymieniło się z kimś płyny organiczne, to człowiek ma prawo wiedzieć, na czym stoi. Tak nakazują dobre maniery. Nie chodzi jedynie o moją dumę, chodzi również o moje dziewictwo. A może najlepiej będzie o wszystkim zapomnieć?

Cholerny Paul, cholerny Bentham, cholerni faceci.

W końcu pomaszerowałam do jego domu.

Wcześniej przećwiczyłam wszystko, co zamierzałam powiedzieć, po drodze jeszcze to sobie powtórzyłam, żeby i ton, wyraz twarzy i mowa ciała były idealnie takie, jak trzeba. „Chcę po prostu sprawę wyjaśnić”, oświadczyłam do lustra w sypialni, to zaplatając ręce przed sobą, to znów opuszczając, żeby ocenić, co daje lepszy efekt.

Z ubraniem też miałam kłopot. Nie chciałam wkładać niczego, co mogłoby sugerować, że starałam się dobrze wyglądać, a on i tak da mi kopa, bo wtedy dopiero byłoby to żałosne. Z drugiej strony, nie chciałam wyglądać jak coś, co kot przywłókł z dworu, na wypadek gdyby planował, żebyśmy się zesзли, bo wtedy mógłby się rozmyślić. Bóg mi świadkiem, nie chciałam, by sobie pomyślał, że usycham z tęsknoty za nim. Skończyło się na umyciu włosów i włożeniu drugich z kolei moich najlepszych dzinsów.

Uważam, że tak będzie dla nas obojga najlepiej, powiedziałam swojemu przyjacielowi, owczarkowi alzackiemu, a ten pomachał leniwie ogonem i wyszczerzył zęby. A potem weszłam na stopień i trzęsąc się cała, nacisnęłam dzwonek u drzwi Paula. Paul Bentham to kawał jełopa, porąb go na opał, rozbrzmiewało mi w głowie, co nie było w tej sytuacji szczególnie pomocne. W ustach miałam dziwny metaliczny posmak.

Z głębi domu dochodził mnie dźwięk dzwonka, ale poza tym panowała kompletna cisza. Czekałam długo, wreszcie z pewną ulgą odwróciłam się, żeby odejść, i wtedy usłyszałam, jak za moimi plecami otwierają się drzwi.

- Wybacz, kochana, ale siedziałem na sedesie. - Pan Bentham, nagi do pasa, bosy, zażenowany i żenujący. Usiłowałam nie patrzeć na różowe, gumowate sutki i na wylazące ze spodni i poniżej sterczącego bandziocha sztywne kłaki.



Miał błyszczącą twarz i linię włosów cofniętą daleko do tyłu. Można było się domyślić, że kiedyś był ładny, jak Paul, ale jego rysy zaczęły się rozmazywać i zniekształcać. Pomyślałam o swoim tacie, mniej więcej w tym samym wieku, koło czterdziestki, ale z ostrymi rysami twarzy, z budową charta, z wszystkimi włosami - a nawet z zapuszczonym niedawno wąsem. Nie znoszę, kiedy starzy ludzie się zaniedbują. Pan Bentham wpatrywał się we mnie przez chwilę.

- Ni ma go tu. Chyba pojechał do Bolton. Wróci pewnikiem pod wieczór. Mam mu powiedzieć, że przyszłaś?

-Taa. - Oklapłam. Będę musiała jeszcze raz przez to przejść. - Nie. Czy mogłabym naskrobać mu kilka słów? To zajmie jedną chwilę. - Obdarzyłam go miłym uśmiechem.

- Dobra, w porządku, mała. Wchodź. - Poszłam za nim korytarzem do kuchni. - Filiżankę herbaty? Jest zaparzona.

Rozejrzałam się po wnętrzu, ogarnęłam wzrokiem stół, na którym wałała się maselniczka z roztopionym masłem, oblepiona butelka zasmażki z krzywo nałożoną zakrętką, otwarte opakowanie krojonego chleba. Nie musiałam patrzeć, żeby wiedzieć, w jakim stanie jest zlewozmywak. Nawet jeśli nie ma w nim brudnych garnków, Bóg tylko wie, czym zapchany jest odpływ. Moja mama ma swoje wady, ale przynajmniej nasz dom jest względnie czysty. Trzech mężczyzn mieszkających razem: to chyba jeszcze gorsze niż trzy kobiety.

- Nie, dzięki, proszę sobie nie robić kłopotu.

Pan Bentham podążył wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Robię na zmiany - oświadczył po prostu. - Aha, potrzebny ci papier.

Zawróciliśmy do stolika z telefonem, stojącego pod prostokątem tapety o odcieniu jaśniejszym od reszty, w którym wciąż tkwił haczyk. „Wisiała tu ich ślubna fotografia”, powiedział Paul, pokazując mi to miejsce, kiedy pierwszy

raz tu byłam. „Mógłby czymś to przykryć”, zauważyłam, na co Paul tylko wzruszył ramionami.  
-W każdym razie zawołaj, jak skończysz. Jak mówiłem, kopnął się do sklepu. Po jakąś kasetę wideo czy coś tam, nie wiem. - Pokręcił głową. Wiesz, nie gada ze mną, nie mam pojęcia, co zamierza z dnia na dzień. Ale to chłopak dla ciebie. - Podrapał się po karku i opuścił wzrok na podłogę.  
- Dzięki. - Machnęłam długopisem i bloczkiem. - Zajmie mi to jedną chwilkę.  
Pan Bentham powędrował do salonu i po chwili dobiegły mnie stamtąd odgłosy programu sportowego.

*Drogi Paulu*

*Przyszłam Wpadłam, żeby spytać, kiedy dostane z powrotem moje kompakty. Jeśli chcesz, możemy się umówić spotkać na drinka i porozmawiać pogawędzić( ale jeśli tylko masz czas). Mam w tej chwili mnóstwo roboty i ty pewnie też! Zadzwon.*

*Sciskam Charlie Charlotte*

Zredagowanie tego arcydzieła zajęło mi prawie dziesięć minut; ciągle myślałam o tym, że w każdej chwili może się tutaj pojawić pan Bentham, żeby sprawdzić, czy nie kombinuję czegoś podejrzanego, takiego jak grzebanie w jego portfelu. A co, gdyby niespodziewanie wrócił Paul i mnie zaskoczył? Przez szczelinę na listy wpadła koperta z nadrukiem Związku Niewidomych, a ja podskoczyłam chyba na milę. „Weź się w garść”, przypomniały mi się słowa Paula, co mnie tak zirytowało, że ponownie straciłam wątek. Jakoś jednak udało mi się skończyć.  
-Zostawić kartkę w korytarzu? - zawołałam w stronę salonu.  
- Nie, daj tutaj - pan Bentham wynurzył się z pokoju

pryczepimy ją do tej korkowej tablicy w kuchni. Tak będzie dobrze? -Aha, tak. Świetnie. Pomyślałam, że ta tablica to takie drobne świadectwo jego kultury, ale po chwili zauważyłam wokół korka obramowanie z kraciastej bawełny i uświadomiłam sobie, że to jeszcze jeden niewielki ślad, który pani B pozostawiła za sobą. Przyszpilił kartkę pod menu z baru na wynos, obok, O Boże, obok notki do Paula napisanej dziecięcym pismem, na pewno Darrena, z informacją: „Zadzwoń do Chrissy w sprawie sobotniego wieczoru!”

No jasne, Chrissy mógł być facetem. Jakimś kumplem. Nie ma co panikować. Chciałam już wrócić, żeby raz jeszcze przeczytać ten list, na wypadek gdybym coś przegapiła, bo wciąż nie podjęłam decyzji, co zrobić. Zakupy z Nan trwają jednak całą wieczność: musimy zatrzymywać się i gawędzić z każdym i w ogóle. Powrót od rzeźnika zajął nam czterdzieści pięć minut - można to było zrobić w dziesięć - a przez cały ten czas krew sączyła się z kotletów i zbierała w rogu plastikowej torebki. Najpierw Mały Jim, obok poczty, w tej swojej czapce z daszkiem i grubym szaliku, koniecznie chciał wiedzieć, jak poszła operacja Reenie Mather („Była bledziutka jak ta koperta, kiedy ją wynosili na noszach, taka ci była, daję słowo”). Po czym wyliczył nam wszystkie swoje przypadłości (dlaczego on myśli, że mnie interesuje jego prostata? Nan jednak słuchała go z ogromnym zainteresowaniem).

Natknęliśmy się na naszego miejscowego włóczęgę, którego przezywają Rupieć, ponieważ trudni się szperaniem po wysypisku miejskim. Teraz kręcił się koło biblioteki, wyłudzał od ludzi drobne i pluł na chodnik.

- Siemanko! - pozdrowiła go Nan, wesolutko jak zawsze. Ja nigdy nie rozumiem, co on mówi, więc zostawiłam ich,

a sama weszłam do środka, żeby sprawdzić, czy jest już nowa Mary Wesley (nie było). Kiedy wyszłam, Rupiec na czworakach wydawał jakieś skomlące dźwięki, a Nan stała zgięta wpół, Bóg jedyny wie, co tam się odgrywało. Nie pytałam, po prostu pociągnęłam Nan za sobą.

- Hi-hi, on to ci jest zgrywus - oświadczyła, wycierając oczy chusteczką.

- Raczej brudny, stary zboczeniec - mruknęłam pod nosem, ale ona wydmuchiwała nos i niczego nie usłyszała.

Kiedy wreszcie dotarliśmy już prawie do domu, wyskoczył ni stąd, ni zowąd pan Rowland, nowy pastor. Nie wiem, co jest z pastorami, ale zawsze wywołują u mnie poczucie winy, o co jestem potem zła na samą siebie. To znaczy, przyznaję, że nie chodzę do kościoła, ale też specjalnie nie grzeszę. Przynajmniej jeśli się weźmie pod uwagę skalę zła na świecie.

- Jak miło, że panie widzę - woła z drugiej strony ulicy, zupełnie jakby mówił to szczerze. Nan rozpromienia się, a on jednym susem dopada nas i zaczyna się rozwodzić o sprawach na plebanii i jak to pani Rowland dolega kolano, bo spadła z drabiny, kiedy próbowała usunąć pajęczynę, przez co odnowiła jej się stara hokejowa kontuzja. Nan cmoka i kręci ze współczuciem głową, a ja opieram się o mur i zerkam przez ramię. Latarnie wzdłuż High Street ozdobione są koszami z kwiatami; krótki będzie ich żywot.

Pastor przypomina sobie w końcu o jakimś spotkaniu i oddala się pospiesznie (skąd w nim tyle energii? Zapewne od Boga).

- To ci dopiero dobry człowiek. - Nan patrzy za nim z sympatią. - Nie taki jak pan Shankland. Ten to grał tylko na gitarach i tamburynach, i takich tam. Nie dziwota, że nie zagrzał tu miejsca. Klaskanie w kościele! W końcu wyjechał gdzieś do obcych krajów, co?

- Do Surrey, mamó. Pan Shankland wyjechał, żeby utworzyć grupę charyzmatyczną w Farnham. To ty mi o tym mówiłaś.

- E tam, nic podobnego. Jesteś pewna? No cóż, a który to pojechał do Japonii?

- Nie mam pojęcia. - Pomogłam jej pokonać stopień i zamknęłam drzwi. Czułam się, jakbym przebiegła londyński maraton. - Nastawię czajnik. Daj, zdejmijmy płaszcz.

Wyjęłam list z szuflady stolika i zaniiosłam do kuchni, żeby ponownie go przejrzeć, zanim zagotuje się woda.

W przeszłości uważało się, że dla wszystkich zainteresowanych będzie najlepiej, jeśli więzy adoptowanego dziecka z rodziną biologiczną zostaną całkowicie zerwane. Rodziców oddających dziecko do adopcji informowało się na ogół, że dziecko nie będzie miało dostępu do dokumentów dotyczących jego urodzenia. Obecne prawodawstwo w większym stopniu uwzględnia życzenia i potrzeby osób adoptowanych. Uznaje, że chociaż adopcja czyni dziecko pełnym członkiem nowej rodziny, to jednak ma ono prawo znać prawdę o swoim pochodzeniu.

Istnieje wymóg, by ludzie adoptowani do 12 listopada 1975 roku, zanim uzyskają dostęp do akt, spotkali się z doradcą, ponieważ przed rokiem 1975 niektórzy rodzice oraz osoby adoptujące mogli żywić przekonanie, że adoptowane dzieci nigdy nie będą w stanie poznać swoich oryginalnych nazwisk czy nazwisk swoich rodziców. Czyniono to w dobrej wierze i ważne jest, by osoby adoptowane, które chcą dowiedzieć się czegoś więcej o swoim pochodzeniu, rozumiały, co może to oznaczać dla nich samych oraz dla innych.

Oznacza to, że jeśli adoptowano panią przed 12 listopada 1975, musi pani spotkać się z doświadczonym pracow-

nikiem socjalnym, zwanym doradcą, zanim uzyska pani dostęp do dalszych informacji znajdujących się w dokumentach.

W sformułowaniach listu było coś, co kazało mi się zastanowić. Co niby miałyby to dla mnie oznaczać? I na kogo jeszcze miałyby mieć wpływ prowadzone przeze mnie poszukiwania? Rejestr Adopcji nie okazał się przydatny. Powiedzieli mi jedynie, że „informacje na mój temat umieszczono w Sekcji 1”, co musi oznaczać, że w Sekcji 2 nie było nic, co by mogło pasować. Ale przecież Jessie Pilkington prawdopodobnie nie miała pojęcia, że taki rejestr w ogóle istnieje, bo niby skąd miała wiedzieć? Kiedy mnie oddawała, powiedziano jej, że nikt nikogo nie będzie w stanie odnaleźć. I tyle. Jakkolwiek by na to patrzeć, spadłabym na nią jak grom z jasnego nieba. Lepiej jednak nie przesadzać z analizą tej sytuacji, naprawdę. Chodzi mi o to, że gdyby człowiek szedł przez życie, rozważając najdrobniejsze konsekwencje wszystkiego, co zamierza zrobić, stałby się takim paranoikiem, że nie robiłby nic. Równie dobrze można by żyć pod stołem.

Włożyłam list do książki kucharskiej i wepchnęłam ją jak najgłębiej do kuchennej szafki.

- Mówiłam ci, że Phyllis Heaton miała histerektomię? - Nan bawiła się kawałkiem grzanki ze śniadania; Bóg jedyny wie, gdzie go przechomikowała.

- Nie, mamó. Nie miała zabiegu. Zareagowała histerycznie na głucho telefony. Przesłyszałaś się.

- I nie może się z tym pogodzić. - Nan kontynuowała, zupełnie jakbym się nie odezwała. - Kiedy ją pytasz, zaprzecza. Ech, dla niektórych to rzecz wstydliva. A przecie nikt z nas nie wie, co mu się przydarzy. - Gryzła grzankę z zaciętością teriera.

I właśnie w tym momencie zauważyłam amarylisa.

- Mamó, na miłość boską, co się stało z moim kwiatem?

Zniknęły obie jaskrawoczerwone trąbki, nagi, zielony badyl wznosił się na wysokość dwóch stóp w powietrze i raptownie urywał. Doniczka była wciśnięta w lewy kąt parapetu, za zasłonkę i dlatego od razu wiedziałam, kto to zrobił. Przechyliłam się przez stół i przesunęłam ją na swoje miejsce.

- Mamo? Mamo, popatrz na mnie. Mamo, co się stało z tymi kwiatkami na końcu łodygi? Gdzie się podziały?

- Zaciągałam zasłonki i pewnikiem o nie zaczepiłam. - Nan roześmiała się z zażenowaniem. - Zostały mi w ręce. Nic się nie stało.

- Jak to nic się nie stało, kiedy urwałaś kwiatu łeppek? Naprawdę! W tym domu nie można mieć niczego ładnego, bo jeśli ty czegoś nie zmalujesz, to Charlotte porozrzuca swoje czasopisma i ciuchy po podłodze, ciągle ją proszę, żeby posprzątała, a ona nie reaguje, żadna z was nie reaguje. Po jaką cholere mam czytać „Homes and Gardens”, kiedy ty okaleczasz moje rośliny i chowasz wszędzie kawałki jedzenia?

Nan z miną winowajczyni wpatrywała się w kanapę.

- O, do diabła, nie wysmarowałaś chyba poduszek masłem, co? - Obracałam je wściekle, jedną po drugiej. Nie znalazłam grzanki, tylko kwiaty amarylisa, zmięte i sflaczałe niczym pęknięty balon, przystrojone u podstawy kołnierzykiem z taśmy klejącej. Oniemiała podniosłam je do góry.

- To nic - oświadczyła Nan. - Przyczepimy je z powrotem. Będzie dobrze. - Nie mówiła tego z ptzekonaniem.

- Nie, mamo. Nie będzie dobrze. - Kwiaty odpadły od siebie, a ja zmiażdżyłam je w dłoniach, czując, jak chłodne płatki rozplývają się i rozmazują na mojej skórze. Kiedy otworzyłam dłonie, wyglądało to jak stygmaty. Nan wlepiła w nie wzrok. Spojrzałam tam, gdzie czekał schowany list. - Nie wszystko da się naprawić.

W tym domu nie można liczyć choćby na odrobinę prywatności czy wygody. Mama, prawdopodobnie żeby zrobić mi na złość, kazała umieścić aparat telefoniczny na ścianie w przedpokoju, który akurat jest takich rozmiarów, że może pomieścić co najwyżej dwie średniej tuszy osoby. Nie ma tam miejsca nawet na krzeselko, nie wspominając już o tych eleganckich kanapkach przeznaczonych do rozmów telefonicznych, które mama pożera wzrokiem w katalogach. Kiedy chcę porozmawiać, muszę siadać na schodach. Jest też cholernie zimno, nie wiem, po co w ogóle mamy lodówkę. Mleko mogłybyśmy trzymać przy frontowych drzwiach. Skrzynka na listy jest źle zamontowana, a ona ciągle nie może się zebrać, żeby ją naprawić (czeka na jakiegoś mężczyznę, który to za nią zrobi, śnij sobie dalej, mamo), więc przy najbliższym powiewie klapka się unosi i wiatr dmucha do środka. Oczywiście w jednym pokoju słyhać dokładnie, co dzieje się w drugim. Ogólnie więc, gówniana sytuacja. Koniecznie muszę sobie sprawić komórkę na urodziny.

Mogłabym wymknąć się do publicznej budki telefonicznej, ale znając swoje szczęście, wiem, że moneta by mi się zablokowała albo ciągle by wylatywała, a na zewnątrz stałby jakiś zboczeniec i podsłuchiwał, co mówię. Zależało mi, żeby ta rozmowa poszła dobrze, musiałam mieć nad nią pełną kontrolę. Nie chciałam uzewnętrzniać swoich uczuć w cuchnącym szklanym pudle.

Kiedy wykręcałam numer, słyszałam, że mama znowu czepia się Nan, tym razem o jakiś głupi kwiatek. Jakby to było coś ważnego. Ściągnęłam z wieszaka szal babci i okręciłam sobie wokół szyi. Pachniał L'Aimant Coty.

Dzwonek. Dzwonek. Klik.

Paul: Halo?

Ja: Halo.



Paul: Halo?

Ja: To ja, Charlotte. Właśnie miałam... Paul: A tak, jasne, Charlotte... Ja: Taa...

Paul: Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Ja: Dostałeś to, czego szukałeś? Paul: Niby co?

Ja: Tę kasetę wideo. Twój tata powiedział, że pojechałeś po nią do Bolton.

Paul: A taa, aha, już wiem, o czym mówisz. Taa, *Duma Anglii*, dwadzieścia najlepszych goli dziesięciolecia. Przedstawia David Beckham. Jeszcze nie obejrzałem.

Ja: Brzmi fantastycznie. Słuchaj, jak już obejrzysz, będę mogła pożyczyć ją pierwsza?

Paul: Chciałabyś. To rzeczywiście lepsze niż film o, no nie wiem, robieniu makijażu czy jakichś innych sprawach dziewczyn.

Ja: Odchrzań się. Słuchaj, chciałeś się kiedyś umówić na drinka? Tylko...

Paul: A taa, zgadza się, byłoby świetnie. Ee, taa. Zadzwoń... jak się trochę wyrobimy. Może w przyszłym tygodniu. Jeśli będzie wolniejszy. Dobra?

Ja: Taa, dobra. No to...

Paul: Zadzwoń do ciebie.

Ja: Paul?

Paul: Co?

Ja: Kim jest Chrissy?

Milczenie, kliknięcie, ciągły sygnał.

Drzwi od pokoju otwarły się i wyszła z niego Nan. Z przodu obsypana była okruchami.

- Phyllis Heaton miała histerektomię - oświadczyła ze smutkiem i usiadła na stopniu obok mnie.

Ściągnęłam szal i otuliłam nim nas obie. Miałam ochotę się rozplakać.

- Ano, nie da się wszystkiego naprawić - wymamrotała pod nosem.

- Cóż, mnie by coś takiego nawet przez myśl nie przeszło -oznajmiła Sylv, kręcąc się w tę i z powrotem na tym swoim obrotowym foteliku, jak to ma w zwyczaju; któregoś dnia wywinie orła, kiedy całkiem się wykręci.

Usiadłam w sekretariacie, żeby wyciąć z papieru trzydzieści żonkili, bo klasa oglądała w telewizji program popularnonaukowy i było za ciemno, bym mogła przy nich popracować. Sylv była zachwycona, że do niej przyszłam.

- A co, jeśli zażądamy od ciebie szpiku kostnego?

- Ze jak?

- Nie oglądasz wiadomości? - Sylv popatrzyła na mnie, jakbym była głupia. — Kiedy się znajdują dawno nie widziani krewni, to zawsze któryś chce twojego szpiku albo nerki czy czego tam, a jak im nie dasz, to ty jesteś ta podła. To wcale nie żarty. W ubiegłym tygodniu czytałam o takim przypadku w tygodniku „Tylko dla kobiet”. Ta kobieta nawet nie wiedziała, że ma brata, dopóki nie pojawił się na progu, by zażądać jej organów. To cholerne ryzyko. Nie, Karen, nie ruszałabym tego, gdybym była na twoim miejscu.

Dzięki, Sylv, pomyślałam, te nasze szczerze, serdeczne rozmowy są nieocenione. Pomogłaś mi podjąć decyzję. Odnajdę swoją biologiczną matkę, nawet gdyby miało mnie to zabić.

W tym właśnie momencie do pokoju wszedł dyrektor z listem do przepisania. Sylv drżała jak wyżeł.

- Ciekawe, jakie jest pana zdanie, panie Fairbrother? — Zignorowała rozpaczliwy wyraz mojej twarzy i brnęła dalej: - Czy

uwaga pan, że Karen powinna odszukać swoich naturalnych rodziców?

Trzeba mu to oddać, pan F nawet nie mrugnął okiem. Podejrzewam, że jest do tego przyzwyczajony, ostatecznie ciągle przestaje z Sylv, a reszta z nas ma z nią do czynienia jedynie podczas przerw.

- Naprawdę, nie potrafiłbym wyrazić swojej opinii - oświadczył i położył list na biurku. - Czy możesz wysłać to jeszcze dzisiaj do rodziców Gavina Crossleya? Musimy ich wezwać, nie ma rady. Daryłowi Makinsonowi trzeba było założyć szwy. - Po czym odwrócił się do mnie. - Stoi pani przed trudną decyzją. Nie zazdroszczę pani. - Uśmiechnął się do mnie mile i już go nie było.

- Co za szkoda - oświadczyła Sylv, ledwie drzwi się za nim zamknęły. Chodzi jej o to, że on jest po czterdziestce, możliwe nawet że po pięćdziesiątce, nadal jest kawalerem, do niedawna mieszkał z rodzicami, a teraz, kiedy został sam, ten dom przy Castleton Road jest na pewno dla niego za duży, czemu więc sobie nie kupi niewielkiego parterowego domku, a może jest homoseksualistą i nawet sobie tego nie uświadamia, nie, żeby to w dzisiejszych czasach miało jakiegokolwiek znaczenie. I łysieje, biedaczysko.

Nie zliczę, ile razy słyszałam rozważania Sylv na ten temat. Naprawdę to miły gość i w porządku jako szef, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że personel to same kobiety: można by sądzić, że doprowadzimy go do szaleństwa. Jest bardzo wyrozumiały, kiedy muszę brać wolne ze względu na Nan, i zawsze kupuje nam wszystkim prezenty na Gwiazdkę; same drobiazgi, ale liczy się pamięć. Ostatnio były to kaktusy. Sylv dostała taki przysadzisty, kolczasty. Mój był wysoki i całkiem włośchaty, jakby zgraja pajaków oplotła go pajęczynami. Nie przepadam za kaktusami jako roślinami ozdobnymi, uważam, że są dość pospolite. Nie widziałam ich w żadnym odcinku *Inspektora Morse'a*. Dla-

tego postawiłam ten przejaw pamięci pana F na parapecie kuchennego okna, za fajansowym garnkiem z czosnkiem; nie wyrzuciłam go jednak, bo byłoby to czystą niewdzięcznością.

Za chwilę miał zabrzmieć dzwonek na przerwę, więc Sylv podreptała do damskiej toalety odświeżyć szminkę i poprawić halkę, a ja zebrałam żonkile i ruszyłam do klasy. Kiedy doszłam do rogu korytarza, niektóre z nich zaczęły mi się wymykać i spadać na podłogę. Jeszcze chwila i mogłyby zostać rozdeptane przez gromadę dziesięciolatków, wobec czego odłożyłam całą resztę na gablotkę przyrodniczą, a sama na czworakach zaczęłam zgarniać rękoma papierowe kwiatki.

- Pozwoli pani, że pomogę. - Pan F, ze swoim notesem i ze stosem faktur pod pachą, już się nachylał, żeby podnieść samotny płatek, który pizyssał się niemal do szatej winylowej płytki podłogowej. — Trudno je wszystkie utrzymać, prawda? Proszę posłuchać, przepraszam za to, co się wydarzyło.

Moja mina musiała świadczyć, że nie bardzo pojmuję.

- W sekretariacie. Sylv. - Ściszył głos. - Czasami entuzjazm, jaki wykazuje, żeby, ee, być pomocną, sprowadza ją na manowce.

- To nie pańska wina, nie ma pan za co ptzepraszać.

- No tak. Proszę być pewną, że zatrzymam to dla siebie. -Wręczył mi płatek żonkila. -I gdyby kiedyś chciała pani porozmawiać z kimś bezstronnym... rozumiem, że to trudna sytuacja, kiedy pani matka jest w takim stanie... W każdym razie w niedzielę w potze lunchu zazwyczaj bywam w pubie Feathers, gdzie spotykają się Piechurzy z Fourgates. Bardzo miła atmosfera, nie wiem, czy była pani tam kiedyś. Żadnej szafy grającej, co w dzisiejszych czasach jest rzadkością.

Zanim zdążyłam zrobić cokolwiek poza obdarzeniem go roztargnionym uśmiechem, usłyszeliśmy za sobą stukot obcasów. Z twarzy Sylv, świeżo odmalowanej, aż biła chęć podzielenia się nowinami.

- Pewnie powinien pan wiedzieć, że zaczyna brakować papierowych ręczników w damskiej toalecie — oświadczyła, kiedy zrównała się z nami. Pan F podniósł rękę do czoła w geście pożegnania i odmaszerował w stronę swojego gabinetu. - Jest zdecydowanie za niski jak na dyrektora, nie uważasz? - dodała Sylv.

Mój tata zawsze powtarza: „Nie ma tego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło”. A zważcie na to, że nie jest taki zgorzkniały jak mama, bo według niej, to on niewiele miał w życiu do stracenia. Terminował w British Aerospace, kiedy mama wpadła, i nie zrezygnował, dokończył szkolenie i dostał pracę na pełen etat. Nadal tam pracuje przy maszynach, pomimo wielu fal zwolnień i tego swojego przeraźliwie nonszalanckiego sposobu bycia. „Uważa, że jest do lepszych rzeczy stworzony”, mówi często mama, a my wiemy, kto to wymyślił. Robotnik? Tylko nie to. Ona chciała upolować przedstawiciela wolnego zawodu, lekarza czy prawnika, kogoś takiego. Tak czy owak, on nie ma racji. Z tym złym i gorszym. Zaraz w następnym tygodniu ktoś się ze mną umówił.

Byłam właśnie w bibliotece dla starszych klas, gdzie zresztą bywam dość często. Przepadam za tym miejscem. Pachnie woskiem do mebli, a trzcinowe siedzisko krzesła skrzypi, kiedy człowiek odchyła plecy w stronę kaloryfera, żeby pozuć końcówkę długopisu i pomyśleć. W słoneczne dni w snopach światła wpadającego przez okna połyskujące drobiny kurzu unoszą się jak błędzące myśli. Spokój jest wręcz upojny. To miejsce, które wręcz skrajnie różni się od mojego domu.

Przynajmniej mama nie może mi zarzucić, że się nie uczę. Bo będę przystępować do egzaminów i walczyć o najwyższe oceny z myślą, że wreszcie się od niej uwolnię. Jeśli

mi się nie uda, to nie dlatego, że się za mało staram. Właśnie zbliżał się termin jednego z egzaminów i oddania pracy pisemnej (naprawdę nie pojmuję, dlaczego nauczyciele nie porozumiewają się ze sobą w sprawie terminów).

Wyciągnęłam więc swojego Keatsa i bryk, i oksfordzki notatnik i zagłębiałam się właśnie w konspekt, kiedy ktoś postawił na stoliku obok mnie zabroniony tutaj kubek z gorącą czekoladą.

-Zabrania się konsumpcji WSZELKICH potraw i napojów na terenie biblioteki - oświadczył radośnie Daniel Gale. -Nie ma strachu, bibliotekarka jest na korytarzu, gdzie spiera się z panem Stevenssem o budżet. Nieprędko wróci. Na zdrowie. - Wyciągnął z kieszeni KitKata i przełamał na pół. -Proszę. Wsuwaj.

Kątem oka zauważyłam, jak dwie dziewczyny wykręcają głowy i otwierają szeroko oczy.

- Niby po co to?

Przeczesał dłonią sztywne włosy, jak to ma w zwyczaju, i palcem popchnął do góry okulary na nosie.

-Wygląda na to, że ci się przyda.

- Co mianowicie? -Czekolada.

- Chyba powinieneś wiedzieć, że nigdy nie przyjmuję słodczy od obcych. - Wbiłam zęby w KitKata i od razu poczułam się lepiej. - Dzięki.

- Moja starsza siostra zawsze święcie wierzyła w czekoladę. Zawiera żelazo i przeciwutleniacze, wzmacnia układ odpornościowy, uelastycznia ścianki arterii, zmniejszając ryzyko udarów. Naprawdę. Powinno się ją trzymać w apteczce. A co najważniejsze, poprawia nastrój za sprawą tajemnej mocy tego najważniejszego neuroprzekaźnika w naszym układzie nerwowym, mianowicie... serotoniny.

Tamte dwie smarkule garbiły się podejrzliwie i szturchały nawzajem. Dziewczęta w tym wieku są takie niedojrzałe.

- No dobrze. Czy to oznacza, że wyglądam na nieszczęśliwą ofiarę losu?

Miał na tyle przyzwoitości, żeby udawać zażenowanego.

- Usłyszałem przypadkiem, jak Julia mówiła do Anyi, że zerwałaś ze swoim chłopakiem. Wiem, że pożałuję tych słów, ale daleko mu było do mistrza dyskretnej elegancji. -Daniel usiadł naprzeciwko mnie i przechylił się nad stolikiem. - Ubierał się jak kapcan.

Zbaraniałam. Przecież on w ogóle nie znał Paula.

-Te dziwaczne skórzane spodnie. Krocze od takich gnije. Podobno. Bo sam nigdy podobnych nie włożyłem.

-Aha, już chwytam. - On... to nie był... - Zamilkłam. Gdybym zaczęła wyjaśniać, pomyślałby sobie, że zachowałam się jak dziwka. Jasna cholera. Dlaczego tak przyciągam różnych odmieńców? Poza tym, czy to jego interes? -Nie masz tu nic do komentowania - rzuciłam ostro i wcisnęłam do ust resztkę KitKata.

Przez krótką chwilę wyglądał na zdruzgotanego.

- Rzeczywiście, zgadza się. Skreśl ten kawałek. I znowu gafa. Wiesz, Aztekowie używali kakao jako środka płatniczego. - Chwycił plastikowy kubek i pociągnął spory łyk. Potem postawił go na moim konspekcie i uśmiechnął się z nadzieją. Skrzywiłam się w odpowiedzi. Wziął kawałek sreberka i zręcznie uformował z niego czteroramienną gwiazdkę, którą nasadził sobie na czubek palca i pokręcił w powietrzu. Gwiazdka spadła i poleciała w bok, zostawiając na jego palcu czerwone zagłębienie. W końcu wziął mój długopis i zaczął nim raz po raz pstrykać. - No tak, skoro już spieprzyłem to jedno, to równie dobrze mogę pójść na ca-

łość. - Utkwił we mnie wzrok. - Czy... czy umówiłabyś się ze mną?

Wydawało mi się, że wykrzyczał te słowa i że odbiły się echem od sufitu, ponieważ szum rozmów nagle ustał, jak zresztą dzieje się zawsze, kiedy tego nie chcemy.

Zupełnie mnie zaskoczył. Nie chodziło tylko o to, że wyglądał dziwacznie i wygadywał jakieś wytworne bzdety, ale odkąd przyszedł do naszej szkoły, panowała ogólna opinia, że nie interesuje się dziewczętami. Być może urządzeniami elektrycznymi tak, natomiast stosunkami międzyludzkimi - w żadnym razie. Był tu już półtora semestru i nigdy nie umówił się z żadną dziewczyną, nie poderwał żadnej na imprezie, wydawało się nawet, że nie zauważa płci przeciwnej. Julia wymyśliła sobie, że może jest fanem God-bo-therer. Czuło się w nim takie wewnętrzne napięcie, że człowiekowi robiło się nieswojo. Na pewno nie przypominał nikogo z naszej klasy.

-Szlag, szlag, szlag. Zrobiłem to niewłaściwie, prawda? Powinienem być powiedzieć: „Mam dwa bilety na występy” albo: „Miałabyś ochotę wybrać się kiedyś ze mną na drinka?” - Rzucił długopis i nerwowo miał opakowanie po KitKacie. - A ty byś odparła: „Nie, przykro mi, tego wieczoru kąpię psa”, a ja bym się odczołgał w jakąś dziurę i tam cichutko umarł. Co zresztą zaraz i tak zrobię. - Oblał się rumieńcem, wstał, szurając głośno krzesłem po parkiecie, tak że tamte dwie odłożyły pióra i odwróciły się, żeby obejrzeć przedstawienie. - Nie mam pojęcia, co sobie wyobrażałem. Przepraszam. Do zobaczenia - wymamrotał. A potem wymknął się chyłkiem, zostawiając za sobą rozkołysane drzwi wahadłowe.

Pochyliłam się do przodu i opuściłam głowę tak nisko, aż czołem dotknęłam drewnianego blatu.

Absolutnie fajowo cudownie. Tego mi właśnie w tej chwili było potrzeba: być odpowiedzialną za czyjeś zmartwienia.



Podczas przerwy na lunch obserwowałam go w świetlicy. Siedział jak zwykle z dwoma durnymi maniakami (ich zainteresowania: matma, matma i jeszcze raz kompletnie porębana matma). Jeden jest wysoki, drugi niski, ale obaj są źle ostrzyżeni, kiepsko ubrani i wyglądają na czterdziestolatków. Przy nich w tym swoim porządnym ubraniu i w drogich butach (chyba nie brakuje grosza w jego domu) Daniel wyglądał niemalże elegancko.

Maniaki grały w szachy, a Daniel udawał, że czyta Asteriksa i Obeliksa. Otaczała go atmosfera nieszczęścia. Przysunęłam krzesło bliżej Julii i wybuchnęłam śmiechem, kiedy Anya coś powiedziała. Nagle coś sobie uświadomiłam i poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku: on przypominał mi mnie samą.

Mnie szkoła specjalnie nie zawadzała. No ale nasz Jimmy, ten to dopiero jej nienawidził. Jak tylko była pora tam iść, zamykał się w toalecie. Siedział tam, aż rozległo się zawodzenie syreny fabrycznej o dziewiątej, wtedy dopiero wychodził. Oczywiście nie było to dobre, bo za pięciominutowe spóźnienie dostawało się kijem po łapach. Najgorzej było w poniedziałki, kiedy jego klasa musiała recytować nazwy ksiąg Starego Testamentu, Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczb. Mówił, że w szkole ma pustkę w głowie, ale nauczył się w domu. Pierwsza i Druga Samuela, Pierwsza i Druga Królewska. Przez ścianę toalety słyhać było, jak je w kółko klepie. Wystarczyło jednak, że opuścił tyłek na długą, drewnianą ławę obok kolegów, a natychmiast wszystko wyparowywało mu z głowy. I znowu obrywał kijem.

Jednego dnia była niezła zabawa. Wyrósnięte młodziaki z najstarszej klasy - niektórzy z nich mieli po czternaście lat i byli nad wiek rośli - skwitowali się z dyrektorem, panem Avisem. To był do cna podły człowiek, należało mu się co najgorsze. Chłostał uczniów dosłownie za nic, upokarzał ich, żeby tylko pokazać, kto tu rządzi. Nikt nigdy się u niego nic nie nauczył, za bardzo wszyscy byli wystraszeni. Sześciu chłopaków poniosło go do okna, chwyciło za kostki nóg i wywiesiło na zewnątrz. Miał szczęście, że w korytarzu piętro niżej byli jacyś robotnicy, którzy usłyszeli jego krzyki i ruszyli na pomoc. Uczniowie wciągnęli go szybko z powrotem i usiedli grzecznie w ławkach, jak gdyby nigdy nic, tak że kiedy pojawili się tamci, jedynym dowodem na to, że coś się wydarzyło, była czerwona twarz pana Avisa i jego zerwane szelki. Był zbyt zawstydzony, żeby powiedzieć, co się stało -byłby skończony w miasteczku - a my też nabraliśmy wody w usta, wobec czego położył swój kij na stole i oświadczył, że idzie do domu, bo się źle czuje. Jeszcze tego samego dnia rzucił pracę w naszej szkole. Pono poszedł uczyć do Lytham.

Pójście do pracy niewiele zmieniało. Nadal się obrywało kijem - cóż, tak było przynajmniej w naszej okolicy - i to po nogach. W wieku trzynastu lat poszłam do przędzalni bawełny; było tylko to albo farbiarnia, albo kopalnia Pit Brow. Człowiek miał niewielki wybór. Musiałam sprzątać pod czterema krosnami, zanim puścili je w ruch, za co dostawałam dodatkowe sześć pensów, które nazywali „kieszonkowym”. Ale oznaczało to wcześniejsze przyjście, a szło się tam przy różnej pogodzie. Przydzielano cię do jakiejś kobiety, co to miała cię uczyć, jak łączyć końcówki, ale jak sobie umyśliła, że się guzdrzesz, to obrywałaś po nogach. Bo im płacono od tego, ile utkały, no to nie chciały marnować czasu na takie jak ja. 1 codziennie rano szef już czekał przed zakładem, go-

tów potracić ci pieniądze, gdybyś się spóźniła, co było gorsze od kija.

Powiadają „stare dobre czasy”, ale po prawdzie, to nie były miłe czasy, oj nie były.

Uważam, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. Człowiek myśli, że paskudna plama na ubraniu czy zły stopień to katastrofa, a przecież byłoby to drobnostką w pc\*-równaniu z pożarem jego domu, co znowu nie byłoby aż takim dramatem w porównaniu z odkryciem, że cierpi się na nieuleczalnego raka. (Podejrzewam, że jedyną tragedią większą od tego byłaby ogólnoswiatowa wojna atomowa.) Tak więc wszystkie nieszczęścia mają swoje miejsca na skali.

Tamtego czwartkowego wieczoru, szukając rozpaczliwie mojej ukończonej pracy o Keatsie, zastanawiałam się, dlaczego w ogóle zaprzęłam sobie głowę takim szajbusem jak Daniel Gale.

Wiedziałałam, że zostawiłam gotową pracę na biurku w niebieskiej papierowej teczce i miałam ją oddać nazajutrz, co dałoby mi czas podczas weekendu na ostatnie powtórki przed egzaminem. Teczka jednak zniknęła. Zajrzałam do wszystkich przegródek szkolnej torby, pomiędzy podręczniki, do oksfordzkiego notesu; uklękłam i wsadziłam głowę pod łóżko, poprzerzucałam czasopisma, buty, ubrania, ponownie przetrząsnęłam torbę, przyjrzałam się podręcznikom i notesowi, jeszcze raz dałam nura pod łóżko. Wreszcie zesłam na dół i wzięłam do ręki domowe czasopisma, przeszukałam szufladę w stole, przepatrzyłam półkę na listy, zajrzałam pod kanapę i fotele, do kredensu, rozejrzałam się po blatach w kuchni, pogrzebałam w szafkach, skrzynce do chleba, kubie na śmieci, pojemniku przed domem (pobieżnie, bo było w nim ciemno i cuchnęło), po-

szperałam w szafce do suszenia bielizny, szafce łazienkowej, obejrzałam wierzch spłuczki w klozecie. W domu o takiej wielkości jak nasz nie ma przecież aż tak wiele zakamarków. W końcu ogarnęła mnie panika.

- Mamo. Mamo. Mamo! - Wielkimi suszami wbiegłam z powrotem na piętro i wpadłam do jej sypialni. - Na litość boską, Charlotte. Czy człowiek w tym domu nie ma już prawa do odrobiny prywatności? - rzuciła ostro, zamykając gwałtownie drzwi szafy z wewnętrznym lustrem. Trudno było nie zauważyć, że ma na sobie czarną minispódniczkę i połyskującą białą bluzkę, jak kelnerka, i że suszyła włosy suszarką w smętnym naśladownictwie fryzury Rachel z serialu *Przyjaciele*. - Nie sądzisz, że mogłabyś zapukać, zanim wparujesz do mojego pokoju? - Ze złością włożyła na bluzkę swój stary szary sweter; był prawie taki długi jak spódniczka. Zauważyła, że się w nią wpatruję. - Mam dopiero trzydzieści trzy lata. Popatrz na Madonnę.

-Jutro kończysz trzydzieści cztery. Co wspólnego ma z tym Madonna? Słuchaj, mam, jestem w czarnej rozpacz. Czy ruszałaś niebieską teczkę z mojego biurka?

Natychmiast zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Daj mi chwilę - powiedziała, sięgając po legginsy. Obie wiedziałyśmy, że to Nan.

- Ja z nią porozmawiam, ty jesteś zbyt zdenerwowana. -Weszła do pokoju Nan, skąd zaczęły docierać do mnie przyciszone głosy. Proszę, Boże, niech ona sobie przypomni, gdzie to położyła, modliłam się, krążąc pod drzwiami i obgryzając paznokiec. Kiedy mama się wreszcie pojawiła, twarz miała ponurą.

-O Boże, mam! Spędziłam całe wieki nad tym wypracowaniem! Nie mam już nawet żadnych notatek! Nie możesz spróbować z nią jeszcze raz?

Słyszałyśmy, jak Nan śpiewa, stąd wiedziałam, że sprawa jest beznadziejna.

*Och księżyc świeci na Charlie Chaplina*

*Skóra na butach mu się wygina*

*Przydałaby się jakaś paścina*

*I stary barchanowy płaszcz też kompletna ruina*

*Trza go naprawić nim go odeślą*

*Na Dardanele.*

-Wiem, gdzie ją znajdziemy. - Twarz mamy nagle się rozjaśniła i wtedy zauważyłam błyszczący na jej wargach.

- No mów.

- Pudło.

Wślizgnęła się ponownie do pokoju Nan. Usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi szafy, potem szuranie przestawianych butów i wreszcie brzęk pokrywy wielkiego pudła po herbatnikach, w którym Nan trzyma, na wypadek wojny, puszki z mieloną fasolą w sosie pomidorowym. Skręcałam się z niecierpliwości, więc zerknęłam do środka. Nan leżała na łóżku wpatrzona w sufit.

Wreszcie mama się wyprostowała.

-Przykro mi, nie ma. Spróbujemy jeszcze raz na dole.

-Jezu! Dlaczego muszę mieszkać w tej cholernej dziurze! - wybuchłam. - Człowiek dosłownie nic nie może położyć, żeby ktoś tego nie ruszył. Mam dość tego domu! Kiedy wreszcie zdam egzaminy, co mi się w tej sytuacji prawdopodobnie w ogóle nie uda, śladu po mnie nie zobaczycie. Boże

Wszechmogący! Co ja powiem w szkole? Że babcia zjadła moją pracę? - Byłam bliska łez. - Nie uda mi się napisać tego od nowa. Jestem taka zmęczona, no i kiedy powtórzę materiał do egzaminu? Nie zdążę z tym

wszystkim; obleję, po prostu obleję. Nie wiem, po co w ogóle zawracam sobie głowę.

-Za bardzo się podniecasz. Uspokój się. Poszukamy raz jeszcze. Napiszę ci usprawiedliwienie. -  
Przecisnęła się obok mnie i ruszyła na dół.

- Usprawiedliwienie? - wrzasnęłam ponad poręczą do czubka jej głowy. - Wiesz, ile mam lat? Już nie trzeba mnie zwalniać z gimnastyki! Usprawiedliwienie nic tu nie pomoże.

-Chcesz, żebym ci pomogła, czy nie? - Spojrzała na mnie z dołu.

-Chryste! - Odwróciłam się na pięcie i wpadłam do swojego pokoju, zatraskując drzwi. Z biurka sfrunęły papiery, ale nie te, których szukałam. Opadłam na łóżko, rozczulając się nad sobą. Nie znam nikogo innego, kto byłby narażony na taki rodzinny sabotaż. Dlaczego nie urodziłam się w innych okolicznościach?

A przecież tak niewiele brakowało, prawda?

Wcześniej starałam się w ogóle o tym nie myśleć, bo implikacje były zbyt znaczące i przerażające. Tyle że nie da się o czymś nie myśleć, to zupełnie niemożliwe. Dokonując świadomego wysiłku, żeby coś wymazać, pobudza się to do życia. Spróbujcie nie myśleć o niebieskim słońcu. Widzicie?

Później, było już pewnie około drugiej w nocy, wślizgnęłam się do pokoju Nan. Wyglądała okropnie bez zębów, z głębi gardła dobywało się ciche chrapanie. Przez rzadkie włosy przeświecała różowa skóra. Pewnego dnia umrze, pomyślałam, będzie leżała tak jak teraz, tyle że nie będzie oddychać, a jej skóra będzie zimna. Ujęłam jej drobną dłoń, jednocześnie kochając ją i nienawidząc. Jestem tutaj, w tym domu, w tym życiu, przez ciebie, powiedziałam jej. Ani drgnęła.

Tuż przed zaśnięciem przypomniałam sobie o prezencie urodzinowym dla mamy. „Wytworny bliźniak: jak uzyskać neoklasycyżny wygląd domu na przedmieściu”. Ona wiecznie coś odnawia, usiłuje pędzlem zamalować komunalny charakter tego domu, zacierając farbę zwiniętą szmatką, zaciera swoje korzenie. Pomyślałam, że trzeba prezent zapakować, więc zesłałam na palcach na dół po taśmę klejącą i kiedy zapaliłam światło, zobaczyłam na stole kilka kartek w wąską linię pokrytych moim charakterem pisma. Serce podskoczyło mi do góry. Nie było to jednak moje wypracowanie, jedynie notatki. Na wierzchniej kartce widniały pomarańczowe ślady po sosie bolońskim, które mama najwyraźniej usiłowała usunąć. Musiała wyjść na dwór i przekopać się przez zawartość pojemnika na śmieci po tym, jak się położyłam. Szybko zapakowałam prezent i odłożyłam na rano.

Co jest z tymi dziećmi? Ja dla Charlotte bez chwili namysłu podłożyłabym się pod tramwaj, najczęściej jednak mam ochotę walić ją po głowie tępym narzędziem. Czy wszystkie matki mają takie odczucia?

Kiedy dali mi ją na ręce, myślałam, że umrę ze szczęścia. Wozilałam ją po ulicy w tym dużym wózku, a stara pani Moss opierała się na furtce i za każdym razem, kiedy ją mijałam, powtarzała: „A czyja ta malutka? Skąd ją wzięłaś?” A ja odpowiadałam: „Jest moja”. Pani Moss cmokała i mówiła: „Akurat”. Spoglądałam na małe paluszki wystające spod brzegu robionego na szydełku kocyka. „Jest moja. Moja”.

-Za mało seksu. To właśnie jest powód agresji u ludzi w średnim wieku. - Daniel Gale trąkotał, podczas gdy ja wydmuchiwałam nos w jego ogromną chusteczkę. - To fakt. Ci, którzy pisują do BBC, do *Punktu widzenia*, żeby narzekać na niepoprawne akcentowanie jakichś wyrazów, albo w skargach wysyłanych do rady miejskiej psioczą na błyskawicznie rozrastające się żywopłoty leylandzkie sąsiadów, ci maniacy wyrzaskujący w restauracjach i doprowadzający kelnerki do łez - to są właśnie te niewyżyte typy. W rzeczywistości należy im się współczucie. To znaczy, taka pani Stokes waży na pewno z dziewięćdziesiąt pięć kilo i ma wąsy. Wiemy, że istnieje jakiś pan Stokes, nie sądzę jednak, by z niecierpliwością czekał na wyegzekwowanie swoich małżeńskich praw wieczorową porą. Dlatego z niej taka zołza. To nie ma nic wspólnego z tobą. -Zawisł nad moim krzesłem, ani go nie dotykając, ani nie siadając obok. Byliśmy w bibliotece; poszedł za mną, kiedy zobaczył, że wypadam jak burza z gabinetu tej krowy Stokes.

- Przecież nigdy jeszcze się nie spóźniłam z żadną pracą dla niej, nigdy. - Nadal płakałam ze złości. - A ta mi mówi: „Och, tak mi przykro, Charlotte, jesteś dziś już piątą osobą z wymówkami. Nie mogę robić dla ciebie wyjątku. W poniedziałek, o dziewiątej rano”, i tak ja jestem karana za czyjeś lenistwo. - Oparłam głowę na rękach. - A jestem już taka zmęczona. I niewyspana. - Byłam tak wściekła, że przestałam się krepować i zaczynając od Nan, wyliczyłam mu wszystkie swoje kłopoty i nieszczęścia. Kiedy skończyłam, zapragnęłam, żeby sobie poszedł. - Proszę. - Podniosłam głowę i oddałam mu chusteczkę. Wiedziałam, że tusz na pewno spływa mi po policzkach, koniecznie więc musiałam jak najszybciej dopaść lustro.



- Możesz ją zatrzymać, jeśli chcesz. -Ależ nie.

- Masz tu odrobinę... - Gestem pokazał swój policzek. -Chcesz, żebym...? - I już owijał chusteczką palec, tak jak robią to mamy upapranych maluchów.

-Nie! Przepraszam, nie, zostaw. I tak muszę opłukać twarz. -Jasne.

-Już w porządku. Ze szpilą i lalką voodoo na pewno sobie poradzę. - Uśmiechnęłam się słabo. -Jasne - powtórzył i zawahał się.

- Do zobaczenia. -Aha.

-I dzięki - rzuciłam za nim słabym głosem. Nie zareagował.

W poniedziałek, kiedy już oddałam pracę, a jeszcze przed rozpoczęciem egzaminu, ponownie mnie odszukał.

- Siedziałaś tutaj przez cały weekend? Przepraszam, głupi dowcip. Nie będę ci przeszkadzał. -

Wskazał oczami mój otwarty podręcznik. - Zastanawiałem się tylko, czy to by ci się nie przydało. -

Postawił na stole plastikową torbę. Zerknęłam do jej wnętrza i o mało co nie połknęłam z wrażenia długopisu.

- O Boże, przecież to laptop! Nie możesz mi dawać czegoś takiego!

Zamachał rękoma i kilka razy przeczesał palcami włosy.

- Nie, nie, to nic więcej jak zwykła maszyna do pisania. Mamy go od wieków. Mój tata już dosłownie wyrzucał go z domu, no, w każdym razie zamierzał wynieść na strych. Nie dotyka laptopa, odkąd ma peceta. Możesz go sobie pożyczyć - bezterminowo - jeśli uważasz, że mógłby ci się, przydać.

- Do czego?

- Możesz zapisywać swoje prace na dyskietce. Nie będziesz się martwić, że coś zgubisz, bo zawsze będzie zapasowa kopia. W użyciu to prościzna. Jest tam instrukcja. Sformatowałem ci kilka dyskietek, tak że jest gotowy do użycia. Uważaj tylko i nie wyciągnij przewodu, jak będziesz pisać, bo możesz wszystko stracić. Najlepiej zapisywać tekst w trakcie pracy. - Gadał jak nakręcony. - Aha, i jeszcze to.

- Wyjął z torby małe pudełko, machnął mi nim przed oczyma i wrzucił z powrotem. - Żelazo w tabletkach. Masz pewnie lekką anemię i stąd to zmęczenie. Moja siostra je brała, zanim uciekła do cyrku, to znaczy, pojechała na studia medyczne do Birmingham. Oczywiście, to nie te konkretne tabletki. Nie zamierzam opychać ci przeterminowanych leków. - Roześmiał się przenikliwie. - W każdym razie, spróbuj - albo nie - jak wolisz.

Puścił wreszcie oparcie krzesła, które ścisnął, i pomaszzerował ku drzwiom.

A niech mnie, pomyślałam. Trzeba przyznać, że chłopak się stara.

Złapałam torbę i piszcząc przeraźliwie podszwami o parkiet, pobiegłam za nim. Oczy wszystkich obecnych skierowały się na mnie.

Wypchnęłam go za drzwi i podniosłam do góry to urządzenie do pisania.

- Rozumiem. Nie możesz tego przyjąć. Nie musisz nic mówić. - Westchnął i sięgnął po rączki torby.

- Nie, nie, to wspaniałe. Jestem ci naprawdę wdzięczna. Podziękuj swojemu tacie ode mnie. I... jeśli chcesz, jeśli nie robisz nic szczególnego w sobotę po południu, to ja zazwyczaj około trzeciej chodzę na kawę do Tiggy. Wiesz, gdzie to jest? Więc...

-To do zobaczenia. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i pędem ruszył korytarzem.

Natychmiast pożałowałam, że to zrobiłam. Na pewno całkowicie źle mnie zrozumiał.

Ostatecznie okazało się to nieistotne. Zupełnie. Tamtej soboty około godziny trzeciej Daniel, wypracowanie, egzamin wydawały się odległe o milion lat. Byłam w swoim pokoju pośród plakatów i zdjęć nieprawdopodobnie pięknych kobiet i w wysokim lustrze oglądałam swoje nagie ciało. Z dołu dochodził głos mamy, na cały regulator pouczającej Nan, a przez szparę w zasłonce wpadał blask jasnego wiosennego popołudnia.

Chciałam sprawdzić, czy powiększyły mi się piersi. Musiałam się nieco powykręcać, bo widok zasłaniały mi nalepki, które nie do końca dały się oderwać od szkła. Robbie Williams spoglądał na mnie chytrze i mało pomocnie, ale Gary Barlow był pełen współczucia, mimo że brakowało mu czubka głowy. Ustawiłam się bokiem, żeby sprawdzić brzuch. Złapałam w palce skórę i uszczypnęłam. Trudno powiedzieć. Potem zrobiłam wydech i stanęłam swobodnie. To mi wyglądało na ciężę. Natychmiast ponownie wciągnęłam brzuch.

Usłyszałam, że mama wchodzi na górę; dzięki Bogu zamknęłam drzwi na klucz. Krzyczała do Nan, żeby się nie ruszała z miejsca, bo zaleje sobie całe ubranie. Słyszałam trzaskanie szufladami, a potem znów kroki na schodach. Odgrodziłam się od tego wszystkiego i dalej przyglądałam się swojemu odbiciu.

Nie byłam pewna, skąd mi to w ogóle przyszło do głowy. Nie czułam porannych mdłości, ale mój stanik zrobił się

zdecydowanie ciaśniejszy. Gdybym tylko miała w oczach promienie Roentgena. Co bym wtedy zobaczyła? Wiercąca się i kiwającą nieproporcjonalnie wielką głową kijankę? Najpewniej rozmiarów ziarna fasoli, jeśli nie myliłam się co do dat. Och, proszę, żebym się tylko myliła. Czy to już mogło się we mnie wszczepić? Zagnieździć? Boże.

To chyba jakaś paranoja. Przecież wyglądam dokładnie tak samo. Nie ma żadnego dziecka. Zaczęłam się ubierać; raz jeszcze sprawdziłam majtki, szukając śladów krwi. Nieskazitelnie białe, niestety. Choć z drugiej strony zdarzały mi się już opóźnienia; to nic nie oznaczało. Dżinsy nadal na mnie pasowały, więc pewnie wszystko w porządku.

Nagle usłyszałam z dołu jakiś rumor. Włożyłam polar, przekreśliłam klucz i wybiegłam na podest. Schylona mama zbierała stos kompaktów, które ktoś wrzucił przez otwór na listy. Zdumiona otworzyła drzwi i moim oczom ukazał się zmykający na drugą stronę ulicy Paul.

Niewiele myśląc, popędziłam schodami w dół, wyrwałam pistolet z kieszeni płaszcza z walijskiej wełny, który Nan powiesiła w przedpokoju, i wypaliłam. Po drugiej ulicy Paul zwinął się w dżinsowy stos.

- Niezły strzał - oświadczyła z podziwem mama.

Nie, wcale tak nie było. Bo tak naprawdę, wyciągając szyje, obserwowaliśmy obie, jak znika za rogiem, a wtedy ja odwróciłam się, pobiegłam z powrotem do swojego pokoju i zatrzasnęłam drzwi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie ruszyłam się ze swojego pokoju przez następne dwie godziny i najchętniej spędziłabym tam resztę życia, gdyby nie nacisk na pęcherz, który zmusił mnie do zejścia na dół.

Stół był nakryty, kolacja trwała w najlepsze, telewizor ryczał. Obok pieprzniczki stał równiutki stos kompaktów.

-Łapią mewy na wysypisku i sprzedają jako kurczaki -mówiła Nan.

- Karol Darwin! - wrzasnęła matka, nieświadoma niczego oprócz teleturnieju *Uniwersyteckie wyzwanie*. - *Czarodziejski flet*

Przebiegłam obok nich i zamknęłam się w łazience. Nan wyjęta wszystkie małe mydełka ze słoiczka i jak zawsze, ułożyła je rzędem na spłuczce. Zazwyczaj wkładałam je z powrotem, zapobiegając kolejnej awanturze, tym razem jednak zapach lawendy wdarł się do moich nozdrzy i zrobiło mi się niedobrze.

Pochyliłam się i dotknęłam czołem zimnego obrzeża umywalki. Nadal ani śladu krwi.

W końcu pozbierałam się jakoś i powlokłam przed oblicze inkwizycji.

- Powiedz mi - Nan, wzdrygnąwszy się spektakularnie, jeździła udkiem kurczaka po talerza. - Powiedz mi, jaki to kurczak ma cztery nóżki. Bo to mi się nigdy nie zgadza. Cztery nóżki.

-One są z paczki z porcjowanymi kurczakami kupionej w supermarkecie. - Mama nie spuszczała wzroku z Jeremy'ego Paxmana. - Były w niej też trzy skrzydełka.

- Dobry Boże.

- Twoja porcja jest w lodówce, Charlotte, owinięta w folię. - Mama oderwała się od ekranu. - O, co ci się stało w głowę?

W lustrze nad kominkiem zobaczyłam czerwony odcisk pozostawiony przez kant umywalki. Chryste.

- Nic! - wycedziłam i opadłam na fotel. I czekałam.

*Samotnia.* A. A. Milne. Rozwiązanie klasztorów.

- Czy to był ten chłopiec, z którym spotykałaś się przed świętami? - zaryzykowała w końcu.

Oj, matko! Ty zupełnie nic nie wiesz. Nie masz pojęcia, jak długo to trwało! Nie zauważasz tego, co dzieje się tuż pod twoim nosem. Chybabyś kręcka dostała, gdybyś wiedziała choć połowę. Nigdy ci nic nie mówię, bo zawsze zakładasz to najgorsze (zgoda, w tym przypadku miałybyś rację, ale nie o to chodzi). To nie twoja sprawa, jestem dorosła. Ułóż sobie życie, to przestaniesz się wtrącać w moje!

-Taa - powiedziałam tymczasem.

- Rozumiem, że to... skończone?

Miałam ochotę zrzucić ją na podłogę i walić głową o ten jej cenny biały marmurowy kominek.

-A jak sądzisz? - Podciągnęłam kolana wysoko pod brodę i objęłam rękoma. Czekałam, aż powie: „Zdejmij nogi z fotela”, ale milczała. Nienawidziłam jej tak bardzo, że aż dławiło mnie w gardle.

- We Francji jedzą żabie udka - oświadczyła Nan, wskazując widelcem ekran telewizora. -

Obrzydliwcy.

-On nie jest Francuzem, Nan, już ci mówiłam. Podaje wieczorne wiadomości.

-Ani chybi jest. Popatrz na jego nos.

Ile jeszcze czasu wytrzymam w tym domu wariatów, pomyślałam sobie, zanim sama oszaleję.

Byłam w swoim pokoju, znów zajęta przymierzaniem ubrań, kiedy zadzwonił telefon.

Właśnie myślałam, że może wcale nie wyglądam tak źle jak na swój wiek, przecież w telewizyjnych reality show pokazują się gorsze okazy. Moje policzki nie są pożyłkowane jak mapa drogowa, co widuje się u niektórych kobiet, i mam wszystkie zęby. Trzeba być realistką. Tak czy owak, pewnie wszystkie mogłybyśmy wyglądać jak Jennifer Aniston, gdybyśmy miały kilka milionów w banku i osobistego trenera. To nie jest otyłość, nie taka prawdziwa otyłość. Rozmiar 14 to jeszcze nie otyłość. Wciągnęłam brzuch i odwróciłam się bokiem do lustra. No proszę, teraz nie wygląda to najgorzej. Gdybym mogła zastygnąć w takiej pozie na resztę życia, ludzie by uważali, że jestem całkiem szczupła. Posłałam sobie uśmiech gwiazdy filmowej i uniosłam brwi. Potem przechyliłam głowę i nadałam oczom tęskne spojrzenie; nieźle. Gdybym kiedyś wypuściła płytę, to znakomicie nadawałoby się jako zdjęcie na okładkę.

Wzburzyłam palcami włosy - obecnie średniej długości, rozjaśnione, starannie wymodelowane - i nałożyłam połyskującą pomadkę na usta. No widzisz, pomyślałam, gdybyś poświęciła sobie czas, mogłabyś wyglądać względnie przyzwoicie. Ale przy Charlotte i Nan to takie trudne. Czasami przypomina wręcz konspirację, ledwo wezmę do ręki pojemnik z pianką do golenia, natychmiast dochodzi do jakiegoś kryzysu domowego. Rzucam więc go z powrotem na półkę i robię się coraz bardziej kudłata. Dzięki Bogu za matowe rajstopy.

Charlotte chybaaby dostała kręcka, gdyby się dowiedziała, ile właśnie wydałam na te ciuchy z katalogu sprzedaży wysyłkowej; chwala Bogu, że można za nie płacić w ratach. „No i co z tego, że pożegnałam już trzydziestkę, skoro wciąż mam piękne nogi”, przypomniał mi się slogan reklamowy, a ulubiony strój z ostatniego zamówienia leżał kusząco na łóżku; teraz już koniecznie muszę ogolić łydki. Trzeba było widzieć twarz Charlotte. Przeżyła wstrząs, kiedy tam wreszcie zobaczyła, że jej mama wygląda jak prawdziwa kobieta. Należało jej się za to wtargnięcie do mojego pokoju.

Ależ z niej niedostępna diablica! Niektóre dziewczęta rozmawiają z matkami, widziałam to w *Trisha Show*, ale Charlotte jest jak małż. Nigdy nie wiem, co się dzieje w jej głowie. Z drugiej strony, jeśli mam być absolutnie uczciwa, nie bardzo chcę wiedzieć. W każdym razie nie warto pytać, bo awantura gotowa. Wpada w furję, kiedy ją spytać, z czym chce grzanekę, a co dopiero gdyby zapytać, jak jej się wiedzie w sprawach sercowych. W tym domu trzeba stąpać ostrożnie, jak na polu minowym.

I ten chłopiec, nawet przystojny, pewny siebie; nie powiem, żeby mi się specjalnie podobał. Chyba miał na imię Paul, lata temu chodziła z nim do szkoły. Widziałam go tylko dwa razy, a i wtedy wyprowadziła go szybko, zanim zdążyłam zamienić z nim kilka słów. O czym zresztą miałabym z nim rozmawiać? Trzymaj łapy z dala od mojej córki, dopóki nie skończy studiów? Nie podziękowałyby mi za to.

Szkoda, że jej nie powiedziałam: „Nie przejmuj się, lepiej dla ciebie, że go nie ma”, w moich ustach jednak zabrzmiałoby to dość nieszczerze. Wchodzimy w trzecie tysiąclecie, ale kobieta, która nie ma u boku mężczyzny, wciąż jeszcze jest nikim. Tak przynajmniej wynika z mojego doświadczenia.

W każdym razie telefon zadzwonił w chwili, gdy miałam na



sobie strój w stylu „na wpół oficjalny niedzielny lunch w pubie z panem Fairbrotherem”. Nie było szansy, żeby Charlotte się ruszyła, nadal nie mogła się otrząsnąć z szoku po ostatnim przeżyciu, a Nan nie słyszy zbyt dobrze w słuchawce i dlatego telefonu w ogóle nie dotyka - może i dobrze. Dzwonienie nie ustawało, a ja mocowałam się z górnym guzikiem.

- A to cholerstwo! - wrzasnęłam do swojego odbicia. Zniknęła dziewczyna z okładki. Moja twarz zastygła w złości, naelektryzowane włosy stanęły mi dęba.

- Telefon! - wrzeszczała z dołu Nan.

Poddałam się, włożyłam kapcie i zbiegłam na dół. To była kobieta z wydziału opieki społecznej w Bolton.

- Potrzebujemy od pani jeszcze kilku informacji. Czyba nie zauważyła pani jednej strony kwestionariusza. Czy w ogóle ma pani numer ubezpieczenia?

Pod szklistym wzrokiem Nan wygrzebałam właściwą kartkę z „użytecznej szuflady” i wróciłam do telefonu.

- A już myślałam, że chce mnie pani zawiadomić o odnalezieniu mojej biologicznej matki - powiedziałam, wiedząc, że gadam głupstwa. Mieli ten kwestionariusz dopiero od tygodnia.

Kobieta zaśmiała się.

- Najpierw musimy przetworzyć informacje. Potem przydzielimy pani pracownika socjalnego, który przeprowadzi z panią rozmowę. Taka jest procedura.

- Dużo czasu to zajmie?

- Powinniśmy się odezwać za jakieś dwa do trzech miesięcy. Jeśli nie, proszę zadzwonić do nas.

- Dwa do trzech miesięcy?

- Taka jest procedura.

- Nie da się szybciej?

- W tej chwili jesteśmy bardzo obciążeni pracą.

A kto nie jest, moja droga, miałam ochotę powiedzieć.

Nan otworzyła drzwi, kiedy odkładałam słuchawkę. Zmierzyła mnie całkiem przytomnym wzrokiem.

- Ale szykowne. Obróć się. Urodna z ciebie kobieta, jak tylko się postarasz. Nigdy cię nie widuję w sukienkach. - W zamyśleniu pogładziła mój rękaw. - Potrzebne ci do tego ładne czółenka.

Zauważyłaś, że masz jeden guzik luźny?

- I kto to mówi? Jeśli już ktoś ma luźny guzik, to ty. A teraz muszę pędzić na górę i zająć się sobą.

Włącz telewizor i nie dotykaj czajnika, dopóki nie zejde.

Cud! Cholerny cud! A właściwie dwa, chociaż jeden na skromną skalę. A los może się wypchać.

Puszczając od nowa zegary, otwierając szampana, oddychać.

Byliśmy w auli, na ostatnim w tym semestrze apelu, Wysłuchaliśmy kazania, jakieś banialuki o tym, jak to wszyscy ludzie w piekle muszą jeść dwumetrowymi pałeczkami, skąd oni biorą te bzdety?

Potem podano wyniki rozgrywek w hokeja i w piłkę nożną, a potem jacyś uczniowie z młodszych klas dostali nagrodę z bezpieczeństwa na drodze i wreszcie była modlitwa końcowa. Dyrektor złożył dłonie w sposób, za który zawsze mam ochotę mu dokopać, pochylił głowę o przylizanych włosach i rozpoczął.

- O Panie, Ty wiesz, jak bardzo dzisiaj będę zajęty... Jeśli zapomnę o Tobie, Ty nie zapominaj o mnie. A ja się modliłam: O Boże, proszę, bym nie była w ciąży, proszę, proszę, tak bardzo się postaram być dobra dla mamy i Nan i przyłożę się solidnie do powtórki materiału, i nie będę uprawiała seksu, dopóki nie ukończę co najmniej dwudziestu pięciu lat, a i wtedy tylko po pigułce i z prezerwatywą, i z kapturkiem, proszę. Boże. Amen.

Ktoś szturchnął mnie w żebra.

„Rusz się, głuchoto”, syknęła Julia, a ja podniosłam wzrok i zobaczyłam cały rząd uczniów już niemal za drzwiami, a potem powiększającą się lukę, bo ja wciąż tkwiłam w miejscu. Rzuciłam się do przodu i popędziłam za nimi, a pozostali przyglądali mi się, chichocząc.

- Co się dzieje? - spytała Julia, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

- Nic. Tylko... muszę jeszcze gdzieś iść.

- Nie jedziesz do miasta z Anyą i bliźniaczkami?

- Muszę wracać prosto do domu. Dzięki. Wiedziałam, że autobus czeka, ale najpierw musiałam pójść i sprawdzić stan swoich majątek.

Kabina była wąska, a zasuwka stawiała opór. Zamknęłam oczy, szybko opuściłam gatki i uniosłam powieki. Krew. KREW. Dzięki Ci, Jezus. Nogi ugięły się pod mną i usiadłam na brzegu sedesu, nadal wpatrując się w plamę. Niewiele tej krwi, ale to nieważne. Jest dobrze, wszystko będzie dobrze. Na zewnątrz wchodziły i wychodziły dziewczęta, chlustała woda ze spluczek, a potem wszystko ucichło. Autobus mi uciekł, ale w ogóle się nie przejęłam. Złapię następnego. Gdyby to było możliwe, pofrunęłabym do domu.

A ten drugi niewielki cud, prawie niewart wzmianki, ale przynajmniej jeszcze jeden kłopot z głowy. Bałam się spotkania z Danielem Gale'em i musiałam wymyślić jakieś kłamstwo, żeby się wytłumaczyć, dlaczego nie przyszłam. Kiedy nie zobaczyłam go w szkole w tamten poniedziałek, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie rzucił się z wiaduktu albo nie zrobił czegoś w tym stylu, bo to by bardzo pasowało do mojego fartu. Pomyślałam, że lada moment któryś z nauczycieli wkroczy do klasy z zastygłą twarzą i zapyta nas, czy nie wiemy, dlaczego Gale miałby być w ciężkiej depresji. Następnego dnia jednak pojawił

się w świetlicy, odrobinę bledszy, ale najwyraźniej żywy. Szukał mojego wzroku, a ja uparcie wlepiłam oczy w podłogę. Próbowałam urwać się stamtąd jak najszybciej, ale dogonił mnie przy drzwiach i zadyszany, z miną pełną powagi, położył mi dłoń na ramieniu. No to się zaczyna, pomyślałam, zaciskając zęby.

- Bardzo cię przepraszam-zaczął, a mnie szczeka opadła ze zdziwienia.

- Za co?

-Za sobotę. Boże! Mam nadzieję, że nie czekałaś zbyt długo. Wiem, że musisz być na mnie zła, to znaczy, za te okropne maniery, musisz myśleć, że jestem cham...

-Nie! Nie, skądże znowu...

Znaleźliśmy się za drzwiami z całym tłumem. Ktoś wcisnął się między nas z wielką tekturową teczką, a potem nad naszymi głowami rozległ się dzwonek. Robiliśmy do siebie miny, dopóki hałas nie umilkł.

- Słuchaj, powiem krótko. - Odsunął kosmyk znad oczu i zamrugął. - Naprawdę próbowałem się z tobą skontaktować. Przystudiowałem książkę telefoniczną, ale było w niej mnóstwo Cooperów, a zresztą i tak prawie przez cały wieczór na telefonie wisiała moja mama. Rzecz w tym, że w piątek wieczorem dowiedzieliśmy się o śmierci dziadka. Mama chciała natychmiast jechać do Guildford, ale tata przekonał ją, żebyśmy poczekali do soboty rano...

- O Boże, tak mi przykro.

- No tak, cóż. Dzięki. Takie rzeczy się zdarzają. Był sympatyczny, ale naprawdę sędziwy. Naturalnie mama jest roztrzęsiona, babcia tak samo. Wyobrażasz więc sobie, że ten weekend był nieco nerwowy, z podróżami tam i z powrotem. Niemniej bardzo mi przykro, że cię tak zostawiłem na lodzie.

- Daj spokój. Nie ma o czym mówić. - Staralam się, by mój głos nie brzmiał zbyt radośnie. - Musiało to być dla ciebie straszne. - Położyłam mu rękę na ramieniu, a on popatrzył na nią zaskoczony. Cofnęłam ją pospiesznie.

- Problem w tym, że nie mogłem się doczekać tego spotkania.

- Nie przejmuj się. Będzie inna okazja.

-W ten weekend znów tam jedziemy. W piątek jest pogrzeb.

- Kiedyś- to nadrobimy. W większość sobót bywam w mieście.

Na korytarzu zrobiło się niepokojąco cicho. -To co, w następną sobotę?

- Może być, taak. Słuchaj, ruszmy się stąd wreszcie, jest prawie dwadzieścia pięć po. Ostatni dzień czy nie, nasza rozkoszna Stokes jest kompletnie porąbana, jeśli chodzi o punktualność na jej lekcjach, wiesz, zapisuje sobie spóźnienia, a potem w raporcie na twój temat umieszcza sarkastyczne uwagi.

-A ja powinienem być na fizyce, którą mamy po drugiej stronie budynku, co oznacza, że będzie już wpół, kiedy wejdę do pracowni. Prawdę mówiąc, nie warto iść. -Zmarszczył brwi. - Co byś powiedziała na wagary, tylko z tych jednych zajęć?

- Że co? - Dotąd myślałam, że Daniel jest jeszcze bardziej praworządny niż ja.

-Nie mam na myśli opuszczania budynku, niczego tak lekkomyślnego. Moglibyśmy wrócić do świetlicy i wypić kawę. To drobne wykroczenie. Mnie nic nie grozi, mogę powiedzieć, że ogarnął mnie nagły smutek i zrobię niewinną minę i przysięgnę pani Stokes, że zmusiłem cię, żebyś została mnie pocieszać. Tobie się upiecze, bo na co dzień

jesteś bardzo porządna. A mnie uważają za takiego dziwaka, że nie drażyliby dalej z obawy, że dostanę ataku furii.

Zaczęłam się śmiać, po czym zażenowana odwróciłam głowę.

- Przepraszam - powiedział natychmiast - nie powinienem sobie żartować po śmierci dziadka. I wcale mi nie do śmiechu, naprawdę. Był wspaniałym gościem i będzie mi go brakować. Tyle że w domu panuje taka poważna atmosfera, szczerze mówiąc, okropna. To przerażające, kiedy widzi się, jak rodzice okazują swoje uczucia.

Pomyślałam o własnym domu, gdzie uczucia płyną nieustannie, gorąca woda na zmianę z lodowatą.

Uświadomiłam sobie, że znowu mam otwarte usta, więc je szybko zamknęłam.

- No i co ty na to? - Przechylił głowę i spoglądał na mnie znad okularów.

-Wiesz, jesteś pełen niespodzianek. -Sam nie wiem czemu, ale też tak myślę. - Odwrócił się do drzwi.

- Idziesz?

- Nie. Ty może jesteś geniuszem, ale ja muszę nieźle tyrać na każdą w miarę przyzwoitą ocenę. Ona dzisiaj przegląda nasze stare wypracowania i muszę przy tym być. To właśnie mój problem; jestem tak cholernie skrupulatna. -Uśmiechnęłam się, a on odpowiedział tym samym. -W każdym razie naciesz się kawą. I wykorzystam cię jako alibi, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Jestem gotów w czasie przerwy wyglądać jak uosobienie nieszczęścia.

I wyglądał. A potem zobaczyłam krew. Wesołych świąt wielkanocnych.

Nie zrobiłam dobrego początku tamtej niedzieli. Wlałam w siebie dwa dziny za pomyślność i włożyłam nową sukienkę. Potem stanęłam przed lustrem szafy, próbując podjąć decyzję co do kolczyków: czy te przylegające do ucha, czy te wiszące. Na dole Nan wywrzaskiwała na całe gardło: „Opowiedz mi tę starą, bardzo starą historię”, najwyraźniej śpiewali to rano w kościele. Zza drzwi Charlotte dobiegały mnie jęki cierpiącego kota, co oznaczało, że moja córka ma na uszach słuchawki. A ja? No cóż, Matthew, dziś wieczór będę... chuchnęłam na lustro i poczekałam, aż mgiełka wyparuje ze szkła... Celinę Dion! (Gromkie okrzyki, brawa, pomruk zdziwienia itd.) Wydęłam wargi do swojego odbicia i wzięłam głęboki oddech. Musiałam przyznać, że te świeżo zrobione jasne pasemka naprawdę wyglądają świetnie.

**- Zastanów się, baby, na miłość...**

W kuchni odezwał się alarm uruchomiony czujnikiem dymu.

- A niech to diabli - rzuciłam do Celinę w lustro i pomknęłam na dół.

Nan czekała na mnie u stóp schodów.

- Karen! Opiekacz się pali. Co mam robić? Odepchnęłam ją i wpadłam do kuchni. Ze szczeliny w tosterze unosił się czarny dym. Nan załamywała ręce.

- Chciałam zgotować se trochę obiadku...

- Miałam właśnie się do tego zabrać, gdybyś tylko raczyła poczekać dwie minutki! - wrzasnęłam, a ona chyłkiem wycofała się do pokoju.

Wyszarpnęłam wtyczkę z gniazdka i narzuciłam na opiekacz ścierkę do naczyń. Przestał dymić.

Otworzyłam tylne drzwi, nałożyłam rękawice kuchenne i wyniosłam urządzenie za próg, a potem już tylko stałam i przyglądałam się mu. Po trzydziestu sekundach pojawiła się Charlotte pociągająca nosem.

- Co tu tak strasznie cuchnie? - spytała, ale już po chwili dostrzegła ciągnącą się przez podłogę ścieżkę z okruchów, owi-

nięty szmatą tobolek. - Aha, no taak. Założę się, że Nan smarowała grzanekę twarożkiem przed włożeniem jej do tosterka, w zeszłym tygodniu właśnie na czymś takim ją złapałam. Smaruje grubo na całość, a to ptzykleja się do spirali. - Zrobiła żalowaną minę. - Biedna, stara Nan. Ona nie rozumie, to nie jej wina. Wiesz, że teraz płacze na kanapie?

Zignorowałam ją; miałam do wyboru albo to, albo zadżganie jej widelcem. Nie wiem, dlaczego ni stąd, ni zowąd wykazała się takim cholernym rozsądkiem, ale to mi do niczego nie było potrzebne. U drzwi wejściowych rozległ się dzwonek.

- To pewnie Ivy. Otworzę. A przy okazji, założyłaś jakieś dziwne kolczyki, mamo.

- A Ivy to kto? - Pan Fairbrother pociągnął łyk piwa. Odsunął trochę swoje krzesło od pozostałych Piechurów i siedzieliśmy przy końcu długiego stołu w części barowej Feathers. Dzięki Bogu robił wrażenie zadowolonego z mojej obecności; dzięki Bogu, że w ogóle tam był.

- Jedną z ptzyjaciółek Nan jeszcze z jej czasów Związku Matek. Ivy Seddon i Maud Eckersley każdej niedzieli zabierają ją do kościoła, potem Ivy przychodzi do nas i spędza z nią popołudnie. W środy zabierają ją na spotkania klubu seniorów, które odbywają się po drugiej stronie ulicy, U Pracujących, a Maud przychodzi we wtorki rano i zostaje do obiadu. I jeśli jedna jest chora, przychodzi ta druga, nigdy mnie nie zawodzą. Poza tym w poniedziałek ptzychodzi kobieta z Crossroads Carers, tej organizacji zrzeszającej opiekunów społecznych, a w czwartek na trzy godziny sprzątaczką, której płacę z zasiłku. To znaczy mogłabym ją zostawiać z Charlotte, zresztą to robię, ale staram się tego unikać. Charlotte i tak większość czasu spędza w szkole, więc bez dodatkowej pomocy nie mogłabym nawet ptacować na



pół czy ćwierć etatu. To dziwne, jak te sprawy powoli dopadają człowieka. Dziesięć lat temu, nawet pięć, Nan nic nie było, ot, czasem coś zapomniała...

Pan F przybrał współczujący wyraz twarzy.

- Pani matka ma szczęście, że otacza ją krąg pomocnych ludzi. To cudowna cecha społeczności lokalnych. Nasi rodzice dorastali w czasach, kiedy wszyscy w miasteczku się znali. Nie było lekko, ale wszyscy sobie wzajemnie pomagali. Dzisiaj tyle ludzi żyje z poczuciem wyobcowania.

Skinęłam głową, myśląc o sobie samej. Gdzie mój pomocny krąg, co się stało z moim życiem towarzyskim? Kiedy miałam piętnaście lat, stanowiliśmy dużą grupę, w każdy weekend gdzieś chodziliśmy. Mieliśmy zbyt wiele energii, godzinami wisieliśmy na telefonie; Nan doprowadzało to do szału. Wszyscy mieliśmy plany, zamierzaliśmy podbić świat. Potem Dee, moja najlepsza przyjaciółka, przeprowadziła się do Cheltenham, a potem ja zaszłam w ciążę i wytworzyła się ta przepaść pomiędzy mną a pozostałymi dziewczętami, chociaż one starały się być jak zawsze miłe. Częściowo wynikało to z niemożności wczucia się w moją sytuację. Szybko znudziły je moje nieustanne narzekania na zmęczenie i nie pojmowały, że nie mogę natychmiast, bez zastanowienia zostawić dziecka i pójść z nimi tu czy tam. A ja nie mogłam im się zwierzyć, jak bardzo przerażają mnie nabrzmiałe żyły na piersiach, szerokie fioletowe linie rozstępów na brzuchu, popuszczanie przy kichaniu.

Do tego dochodziła obawa, że mogłoby się to samo przydarzyć i im, że mogłyby „złapać” tę ciążę ode mnie. Nie zapomnę jednej z nich, Donny Marsden, która przyszła odwiedzić mnie w szpitalu. Kupiła dla Charlotte dziecięcy kombinezonik z króliczymi uszami i pojawiła się gotowa obdarzyć niemowlę czułościami. Tymczasem prawie na małą nie spojrzała. Bo przez całą wizytę nie mogła oderwać oczu od mojego obwisłego brzucha,

opiętego jedną ze starych nocnych koszul Nan. Była najwyraźniej przerażona. Wreszcie umknęła z oddziału w tych swoich dzinsach rozmiar 8, a ja siedziałam na metalowym łóżku i lałam łzy. Rzecz bowiem w tym, że ja miałam dziecko i wybierałam się za męża, podczas gdy one wszystkie wybywały do collegeu opieprzać się ile wlezie i używać życia na różne sposoby. A kiedy niektóre z nich powróciły do Bank Top, żeby osiąść tu na stałe i założyć rodziny, ja byłam już po rozwodzie, co też nie zyskało mi specjalnego uznania.

Na szczęście pan F zaczął coś mówić i nie zauważył, jak w rezultacie tego użalania się nad sobą moje oczy wypełniają się łzami.

- Proszę?

- I naturalnie to wielkie szczęście, że matka ma panią. W dzisiejszych czasach jest wielu takich, którzy zapominają o swoich obowiązkach. - Obdarzył mnie pełnym aprobaty uśmiechem, a ja pomyślałam, że ma sympatyczną twarz, taką ojcowską. Ubrany był w sweter z wysp Arann, płócienne spodnie i buty do pieszych wędrowek. Dziwnie było widzieć go bez garnituru. - Zakładam, że jest pani po lunchu.

Zerknęłam na długi stół, na brudne talerze i zmięte serwetki. Niech to jasny szlag, i on, i jego wędrujący koleś zdążyli już się najeść.

- O tak. Zjadłam coś przed wyjściem - skłamałam, modląc się, żeby nie zaczęło mi burczeć w brzuchu.

- Wobec tego zamówię kolejnego... co to było, wódka z sokiem pomarańczowym?

- Świetnie. - Będę musiała zaraz wrzucić w siebie garść orzeszków w toalecie, bo inaczej szybko się ululam. Wyznacz sobie tempo, pomyślałam. Z drugiej strony, im szybciej wypiję tę kolejkę, tym szybciej będę mogła coś zjeść.

- Więc jak długo pani mama jest wdową? - Pan F zmarszczył brwi, podał mi szklaneczkę i usiadł na swoim miejscu.
- Mój Boże, niech pomyślę... będzie prawie dwadzieścia lat. Tata umarł w styczniu 1978.
- Przykro mi.
- Taak, pod koniec było to dość okropne. Rak płuc. Wydawało się, że trwa to wieki, ta jego choroba, no ale ja wtedy nie znałam całej prawdy. Miałam zaledwie czternaście lat i Nan sporo zachowała dla siebie.
- Z tego, co słyszę, robi wrażenie silnej kobiety.
- O tak, jest silna. To ciężkie czasy tak ją zahartowały. Kiedyś jako mała dziewczynka złamała rękę w łokciu i nawet nie zapłakała. Za to jej brat tak wrzeszczał, że wyglądało, jakby to jemu stała się krzywda. Był w takim stanie, że nie mógł słowa z siebie wydobyć.
- A pani jest silna na swój sposób. - Pan F uśmiechnął się.
- Chyba nie. — Gdyby tylko znał prawdę. Niemniej jego słowa mi pochlebiały. Nie zamierzałam poświęcić tej randki na analizowanie swoich defektów. Dość już naoddawałam się temu zajęciu. Jego uprzejmość oraz fakt, że w tym nie znanym mi otoczeniu dostrzegłam w swoim szefie autentyczną osobę, wywoływały we mnie zupełnie niedorzeczne zdenerwowanie. Ciągnęłam tę wódkę, jakby za chwilę miało jej zabraknąć, i uśmiechałam się idiotycznie.
- Poradzić sobie ze stratą ojca w tak młodym wieku... Musiało to być traumatyczne przeżycie. Uśmiech ulotnił się z mojej twarzy.
- Tak. Owszem. Byliśmy sobie bardzo, bardzo bliscy, on zrobiłby dla mnie wszystko... Przynajmniej nie dożył, żeby zobaczyć... Chociaż na pewno by kochał Charlotte, na pewno. Myślę, że ostatecznie właśnie to nie pozwoliło Nan się załamać, fakt, że pojawiło się małe dziecko. Muszę przyznać, że była wspania-

ła, jeśli chodzi o Charlotte. Często uciekałam od tych wrzaskliwych kłótni ze Steve'em, szłam do Nan i wciskałam małą w jej ramiona. Nie wiem, jakbym sobie inaczej poradziła.

-I mimo to nadal chce pani odnaleźć swoją biologiczną matkę?

Milczałam, a pan F wyglądał na zatroskanego.

- Przepraszam, proszę mi powiedzieć, jeśli za wiele sobie pozwalam...

- Nie, bynajmniej. Miło jest z kimś o tym porozmawiać. Właśnie się zastanawiałam... - Wysączyłam resztę wódki i wstałam. -Aha, skoro już się ruszyłam, przyniosę nam drinki, pan pije...? -Zerknęłam na jego duże piwo. Pan F upił z niego jakieś dwa cale. Starał się nie mieć zaskoczonej miny.

- Nie, dla mnie nie, dziękuję.

- Cóż, to ja tylko...

Kupiłam dwie paczuszki prażonych orzeszków i skierowałam się do toalety. W rzeczywistości orzeszki je się dłużej, niżby się człowiekowi wydawało. Nachyliłam się nad umywalką i wpychałam je sobie w pośpiechu do ust, jak jakiś stuknięty chomik, a kiedy otworzyły się drzwi, wskoczyłam do kabiny. Po jakimś czasie, który wydawał się wiecznością, skończyłam pierwszą torebkę, rozdarłam drugą i wsypałam jej zawartość do ust. W kabinie obok ktoś pociągnął za łańcuszek, podskoczyłam gwałtownie i kawałek orzeszka wpadł tam, gdzie nie powinien. Na zmianę krztusiłam się i plułam wokół siebie packą pogryzionych orzeszków. W końcu odzyskałam oddech, ale straciłam apetyt na orzeszki. Wrzuciłam plastikowe torebki do sedesu i spuściłam wodę. Wypłynęły na wierzch.

Poczekaliśmy, aż spłuczka napełni się ponownie, a w głowie przez cały czas tykała mi melodyjka z teleturnieju *Odliczanie*, po czym raz jeszcze spuściłam wodę. Kiedy zniknęły bąbelki, zobaczyłam, że torebek już nie ma, jedynie dwa uparte orzeszki wciąż tkwiły na dnie muszli klozetowej. Czort z nimi, niech sobie zostaną.

Ostrożnie uchylłam drzwi i zobaczyłam swoje odbicie w lustrze. Policzki miałam rozognione, kreski na powiekach rozmazane. Podeszłam do umywalki i zaczęłam naprawiać szkody, starając się przy tym nie napotkać wzroku kobiety, która zacięcie myła ręce. Spływaj, powiedziałam do niej bezgłośnie. Ona jednak nadal tam stała i jak mi się zdawało, co chwilę ukradkiem zerknęła na mnie. Po czym, kiedy byłam już przekonana, że wreszcie skończyła, podeszła do mnie.

- Wiesz, możesz sobie z tym poradzić - powiedziała cicho.

- Ze co? - Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Kiedyś też przez to przeszłam. - Ponieważ była młodsza ode mnie o jakieś dziesięć lat i do tego o wiele bardziej atrakcyjna, nie mogłam zrozumieć, o co jej chodzi. Ona tymczasem jeszcze bardziej zniżyła głos. - Też miałam zaburzenia odżywiania. - W geście pocieszenia położyła mi dłoń na ramieniu. - Można się od tego uwolnić, z pewną pomocą.

Oświeciło mnie. Ona uważa, że ja doprowadzam się do wymiotów.

- Nie ma się czego wstydzic. Księżna Diana...

- Dzięki, ale niewłaściwie interpretujesz sytuację... Uśmiechnęła się i zaczęła grzebać w torebce.

- Zawsze je noszę ze sobą. Kiedy będziesz gotowa, po prostu zadzwoń. Przyznanie przed samą sobą, że ma się problem, to pierwszy krok. - Ścisnęła mi znacząco łokieć, włożyła do ręki wizytówkę i wyszła. „Bulimia. Telefon zaufania”, odczytałam. „Razem możemy odmienić jutro”.

A co ze zmianą dnia wczorajszego? To dopiero byłoby warte zachodu.

Po drodze wzięłam sobie z baru szprycera i wróciłam do pana F. Po drugiej stronie sali osóbką z toalety podniosła w moją stronę kciuki do góry.

- Na czym to skończyliśmy?

- Chyba na mojej mamie. No cóż... To trudno wyjaśnić, zapewne nie będzie pan miał zielonego pojęcia, o czym to ja baj-durzę.

- No nie, proszę... — Znowu zrobił zmartwioną minę.

- Bo to jest tak... nie, pomyśli pan, że jestem stuknięta.

- Proszę mówić dalej.

- Cóż... czy odnosi pan czasem wrażenie, że być może żyje pan nie swoim życiem?

Pochylił się do przodu, zupełnie jakby zbliżając czoło do mojego, łatwiej mógł zrozumieć to, co mówię.

- Mam na myśli to, kim jesteśmy, gdzie mieszkamy, pracę, jaką wykonujemy - tak naprawdę wszystko

- wszystko to tylko kwestia przypadku, prawda? Loterią jest to, gdzie się rodzimy i czyimi jesteśmy dziećmi. To tak, jakby ta sama osoba mogła się urodzić w dwóch całkowicie różnych domach, oczywiście tak się nie dzieje, ale wyobraźmy to sobie. - Z determinacją zaczęłam przesuwać z miejsca na miejsce podkładki pod szklanki. - W jednej rodzinie ten ktoś mógłby mieć stałą zachętę, poszedłby do elitarnej szkoły, wylądował na świetnym stanowisku, pewny siebie i z poczuciem odniesionego sukcesu, natomiast w innej mógłby mieć rodziców meneli, którzy zupełnie o niego nie dbali, i wpadłby w złe towarzystwo, i chodził do marnej szkoły, i skończył w więzieniu czy coś takiego... Czy mówię do rzeczy?

- Książę i żebrak?

- No właśnie, mniej więcej. - Ustawiłam wigwam z dwu podkładek. - I nie mówię, że ja żyłam jak żebrak, Bóg świadkiem, że Nan bardzo się starała, ale zawsze miałam poczucie, że moje miejsce jest gdzieś indziej. To znaczy, ja zupełnie nie jestem do niej podobna. Przede wszystkim ona tak naprawdę nigdy nie była specjalnie zainteresowana moją nauką. Jej wystarczyło, jeśli tylko byłam w szkole grzeczna. Szkoła była w porządku i na pewno poradziłabym sobie dalej świetnie, gdyby, gdyby... -

Nagle pojawił się w mojej pamięci Steve w szkolnym mundurku, z założonymi rękoma, oparty o żelazną bramę: to było tamto popołudnie przed pierwszym razem. Potrząsnęłam głową i obraz znikł. - Ale jej nawet nigdy nie przyszło do głowy, że mogłabym iść do liceum, mnie też nie, z powodu przyjaciółek... I do tego ma, co nie jest jej winą, tak została wychowana, o Boże, zabrzmiało to na pewno, jakbym była snobką... ona ma okropny gust. We wszystkim. Kalendarze z kotkami w koszyku, plastikowe kwiaty w miniaturowych taczuszkach. Wiedziałam, czym jest kicz, zanim poznałam to słowo. A ja staram się, żeby dom był miły, coraz ładniejszy, chociaż nikomu oprócz mnie na tym nie zależy. Wyobrażam sobie... moja prawdziwa matka w ślicznym salonie, na stole, ma świeże kwiaty, w oknach długie białe fitanki. Jak na okładce powieści Mary Wesley. Bo uważam, że jest do mnie podobna, że mnie zrozumie. I wtedy, wtedy... - Podkładki rozjechały się i wigwam zniknął.

- Co wtedy?

- Wtedy będę mogła, już bez uczucia nienawiści, dalej opiekować się Nan - wyrzuciłam z siebie. Słyszałam, jak to mówię, i nie mogłam uwierzyć własnym uszom. - O Boże, nie miałam tego na myśli. W żadnym razie. Proszę udawać, że nic takiego nie powiedziałam...

Pan F przykrył moją dłoń swoją.

- Już dobrze - powiedział łagodnie. - Zapomina pani, że ja też się kimś opiekowałam. Wiem, jak to jest. To całkiem naturalne, że czasami nam się wydaje, że dłużej już nie wytrzymamy. Kiedy się kogoś kocha, to właśnie wówczas te inne emocje bywają najsilniejsze. To najtrudniejsze zadanie w świecie. Ja wiem. Pani jednak wykonuje świetną robotę, prowadzi dom, a pani bystra córka...

Poczułam, jak się rozklejam. Ta życzliwość zbijała mnie z tropu.

- Muszę znów do toalety - oznajmiłam chropawym głosem i poszłam opłukać sobie twarz zimną wodą.

Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że na stole czeka na mnie kolejna wódka.

- Wziąłem też orzeszki - oświadczył pan F. - Prażone mogą być?

- Uhm. Z drugiej wszakże strony - opadłam na ktzesło i bez żadnych wstępów ciągnęłam dalej - może się to okazać prawdziwą puszką Pandory. To znaczy, ona może mnie zniechęcić, moja prawdziwa matka. Albo Nan. Nan może mnie zniechęcić za odnalezienie tej drugiej kobiety. Że już nie wspomnę Charlotte. Ostatnio jest nie całkiem zrównoważona. Ale ostatecznie dla kogo człowiek żyje? Trzeba podejmować ryzyko, bo inaczej równie dobrze moglibyśmy być martwi. Czy nie jestem tego sobie winna? Nie jestem tego winna swojej biologicznej mamie? A co, jeśli ona w każde moje urodziny usypia z płaczem albo codziennie przed zaśnięciem całuje moje zdjęcie? Istnieje więcej niż tylko jeden obowiązek. - Zauważyłam, że mówię coraz szybciej, i zmusiłam się do przerwania tego monologu. -Więc bardzo trudno było opiekować się obojgiem rodziców? -spytałam, wzięwszy głęboki oddech.

Pan F zaczął mówić cichym smutnym głosem, a ja patrzyłam przed siebie nieobecny wzrokiem. Byłam bardzo zmęczona i czułam lekkie mdłości. Po jakimś czasie zorientowałam się, że zamilkł.

- Słucham?

- Nic pani nie jest?

- Hm, nie. - Oczy mnie szczypały od wysiłku, żeby utrzymać je otwarte. - Nic. Proszę posłuchać, bardzo miło się rozmawiało, naprawdę, ale niedługo pewnie będę musiała lecieć. -Zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mam teraz wstać i gdzieś pójść. Mogłabym położyć głowę na blacie stołu i natychmiast zasnąć. Ziewnęłam szeroko. - Przepraszam.

- Czy chce pani, żebym ją odprowadził do domu? Jeśli pani nie jest... jeśli jest pani trochę zmęczona.



- Potadzę sobie, naprawdę. - Sięgnęłam na oparcie krzesła, po czym przypominałam sobie, że zostawiłam żakiet w domu; kiedy wychodziłam, był piękny wiosenny dzień.

- Nie ma pani płaszcz?

- Nie. Cóż, zrobiło się tak ciepło. Zupełnie nie jak w kwietniu. Drzwi pubu otworzyły się i weszła jakaś para w średnim wieku; strzäsali z włosów śnieg.

- Proszę się nie przejmować. Ja zawsze noszę zapasową pelerynkę - oświadczył pan F, grzebiąc w plecaku. Wyciągnął mały zwitek z jaskrawoniebieskiego materiału i zaczął go rozwijać. -Z tego, co widać, przyda się pani kaptur.

Z wysiłkiem wsunęłam ręce w błyszczące rękawy, a on zaciągnął zamek błyskawiczny. Jego koledzy piechurzy zerkali w naszą stronę i z aprobatą kiwali głowami.

- Czy sądzi pan, że można kogoś jednocześnie kochać i nienawidzić? - spytałam, podczas gdy on zaciągał tasiemki pizy kapturze.

- O tak. Jak najbardziej. A teraz na dwór, w arktyczne pustkowie. - Uścisnął moją rękę i poprowadził ku wyjściu.

- **To przybiera poważny obrót** - zaśpiewała ni stąd, ni zowąd moimi ustami Celinę.

Pan F wyglądał na zaintrygowanego, niemniej uprzejmie przytrzymał wahadłowe drzwi i wyprowadził mnie na zewnątrz.

- Muszę powiedzieć... - zaczęłam, ale w tym momencie ogarnęło mnie lodowate powietrze i zalała taka fala nudności, że musiałam się zatrzymać i oprzeć ręką o mur.

- Słabo pani? Najlepiej oprzeć głowę...

Nie słyszałam końca zdania, bo już wymiotowałam orzeszkami w wódce prosto w donicę z bratkami. Pan F obejmował mnie ramionami, kiedy targało mną zgiętą w pół, a gdy już mogłam się wyprostować, zaofiarował mi chusteczkę i odwrócił się dyskretnie, podczas gdy ja doprowadzałam się do porządku.

- Na pewno coś, co zjadłam - wykrztusiłam.

Ujął mnie pod ramię i milcząc, ruszyliśmy przez śnieżycę i z każdym krokiem coraz bardziej czerwieniał odsłonięty krążek mojej twarzy, a mokra grzywka kleiła się do czoła. Stopy, w zupełnie nieodpowiednich czółenkach, cierpiały katusze.

- Zatem do zobaczenia jutro - rzucił żwawo przy mojej furtce, a ja pomyślałam sobie: Na pewno nie, jeśli pójde teraz na górę i pochlastam się po nadgarstkach, tyle że za bardzo zmarzłam, żeby utrzymać nóż, zresztą i tak żyły skurczyły mi się niemal do zera. Uśmiechnęłam się tylko niewyraźnie.

Zasalutował po swojemu i odmaszerował w wirującą biel niczym sam kapitan Oates.

Ivy Seddon otworzyła drzwi, kiedy się do nich zbliżałam.

- Są świetne te składane pelerynki, co? - zawołała. - Widziałyśmy cię przez okno, pospiesz się i usiądź przy kominku. I sprawdź jej woreczek, chyba znów się odkleił. Ja zaparzę herbaty.

Pracowała w przedzalni zaledwie od dwóch tygodni, a ja, choć miała dopiero szesnaście lat, widziałam w niej steraną kobietę. Potem, tamtego poniedziałkowego ranka, poszła na przerwę i nie wróciła; znalazłam ją zapłakaną, niemal w hysterii, obok puszek na śmieci.

- Tak się nie godzi! - łkała. - Starczy, że on ci powiesi spodnie przy łóżku, a ja już zachodzę. Moja matula go ubije. Bo nic nie wiedziała, że my ciągiem byli ze sobą. I zaraz każe mi pójść do tego zagranicznego doktora w Salford. Nie zniosę tego. Już ostatnim razem se myślałam, że umrę.

Wyrywają człowiekowi wnętrzności, a potem krwawi się całymi tygodniami, bez końca. Ucieknę. Nie pozwolę, by mnie kto choć palcem tknął, nie tym razem.

- Wszystko będzie dobrze. - Objęłam ją. - Ja i Bill zaopiekujemy się tobą.

Mama kazała sprzątnąć pranie, jak zacznie padać deszcz; normalnie w ogóle bym się tym nie przejęła, ale na sznurze wisiały akurat moje najlepsze dzinsy. Kiedy więc Ivy zawołała, że pada śnieg, wyczołgałam się spod kołdry i zbiegłam na dół. Zapomniałam o opiekaczu za progiem i w tym pośpiechu niechcący wymierzyłam mu kopa, aż potoczył się z łoskotem po kamiennych płytach. Z otworu wysypały się okruchy oraz coś, co wyglądało mi na kawałki nadpalonego papieru. Przebiegłam przez trawnik, szarpnięciami po-ściągałam kolejne sztuki garderoby, klamerki zostawiłam rozkołysane albo porzucone w trawie, co było zupełnie nieważne. Przerzuciłam sobie to wszystko przez ramię i popędziłam do domu. Było przeraźliwie zimno. Po drodze ruchem amerykańskiego futbolisty zagarnęłam toster i poniosłam go w wolnej ręce. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i rzuciłam wszystko razem na podłogę.

- Nan mówi, że dostajecie range rovera - zawołała Ivy z salonu.

-Taa, na pewno - odkrzyknęłam. Kompletne pieprzone wariatkowo. Zaczęłam oglądać opiekacz.

**Szanowna Pani *kawałek nadpalony***

**Proszę sobie wyobrazić, czego mogłaby Pani dokonać za pomocą pożyczki w wysokości 10 000 funtów! Nowy *kawałek nadpalony* być może, *kawałek nadpalony kawałek nadpalony* albo może wakacje, które sobie Pani obiecywała.**

Wyskubałam resztę listu, uniosłam pedałem pokrywę kubła na śmieci i dorzuciłam go do całej reszty propozycji pożyczek, które otrzymałyśmy tego tygodnia. Przychodzą nawet do Nan. Bóg wie, na co ona mogłaby wydać 10 000 funtów. Może na cukierki lukrecjowe, tyle że jej nie wolno ich jeść, bo bardzo źle wpływają na to, co jeszcze zostało

z jej wnętrzości. Potem odwróciłam toster dnem do góry i mocno potrząsnęłam. Wypadła kolejna porcja strzępków papieru, diabelskie konfetti, ale wciąż coś jeszcze tkwiło w środku. Podeszłam z nim do okna, zabierając po drodze z suszarki kuchenny nóż. Kiedy skierowałam szczelinę otworu ku światłu, zobaczyłam zwinięty papier. Pogrzebałam nożem, podważyłam zwitek i wysunęłam na zewnątrz.

- Co cię tak bawi? - spytała Ivy od drzwi. Podeszła do stosu wypranej bielizny i automatycznie zaczęła podnosić sztukę po sztuce, rozprostowywać, wygładzać i układać w porządnym stosie na lodówce. - Coś cię naprawdę musiało ucieszyć.

- Za długo by wyjaśniać - odparłam, rozwijając zniszczone kartki z wypracowaniem o Keatsie i obserwując, jak rozsypują się w moich rękach. Śmiech wstrząsał moim ciałem i wyciskał łzy z oczu.

- Ej, lubię posłuchać, jak ona się śmieje - zawołała Nan. - Ślicznie to robi, bieda tylko, że ostatnio nieczęsto.

- Ano, teraz jak nic się śmieje - zauważyła Ivy, a ja, wyczerpana, osunęłam się na kuchenne kafelki, przykrywając twarz strzępami swojego wypracowania.

Najpierw pojechała do Londynu, żeby, jak utrzymywaliśmy, próbować swoich sił jako aktorka, a ja złożyłam wymówienie dwa tygodnie później. Znaleźliśmy dla niej miejsce w Domu Samotnej Matki, prowadzonym przez instytucję dobroczynną, tyle że zgodzili się ją przyjąć, dopiero jak będzie w szóstym miesiącu. Zatrzymaliśmy się więc niedaleko stamtąd, w Finchley, u siostry Billa, Annie; owdowiała dwa lata wcześniej i radowało ją nasze towarzystwo. Miała dziwną córkę, o imieniu Theresa, z twarzą jak chmura gradowa. Też szesnastolatka, ale jakaś zapóźniona, bo bez przerwy

pytała, dlaczego Jessie jest taka gruba. Słyszałam, jak Annie mówiła jej później, że Jessie była niegrzeczną dziewczynką i że ona ma się pilnować, bo jak nie, to skończy tak samo. Tyle że nie sądzę, by jakiś mężczyzna kiedykolwiek próbował zbliżyć się do niej, taką miała skwaszoną minę.

Ten dom nazywali Domem Nadziei. Usłyszałam o nim w Związku Matek; nigdy bym nie podejrzewała, że się przyda. Nie było to jednak przyjemne miejsce. Duży wiktoriański budynek z cegły, śliskie posadzki, długie ciemne korytarze. Do dziś czuję zapach płynu odkażającego.

Dziewczęta miały swoje pokoje, co najwyraźniej jeszcze pogarszało sytuację. Jessie mówiła, że nocą zza zamkniętych drzwi dobiegał ich płacz. Sama wytrzymała ledwie dwa tygodnie.

- Nie zdzierzę dłużej, Nance - oświadczyła. - Zabierz mnie z powrotem do Annie. Tu jest okropnie. Wiedziałaś, że nie wolno nam używać frontowych drzwi? A w niedzielę każą iść do kościoła i stać z tyłu, żeby nie oglądała nas reszta wiernych.

- Musisz być tam, gdzie są lekarze i pielęgniarki - przekonywałam ją. - Muszą mieć cię na oku, bo przecie jesteś bardzo młoda. Złotko, tu będziesz miała najlepszą opiekę. Będę przychodzić codziennie, zadbam o ciebie. - Tak po prawdzie, to byłam przerażona, że może się rozmyślić. Albo zniknąć, albo zrobić sobie co złego. Wiedziałam, że do końca wszystkiego nie przemyślała.

Kiedy zaczęła rodzić, o pięć tygodni za wcześnie, była noc i ja o niczym nie wiedziałam. Poszło szybko, niewiele ponad dwie godziny. Pielęgniarki powiedziały, że ma niewyparzoną gębę.

- W życiu nie słyszałam takich przekleństw - oświadczyła mi później jedna z nich - a w tych murach niejedno już miałyśmy okazję usłyszeć.

Jessie powiedziała, że były okrutne i nie dały jej nic na bóle.

- Bolało niemiłosiernie. Powiadam ci, już NIGDY do tego nie dopuszczę. I ten doktor, przyszedł pod sam koniec i nie odezwał się ani słowem, ani jednym słówkiem. Mam nadzieję, że zgnije w piekle, on i ta cała reszta.

Ja natomiast nie byłam w stanie myśleć o niczym z wyjątkiem tego dziecięcia.

-Nadal chcesz mi ją oddać? - spytałam, czując serce w gardle.

- O tak - odparła bez chwili zwłoki - możesz ją sobie wziąć. Nie chcę jej. - A mnie robiło się na przemian zimno i gorąco.

Przyjechał Bill, żeby zabrać mnie do domu, został ze mną przez tydzień, tak że kiedy wróciłam, wszyscy się dziwowali. Bo on wcześniej powiedział, że opiekuję się chorą krewną. I wtedy im powiedziałam, że to było takie niewinne kłamstewko, bo chociaż byłam bardzo przejęta swoją wyczekiwaną ciążą, to jednocześnie zamartwiałam się, że w moim wieku coś może pójść nie tak. Nie wiem, czy mi uwierzyli. Nie było to ważne. Cokolwiek sobie naprawdę myśleli, to przecie nikt nigdy o nic nie zapytał. Dziewięciodniowe cudo, jedynie to było ważne. I tamtej pierwszej niedzieli w kościele odmówili modlitwę za mnie i za malutką, a ja nie czułam się ani trochę winna. „To nasza tajemnica”, powiedziałam Panu. „Ja nic nie powiem, jeśli Ty nie powiesz”.

Oczywiście w naszym domu nie ma kaloryferów, bo są zbyt użyteczne, rozłożyłam więc dzinsy na łóżku i wsadziłam do jednej nogawki końcówkę suszarki do włosów. Z dołu dobiegło mnie trzaśnięcie drzwi i głos Ivy, a po nim głos mamy (dziwnie zduszony). Przeniosłam suszarkę do

drugiej nogawki i pomyślałam o spotkaniu z Danielem, że może nie będzie taką udręką, jak mi się na początku wydawało; mogłabym powiedzieć, że prawie go lubię. Oczywiście, nie w taki sposób, za bardzo jest pieprznięty. Choć jednocześnie zabawny. Wydawało mi się, że rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny w szkole. Może to ja jestem dziwaczką.

Wyłączyłam suszarkę i w ciszy, która nagle zapanowała, usłyszałam, jak zamykają się drzwi sypialni mamy.

- Za chwilę przyniosę ci mleczko magnezjowe, złotko -zawołała z dołu Ivy. - Przyłóż tylko głowę do poduszki na pół godzinki. I rozwieszę ci pelerynę.

Kolejna kryzysowa sytuacja.

Kiedy poczułam, że mankiety dżinsów są już mniej więcej suche, zsunęłam spodnie od dresu, przeciągnęłam stopy przez elastyczne ściągacze i zaczęłam wkładać dżinsy.

Znieruchomiałam. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Coś było nie tak. Chociaż nogi do kolan weszły bez trudu, to ja już wiedziałam, że spodnie na pewno nie zapną się na moim zaokrąglonym brzuchu.

A jednak nie wywinęłam się losowi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Może być tyyyyylko lepiej. Tak musi być, mówili o tym w telewizji. Powiedzcie mi jednak, która partia polityczna rozwiąże moje problemy. Gdybym sądziła, że zrobi to jakąś różnicę, byłabym w punkcie wyborczym już o siódmej rano, ale tak naprawdę nikogo nie obchodzą ludzie tacy jak my, którzy tkwią w swoich domach, skazani na towarzystwo osób niespełna rozumu.

Oszczędzamy dla tego kraju krocie i gdzie się to wszystko podziewa? Cholerne subsydia dla cholernych londyńskich oper i tym podobnych. Zagłosowałabym na tę zabawną Partię Kompletnie Zbikowanych Pomyleńców, gdyby mnie to w ogóle obchodziło, ale szkoda mi na to energii. To dobrze, że oferują podwiezienie do punktu wyborczego, ale założę się, że żadne z nich nie zgodziłoby się zmienić Nan worka, w czasie kiedy ja korzystam ze swoich demokratycznych praw.

Politycy, ci to powinni spróbować pożyć w rzeczywistym świecie.

- Musisz zrobić test - oświadczył Daniel.

Patrzyłam na jego twarz zamglonymi od łez oczyma. Siedzieliśmy we włoskiej kawiarni Tiggy przy stoliku z twardym plastikowym blatem, poznaczonym mokrymi kręgami. Właściwie nie zamierzałam mu nic mówić, ale moja



głowa zaprzątnięta była tylko tym jednym i nic innego się w niej nie mieściło. Poza tym myślałam sobie, że on będzie wiedział, co zrobić. Wyglądał mi na takiego.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Zresztą to i tak pewnie fałszywy alarm. To znaczy, zupełnie nie wyglądasz na taką w ciąży, jeśli cię to pocieszy. Niby od kiedy by to miało być?

- Od trzech i pół miesiąca, jeśli się nie mylę. - Zgnębiona kreśliłam końcem łyżeczki linie na powierzchni cukru. -Boże, to przecież niemożliwe. Nie ja. Każda, ale nie ja.

-To może być po prostu rezultat nadmiaru wielkanocnych jaj. Albo zaburzenie równowagi hormonalnej; nie rosną ci przypadkiem włosy na brodzie?

- Och, na miłość boską, Daniel, to zupełnie nie jest temat do żartów!

- Przepraszam. - Opuścił głowę.

- Przyrzekasz, że nie puścisz pary z ust? Nie mogłabym znieść myśli, że inne dziewczęta...

-A ja mógłbym? - Robił wrażenie szczerze dotkniętego. -Ja nie robię takich rzeczy. Poza tym, komu mógłbym to powiedzieć? Słuchaj, jeśli to nie jest zbyt osobiste pytanie, czy zatrzymał ci się okres?

- Daniel! Naprawdę!

- No, to dość istotne, Charlotte. To znaczy jestem co prawda tylko mężczyzną, ale nawet ja dostrzegam tu pewien związek.

- Cóż, i tak, i nie. Och, nie chcę wchodzić w szczegóły, są zbyt paskudne. A już na pewno nie z tobą. Nie mówi się o takich sprawach, to nie wypada.

- W naszym domu - wzruszył ramionami - rozmawiamy o wszystkim, co dotyczy biologii. W końcu tata jest lekarzem. Żadne procesy fizjologiczne nie są u nas tabu. Kie-

dyś zabierali nas na plażę naturystów w Grecji, dopóki nie zacząłem mieć tego, co moja mama nazywała „chętka”.

- To pewnie dlatego, że należysz do klasy średniej. W naszym domu wszystko jest tematem tabu, nie istnieją bezpieczne tematy, dlatego też przeważnie ze sobą nie rozmawiamy. To znaczy Nan rozmawia, ale ona się nie liczy, bo nic, co powie, nie ma większego sensu. - Świadomość, z czym przyszedłem, znowu przygniotła mnie swoim ciężarem i aż pochyliłam się nad stolikiem. - Och, Danielu, co ja mam robić? - jęknęłam.

- Poczekaj tutaj - odpowiedział, wstając. - Ani drgnij. -I wyprysnął z lokalu.

Czekałam i wyglądałam przez okno. Chodnikami przewalały się tłumy beztroskich ludzi. Co druga postać niosła w sobie jakąś nieproszoną aluzję: zaśmiewająca się para wiotkich nastolatek z płaskimi brzuchami; elegancka bizneswoman, której życie jest najwyraźniej bardzo barwne; także - co za okropność - mamuśka z ogromnym brzuchem zaawansowanej ciąży trzymająca malucha na specjalnej uprząży, osłaniająca dłonią oczy i zaglądnąca do mojej kawiarni. Wlepiłam w nią wzrok. Czy to boli, kiedy ciało przybiera takie rozmiary? Co dzieje się ze skórą? Czy nie pęknie jak u rzuconego na ziemię pomidora? Jak to możliwe, że nie opadają jej spodnie? Jak sobie radzi w toalecie?

- Przestań się na nią gapić - rzucił Daniel, siadając ponownie przy stoliku i podsuwając mi torebkę od Bootsa. Uświadomiłam sobie, że wpatrywałam się w tę kobietę z prawdziwym przerażeniem, i wreszcie odwróciłam wzrok.

- Czy to jest to, co przypuszczam?

-Aha. Skacz do toalety, sprawdź, co trzeba, a potem pójdziemy. -Dokąd?

- Rób, co ci każą. No chodź. - Postawił mnie na nogi i poprowadził na tyły lokalu.

Kiedy znalazłam się w kabinie, rozdarłam celofan i otworzyłam pudełeczko. Wysunął się z niego niewielki biały plastikowy przedmiot podobny do mazaka. Przyjrzałam mu się dokładnie, zdjęłam zakrętkę, wyłowiłam złożoną w harmonijkę instrukcję, rozprostowałam ją. Więc siusia się po prostu na końcówkę; dwie minuty później wszystko jest już jasne.

- I co? - zapytał Daniel, który tkwił pod drzwiami toalety. - Jeszcze nie spojrzałam.

- Świetnie.

Złapał mnie za rękę i wyciągnął na ulicę.

- Dokąd to? - zawołałam, kiedy ciągnął mnie przez tłum.

- Po prostu chodź!

Pobiegliśmy Standishgate do Market Street i Parson's Walk, wpadliśmy na Mesnes Park Terrace i stamtąd do parku.

-Szybko! - Przebiegliśmy przez żelazną bramę i rzuciliśmy się na trawę. Upadłam na ziemię, po chwili przewróciłam się na wznak i leżałam, dysząc ciężko.

- Ziemia nie jest mokra? - spytał, przesuwając dłonią po trawie.

- Jest mokra jak cholera, ale mam to w nosie - wysapałam. - I co teraz?

- Otwórz ten test. - Przykucnął obok mnie. - No już. -Kiwnął głową zachęcająco.

Usiadłam, wyjęłam torebkę z kieszeni kurtki i wyciągnęłam pudełeczko. Wsunęłam paznokiec pod tekturowe skrzydełko.

-Wiem, czego szukać, czytałam ulotkę. Jeśli drugie okienko będzie puste, jestem uratowana... O Boże, Daniel, o Boże. O nie.

Nachylił się i zerknął na dwie niebieskie linie. Powie-

trze znieruchomiało. Był to jeden z tych momentów, kiedy wszechświat obraca się wokół nas, a my wiemy, że już nic nigdy nie będzie takie samo.

-Och! Charlotte, tak mi przykro. - Daniel wyglądał na zdruzgotanego. - Byłem przekonany, że wszystko będzie dobrze. Byłem tego pewien.

Tylko mnie nie dotykaj! - pomyślałam, ale nawet nie próbował. Z zaciśniętymi szczękami przyglądał się czubkom drzew. Widziałam, że nie ma najmniejszego pojęcia, co mówić, i bardzo żałowałam, że nie mogę pstryknąć palcami i spowodować, żeby zniknął.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy tam, na tej wilgotnej trawie. W głowie miałam pustkę, czułam tylko ucisk wokół klatki piersiowej i miałam wrażenie, że za moment pęknie mi serce. Patrzyłam, jak słońce to znika, to znów się pojawia, jak sobie figluje z chmurami, ale w ogóle nie czułam jego ciepła. Byłam kompletnie zmrożona.

- Szczekasz zębami - odezwał się Daniel, ponownie skupiając na mnie uwagę. - Może powinniśmy już pójść.

Nienawidzę cię, pomyślałam. Gdyby nie ty, nic bym nie wiedziała. To twoja wina, ty cudaczny, pieprzony okularniku. Czekałam, aż niebo się zawali albo rozstąpi i wtedy pojawi się skierowany we mnie gigantyczny oskarżycielski palec. To mogłaś być TY... no i J ESTEŚ! Jak to możliwe, że wokół mnie nic się nie zmieniło, kobieta spacerowała sobie z psem, chłopiec jeździł niepewnie na rowerku, gdy tymczasem moje życie dobiegło końca? To kurewsko NIESPRAWIEDLIWE.

A potem pomyślałam, że wynik testu może się okazać błędny. Napisali, że one są miarodajne jedynie w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach. Co oznacza, że dwa w każdej setce nie są. Powiedzmy więc, że w całym kraju sprzeda-

li w tym tygodniu, dajmy na to, pięćset sztuk, to gdzieś w Wielkiej Brytanii dziesięć kobiet dostanie sraczki ze strachu bez powodu. I jedną z nich mogę być ja. Przecież miałam okres, co powinno wystarczyć. Pewnie wszystko jest w porządku. Kiedy wrócę do domu, podbiore mamie jedną z tych jej moczopędnych tabletek i spróbuję pozbyć się trochę tego sterczącego brzucha. Bo ostatecznie, wzięwszy wszystko pod uwagę, ja to Ja, a ja w żadnym razie nie mogę być w ciąży. Podniesiona na duchu, zaczęłam szukać w kieszeni ulotki z instrukcją.

- Uważam - powiedział Daniel ostrożnie - że twoim następnym krokiem powinna być wizyta u lekarza. I chyba dobrze byłoby się pospieszyć, jeżeli... - Zamilkł.

Chyba mi wtedy odrobinę odbiło.

- A co to, do CIĘŻKIEJ CHOLERY, ma wspólnego z TOBĄ? - Pchnęłam go tak, że o mało nie wywinął orła. Okulary mu spadły i wylądowały na mokrej trawie, i to spowodowało u mnie jeszcze większy przyływ nienawiści. - To MOJE ciało! MÓJ problem! Nie masz pojęcia o NICZYM. Po prostu, po prostu - machałam bez sensu rękoma - ZEJDŹ MI Z OCZU! - Podczas gdy on starał się rękawem wytrzeć zachlapane szkła, ja z trudem podniosłam się z ziemi, ściskając w ręce białą plastikową pałeczkę z tymi nieszczęsnymi równoległymi kreskami. - I ty też możesz się ODPIEPRZYĆ! - przemówiłam do pałeczki, wbiłam ją w ziemię niczym śledzia od namiotu i stanęłam na niej całym ciężarem. Odwróciłam się i sztywnym krokiem odeszłam w stronę małego niezdarne rowerzysty.

- Nie wiem, dlaczego wściekasz się na mnie - krzyknął za mną Daniel, a potem dodał ciszej - przecież to nie ja cię tak urządziłem.

Ruszyłam biegiem.

Ubiegłej nocy znów przyśniły mi się pociągi. Szczegóły ulegają zmianie, niemniej główny wątek snu powraca: usiłuję się gdzieś dostać (choć punkt docelowy jest zawsze dość niejasny), ale pociąg, któtym jadę, nigdy tam nie dociera. Zawsze jest jakaś poważna przyczyna; znajduję się w niewłaściwym pociągu albo ten nie odjeżdża ze stacji, albo zamienia się w taczkę. Budzę się przerażona, z poczuciem straty.

Nietrudno jest zinterpretować ten konkretny ciąg symboli, pierwszy lepszy pseudopsycholog mógłby je odczytać. Zastanawiam się tylko, czy gdybym zebrała swoje życie do kupy, to te pociągi w końcu by jednak dotarły do celu czy może po prostu te sny przestałyby mnie nawiedzać.

Czasami, rano, zanim wstanę, leżę przez kilka chwil, a serce mam wypełnione tęsknotą za czymś, czego nawet nie potrafię zidentyfikować.

Tamtego ranka przyszedłam do szkoły dziesięć po dziewiątej, chociaż formalnie rzecz biorąc, jestem opłacana dopiero od wpół do dziesiątej. Chciałam mieć wolne pole manewru. Panował niewiarygodny spokój. Wszyscy byli na apelu (z wyjątkiem Sylv, która zrezygnowała z codziennej porcji stawy duchowej na rzecz odbierania telefonów). Przeszłam na palcach obok głównego biura i pogałam długim korytarzem. W moim kierunku popłynęły dźwięki hymnu wyznaczonego na ten ranek.

**- *Codzienny trud i kromka chleba, 0 nic więcej prosić nie trzeba* —**

śpiewały dzieci, bezbarwnie, po północnemu. I owszem, kiedy zajrzałam przez szparę dwuskrzydłowych drzwi, zobaczyłam stojącego na froncie pana Fairbrothera, śpiewnik uniesiony wysoko, trąbkę i pacholek drogowy u jego stóp (lubi pomoce wizualne ten nasz pan F, oj lubi. „Słyszę i zapominam, widzę i pamiętam”, powtarza nam nieustannie). Miałam więc jakieś pięć mi

nut. Ruszyłam z powrotem w stronę części administracyjnej, zerknęłam zza rogu, droga wolna, i wpadłam do gabinetu pana F.

Kiedy znalazłam się w środku, cisnęłam torbę z pelerynką na fotel, żeby nie mógł jej przegapić. Zastanawiałam się, czy nie dołączyć kartki, ale co miałam na niej napisać? Przepraszam, że puściłam pawia na pańskie buty? Rozejrzałam się szybko po pokoju. Półki z aktami i książkami, druki związkowe, a na tablicy wywieszono najlepsze wytwory uczniowskich rąk; w głębi na podłodze pod ścianą ogromny amonit, nadmuchiwany młotek, małopka marionetka, klatka chomika, maska diabła (jak powiedziałam, przepada za rekwizytami); w rogu zaś karton ze skonfiskowanymi piłkami, kapiszonowcami, kijkami, pałkami itd. Na biurku stało ślubne zdjęcie jego rodziców i pysznił się cały zbiór okropnych bibelotów, które przez całe lata ofiarowywali mu uczniowie. Był to pokój dobrego człowieka. Och, dlaczego wszystko sknociłam?

Czas iść. Przyłożyłam ucho do drzwi, a potem powoli je otworzyłam.

- Wszystko gra? - Głos Sylv spowodował, że skoczyłam na milę w powietrze. Stała po drugiej stronie korytarza, w ręce trzymała upačkany szminką kubek z kawą; najwyraźniej na mnie czekała. - Jest na apelu. O czym zresztą dobrze wiesz.

Mogłam jej powiedzieć. Mogłam gestem skinąć na nią, zamknąć drzwi i zapoznać ją krok po kroku z całą smutną historią. Byłaby zachwycona. Kazałabym jej przysiąc, że dochowa tajemnicy (znikoma szansa, ale zawsze). Nie potrafiłam jednak tego ztobić.

- Sprawdzalam tylko listę rzeczy zgubionych - oświadczyłam, a ona wpatrywała się we mnie tak uporczywie, że brwi niemal schowały jej się we włosach. „Och, odchrzań się, ty stara zołzowata jedzo”, prawie że warknęłam. Prawie.

Ten ranek zdawał się ciągnąć w nieskończoność. O dziesiątej

siedziałam zaszyta w kącie z grupą wymagającą zajęć wyrównawczych i pomagałam jej uporać się z zestawami zadań z geometrii. Wszyscy obrysowali swoje dłonie i zgodziliśmy się, że moja jest największa, a ja, licząc centymetry kwadratowe, usiłowałam odsunąć od siebie wspomnienia z niedzieli.

- Ile pani ma łąt? - spytał Dale.

To ich zwyczaj, tych z grup wyrównawczych, zawsze próbują wciągnąć mnie w pogawędkę.

- Tak nie można - zareagowała natychmiast Lisa. - Paniom nie zadaje się takich pytań.

- Uważam, że ma jakieś dwadzieścia pięć - nie zrażał się Dale. Miał podłużną twarz i mocno zarysowaną szczękę, kompulsywnie gryzał końce ołówków.

- Nie - uśmiechnęłam się. - Obawiam się, że jestem odrobinę starsza.

- Pięćdziesiąt? - podpowiedziała Lisa. - Ptzypomina pani moją babcie, a ona właśnie obchodziła swoje pięćdziesiąte urodziny.

- A kiedy są pani urodziny? - spytał Dale, wypluwając na stół drzazgi przeżutego drewna.

- Moje są w przyszłym tygodniu - oświadczył, budząc się nagle, gruby Philip. - Dostanę Furbyego.

- Ty tłusty pedale - powiedział Dale. - Ty gruba dziewucho. Grupy się wymieniały, a ja pomagałam kolejnej przygotować

tło z papieru pod wystawkę na temat transportu. Na każdym arkuszu widziałam rozczarowaną twarz pana F i nadaśaną facjatę Sylv. Za każdym naciśnięciem zszywacza odnosiłam wrażenie, że wbijam zszywki we własne skronie. W końcu spytałam Pauline, czy mogę pójść po paracetamol.

- Idź i usiądź sobie w pokoju nauczycielskim - odparła. - Do przerwy zostało już tylko dziesięć minut, ja tu posprzątam. - Najwyraźniej kiepsko wyglądałam.



Niestety, sttażniczką paracetamolu jest Sylv, ale akurat, hurra, nie było jej w sekretariacie, wobec czego otworzyłam szafkę i obsłużyłam się sama, popijając pigułki zimną wodą. Stamtąd udałam się prosto do pokoju nauczycielskiego, „...widziano, jak się obściskiwali na parkingu ptzy Feathers”-usłyszałam przez uchylone drzwi, zanim zdążyłam wejść do środka. Wykonałam w tył zwrot i poszłam korytarzem. Natknęłam się na pana F, który podążał w przeciwnym kierunku.

- Dzięki za, ee, torbę, ee... - oświadczył, kiedy zrównał się ze mną.

- Och, żaden problem. To ja dziękuję. - Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Nie zatrzymuj się, powiedziałam do niego w myślach. Nie zatrzymał się, a ja wyszłam przez wahadłowe drzwi na boisko i wreszcie wzięłam oddech. Było mi gorąco i czułam, jak płoną moje policzki. Może to menopauza, trochę przedwczesna. Ale znając moje szczęście...

Zabrzmiał dzwonek i z budynku zaczęli wysypywać się uczniowie. Przeszłam przez teren rekreacyjny po plamach roztopionego śniegu i przysiadłam na niskim murku przy furtce, marząc o kawie.

- Psze pani? - U mojego boku wyrósł Dale. Do jego warg przyczepiły się maleńkie okruszki czerwonej farby z ołówka. -Niech pani spojrzy! Zrobiłem dla pani kartkę. Na urodziny. Może pani ją zachować i wyjąć, kiedy przyjdzie pora. - Wręczył mi złożoną kartkę kratkowanego papieru z narysowanymi ołówkiem dwiema postaciami. Jedną otaczało coś, co okazało się kałużą krwi. - Tak ma być, to oprych - wyjaśnił Dale, wskazując palcem. - Ten drugi to Gravekeeper, on ratuje świat. - Uniósł ramiona niczym skrzydła, a potem opuścił je wzdłuż boków.

- Niezła sztuczka, jeśli się wie, jak ją wykonać - oświadczyłam, rozkładając kartkę. Dla fspaniałej nauczycielki", przeczytałam. „Najlepsze rzyczenia". Mamy takie czasy,

że nie wolno nam dotykać uczniów, ja jednak nachyliłam się i uściskałam chłopca. To właśnie takie niespodziewanie pojawiające się promyki światła przywracają człowiekowi zdrowy rozsądek, chwilami. - Uratowałeś sytuację - oświadczyłam ciepło. Cofnął się o krok. - Naprawdę. Ocaliłeś tę chwilę, dałeś mi siłę, bym mogła stawić czoło kolejnemu nieuchronnemu kryzysowi. Zapaliłeś maleńkie światełko w ciemnym tunelu. Dale, jesteś superbohaterem własnej galaktyki. - Spoko, spoko, psze pani - zaniepokoił się Dale.

Poczekalam tydzień i wykonałam kolejny test, wynik był pozytywny, więc sprawę przesądzał. Potem posortowałam swoje ciuchy i w rezultacie została mi kupka polarów, rozciągniętych swetrów, bezkształtnych spódnic i legginsów. Stałam naga przed lustrem i nie miałam najmniejszych wątpliwości. Całe ciało zaczęło się zmieniać. Przestało być moje. Należało do tego czegoś we mnie. W szkole unikałam Daniela, prawdę mówiąc, unikałam wszystkich. Dużo czasu spędzałam w bibliotece, siedziałam nad otwartymi książkami i wyglądałam przez okno. No bo jak mogłam przyłączyć się do reszty w świetlicy, gawędzić o strojach i chłopcach, i o odchudzaniu, o kłótniach i rozstaniach. W kącie mądrali w kółko gadali o Tonym Blairze i jego Nowej Wizji, a mnie to wszystko zupełnie nie obchodziło. Za każdym razem, kiedy ktoś użył słowa „rozwiązanie”, bebechy mi się przewracały. Reszta świata wydawała się nierealna; zupełnie jakby między mną a pozostałymi wyrosła szklana ściana. Już wtedy, w parku, pomyślałam, że odtąd nic nigdy nie będzie takie samo, ale trwało to jakiś czas, nim ta prawda zakorzeniła się we mnie na dobre. Chcę powiedzieć, że nie sięgałam wyobraźnią poza

tę ciążę. Bieżącym problemem było staranie, żeby nie wyglądać grubo, i (to już było mniej konkretne zadanie) przygotowanie się na krzyk, jaki się podniesie, kiedy wszyscy się dowiedzą, szczególnie zaś moja matka, która na pewno przeżyje głębokie załamanie z tej okazji. Na dalekim horyzoncie majaczył poród, jak słyszałam, dość bolesny, a ja nie jestem za bardzo wytrzymała na ból. A potem? Wiedziałam, że na końcu tego wszystkiego pojawi się niemowlę, ale to już przekraczało moją wyobraźnię. Jak to możliwe, ja i dziecko.

Chyba że zdecyduję, że go nie będzie. Jednak, jak zauważył Daniel, niech go wszyscy diabli, jeśli mam wybrać tę możliwość, to muszę się pośpieszyć. A ja nawet nie wiedziałam, na czym to polega. Odkurzają cię od środka, powiedziała mi kiedyś koleżanka. Nie brzmiało to zbyt groźnie, niemniej nawet ja wiedziałam, że jest to coś więcej niż tylko krótka wizyta u lekarza.

Wydaje mi się, że tym, co nie dawało mi spokoju, były tamte paluszki. Pokazali nam kiedyś w szkole film o ciąży. Na ekranie wiercący się płód ssał kciuk i wierzgał cieniutkimi nóżkami z rozczapierzonymi paluszkami, a narrator mówił: „Spróbujcie odgadnąć, ile miesięcy ma to maleństwo”. Nauczycielka zatrzymała taśmę, a my odpowiadaliśmy i wtedy większość z nas dawała mu pięć miesięcy. Potem znowu włączyła taśmę i usłyszeliśmy, że ma ono zaledwie trzy i pół miesiąca. „Zobaczcie, jak bije już to serce z wykształconymi komorami i przedsionkami”, ciągnął narrator. „W rzeczywistości bicie serca da się usłyszeć już po sześciu tygodniach rozwoju płodu”. Cud stworzenia. Co za durnota.

Zatem na tym etapie dojrzała i rozsądna osoba przeanalizowałaby wszystkie za i przeciw, postawiła jedno popieprzone życie naprzeciw drugiego, też popieprzonego, tyle

że inaczej, i próbowała uczciwie stwierdzić, z czym tak naprawdę może się zmierzyć. Ktoś dojrzały powiedziałby swojej matce, poszedł do lekarza, do terapeuty.

Ja jednak zachowywałam się jak skamieniała. Bo przecież to nie mogła być prawda; to nie mogło dziać się w moim życiu. Zamierzałam wsunąć tę ciężę pod papier wyściełający jakąś nieużywaną szufladkę mojego umysłu. Coś jeszcze się zdarzy, na pewno.

Szedł wielkimi krokami, dzieci krążyły i bzykały wokół niego jak muchy.

- Proszę - powiedział. - Bez cukru.

Wzięłam parujący kubek i wlepiłam wzrok w ziemię, podczas gdy on oglądał niebo nad moją głową.

- Nie przejmuj się niedzielą - zaczął. - To się zdarza. Sam kiedyś bardzo chorowałem po kupionej na stacji benzynowej kanapce z jakąś nędzną kiełbasą. - Skinieniem głowy wskazał na moje krótkie rękawy; kurtka została w pokoju nauczycielskim. - Tylko się nie przezięb, proszę.

Odszedł i natychmiast przypadł do niego mały chłopiec, ciągnął za nogawkę i gestykulował w kierunku boiska do piłki nożnej. Pan F nachylił się, żeby wysłuchać opowieści.

Dam im całą przerwę, żeby się naplotkowali do woli, a potem wracam do środka.

Rozmawiałam w swoim pokoju z Danielem. To znaczy wyobrażałam sobie, że jest tutaj, bo to umożliwiało mi racjonalne podejście do sprawy.

-Wiem, że znów chcesz spotkać się z Paulem. Ja pytam jedynie, czy przemyślałaś prawdziwe powody, dla których chcesz to zrobić. - Daniel siedział skulony z kolanami

pod brodą na siedzisku z poduchy wypełnionej plastikowymi kuleczkami. Ja siedziałam przy biurku i gryzmoliłam wzorki na wyklejce *Rozważnej i romantycznej*.

- Ma prawo wiedzieć - odparłam ponuro.

Tak bardzo chciałam zobaczyć się z Paulem, że doskwierało mi to jak ból zęba; nie mogłam znaleźć sobie miejsca ani usiedzieć spokojnie. Była niedziela, co jeszcze pogarszało sytuację. W niedzielach jest coś takiego, co doprowadza człowieka do jakiegoś wewnętrznego rozdygotania, nawet teraz, w tych emocjonujących czasach sprzedaży prosto z bagażników samochodowych i przedłużonych godzin handlu. Mama poszła do sklepu dla majsterkowiczów, żeby kupić kawałek listwy wykończeniowej, a Nan grała na dole w domino z Ivy. Ja natomiast tyle już razy przemierzyłam w tę i z powrotem własny pokój, że nie czułam nóg; wydawało mi się, że mój brak zdecydowania doprowadzi mnie do szaleństwa. Stąd pomysł z Danielem.

-Wcześniej czy później się dowie. Dużo dłużej nie da się tego utrzymać w tajemnicy. Chyba że ty...

- No dobrze, w porządku - rzuciłam cierpko. - Wiem, w czym rzecz.

-A szczerze, jakiej się po nim spodziewasz reakcji?

Nie byłam gotowa odpowiedzieć na to pytanie, nawet zadane przez siebie. Spróbowaliśmy inaczej.

-W świecie idealnym - wyimaginowany Daniel popchnął do góry palcem wyimaginowane okulary - jakiej byś się po nim spodziewała reakcji?

To już było łatwiejsze.

- Cóż, przede wszystkim okazałby mi niesamowite wsparcie. „Cokolwiek zdecydujesz, Charlie, będę stał przy tobie”, tak by powiedział.

-A co ty sama chcesz zrobić?

- Chcę... przede wszystkim nie chcę być w ciąży. - Usłyszałam, jak mój głos stopniowo przechodzi w zawodzenie.

- Daj spokój, Charlotte, dorośnij. - Daniel westchnął ciężko. - Czy to znaczy, że decydujesz się na aborcję?

-Ja... - Nagle kątem oka dostrzegłam, że gałka u drzwi się obraca, i z przerażenia serce podeszło mi do gardła. Drzwi się otworzyły i powłócząc nogami, weszła Nan.

- Ivy szykuje opiekane bułeczki z rodzynkami, masz chętkę? - spytała.

- Och, Nan, dzięki Bogu, że to ty. Myślałam, że to mama. Nan obdarzyła mnie nieodgadnionym uśmiechem.

- Bułeczki - powtórzyła.

- Nie, nie, jedzcie same. Zjem później. Nie jestem głodna.

- Iii, no nie wiem. Nie głodna. Ja mogłabym zjeść nawet żabę w maśle. - Zachichotała z własnego dowcipu i wycofała się, zamykając drzwi. Poczekalam, aż się zatrasną, po czym znów skupiłam uwagę na Danielu.

- No więc, zamierzasz...?

-To zależy od tego, czego on chce. Gdyby poszedł ze mną, kiedy będą to robić, gdyby był naprawdę miły i gdybyśmy ponownie się zeszli i potem pozwolił mi o tym mówić, i nigdy nie wspomniał Jeanette Piper ani Chrissy...

- Gdyby babcia miała wąsy...

-Ha! ha! ha! Śmieszne jak jasna cholera. - Pozbyłam się go, usiadłam i zaczęłam rysować komiksowe bomby i błyskawice.

Na łóżku pojawiły się nieproszone Julia i Anya i wdały się w pogaduszki.

- To chyba najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić - oświadczyła Anya.

- O tak. Rak byłby też niezgorszy, podobnie jak utrata obojga rodziców w wypadku samochodowym - doszła do wniosku Julia.

-Albo trwałe oszpecenie, kwasem czy czymś takim. No wiesz, szklane oko i takie tam. -Albo porażenie wszystkich czterech kończyn. -No.

-Ale ciąża to niezłe okropieństwo. Mam na myśli, że całe życie się pieprzy. Wyobrażasz sobie, co powiedziałyby twoja matka?

Obie zrobiły przerażone miny, a Julia chwyciła się rękoma za gardło i zaczęła wydawać odgłosy, jakby się dusiła.

-Ja bym zwyczajnie umarła. A ty nie?

-O Boże, jasne. Coś okropnego. Totalnie kurewsko okropnego - stwierdziła Anya.

-Jest jednak coś, czego nie rozumiem. - Julia oplatała kosmyk włosów wokół palca. - Nie rozumiem mianowicie, jak ona mogła do tego dopuścić. Jest niby taka bystra. Z egzaminu z historii, tego, co to miała go rzekomo spieprzyć, dostała bardzo dobry.

- Prawda. I wiesz co, ja nawet nie wiedziałam, że ma chłopaka. Bo faktycznie, potrafi być taką wstrętną małpą i nic człowiekowi nie mówić. Szczerze mówiąc, myślałam, że jest jeszcze dziewicą.

- Mówią, że cicha woda... - podśmiewała się Julia. Anya zaczęła chichotać i wtedy Julia rozchichotała się

na dobre.

- O kurczę, jesteśmy okropne. To nie jest zabawne. Biedna Charlotte.

-Tak, biedna poczciwa Charlotte.

Od Barrow Road odchodzą trzy identyczne kończące się ślepo uliczki; dom Paula stoi przy tej drugiej. Niewiele się zmieniło od mojej ostatniej wizyty, poza tym, że osłona przystanku autobusowego została doszczętnie ogołociona

z daszku i reszty desek; jedynie betonowe słupki sterczały nadal z porozjeżdżanej trawy. Pamiętam, że kiedy byłam mała, przesiadywało tam, paląc i plotkując, trzech starszków w czapkach i w ciepłych szalikach. Byli taką strażą sąsiedzką, pełnili dozór przy szosie. Nan ich znała, pozdrawiała ich zawsze, a oni się jej kłaniali. Po kilku latach zostało ich dwóch, a potem w obłoku siniego dymu samotnie już siedział ostatni z nich. Pewnego dnia i jego zabrakło, a wtedy ławkę zaczęto niszczyć kawałek po kawałku. Tak sobie myślę, że być może kiedyś Bank Top nie było takie gówniane, tylko coś niedobrego stało się z ludźmi.

Owczarka alzackiego nie było. Na podwórku zobaczyłam tylko pogryzioną gumową piłeczkę i kawał łańcucha.

Drzwi otworzył mi pan Bentham; nie ulegało wątpliwości, że był zaskoczony.

- Pau I! Paul! - zawołał w kierunku schodów. - Masz gościa! Nad poręczą pojawiła się twarz Paula.

- Cholera jasna - zaklął bezgłośnie, kiedy mnie zobaczył. Nie ruszył się z miejsca, więc wdrapałam się na górę.

Nim dotarliśmy do jego pokoju, byłam zdyszana i spocona.

-Czego chcesz? - rzucił mało elegancko.

Z ukłuciem bólu zobaczyłam, że nadal jest przystojny, że kołdra w barwach Manchester United robi wrażenie pomiętej łózkowymi igraszkami, że dostał od kogoś białego misia z łapami w kształcie serc, którego postawił sobie na komputerze.

- Mogę usiąść?

Wzruszył tylko ramionami, wobec czego zostałam na miejscu, ramię w ramię z Davidem

Beckhamem. Chwila okręcała się w miejscu na długiej nici. Nie mogłam zmusić ust do ruchu, chociaż mózg pracował mi jak szalony.

- Ładny miś - oświadczyłam w końcu jak ostatnia debilka.



-Aha, taa. - Zachichotał z zakłopotaniem i rozejrzał się po pokoju, patrząc na wszystko, byle nie na mnie. - Kurde, no wiesz, to dość dziwaczne... - Pozwolił sobie na jedno spojrzenie w moją stronę. Tyle razy tutaj byłam, myślałam sobie, a przez te ostatnie tygodnie, o czym nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, w moim wnętrzu dzieliły się komórki, 2, 4, 8, 16, gwałtownie rosnąca bomba zegarowa. Komórki podążają do wyznaczonych im miejsc jak dziewczyny w pływaniu synchronicznym. I ta ciągła zmiana kształtów: ameba w jagodę, potem w krewetkę, w kosmitę, w dziecko. Pod tym polarem jest dziecko. Cześć, tato.

-Hej, wszystko w porządku? Bo wyglądasz trochę... dziwnie.

Zaczerpnęłam odwagi z tego, co wydało mi się zatroskaniem w jego głosie, i dałam dwa kroki do przodu.

- Paul, ja... nie, nic nie jest w porządku. Jestem... - Automatycznie ułożyłam rękę na brzuchu, a on podążył za nią wzrokiem; oczy otworzyły mu się szeroko. Potem brwi wróciły na miejsce, a twarz stężała. - Paul?

-Och, nie. Nie, tylko nie to. Nie chcę tego usłyszeć!-Odwrócił się i położył sobie obie dłonie na karku, odcinając się w ten sposób ode mnie.

Za moment, pomyślałam, wsadzi sobie palce w uszy i zacznie nucić.

- Paul, musisz wiedzieć...

-ODWAL SIĘ! - wrzasnął na mnie. - Nie próbuj mnie tym obarczać. To twoja wina. Chryste! Ty głupia, kretyńska suko! - Walił pięściami w ścianę, potem oparł się o nią, kuląc ramiona, wciąż odwrócony do mnie plecami. Wyglądał jak trzylatek, któremu matka nie pozwoliła się pobujać na tygrysie przed Tesco.

Zapanowało milczenie, a ja zwalczałam w sobie ochotę, żeby pobiec schodami w dół, potem ulicą i przez cały kontynent, bez końca, byle odbiec od tej ciąży.

- Przykro mi Paul, to prawda.

-O Jezu. - Jęknął i w końcu odwrócił się twarzą do mnie. - Na pewno się mylisz. Przecież nie było tak, że się nie zabezpieczaliśmy. Mnóstwo dziewczyn wpada w panikę, to nic nie oznacza. Sama doprowadziłaś się do hysterii.

- Zrobiłam test.

Nakrył usta dłonią i zaklął głucho.

-Jest twoje - powiedziałam.

Odjął rękę od twarzy i wlepił we mnie wzrok.

- Nie, Charlotte. Tu właśnie się mylisz. Ono jest twoje. Tylko twoje. Ni cholery nie życzę sobie mieć z nim cokolwiek wspólnego.

Przynajmniej wiesz, na czym stoisz. Przynajmniej wiesz, na czym stoisz.

Nie pamiętam powrotu do domu, ale znalazłam się w swoim pokoju pod kołdrą, z czego wynika, że wróciłam. Może spałam, bo było mi bardzo gorąco i czułam suchość w ustach. Może był to jedynie sen. To wszystko mogło być snem! Jednak nie, moja ręka przesunęła się po wypukłości brzucha, a rzucone na pożegnanie słowa Paula nadal dzwoniły mi w uszach. Nałożyłam słuchawki walkmana, ale nie pomogło, słowa Paula zagłuszały wszystko. Ton jego głosu wrył mi się w pamięć na zawsze, będzie tam tkwić, nawet gdy jego rysy zdążą się zatrzeć. Umrę, prawdopodobnie słysząc w kółko powtarzające się w mej głowie tamto ostatnie zdanie.

Mocniej wtuliłam się w pościel. Kiedy byłam mała i było

nam z matką bardzo dobrze razem, przed pójściem spać pozwalała mi uwić sobie z kołdry gniazdko. Potem zaglądała do niego i udawała, że mnie tam nie ma i zaraz wyjdzie z pokoju, a wtedy ja wyskakiwałam, cała zarumieniona i potargana, wrzeszcząc: „Bajka!”, a ona niezmiennie robiła wrażenie zaskoczonej. Czytała mi co wieczór, jeszcze długo potem, jak sama nauczyłam się czytać. Gdybym tylko znów mogła być mała. Wiele rzeczy docenia się po latach.

Musiałam znowu się zdrzemnąć, bo teraz słyszałam już drugą strony taśmy, a Nan potrząsała mnie delikatnie za ramię.

- Do zamkniętych ust muchy nie wpadną - mówiła właśnie, kiedy zdejmowałam słuchawki.

-Że co?

Nan usadowiła się na łóżku, nachyliła i pogładziła mnie po głowie. Normalnie poddawałabym się temu niechętnie, nie, żebym jej nie kochała, tylko mam fioła na punkcie swojej przestrzeni życiowej. Tym razem jednak leżałam spokojnie; potrzebowałam ciepłych uczuć.

- Więc będziesz miała dziecko - oświadczyła po krótkiej chwili.

O mało nie wyskoczyłam ze skóry. -Nan!

- Nie fraszuj się, wszystko będzie dobrze. Zadbamy o ciebie. - Sięgnęła pod kołdrę i ujęła moją rękę sękatymi palcami. Jej ciało wisiało luźno na kostkach, jakby już wkrótce miało odpaść.

Wzdrygnęłam się i zamknęłam oczy, pomiędzy rzęsami przeciskały się łzy. -Och, Nan.

- Charlotte, złotko. - Mocniej ścisnęła moją rękę.

- Proszę, nie mów mamie. Na razie. Nie potrafię teraz stawić jej czoła.

- Dużo wiem, a nie mówię. - Uśmiechnęła się łagodnie. (To prawda, pomyślałam sobie.) - Nie turbuj się, nic nie powiem, aż będziesz gotowa.

Ze słuchawki walkmana sączyła się piosenka:

*Pokonasz kłopoty Wpadasz w kłopoty Pokonasz kłopoty , Wpadasz w kłopoty I takie jest twoje życie  
Takie jest twoje życie*

- Och, Nan, dlaczego wszystko się tak gmatwa? Dlaczego mnie się to przydarzyło?

- lili, gołąbku-odparła. - Dasz sobie radę. Bóg jest dobry. -Jak sobie dam radę?

Ona tylko pokręciła głową i wciąż gładziła moje włosy. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby słuchawki zsunęły mi się na tył głowy.

Moja matka miała osiemnaście lat, kiedy mnie urodziła, Jimmy przyszedł na świat dwa lata później. A przecież nie potrafiła utrzymać ojca przy sobie. Harold Fenton był niespokojnym duchem, jego własna matka nie rozumiała, co w nim siedzi. Myślę, że nas kochał. Nie ożenił się z mamą, ale dał nam swoje nazwisko jako pierwsze, tak że każdy wiedział, kim jesteśmy. Nancy Fenton Marsh. Nienawidziłam tego nazwiska, ciągle nie znoszę. Wypełnianie kwestionariuszy i w ogóle; przecież nikogo to nie powinno obchodzić. Bo w tamtych czasach grzech padał na dzieci tak samo jak na ich matkę. A wokół było tego mnóstwo.

Pieniądzy ciągiem jej brakowało, dlatego musiała brać pranie, a w tamtych czasach było to nieliczne zawracanie głowy; dwie balie, bojler na węgiel, tara, maglownica, robota bez końca. Własnego domu też nigdy nie miała. Latem, krótko przed moim urodzeniem, siadywała na podwórku swoich rodziców w nocnej koszuli i w narzuconym na nią płaszczu ojca; wszystko inne byłoby za małe. Powiedziała, że poród był straszny: kiedy podnieśli mnie do góry i powiedzieli: „Polly, to dziewczynka”, odparła, że może to być i mosiężna małpka, byle już była na zewnątrz.

Kiedyś, miałam wtedy jakieś sześć lat, a Jimmy cztery, czekaliśmy na autobus, żeby pojechać do Wigan, i obok nas stanęła dość elegancko wyglądająca kobieta. Nadjechał autobus, mama wsadziła nas do niego i wsiadła za nami.

- Mamo - zauważyłam - to nie jest nasz autobus, gdzie jedziemy?

- Nieważne - odparła. Okazało się, że ta kobieta to najnowsza lalunia mojego taty. Dojechaliśmy aż do Worsley, zanim matka doszła do siebie. Ojciec miał wiele kobiet, powiedziała mi przed śmiercią, ale był jej mężczyzną i tyle. „Przynajmniej nie pił alkoholu”, mawiała.

Pewnie myślała o swoim ojcu, Peterze Marshu. Jej matka, Florrie, nie miała lekko, choć męża miała. Pożenili się, bo była przy nadziei, a potem umarło w pierwszym roku życia troje ich dzieci. Lekarz powiedział, żeby więcej nie ryzykowała, bo zrujnuje sobie zdrowie - wtedy to była zadowolona, że może spać we frontowym pokoju z Polly, z dala od niego. Trzeba wam wiedzieć, że on był podlec; zawsze musiała wydzierać mu każdego pensa, bo wszystko przepijał. Posyłała Polly pod bramę kopalni, żeby wydostała od niego choć część tygodniówki, zanim pójdzie do pubu (nigdy nie wracał prosto do domu, kiedy miał choć parę pen-

siaków), ale to doprowadzało go do furii. Na pewno odetchnęła z ulgą, kiedy w 1917 roku postanowił wstąpić do Loyal North Lancashires, ale kiedy do nich dotarł, okazało się, że ledwo kto przeżył, więc dołączył do East Surreys. Przesłał potem kilka pięknych jedwabnych pocztówek, „Pozdrowienia z Francji”, ozdobionych haftowanymi flagami i kwiatkami, a na drugiej stronie pokrytych jego niezgrabnym pismem. Potem trafił go pocisk, a raczej wskoczył do dołu, żeby przed nim uciec, a tam jak raz nakryła go fala błota. Właśnie zastanawiała się, jak powiedzieć mu o dziecku, to znaczy o mnie, kiedy dostały depeszę. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata.

Mój ojciec też chciał wstąpić do wojska, w wieku siedemnastu lat, ale co dla niego typowe, było już po wszystkim, zanim dotarł na front. Nie sądzę, by się tym mocno przejął. Matka bardzo się bała, że też może zostać wdową, ale przecież nigdy nie wyszła za męża, to i nie mogła owdowieć. Ale straciła go wcześniej; dwa dni po trzydziestych pierwszych urodzinach został potrącony przez samochód w Manchesterze, przed Giełdą Zbożową. Brakowało mi go, mimo że niczym kot to był w domu, to go nie było. Obie go oplakiwałyśmy. Był moim tatą. A kiedy człowiek dorasta, tata jest mu potrzebny. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ostatecznie to rodzina jest najważniejsza.

Obudziłam się nagle. Taśma się skończyła i ze słuchawek dochodził już tylko szum. Wyplątałam się z przewodów i wygrzebałam spod kołdry.

- Nie mogę urodzić tego dziecka, Nan. Podjęłam decyzję.

W nogach łóżka Nan pochrapywała cicho. Nakryłam ją i na palcach wyszłam z pokoju.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Poszłam na randkę w ciemno z przyjacielem brata Pauline z kursu taekwondo. „Ma fascynującą osobowość”, powiedziała kiedyś Pauline. To znaczy, że jest brzydki jak noc, pomyślałam. Było jeszcze gorzej. Kiedy weszłam do pubu i zobaczyłam, jak stoi oparty o bar, przypomniał mi się stary kabaretowy dowcip: Nie wstawaj, aha, widzę, że już stoisz. Sięgał mi do nosa. No i uraczył mnie pięćdziesięciominutowym ryszotkowym monologiem.

- Mam swoje sprawdzone sposoby - oznajmił na koniec. - Najpierw cycki, potem tyłek. - I ryknął śmiechem.

- Palant - syknęłam, sięgając po torebkę.

- Och, daj pokój, przepadacie za tym, wy, paniusie - wyszczerzył zęby.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek uprawiałaś z kimś seks? - zapytałam złośliwie.

Wreszcie się zamknął.

- Jego bliźniak poddawany jest dializie, musisz być dla niego wyrozumiała - powiedziała nazajutrz Pauline.

- Niby dlaczego? - Spojrzałam na nią surowo. - Bo co? Dla mnie nikt nie ma wyrozumiałości.

Odwróciła się bez słowa i zajęła liczeniem bonów do Tesco. Krowa.

- O Boże, jesteś tu!

Daniel siedział z zafrasowaną miną pod oknem u Tiggy. - A sądziłaś, że może mnie nie być? - zapytał.

- No cóż, w tych okolicznościach... ja bym sama siebie zlekceważyła, na pewno. - Osunęłam się na krzesło obok niego. Wypukłość mojego brzucha sięgała niemal krawędzi stolika. - Nie wiem, co powiedzieć. Zachowuję się jak ostatnia zołza.
  - Nie, nie, no cóż, faktycznie. Roześmialiśmy się oboje nerwowo.
  - Przepraszam.
  - Poniosły cię hormony. Sprawa jest zbyt ważna, żeby się kłócić. - Palce we włosach, zmarszczone troską brwi. -I co ostatecznie postanowiłaś?
  - No. - Staralam się mówić cicho. - Bo to zupełnie niewykonalne. Równie dobrze mogłabym zająć się dzieckiem, jak polecieć na Księżyc. Pomyśl tylko. Życie mamy ległoby w gruzach, ja musiałabym zrezygnować z uniwersytetu i zostać, mój Boże, siedzieć w domu latami, nawet myśleć o tym nie mogę. I wiem, że byłabym okropna, nie nadaję się na matkę. Zachowałam się strasznie głupio, powinnam była starać się do końca wszystko rozwiązać. To znaczy ojciec...  
Głos mi się zaczął załamywać, zaszczypały oczy.
  - Dość, już nic nie mów.
- Niesamowicie gruby szef kuchni, z fartuchem mocno opiętym na wydętym brzuchu, precyzyjnie przycisnął się obok naszego stolika z tacą pełną brudnych filiżanek.
- Trochę cierpliwości, brakuje nam personelu - warknął do siedzącej w kącie staruszki. Wszyscy odwrócili głowy, żeby popatrzeć. Kiedy stanął do niej plecami, pokazała mu środkowy palec, po czym zgarnęła do torebki wszystkie saszetki z solą i pieprzem.
  - Ten to dopiero wygląda na ciężarnego. Ty, w porównaniu z nim, to istna sylfida. Słuchaj, przyniosę ci koktajl



mleczny, a ty tymczasem rzuć na to okiem. - Z kieszeni dzinsów zaczął wyciągać jakieś złożone kartki.

Kiedy był przy barze, przejrzałam informacje, które ściągnął z Internetu. „Aborcja jest legalna do dwudziestego czwartego tygodnia ciąży”, czytałam. „Obowiązuje wstępna konsultacja z lekarzem, jeśli jednak kobieta sobie życzy, może też porozmawiać z psychologiem”. Hmm. To dopiero pomysł. Nie chciałam, żeby mi namieszali w głowie jeszcze bardziej, niż już miałam namieszane. Na dodatek mogliby namawiać do zmiany decyzji, a teraz, kiedy już ją podjęłam, za nic nie zamierzałam się z niej wycofać. Paluszki czy nie paluszki.

- Bananowy - powiedział Daniel, stawiając szklanę na stoliku. - Skończyły się czekoladowe. Wypij tak czy owak, potrzebny ci wapń, bo inaczej możesz stracić zęby. A pewnie nie chciałabyś być na dodatek bezzębna, prawda?

Spróbowałam się uśmiechnąć.

„Żeby zakwalifikować się na zabieg ambulatoryjny, kobieta nie może przekroczyć dziewiętnastego tygodnia ciąży. W innym przypadku musi zostać do następnego dnia w szpitalu lub ośrodku zdrowia”. Zabieg ambulatoryjny!

„Przyjmuje się ogólnie, że aborcja niesie ze sobą bardzo niewielkie ryzyko dla zdrowia”. Paluszki.

- Jak myślisz, w którym jesteś miesiącu? - spytał Daniel łagodnym głosem.

Cofnęłam się pamięcią i policzyłam.

- Mogę być prawie pewna. Sądzę, że to osiemnasty tydzień, tak sądzą. Więc możliwe, że akurat się załapię. Mogłabym pójść do przychodni rano i po południu być już z powrotem; powiedziałabym mamie, że byłam na zakupach w Manchesterze.

Kupiłabym podpaski największego rozmiaru, udała, że mam grypę, i odpoczęła przez dzień czy dwa. Może nie byłoby aż tak źle.

Daniel wyglądał na zakłopotanego.

- Taa, może się udać. Tyle że oni mają tę dziwną metodę liczenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Serce zaczęło mi walić jak młotem.

- Mój tata kiedyś o tym wspomniał. Oni nie liczą od konkretnego dnia, ee, od poczęcia. - Opuścił wzrok. - Liczą od początku twojej ostatniej miesiączki. Więc...

-Że jak?!

-Więc, no cóż, to oznacza, że dla nich mniej więcej przez pierwsze dwa tygodnie ciąży nie jesteś w ciąży. Że się tak wyrażę.

- Na pewno coś ci się pomyliło. To niedorzeczne, to nie ma sensu. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

- No dobrze. Nieważne. Pewnie się mylę - wycofał się. Ledwie wypowiedział te słowa, natychmiast nabrałam przekonania, że ma rację.

-Z tego, co mówisz, wynika, że jestem raczej w dwudziestym tygodniu - zakryłam twarz dłońmi, po czym przesunęłam je w dół. Ale się popieprzyło!

Gruby szef kuchni ponownie wyszedł zza lady i zaczął wymyślać dwóm chłopcom, którzy chuchali na szybę i rysowali na niej falliczne kształty.

-Jak twój tak wygląda, to powinieneś iść do lekarza! -ryknął. - Zadzwoń do waszego dyrektora. Do której szkoły chodzicie, kiedy nie jesteście akurat na wagarach?

- Lepiej zwiewajmy, bo da nam popalić! - zawołał jeden z nich, po czym obaj zerwali się z miejsc i przebiegli obok nas, potrącając stolik i wprawiając w obrót butelkę z so-

sem. Patrzyliśmy, jak się kołysze i przewraca. Kecup wypływał z otworu szyjki powoli, hipnotyzujące

Może i jestem głupia, ale przecież nie jestem kompletną idiotką. Wiedziałam, że musi istnieć poważny powód dla tej granicy dziewiętnastu tygodni, że zabieg w późniejszym terminie może być dużo bardziej traumatycznym przeżyciem. Kiedyś, gdy usuwali mi ząb mądrości, byłam bardzo chora, wymiotowałam dalej, niż widziałam, spuchłam niemiłosiernie i wyglądałam jak chomik. Jeszcze dziś robiło mi się słabo na samo wspomnienie.

Czy stosują znieczulenie ogólne? Najlepiej byłoby, jakby po prostu uśpili człowieka, żeby nie widział, co się dzieje, ale co, jeśli tego nie robią? Co jeśli to naprawdę, naprawdę boli i widzi się, co wyjmują, a potem do końca żyje się z tym obrazem w głowie?

-Czy wiesz dokładnie, co oni robią? - Zmusiłam się do zadania tego pytania.

- Nie. Te strony nie podają takich szczegółów. Tylko to, co widzisz na kartkach.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy kłamie, czy mówi prawdę. Długo patrzyliśmy na siebie, ale wytrzymał moje spojrzenie. Nagle, zupełnie znienacka, panika chwyciła mnie za gardło, jak atak mdłości. Tylko nie ja! To nie mogło przytrafić się mnie! Nie dam rady, musi istnieć jakiś inny sposób!

Z całych sił starałam się opanować. Mama ma te swoje ćwiczenia oddechowe, uczą ich na kursach opanowywać gniew; ona je stosuje, kiedy dochodzi między nami do prawdziwej awantury. Nie wie, że ja też je stosuję. Wdech przez nos, liczenie do pięciu, wydech ustami. Muszę - wdech - odsunąć te przerażające myśli - wydech - i stawić czoło -wdech - problemom praktycznym - wydech. Nie ma inne-

go wyjścia. Wdech. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zachowam spokój.

- Mogłabyś - mówił Daniel - powiedzieć mamie, że nocujesz u przyjaciela, to znaczy u przyjaciółki...

- Nigdy tego nie robię.

- Powspółpracuj ze mną, Charlotte. Mogłabyś jej powiedzieć, że to jakaś szczególna okazja, osiemnaste urodziny czy coś takiego...

- Musiałabym opuścić lekcje, a w szkole zażądałoby usprawiedliwienia.

-Za tydzień zaczynają się ferie.

-A co będzie, jeśli zadzwoni do tej przyjaciółki, żeby sprawdzić?

- Weź swoją komórkę.

- Nie mam komórki!

-No to weź moją, na miłość boską! - rzucił zdesperowanym głosem. - Mogłabyś powiedzieć, że pożyczyła ci ją przyjaciółka, żeby w każdej chwili można się było z tobą skontaktować, nawet jeśli będziesz się do późna włóczyć po klubach. I podaj fałszywy numer telefonu domowego, tak że kiedy wrócisz i okaże się, że ona jednak próbowała się dodzwonić, to będziesz mogła powiedzieć, że najwidoczniej się pomyliłaś.

- Boże, niezły z ciebie kłamca. - Nie pierwszy raz spojrzałam na niego z podziwem.

-Oznaka inteligencji. - Przechylił głowę, uniósł brwi. -Zatem wszystko mamy pod kontrolą.

Zamknęłam oczy i wzięłam jeszcze jeden głęboki wdech.

-Jesteś taki... Boże, nie mam pojęcia, co powiedzieć.

-To nic wielkiego. Po prostu dostarczyłem ci informacji. - Dopił cappuccino i odchylił się do tyłu.

-Cóż, taak, chyba wszystko jest, ee, pod kontrolą.

Chociaż to cholernie dziwne określenie, jak na tę sytuację. -Czekając, aż moje wnętrzności się uspokoją, ponownie przejrzałam kartki. Wyglądało na to, że wszystko może się udać.

Tymczasem tamci dwaj chłopcy wrócili, nachuchali na szybę od zewnątrz i zaczęli wypisywać na niej GRUBY DRAŃ.

I wtedy wpadło mi w oko to zdanie.

„Po szczegóły dotyczące opłat proszę zajrzeć na naszą stronę”.

- Hej, Daniel, to prywatna klinika? Skinął głową.

- Na pewno nie stać mnie na nią. Ile to by kosztowało? -Jakieś pięćset-sześćset funtów.

Słomka od koktajlu wysunęła mi się z palców.

- Chyba żartujesz? - wykrztusiłam. -To nieważne...

- Bardzo cię przepraszam, ale to cholernie ważne!

-Gdybyś tylko zechciała przez chwilę posłuchać. Miałem ci właśnie powiedzieć, że dziadek zostawił mi parę tysięcy, leżą na koncie i nic nie robią.

-O Boże! W żadnym razie. Nie wezmę twoich pieniędzy na coś takiego. W żadnym razie. Nie ma o czym mówić.

Wyciągnął do mnie rękę nad stolikiem, ale jej nie dotknęłam.

-Charlotte, a masz jakiś wybór? Oddasz mi, kiedy dostaniesz pożyczkę dla studentów czy co tam, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej.

-Jest jeszcze państwowa służba zdrowia.

-Jeśli chcesz zaczynać od początku i przejść całą tę zmuśną procedurę - twoja wola. Ale mówiąc szczerze, jest na to odrobinę za późno.

Chciałam, żeby ktoś to wszystko wziął w swoje ręce, żeby zdjął ze mnie to brzemię. Poczułam ogromne znużenie.

- Możesz mnie tam zarejestrować?

- Zadzwoń do nich natychmiast po powrocie do domu. Tak jak powiedział: czy miałam jakiś wybór? W taki oto sposób zawalił się mój świat.

Szukałam jakiegoś kubka. Otworzyłam szafkę w kuchni, ale była tam tylko porcelanowa filiżanka Nan, ta z różyczkami, i przyozdobiony wizerunkiem wieży w Blackpool kieliszek na jajka. To niedorzeczne, mamy przecież w domu ze dwadzieścia różnych kubków.

Wiedziałam, gdzie one wszystkie się podziały, wobec czego ruszyłam na górę i zapukałam do drzwi Charlotte. Cisza. Od tygodni prawie jej nie widywałam, ciągle znikwała w swoim pokoju z kanapkami i niezliczonymi jogurtami. Miała powtarzać materiał, ale pomyślałam sobie, że pewnie rozpamiętuje zerwanie z tamtym chłopcem, więc zostawiałam ją w spokoju.

Stałam i nasłuchiwałam. Nie słyszałam, żeby wychodziła, ale najwyraźniej tam jej nie było.

(Nawiasem mówiąc, nie mam zwyczaju wpadać do sypialni mojej córki z tego prostego powodu, że boję się, co mogłabym tam odkryć — nie bez podstaw, jak się okazało. Och, DLACZEGO musiałam mieć RACJĘ?)

Powoli uchylłam drzwi, odetchnęłam duszną atmosferą pokoju nastolatki i rozejrzałam się dookoła.

Kubki, owszem, były, kilka brudnych wałało się tu i tam; na podłodze poniewierał się polar; a Charlotte, zobaczyłam Charlotte na łóżku, w pozycji półleżącej, opartą o wezglowie, ze słuchawkami od walkmana na uszach, z książką rozłożoną na brzuchu.

Jej brzuch.

Przez cienkiego T-shirta dostrzegłam jego jednoznacznie wznoszący się zarys. Na szczycie wypukłości utrzymywała się książka w miękkiej okładce i wyglądało to, jakby Charlotte trzymała

tam tackę na poduszce wypełnionej kuleczkami, z tych, co to kupuje się starszym ludziom. Gwałtownym ruchem zwróciła głowę w moją stronę i wlepiła we mnie wzrok. To było moje spojrzenie, sprzed osiemnastu lat.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i aż podskoczyłam z wrażenia. Byłam pewna, że zamknęłam drzwi, a tymczasem stała tam ona, niczym Nosferatu, tyle że z trwałą na głowie, i ostro zakończonym paznokciem celowała w mój brzuch. O Bożeobożeoboże, scenariusz jak z najgorszego koszmaru, około pięciu sekund niebywałej paniki, a potem, o dziwo, odezwało się we mnie coś zupełnie innego. I brało górę.

Gitarowe solo z mojego walkmana oddaliło się, a w głowie odezwał się głos: Nie panikuj. Już gorzej być nie może. Jedyne, co może zrobić, to krzyczeć. A do tego przywykłaś, spłynie jak woda po kaczce, prawda? A poza tym teraz, w tej sytuacji, jesteś jej równa. Kobieta rozmawia z kobietą. Nie może oskarżyć cię o coś, czego sama nie zrobiła. Zachowaj spokój i mów to, co przyjdzie ci na myśl. Osiemnaście lat temu siedziałam zalana łzami przy stole, a Nan klęczała obok mnie, usiłowała trzymać mnie za rękę, ale ciągle ją wyrywałam.

- Wszystko będzie dobrze, poradzimy sobie - powtarzała w kółko.

- Jak to MOŻLIWE, na miłość boską? - wykrzykiwałam raz po raz.

Nan była przestraszona - chyba trochę ją tyranizowałam po śmierci taty - ale jej głos brzmiał pewnie. Bardzo pewnie.

I nagle byłam gotowa I od tej chwili miałam wrażenie, że to nie ja wypowiadam te wszystkie słowa.

-Ty GŁUPIA...

Charlotte zerwała słuchawki. Na jej twarzy malowało się jakieś uczucie, ale nie wyglądało mi to na wstyd.

- O Chryste, nie zaczynaj...

- Co to znaczy, nie zaczynaj? Nie wierzę własnym oczom... - rozjuszona wycelowałam palcem w jej brzuch - kiedy widzę, że moja córka mogła być tak cholernie głupia i... i rozwiązała.

Odłożyła spokojnie książkę na kołdrę i usadowiła się wyżej.

- To znaczy taka sama jak ty? Dokładnie taka sama, mamó, a może już zapomniałaś?

Była zbyt opanowana. Miałam ochotę udusić ją gołymi rękoma.

- Och, nie. Jakżebym mogła zapomnieć? Właśnie w tym rzecz. Tyle poświęcenia, a teraz ten policzek.

- Tak mocno zacisnęłam pięści, że paznokcie wbiły mi się w ciało. - Powinnaś była czegoś się nauczyć na moim przykładzie, na moim błędzie! Myślałam sobie, na Boga, że jeśli nauczyłam cię choćby jednej rzeczy, to właśnie tego, żebyś nie zmarnowała sobie życia...

- Tak jak ty.

- Właśnie tak.

Jej oczy rzucały gniewne błyskawice, jakbym to j a zrobiła coś złego.

- Więc tak naprawdę żałujesz, że się urodziłam? Czy nie paliłaś się przez te siedemnaście lat, żeby mi to wreszcie powiedzieć?

Tyle poświęcenia.

- Cóż, ty to powiedziałaś.

- Widać chodzi nam o to samo.



Słowa fruwały i zderzały się w powietrzu. Potem zapadła ogłuszająca cisza.

Wreszcie Charlotte cisnęła książką w ścianę i książka spadła na kubek z długopisami, które rozsypały się po całym biutku. W tej samej chwili do pokoju wkroczyła Nan, z przestraszonym wzrokiem.

Ominęła mnie i podreptała do łóżka.

- Iii, złotko - odezwała się, kładąc rękę na ramieniu Charlotte. Na widok tego gestu dostałam szału. Bo niby komu należy

się tutaj współczucie?

- ZOSTAW ją! - wrzasnęłam. Obie się wzdrygnęły, ale ani trochę nie zmieniły pozycji. - TY - warknęłam do Nan - to TWOJA wina, to wszystko. Nie tkwiłybyśmy w tym bagnie, gdyby nie ty.

Wyjdź stąd i zostaw nas same.

Przysunęły się tylko jeszcze bliżej do siebie, a Nan przysiadła na brzegu łóżka. Objęła Charlotte ramieniem w tym jej najszerszym miejscu.

- Mów dorzecznie, Karen - wymamrotała. Miałam ochotę ją uderzyć.

- Mów dorzecznie? Mów dorzecznie? Przyganiał kocioł garnkowi, co? Nikt nie gada tylu banialuków co ty i to ja muszę ich codziennie wysłuchiwać, cud, że jeszcze nie postradałam zmysłów.

- Jesteś pewna, że nie postradałaś? W każdym razie to nie jest wina Nan, mamó. Jakkolwiek na to patrzeć, nie ma to z nią nic wspólnego. - Spod grzywki wyłaniała się drobna i zacięta twarz Charlotte.

- Czyżby? Czyżby? Świetnie, powiem ci coś, czego nie wiesz, moja panno.

- Karen - odezwała się cicho Nan. Nawet na nią nie spojrzałam.

- Przede wszystkim to Nan zmusiła mnie, żebym cię zatrzymała. Wytrzymaj, powiedziała. Urodź to dziecko, a potem, jeśli

nadal nie będziesz przekonana, oddasz je do adopcji, jest mnóstwo kobiet, które zechcą skorzystać z tej szansy. Oczywiście doskonale wiedziała, że jeśli cię urodzę, to nigdy cię nie oddam. Powiedziała, że będzie się tobą zajmować... -1 zajmowała się.

- Czasami. I nie w tym rzecz. Ona doprowadziła mnie do zmiany decyzji, zrujnowała mi życie. A miałam takie plany...

- Och - przerwała mi Charlotte zgryźliwie. - Puść inną płytę. Daj spokój, mamo, wszystkie wiemy, że ty to spieprzyłaś. Nie możesz winić nikogo. Nawet taty.

- Co ty tam możesz wiedzieć. Nie masz nawet jeszcze osiemnastu lat. Poczekaaj, aż będziesz w moim wieku i najlepsze lata życia zostaną bezpowrotnie za tobą, zobaczysz, co będziesz wtedy myślała o tych decyzjach, które ktoś za ciebie podjął. - To prawda, co mówią o tej czerwonej mgie, która nagle pojawia się przed oczyma. W uszach mi brzęczało, a serce gwałtownie pompowało kipiącą krew. Niepewnie postąpiłam krok do przodu i wycelowałam palec prosto w Nan. - Ona nawet nie jest moją prawdziwą matką.

Nan wcisnęła twarz w bark Charlotte, a ja czekałam na uderzenie gromu. Tymczasem ona patrzyła na mnie z całkowitym spokojem.

- Słyszałaś, co powiedziałam? Adoptowali mnie. Nan nie jest moją matką.

- No cóż - odezwała się Charlotte - żadna różnica. Przecież cię wychowała, prawda? To niby kim jest?

- Oddychała szybko i przywierała do Nan, która zamknęła oczy. - Przynajmniej cię chciała, a to znacznie więcej, niż ja mogę powiedzieć o swojej matce. Z mojego punktu widzenia, wygląda na to, że tobie udało się nie najgorzej. A teraz, proszę, wyjdź z mojego pokoju; powinnam pilnować ciśnienia.

Ku memu zdumieniu, matka okręciła się na pięcie i wyszła. A ja myślałam, że w którymś momencie mnie uderzy albo dostanie ataku serca. Bo policzki miała zaczerwienione, a oczy wytrzeszczone.

Moje serce tłukło się niemiłosiernie i czułam suchość w gardle.

Po chwili wyplątałyśmy się z Nan ze swoich objęć. Ona wyłowiła z rękawa chusteczkę, wytarła oczy i wydmuchała nos. Potem zaczęła szukać czegoś w kieszeniach rozpinanego swetra.

- Poczęstuj się toffi - powiedziała, wyciągając trzęsącą się rękę. - Ona nie chciała tego powiedzieć.

Kocha cię. Dlatego nie mogła cię oddać. - Zaczęła się mocować z celofanem.

- Nie obchodzi mnie to - odparłam i w tamtym momencie była to prawda. Paliło mnie w środku, żołądek podjeżdżał do gardła, ale myślałam trzeźwo. Z uczuciem triumfu chwyciłam cukierek. - Och, Nan, nie mogę uwierzyć, że powiedziałam jej prosto w oczy to wszystko. Już dawno trzeba było to z siebie wyrzucić. To wspaniałe uczucie. Jak mi się udało? Zupełnie jakby mnie coś opętało.

Nan odwróciła się do mnie i oblizała wargi. Jej dolna proteza wyskoczyła nagle do przodu, a ona szybko palcem wskazującym wcisnęła ją na miejsce.

- Przepraszam - powiedziała i obie zaczęłyśmy nerwowo chichotać.

Wtedy drzwi otworzyły się szeroko i mama znów pojawiła się w pokoju.

-Jak możecie w takiej chwili się śmiać! - wrzasnęła. Podniosła na wysokość twarzy oprawioną fotografię, którą trzyma na swojej toalecie; ja nad zatoką Morecambe, w białym kapeluszu przeciwsłonecznym i w majtkach, na twarzy zdmuchnięte wiatrem włosy. - Popatrz! Miałaś pięć lat, kiedy zrobiono to zdjęcie, no i przyjrzyj się sobie!

Istny obraz niewinności! I w końcu okazuje się, że brak ci tego rozsądku, z jakim przyszłaś na świat. A ja przez cały czas cię ostrzegałam!

Siedziałyśmy z Nan i patrzyłyśmy, jak ciska tę fotografię na biurko: rozsypały się następne długopisy i przewrócił gliniany słonik, którego zrobiłam kiedyś na lekcji w szkole.

- Do jasnej cholery, mamó. Odłamałaś mu trąbę.

- Idziesz na zabieg.

Mogłam jej odpowiedzieć: „No, rzeczywiście, za dwa dni. Jak chcesz, możesz pójść ze mną i pokibicować”. Tyle że w tej samej chwili wydarzyły się dwie rzeczy. Nan wciągnęła ostro powietrze i położyła dłoń na wypukłości mojego brzucha; i poczułam, jak dziecko się poruszyło.

Uświadomiłam sobie, że nie był to pierwszy raz, wcześniej już czułam jakieś trzepotania, niczym drganie nerwów, tyle że głęboko, w środku. Aż do tej chwili nie skojarzyłam sobie, czym one są.

- Idziesz na zabieg - powtórzyła mama.

Gdyby była to prośba; gdyby usiadła i przytuliła mnie, tak jak zrobiła to Nan; gdybyśmy pięć minut wcześniej nie powiedziały sobie tych okropności. Los jednak każdego dnia zależy od znacznie drobniejszych spraw niż ta.

- Mylisz się, mamó. - Trzepot, trzepot. - Nie pozbędę się tego dziecka. Zajmę się nim.

Nan objęła mnie mocno.

- Nie gadaj bzdur. Zupełnie się do tego nie nadajesz. - Nachyliła się do mnie i dosłownie wypluła z siebie te słowa. Gdybym chwilę wcześniej nie podjęła decyzji, to ten moment przesądziłby sprawę.

- Na pewno nadaję się o wiele bardziej niż ty. Przynajmniej nie pozwolę, żeby to dziecko przez całe życie poczuwało się do winy - trzepot, trzepot - przynajmniej podejmę

wysiłek, żeby nie czynić go odpowiedzialnym za własne ułomności. Jeśli osiemnaście lat temu ty mnie nie chciałaś, to w porządku. Ale ja nie zamierzam zrobić temu dziecku tego, co ty zrobiłaś mnie. Biedactwo. Zasluguje na coś więcej, niż ja dostałam.

Czy płód potrafi bić brawo? Byłam pewna, że czuję, jak po lewej stronie podbrzusza przepływa fala oklasków. Skąpane w adrenalinie maleństwo musiało nieźle się rozochocić.

Twarz matki znowu nabrała tego okropnego koloru, a nogi wyraźnie trzęsły się pod nią.

- Zmienisz zdanie. W przeciwnym razie nigdy się już do ciebie nie odezwę.

- Są gorsze rzeczy od małych dzieci - oświadczyła Nan. - Oseski są milutkie, naprawdę.

- A niech was obie wszyscy diabli - rzuciła na odchodnym mama.

Są gorsze rzeczy od małych dzieci, na miły Bóg, to szczerą prawdą.

W tamtych dawnych czasach najgorsze było opilstwo i ciągłe bójki. Dzieci biegły przez pole i krzyczały: „Harry Carter znowu się bije”, a my wszyscy ruszaliśmy, żeby popatrzeć. Harry mieszkał na szczycie wzgórza i ciągiem uganiał się za spódniczkami, choć był żonaty. Jego synkowie przepychali się przez tłum gapiów i wołali: „Nie bij się, tato”, ale on nigdy nie zwracał na to uwagi. Ciągłe namawiał żonę Herberta Harrisona, żeby z nim poszła, a ona za każdym razem skarżyła się mężowi, to było jak gra. Potrzebny im był tylko jakiś pretekst. Raz stałam w wielkim tłumie i patrzyłam, jak wodzą się za łby po ulicy, kiedy tuż obok stanął doktor Liptrot. Nie zauważył mnie, tak był zafascynowany w to,

co się dzieje. Ostatecznie Herbert Harrison powalił Harry'ego Cartera, odwrócił się i odszedł. Harry wstał, potarł brodę i zataczając się, podszedł do nas. Ja dałam nura w bok, ale doktor Liptrot poklepał go po ramieniu i oświadczył: „Niech to będzie dla ciebie nauczką. Walczące psy wracają kulawe do budy”. Harry zatrzymał się na chwilę, popatrzył na doktora, a potem tak go walnął pięścią, że wybił mu dwa przednie zęby.

Pili nie tylko mężczyźni. Moja babka Florrie miała wielki dębowy kredens z dużą ciemną plamą na wierzchu. Kiedyś przydybała mnie i Jimmyego, jak na kamiennych płytach podwórka bawiliśmy się zapalkami, wciągnęła nas do środka i pchnęła w stronę kredensu.

- Wiecie, po czym to ślad? - spytała. Pokręciłam głową; miałam nie więcej niż siedem lat, a ona potrafiła być bardzo groźna. - Sąsiadka podpaliła się lampą naftową - poinformowała nas. - Była pijana w sztok, wbiegła na nasze podwórko i wtoczyła się tutaj, cała w płomieniach. Dotknęła ręką tego kredensu i stąd ten ślad. - Zbliżyła twarz do naszych twarzy. - Zastanówcie się więc - powiedziała.

- A czy ona umarła? - spytał Jimmy.

- Pewnie, że umarła - odparła babka i trzepnęła każde z nas w ucho.

Nie było mnie przy tym zdarzeniu, ale jak się o nim dowiedziałam, miesiącami nawiedzało mnie we śnie. Jimmy nic nigdy nie rzekł, ale wiem, że jemu też się to śniło.

Pili i pili w tamtych czasach. Dziadek ciągiem popijał, mówiła moja matka. Wylewał piwo na stół i chleptał je z blatu jak pies, był okropny. A kiedy już wydał wszystkie pieniądze, stawał pod pubem i czekał, aż inni mu postawią, nijakiego wstydu nie miał. Już jako mała dziewczynka matka musiała biegać z dzbankiem do Zaprzęgu, kiedy był zbyt leniwy, żeby samemu pójść na piwo.

Przyjaciele śmiali się i mówili, że jest „oryginałem”, ale Florrie miała dla niego zupełnie inne określenie. Na jego pogrzebie, gdy sobie wypili, zaśpiewali mu:

*Mój ojciec to było ziółko Na samą myśl rumienię się na pysku Jak rozdawano Pod Chochlikiem piwo Zadeptano go na śmierć w tym ścisku.*

Matka mówiła, że to obrzydliwe i że wszyscy oni są z tej samej gliny ulepieni.

Później jego kumpel z kopalni opowiadał raz, jak to on poszedł kiedyś do kina na film z Charliem Chaplinem. Nie minęła godzina, a już był z powrotem w pubie. „Co się stało, Peter?”, pytali go. „Nie podobał ci się film?” „Pogasili światła”, on im na to, „no to wstałem i wróciłem się do domu”.

Wszyscy pokładali się ze śmiechu.

- No tak - powiedział drugi - a kiedyś był w Southport posłuchać Minstrelów i wyszedł gość, i zaśpiewał *Danny Boy*, a śpiewał naprawdę niezłe, więc publika zaczęła wołać: „Encore! Encore!” „Dajcie se spokój z tym Encorem - krzyknął na to Peter - niech tamten zaśpiewa jeszcze raz!”

Ktoś inny pamiętał, jak Peter Marsh wyszedł kiedyś bardzo zadowolony z kabiny do głosowania w lokalu wyborczym, bo powiedział sobie wcześniej, że nie zagłosuje na kogoś tam, w związku z czym postawił wielki krzyżyk obok jego nazwiska. Czy miał coś nie w porządku z głową, czy to tylko sprawka alkoholu? Nikt się nie zastanawiał, nie było to ważne, on po prostu był takim okazem.

Florrie to jednak nie śmieszyło. Miała za sobą dwadzieścia dwa lata jego sknerstwa i nieprzejmowania się dziećmi, które straciła. Nie wyszła ponownie za mąż; myślę, że miała

dość mężczyzn. Mieszkała ze swoją córką Polly, a potem ze mną, kiedy się pojawiłam, i to z kolei mój tata swoimi błazeństwami wodził nas wszystkich za nos.

Były takie chwile, kiedy Jimmy nienawidził ojca, nienawidził za to, że przychodzi i odchodzi, że nigdy nie ożenił się z naszą matką. „Kocha was na swój sposób”, mawiała mama. „Dał wam swoje nazwisko”. „To jeszcze gorzej o nim świadczy!” - odpowiadał Jimmy. Na to już nic nie mówiła, bo była to święta prawda. Musiała się winić za to, że nie potrafi go przy sobie zatrzymać.

Kiedy Jimmy był trochę starszy, zaczął włóczyć się po polach i wzdłuż kanału. Chodził i chodził, jakby czegoś szukał. I był też chłopcem na posyłki, załatwiał ludziom różne sprawy i w ten sposób trochę zarabiał. Często odwiedzał panią Crooks, bezdzietną wdowę z Hayfield House. „Zapłacę ci w piątek”, mawiała i zawsze płaciła. Pewnego dnia, gdy powinien być w szkole, Harry Poxon zobaczył go nad kanałem, jak wsparty na kijku wychylał się nad wodę. „Bo wpadniesz”, ostrzegł go. Wtedy ostatni raz widziano go żywego. Szukali go przez pięć dni, nim pod mostem w Am-bley bosak natrafił na jego ciało. Pani Crooks przysłała niezapominajki na jego trumnę, a cała szkoła ustawiona nad grobem zaśpiewała *Dzieci mają przyjaciela*.

Miał dziesięć lat, kiedy śmierć go zabrała.

Trzecia nad ranem i ktoś staje w drzwiach mojej sypialni.

- Nie mogę spać. Dziecko kopie.

- Wracaj do łóżka, Charlotte - mamroczę nie całkiem obudzona.

Ale to nie Charlotte, to Nan.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Całą noc śniło mi się, że tonę; obudziłam się, mając w pamięci obraz znieruchomiałego pod wodą dziecka i porażające przeświadczenie, że w jakiś sposób ponoszę za to winę.

Potem, kiedy już rozjaśniło mi się w głowie, pomyślałam, że jego ciało rzeczywiście pływa w moim wnętrzu i nawet teraz włoski falują wokół wielkiej głowy i że to wszystko kiedyś, w jednej chwili, gwałtownie wypłynie...

Nie byłam w stanie wybrać się do szkoły. Leżałam do jedenastej, gapiąc się w sufit.

- Powiem, że miałam gripę - oświadczyłam mamie, kiedy wreszcie zdobyłam się na opuszczenie swojego pokoju.

- Mów, co ci się żywnie podoba - rzuciła.

Wyszłam więc frontowymi drzwiami, Brown Moss Road doszłam do Gunners Lane i w końcu znalazłam się na drodze do Wigan. Będę szła i szła, aż padnę gdzieś na krawędzi świata.

Przy gospodarstwie Pod Kogutem skręciłam w prawo, w dróżkę prowadzącą do Ambley, minęłam pole golfowe i ukryty za zasłoną z drzew Hayfield House. Było mi wszystko jedno, dokąd idę. Nade mną krakały gawrony, przede mną w kurzu ścieżki podskakiwały wróble. Żywopłot rozkwitał dzikim bzem i dziką różą; w ciepłym powietrzu unosiła się woń płodności.

Zeszłam na bok, zsunęłam się po nasypie nad kanał i znalazłam na ścieżce flisackiej. Barka przepłynęła z perkotem; wokół drzwi kabiny malunki z tradycyjnymi motywami sztuki ludowej, mały łaciaty terier przycupnięty na daszku. Kobieta w średnim wieku stojąca przy sterze uśmiechnęła się i kiwnęła głową. To niezły pomysł; zawsze przecież mogę zamieszkać na łodzi, wypłynąć stąd kanałem manchesterskim i rozpocząć nowe życie. Przez ścieżkę przede mną przebiegł kos, wołając tak-tak, i dziecko we mnie zatrzepotało. Ty głupia dziewucho, powiedziałam do siebie. Dlatego właśnie jesteś w tych tarapatach, że dajesz początek Nowemu Życiu.

Kiedy zrównałam się z pubem pod Wędką i Muchą, uświadomiłam sobie, że chce mi się pić. Pogrzebałam w kieszeni i wyciągnęłam trzy funty trzydzieści pensów drobnymi. Po wytartych schodkach wspierałam się na poziom drogi, rozejrzałam, czy coś nie jedzie, i przeszłam na drugą stronę jezdni.

W porównaniu z jasnym światłem dnia wewnątrz pubu było ciemne i trwało jakiś czas, zanim mój wzrok się przyzwyczaił i mogłam się zorientować w otoczeniu. Wielokrotnie przejeżdżałam obok autobusem, ale nigdy wcześniej nie byłam w środku; lokal urządony był po staroświecku i na pewno przychodzono tu tłumnie w niedzielę na lunch i piwo z beczki. Wyteżając wzrok, dostrzegłam jakiś ruch za barem. Łysy grubas wycierał szklanki i podśpiewywał *Bom in the USA*, wtórując szafie grającej. Koszulę pod pachami miał mokrą od potu.

- Czy jest tu telefon? - spytałam, trzymając się w pobliżu drzwi.

Nie przestał odstawiać Bruce'a Springsteena, ręką wskazał mi korytarzyk prowadzący do damskiej toalety.

W kabinie zerknęłam na zegarek i wykręciłam numer komórki Daniela. „Proszę, miej ją włączoną”, błagałam go w myślach. Usłyszałam pstryknięcie.

-Halo?

- Daniel! To ja!... Co to za jęki?

- Hej, poczekaj sekundę, przeniosę się w spokojniejsze miejsce. O, teraz będzie lepiej. Po drugiej stronie świetlicy robią konkurs karaoke na cele dobroczynne. Właśnie jakiś pryszczaty uczeń wywrzaskuje na całe gardło, małpując Noela Gallaghery. Tylko tego człowiekowi potrzeba po morderczej lekcji fizyki. U ciebie wszystko gra? Nie widziałem cię dzisiaj na apelu...

- Aha, w porządku, tyle że nie bardzo miałam dzisiaj ochotę na szkołę. Słuchaj, masz jakieś okienko po południu?

- Pewnie chodzi ci o godziny nauki własnej? Mam jedną planowo, a drugą dodatkowo, bo pan Chisnall wyjechał na konferencję i kazał nam popracować w bibliotece. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, żebyśmy się urwali.

-Żebyś wiedział! Możesz to zrobić?

- Teraz?

-Tak, proszę. Jest pewien kłopot. Jeszcze jeden. Przepraszam cię. -Żaden problem, już jadę. Jesteś w domu?

- Broń Boże. Znasz Wędkę i Muchę?

- W Ambley? W niedzielę dwa tygodnie temu obchodziliśmy tam urodziny mamy. Niezły wybór pasztecików, tragiczna szafa grająca. OK, będę za... dwadzieścia minut. Nie rób nic niemądrego. Wyłączył się. Wzięłam dwie szklanki cydru i wyszłam poczekać na zewnątrz.

Usiadłam przy jednym z drewnianych stołów i przyglądałam się połyskującym samochodom sunącym po kamien-

nym mostku i wodzie płynącej pod nim. Brzegi porastała bujna roślinność, gałęzie drzew uginały się pod ciężarem niedojrzałych jeszcze owoców. Przepląnęła para łabędzi, zostawiając za sobą na wodzie ślady tworzące literę V, które znaczyły odbicie doskonałego nieba. Żałowałam, że nie mam aparatu fotograficznego. Sielankowy krajobraz przypominał widoczek na starej puszcze po toffi, w której Nan trzyma guziki. Wrócę tu kiedyś, przyrzekłam sobie, i sfotografuję to miejsce; a może namaluję obraz i podaruję go Nan. To by jej się spodobało.

W końcu błyszczący czerwony ford ka, nagroda za zdany parę miesięcy temu egzamin na prawo jazdy, pojawił się na mostku i zniknął na parkingu. Trzydzieści sekund później przez tylne wejście do ogródka piwnego wszedł Daniel. Gdyby tylko zrobił coś ze swoją czupryną, pomyślałam zjadliwie.

-Tam w środku jakiś gość startuje do programu *Gwiazdy w ich oczach* - oznajmił, przerzucając przez ławkę długie nogi i układając porządnie marynarkę.

- Wiem. Powiedziałabym raczej *Kielbie we łbie*. Będą musieli wbić facia w ciasny gorset, żeby choć trochę przypominał Bruce'a Springsteena. I założyć papierową torbę na głowę. Proszę. - Przesunęłam szklanekę w jego stronę.

-Zdrówko. - Pociągnął długi łyk. - A teraz ten kłopot. Chyba nie zmieniłaś znów decyzji?

- Skądże. Chcę urodzić to dziecko.

- Chwała Bogu. Po twoim telefonie odwołałem rezerwację w klinice, a zresztą, realistycznie patrząc, pewnie i tak byłoby za późno.

-Wiem. Już po wszystkim, prawda? -Tak jest. Wobec czego przyniosłem ci to. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął banana.

-Ty i te twoje owoce. Zjadłam już dzisiaj dwa jabłka. Naprawdę, zamieniasz się w żywieniowego zamordystę.

- Nie o to chodzi, on nie jest do zjedzenia, no chyba że masz ochotę. To twoje dziecko.

Oboje przyglądaliśmy się leżącemu na stole bananowi. Upstrzony był brązowymi plamkami, a od strony łodyżki miał niewielkie zadszcnięcie.

- Mam nadzieję, że nie.

-Nie mówię, że ma kształt banana, ale że jest tego rozmiaru. Sprawdziłem w Internecie.

- O mój Boże, naprawdę? - Wyciągnęłam rękę i pogłodziłam lepłą skórę, potem podniosłam banana i przyłożyłam sobie do brzucha. - Jejku, niesamowite.

-Wiesz, nadal nie wyglądasz na szczególnie ciężarną -oświadczył, zerkając na mój brzuch. - Może na odrobinę puszystą. Nigdy bym nie zgadł, gdybym cię pierwszy raz zobaczył.

- No tak, cóż, właśnie dlatego chciałam z tobą pogadać. Chcę, teraz, kiedy już podjęłam tę decyzję i nie ma już powodu niczego ukrywać, chcę powiedzieć o tym w szkole. I jestem przerażona, bo nie wiem, jak się do tego zabrać. To znaczy mogłabym wejść tam po prostu w T-shircie, co by sprawę od razu wyjaśniło, no wiesz, żadnego polara ani niczego takiego. I tak wszyscy uważają, że mi odbiło, bo noszę ciągle zimowe ciuchy, na niektórych lekcjach niemal mdleję z przegrzania, a muszę w kółko powtarzać, że jest mi zimno. Mogłabym też wziąć na bok Julię i poprosić ją, żeby wszystkim powiedziała, byłaby zachwycona, rozumiesz: dramatyzm sytuacji. A potem czekałabym na wezwanie, pani Lever wsadziłaby głowę do klasy i ze ściągniętymi ustami uprzejmie poprosiła, żebym wpadła do gabinetu dyrektora, podczas gdy wszyscy spoglądaliby po sobie

i szeptali. Albo mogłabym udać się prosto do dyrektora lub do którejś z nauczycielek i poprosić, żeby one się tym zajęły. Mogliby, no wiesz, poświęcić temu specjalny apel, a ja bym się kręciła na korytarzu pod drzwiami i nasłuchiwała. O Boże, tak czy owak, to będzie straszne. - Ukryłam twarz w dłoniach. - Danielu, co ja mam zrobić? Jak, jak mam sobie poradzić ze wszystkimi konsekwencjami?

- Poradzisz sobie. Jesteś z tych, co sobie radzą - oświadczył z przekonaniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam przez palce.

- No cóż, ee... - Dłonie mu zadrgały. - Hmm... OK, czy paliłaś kiedyś papierosy?

- Nie. Nawet nie próbowałam.

- Dlaczego?

Odjęłam ręce od twarzy i zastanowiłam się.

- No cóż, wyważyłam wszystkie za i przeciw. Cuchnący oddech, bezsensowny wydatek, przerażające ryzyko zdrowotne, narzekania dorosłych, szmatława cera, a w zamian być może utrata jednego kilograma i dołączenie do innych. Doszłam do wniosku, że nie warto. Dlaczego pytasz?

- Czy masz pojęcie, jak niewiele osób myśli w podobny sposób? - Uśmiechnął się i klepnął blat stołu.

- Jesteś taka niezwykła.

- Naprawdę?

-Wiesz, że tak. Większość ludzi za wszelką cenę pragnie się dopasować do innych, nieważne, jakim kosztem; ty, ty masz to w nosie.

Gapiałam się na niego bez słowa.

- Mogę być z tobą zupełnie szczery? - Patrzył mi prosto w oczy.

- Bardzo proszę. - Zastanawiałam się, o co tu, do cholery, chodzi.

- Uważam, że kieruje tobą niesamowity upór. Jakbym słyszała moją mamę. Przez chwilę wydawało mi się, że wpadnę w furję. Potem zaczęłam się śmiać.
  - Mów dalej.
  - Cóż, zawsze jesteś niezależna, prawda? -Ja... och, nie powiedziałabym... Może pod niektórymi względami.
  - Och, daj spokój. Wiesz, że tak jest. Owszem, masz przyjaciół, ale nie sprawia ci różnicy, czy siedzisz z innymi w świetlicy, czy zupełnie sama.
  - Wcale tak nie jest! W twoich ustach to brzmi tak, jakbym była szajbuską. Naprawdę, Danielu, jestem zwyczajną nastolatką... jeśli oczywiście nie liczyć tego, że jestem w ciąży.
  - Nie, nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, że nie boisz się płynąć pod prąd. Jesteś indywidualistką. Dlatego właśnie... - Zamilkł i patrzył przez chwilę na kanał. - W żadnym razie nie chcę powiedzieć, że czeka cię sielanka, ale jeśli ktokolwiek miałby sobie z tym poradzić, to tą osobą jesteś ty. Ten to wie, jak człowieka podnieść na duchu.
  - A niech cię szlag za to, że masz rację.
  - Cała przyjemność po mojej stronie. Przynieść ci jeszcze jedną szklaneczkę?
  - Lemoniadę. Muszę mieć na względzie dobro tego banana. Nie chcę go tam ukusić.
- Wrócił po chwili.
- Nie sądzę, żebym miała zbyt wiele okazji do niezależności po urodzeniu dziecka - oświadczyłam.
  - Raczej nie. Pomyślałaś już o imionach? Mogłabyś zacząć do niego przemawiać, wiesz, że ono cię słyszy.
  - Naprawdę? Boże, to niesamowite. - Spojrzałam w dół,

na swój brzuch, i przemówiłam do niego: - Chiquita, jeśli jesteś dziewczynką, Fyffes, jeśli chłopcem. I co ty o tym sądzisz? - Żadnej reakcji. - Zbyt zdegustowane, żeby odpowiedzieć. Och, Danielu, to takie miłe, że mogę z kimś o tym wszystkim pogadać. Mama nawet patrzeć na mnie nie może; ta miniona połowa semestru to było piekło. A mimo to, zauważ, powtórzyłam mnóstwo materiału do egzaminów... Sądzisz, że powinnam powiedzieć jakiejś nauczycielce?

-Jeśli znajdziesz taką, którą lubisz. Pani Stokes?

- Dobrze, ha-ha. Myślałam o pani Carlisle; w poprzednich latach była naszą wychowawczynią. Wygląda trochę jak hipiska, więc specjalnie nią to nie wstrząśnie. W raportach zawsze mnie dobrze oceniała.

- Mogłaby nawet porozmawiać z twoją matką - zasugerował Daniel, najwyraźniej sądząc, że mama zachowała rozsądek i da się z nią pogadać.

- No dobrze, nie dajmy się ponieść fantazji. Kroczek za kroczkiem. Co ty na to, Chiquito?

-Więc pojawisz się we wtorek? -Jutro mam wizytę w szpitalu, wobec czego będzie to środa. Boże broń, żebym miała nie przyjść na egzaminy.

- Przygotuję czekoladę i chusteczki higieniczne.

Dał mi autentycznie do myślenia. Czy nie jestem normalną nastolatką?

Pamiętam, że w zeszłą niedzielę widziałam w telewizji Charlotte Church<sup>1</sup>, jej włosy lśniły czystością.

„Jestem zwy-

---

<sup>1</sup>Sławna od trzynastego roku życia, obdarzona pięknym głosem Walijska, która ma w swym repertuarze zarówno arie operowe, pieśni walijskie, jak popularne piosenki (przyp. tłum.).



czajną nastolatką", powtarzała w kółko. No, pewnie. To niby jak wyglądają ci zwyczajni nastolatkwie? Ta Church ani trochę mi nie przypomina Gary'ego Whittle'a, z którym chodziłam do podstawówki, a który kiedyś przywiązał kotu do ogona fajerwerk. Teraz jest w poprawczaku. I na pewno nie jest podobna do mnie, z moim żenująco pęczniejącym brzuszkiem. Jedyne, co według mnie nastolatkwie mają wspólnego, to fakt, że pożegnali się już z dziesiątym rokiem życia, a jeszcze nie osiągnęli dwudziestki. Wyobraźmy sobie coś takiego:

### **Referat z wiedzy ogólnej 1:**

#### **Część 1. Jednostka a społeczeństwo**

**Pyt. 1: Czy w jakikolwiek sposób odbiegasz od normy?**

**Wstęp: potrzeba tkwiąca zarówno w jednostkach, jak i w całych społecznościach (przodują w tym media) tworzenia stereotypów dotyczących przedziałów wiekowych, klas społecznych, grup etnicznych, zawodów etc. - są one zazwyczaj zbiorem negatywnych cech - pozwala ludziom czuć się lepszymi od innych i wierzyć, że najslabsze dowody dostarczają im pełnej wiedzy.**

**Ustęp 1: nastolatkwie sklasyfikowani przez zazdrosnych ludzi w wieku średnim i starszych.**

**Zagrożonych nie tyle przez samych nastolatków, ile przez poczucie ich własnej śmiertelności oraz niewykorzystania szans. Niepochlebne cechy przypisywane młodym zawierają:**

**Ustęp 2: zmienność nastroju. Oskarżenie niesprawiedliwe; nie dotyczy bowiem żadnej konkretnej grupy wiekowej. Moja matka = Królowa zmiennego nastroju. Gdyby dąsy były dyscypliną olimpijską, otrzymałaby komplet dziesiątek. Dorosła kobieta, która potrafi zdystansować każdego małolata.**

**Ustęp 3: materializm. Równie niesprawiedliwe. Powszechny w całym społeczeństwie - Ikea w niedzielę! Nie ma sensu, żebym ja była materialistką, bo i tak nie mamy pieniędzy.**

**Ustęp 4: próżność. Niesprawiedliwe. Obsesja na własnym punkcie wynika z poczucia niepewności, nie wiąże się z wiekiem. W rzeczywistości, im jesteśmy starsi, tym bardziej skupiamy się na wyglądzie, przykłady: szampony koloryzujące do siwych włosów, gorset z playteksu, supermocny klej do sztucznych szczęk. Nastolatki nie wydają siedemdziesięciu funtów na kremy La Prairie.**

**Ustęp 5: nadużywanie alkoholu. Nieprecyzyjne! Bo przede wszystkim jedna czwarta naszej klasy to muzułmanie. Oprócz tego mamy jeszcze Dave'a Harmana - świadka Jehowy oraz Alison Gili, abstynentkę, od czasu, kiedy w zeszłym roku pijany kierowca zabił jej matkę. Sądząc po tych, którzy każdego sobotniego wieczoru wytaczają się od Pracujących, najgorsi winowajcy przekroczyli pięćdziesiątkę.**

**Ustęp 6: pryszczki. Nawet ten stary komunał nie mówi prawdy. Nauczycielka na zastępstwie w pracowni ma pryszczki oraz zmarszczki, a biedulka na pewno już przekroczyła czterdziestkę. Ja mam krosty wyłącznie na plecach i barkach, więc to się nie liczy.**

**Wnioski: nie można ustalić stereotypu nastolatka, tak jak można to zrobić w przypadku dorosłych. Nie istnieje nic takiego jak typowy nastolatek. -. skoro nie ma takiego stworzenia, nie da się stwierdzić, czy jestem normalną nastolatką czy nie. QED.**

Siedziałam nadaśana w jednym z biur rady miasta, którego okna wychodziły na Plac Ratuszowy. Po drugiej stronie biurka tkwiła pani Joyce Fitton, pracownik socjalny; już wiedziałam, że to będzie strata czasu.

- Czego się pani dowiedziała? - spytałam, ledwie zdążyłam usiąść.
- Na razie niczego. Nie dlatego tu panią poprosiłam. To spotkanie pomocnicze. Żebyśmy wiedzieli, czego pani naprawdę chce. - Pani Fitton miała okulary na łańcuszku i obfity, macierzyński biust. Mówiła powoli i milkła co chwilę, żeby się uśmiechnąć. Miałam ochotę jej przyłożyć.
- To miejsce wymaga gruntownego sprzątnia. Żaluzje pokrywa gruba warstwa kurzu - oświadczyłam impertynencko. Tak bardzo byłam rozczarowana.
- Widzę, że jest pani rozgniewana, Karen. Czyżby na biologicznych rodziców? Nie, na ciebie, tępa stara krowo. Wciągnęłam duży haust powietrza.
- Mam już po prostu dość ciągłego odwlekania. Myślałam, że wreszcie się czegoś dowiem - powiedziałam. A w myślach kontynuowałam: liczyłam, że powiesz mi, gdzie jest moja matka, i odmie-nisz moje życie. Wyobrażałam sobie, jak wręczasz mi grubą teczkę z fotografiami mojej prawdziwej mamy, jej życiorysem (włącznie z tą dziurą, jaką ja w nim pozostawiłam), zdjęciami jej uroczego domku (froterowane podłogi, drzwi balkonowe, pasące się kucyki w głębi ogrodu) i pięknie wykaligrafowanym listem (papeteria Ba-sildon Bond), mówiącym o tym, jak bardzo chce mnie zobaczyć.
- Musi pani dokładnie wiedzieć, co ma nadzieję uzyskać w rezultacie tego kontaktu. I musi pani być pewna, że poradzi sobie z ewentualnym odtrąceniem i wynikającym z niego rozczarowaniem.
- O, w tej dziedzinie jestem dobra. - Boże, musiało być słyhać gorycz w moim głosie. Pani Fitton zdjęła okulary i przyjrzała mi się uważnie.
- Naturalnie po dłuższej analizie możemy dojść do wniosku, że tak naprawdę nie zależy pani na odnalezieniu swoich biolo-

gicznych rodziców - oznajmiła. - Niektóre sytuacje niosą w sobie pewne niebezpieczeństwo.

Powiedziałabym - założyła ponownie okulary i zaczęła układać papiery - że jeśli nie będzie pani miała właściwego, hm, podejścia, może się pani narazić na spore cierpienie. Nie, żebym chciała panią od czegoś odwodzić. Zrozumiałam aluzję.

- Tak, oczywiście. Robi pani po prostu to, co do niej należy. Zatem uważa pani, że można ją znaleźć?

- Owszem, uważam, że jest spora szansa. I ojca, jeśli pani tego chce.

- Szczerze mówiąc, o nim niewiele myślałam. To do mamy mnie ciągnie.

Ponownie się uśmiechnęła.

- Tak zazwyczaj bywa. Nawet w przypadku mężczyzn. Jest coś szczególnego w osobie, która nosiła nas przez dziewięć miesięcy, a potem urodziła. Większość ludzi zakłada, że muszą tu istnieć jakieś szczególne więzy.

- A nie jest tak?

- Na ogół jest. A przy okazji, czy omówiła pani tę sprawę z innymi członkami rodziny?

- O tak.

- I jakie były reakcje?

- Wszyscy stoją za mną murem. Mam bardzo dobre relacje z moją przybraną matką, możemy rozmawiać absolutnie o wszystkim. - Jeśli dotyczy to jakichś bzdur, dodałam w myślach. - A z córką jesteśmy w wielkiej przyjaźni, prawie jak siostry.

- Spodziewa się więc pani, że przyjmą jej biologiczną matkę do swego kręgu?

- O, na pewno. - Będę trzymała je od niej z daleka.

Pani Fitton notowała coś przez chwilę drobnym maczkiem. - I czego pani oczekuje w związku z odnalezieniem swojej biologicznej matki, Karen?

Aha. Spodziewałam się, że to pytanie musi paść w którymś momencie, i byłam gotowa.

- Chcę ją po prostu zapytać o przeżycia, opowiedzieć jej o własnych. Porozmawiać jak kobieta z kobietą. W żadnym razie nie próbuję, ha-ha, zastąpić tej matki, którą mam, Boże broń. Nie oczekuję, że rozwiąże moje problemy, ani niczego podobnie szalonego. - Przewróciłam oczyma. Cóż za pomysł.

- Czy to znaczy, że ma pani obecnie jakieś problemy? A niech to wszyscy diabli.

- Nie, nic, o czym warto byłoby wspomnieć. Zwykłe, codzienne, małe kłopoty, jak wszyscy. Zepsuta pralka, spóźnieni śmieciarze, takie tam sprawy.

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

- A nasz pojemnik na śmieci ciągle ktoś zabiera, wyobraża sobie pani coś takiego? Musiałyśmy wymalować na jego boku nasz numer. - Cmoknęłam z oburzeniem.

- Cóż, wygląda na to, że wiele się pani nad tą sprawą zastanawiała - pani Fitton wróciła do tematu.

- O tak. - Przynajmniej to było prawdą.

- Będzie więc pani zadowolona, jeśli podejmę dalsze kroki i skontaktuję się z domem samotnej matki w sprawie pani aktu urodzenia?

- Zamknęli go. - Wymknęło mi się. - Ja, ja tam wcześniej próbowałam, telefonowałam do nich, ale teraz jest tam szkoła biznesu.

Nawet nie mrugnęła.

- Tak, przenieśli się - potwierdziła. - Mieliśmy już okazję kontaktować się z nimi. Powinni posiadać wszystkie papiery. Mogłybyśmy więc umówić się raz jeszcze, przejrzeć je i zobaczyć, co dalej. Może pomyśleć też o ojcu.

- Ile to potrwa?

- Kilka tygodni, nie za długo. - Ponownie się uśmiechnęła. -

Robi pani wrażenie rozsądnej młodej kobiety, Karen. Jestem przekonana, że poradzi sobie pani z tym, co odkryjemy.

Rozsądna? Czy ci ludzie naprawdę nie zdawali egzaminów z psychologii? Stara naiwna kwoka. Z drugiej wszakże strony, nie zamierzałam się przyznawać, iż jestem kłębkim nerwów.

Obserwowałam, jak wypełnia kartkę z napisem „Wysłać”, przykleja do obudowy komputera, obok małego, pomarańczowego straszdyła z wytrzeszczem oczu. Dziwne, dożyć tego wieku i wciąż ufać innym. Cholernie dziwne.

Uścisnęłyśmy sobie ręce.

- Przepraszam, że byłam taka niegrzeczna z tymi żaluzjami -powiedziałam, wychodząc.

Pani Fitton uśmiechnęła się.

- Proszę mi wierzyć, słyszymy tu znacznie gorsze rzeczy -oświadczyła.

Bardzo bym chciała, żeby Nan poszła ze mną do szpitala, tyle że ona zupełnie się do tego nie nadaje.

Już sobie wyobrażałam tę rozmowę z położną: „Więc który to już tydzień, Charlotte?”

Nan: „Wierzysz, że posłali człowieka na Księżyc? Co za bzdury”.

Chciałabym wziąć Daniela, ale to byłaby już spora przesada. Doszłoby na pewno do kłopotliwej sytuacji („Nie, to nie ojciec, przyszedł tu tylko, żeby potrzymać moją próbkę moczu”), a poza tym tego dnia miał egzamin z matmy.

Mogłabym pójść z mamą, gdyby tylko przestała kipieć wściekłością. W zeszłym tygodniu, kiedy wdarła się nieproszona do gabinetu lekarza, gdzie miałam badania, omal nie doszło między nami do rękoczynów.

- Kwas foliowy? Niech pan da spokój z witaminami

i powie jej raczej, jaka była głupia. Niech pan jej powie, doktorze. Czy wie pan, że wybierała się na uniwersytet?

Na szczęście mama czuje respekt dla przedstawicieli służby zdrowia, więc kiedy kazał jej być cicho, to się zamknęła. Prawdę mówiąc, od tamtej pory nie odezwała się do mnie ani słowem.

Położna w szpitalu okazała się bardzo miła. Młodziutka, chyba niewiele starsza ode mnie, co bardzo mi pomogło.

- Jak można mieć okres i być w ciąży? - to było pierwsze pytanie, które jej zadałam.

Na kartce papieru narysowała małą macicę i zagnieżdżające się w niej jajeczko.

- Kiedy jajeczko zaczyna się zagłębiać w śluzówce, zdarza się, że uszkodza kilka naczyń krwionośnych. To właśnie się stało w twoim przypadku. Niewiele krwi, ledwie plamienia, prawda? Skinęłam ponuro głową. Czegóż to te dorosłe kobiety nie utrzymują w tajemnicy!

- Założę się, że nie byłaś pewna ani w tę, ani we w tę -powiedziała z uśmiechem.

Na pewno się domyśliła wszystkiego na podstawie mojej daty urodzenia i nieobecności partnera, ale o nic nie pytała. Samo wyszło w rozmowie, kiedy zakładała mi na rękę czarną gumową opaskę, żeby zmierzyć ciśnienie.

- Mama tu jedzie - skłamałam. - Musiała gdzieś utknąć. -A partner?

Opaska się zacisnęła i krew zaczęła pulsować mi w palcach.

-To drań pierwszej wody. Dla mnie już nie istnieje. Powietrze zasyczało i mankiet sflaczał.

- Rozumiem. Zdarzają się tacy. - Szybko zdjęta opaskę. - Wiemy coś na temat zdrowia tego drania? Grupa krwi, jakieś poważne choroby w rodzinie, tego rodzaju sprawy? Pytam tylko ze względu na ten kwestionariusz, który musimy wypełnić.

-Nie.

-W porządku, nic nie szkodzi.

Jak już powiedziałam, była naprawdę miła.

Kiedy wypełniła całe mnóstwo stron na temat mojej diety i w ogóle, za pomocą specjalnego mikrofonu posłuchałyśmy, jak bije serce dziecka, pik-pikipik-pik. Potem przyszła pora, żeby wypić pół litra wody i poczekać na USG.

USG. Noc po nocy śniło mi się to badanie i zawsze coś było nie tak. Dziecko nie miało główki albo wyglądało jak ośmiornica, albo było za małe...

W poczekalni siedziało całe mnóstwo rozdętych kobiet. Niektóre czytały czasopisma, inne usiłowały zabawić towarzyszące im nadpobudliwe dzieci; prawie z każdą ktoś był. Usiadłam obok samotnej czarnoskórej kobiety wyglądającej z profilu, jakby ktoś wcisnął jej piłkę pod sweter, usiłowałam uchwycić jej spojrzenie. Uśmiechnęła się, kiedy mnie zauważyła, tym tajemniczym, porozumiewawczym uśmiechem, jaki posyłają sobie kobiety w ciąży.

- Długo pani czeka? - spytałam. -Jakieś pół godziny.

- Który to tydzień?

- Trzydziesty siódmy. Dziecko jest źle ułożone, a oni chcą je namówić, żeby fiknęło koziołka. W przeciwnym razie będę mieć...

Zamilkła, kiedy wysoki mężczyzna w garniturze podszedł i usiadł obok niej. Postawił na stoliku gorący napój, pocałował ją w policzek, a potem wyciągnął rękę i pogła-



dził po brzuchu. Odsunęłam się, czując się podle. Najważniejsze to nie myśleć o koszmarach. Pogrzebałam w torebce i wyjęłam małą książeczkę, którą dostałam od lekarza. *Dziennik Emmy*, poradnik dla kobiet w ciąży, uwzględniający każdy kolejny jej tydzień. Chciałam sprawdzić, co piszą o urazach okołoporodowych. Kiedy wyciągałam książeczkę, na podłogę spłynął kawałek papieru. Opuściłam się na czworaki, żeby go podnieść, rozpoznałam zawijasy pisma Nan.

*Me sądz, żeś mało ważna, Bo jesteś kimś, kimś ważnym w Panu Możesz się poddawać, potykać, upadać A nadal jesteś częstką Jego planu*

Jego planu. Łzy napłynęły mi do oczu i wgramoliłam się z powrotem na krzesło. Och, Nan.

Czterdzieści minut później, kiedy stan mojego pęcherza moczowego z bolesnego przeszedł w krytyczny, drobna siwowłosa pielęgniarka zawołała mnie do tonącego w półmroku pomieszczenia, pomogła mi się położyć, podciągnęła mi do góry bluzkę i zsunęła legginsy aż do kości łonowej.

Wpatrywałam się w swój nieco rozplaszczony brzuch, podczas gdy ona wyciskała mi na skórę zimny żel, po czym odsunęła się, żeby dopuścić lekarza trzymającego głowicę skanującą.

- Spójrz na ekran - szepnęła rozpromieniona pielęgniarka. I wtedy zobaczyłam biały, migający zarys głowy i ręki.

- Ssie kciuk - powiedziała kobieta.

Mój Boże. Więc rzeczywiście tam jest dziecko. To wszystko prawda. Płód wiercił się, kiedy lekarz jeździł głowicą po moim ciele, jak mi się wydawało, bez końca.

- Nie zróbcie mu krzywdy! - zawołałam zaniepokojona.

- Nie ma obawy - mruknął i robił metodycznie swoje, zapisując wyniki pomiaru za każdym razem, kiedy rozlegało się bipnięcie maszyny. - Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

- Powiedziałam już położnej, że nie wiem. - Kto by pamiętał takie rzeczy?

Przesunął głowicę i na ekranie ukazały się dwie rozkołysane nóżki.

- I nie miała pani dokładnego badania, ustalającego precyzyjnie zaawansowanie ciąży... No cóż...  
Obraz znieruchomiał.

-Co się dzieje? - Poczulałam, jak ogarnia mnie panika. Maszyna zazgrzytała złowieszczo tuż obok mojego biodra.

- Wszystko w porządku - pielęgniarka nachyliła się nade mną - doktor po prostu robi ładne zdjęcie, potrzebne do dokumentacji. Możesz też dostać takie, jeśli chcesz.

-Ale czy coś jest nie tak? Czy dziecku nic nie jest?

Lekarz pstryknął wyłącznikiem i ekran ponownie znieruchomiał, a po chwili zapaliły się światła pod sufitem.

-Ani tobie, ani dziecku nic nie dolega. Powiedziałbym, że to będzie - zerknął w moją kartę - mniej więcej dwudziesty szósty tydzień. Wobec czego ustalam termin porodu na szesnasty października.

-O Boże, to urodziny mojej babci!

Pielęgniarka uśmiechnęła się i pomogła mi wstać z kozetki, a lekarz zajął się uzupełnianiem mojej karty.

- Czy mogę o coś spytać?

- Jasne - odparł, nie odwracając głowy.

- Może pan powiedzieć, czy to chłopczyk czy dziewczynka? Bardzo chciałabym to wiedzieć. Ze względu na imiona i w ogóle.

Zerknął na mnie przez ramię.

- Naszą zasadą jest nieujawnianie płci - powiedział krótko i odwrócił głowę.

Zastanawiałam się, jak może pozostać niewzruszony cudem, który przed chwilą ukazał.

- Będziesz musiała zrobić na drutach mnóstwo ślicznych białych drobiazgów - zaszcebiotała pielęgniarka, ściskając mnie za ramię. Dobrze byłoby mieć ją za matkę, pomyślałam. - Jestem pewna, że teraz bardzo chce ci się siusiu. Pokażę ci, gdzie jest toaleta.

A potem jechałam autobusem do domu i ścisnęłam w zaciśniętych dłoniach kartkę z ziarnistym zdjęciem. Jedną z tych chwil, kiedy to cały wszechświat wywraca się do góry nogami, nastąpiła wtedy, gdy nagle w autobusie poczułam, że razem z moim dzieckiem znalazłam się w samym centrum aktu stworzenia, i pomyślałam, że my dwoje jesteśmy tym, ku czemu przez miliony lat dążyła cała ewolucja. Żaden z pasażerów numeru 416 nie był świadomy mojego oszałamiającego odkrycia, ale przecież tak właśnie funkcjonuje ten świat. Codziennie przegapiamy zdumiewające rzeczy, które dzieją się tuż pod naszym nosem. Może tak jest najlepiej. Gdybyśmy byli nieustannie zadziwieni, nigdy do niczego byśmy się nie zabrali.

Wpadłam do domu i zaczęłam szukać Nan, ale natknęłam się tylko na panią Crowther z organizacji Crossroads, czytającą wczorajsze „Bolton Evening News”.

- Poszła się zdrzemnąć do swojego pokoju - poinformowała mnie. - Nareszcie. Bo przez cały czas nie mogła usiedzieć w miejscu. Coś ją gryzie.

Wzruszyłam ramionami i poszłam wziąć sobie coś do zjedzenia. W kuchni wyglądałam to niewielkie zdjęcie i wpatrzyłam się w jeden szczegół. Wysoko sklepione czoło w widocznej z profilu twarzy.

Zastanawiałam się, kogo

mi przypomina, kiedy jaśniejąca twarz Paula, okolona miękko opadającymi włosami, stanęła mi nagle przed oczami. Poczułam skurcz serca i tkwiłam jak przygwożdżona do podłogi. Czy on nie chciałby, nie miałby ochoty zobaczyć...? Ale przecież to nie ten prawdziwy Paul mi się przypominał, ten prawdziwy był zwykłym śmieciem. Dziecko nie potrzebuje wyimaginowanego ojca.

Chciałam zadzwonić do Daniela, ale zerknięcie na zegarek uświadomiło mi, że on wciąż jeszcze rozwiązuje zadania, wobec czego zrobiłam sobie gigantyczną kanapkę z serem i poszłam na górę, żeby jeszcze trochę pomyśleć.

Otworzyłam drzwi i kiedy zobaczyłam, co leży na łóżku, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jedną z rzeczy, które niepokoją mnie najbardziej w tej całej sprawie z dzieckiem, to fakt, że jestem na najlepszej drodze do starości. Trzydzieści cztery lata to przecież żaden wiek, prawda? Widzi się prezenterki telewizyjne starsze ode mnie (czasami). Mam ochotę wyrzucić swoje pulowery oraz legginsy i zacząć od nowa, nosić koszulki na ramiączkach i bojówki, a we włosach małe spinki w kształcie motyli. Czy rzeczywiście wyglądałabym głupawo? Jak ja mogę być babcią? A przecież kiedy to dziecko przyjdzie na świat, zacznę się czuć, jakbym się zsuwała po śliskim zboczu, na którego końcu czekają cukierki Werther's Originals, czasopisma „The People's Friend” i śmierć. Tak naprawdę nie uważam się nawet za osobę w średnim wieku, a oto patrzcie, na co mi przyszło, babcia Karen. Jeszcze mniejsza szansa na znalezienie jakiegoś mężczyzny. Bo to chyba nie byłby zbyt zachęcający początek rozmowy: Może wpadniesz zobaczyć moje wnuczę? Założę się, że Charlotte w ogóle o tym nie pomyślała. Jak udało mi się urodzić taką samolubną córkę?

Na łóżku leżały ułożone porządnie trzy bluzki, džinsy oraz długa, zwiewna spódnica. Podeszłam i przyjrzałam się dokładnie. Wszystkie metki nosiły napis *MAMA-2B*. Garderoba dla kobiet w ciąży! Pierwszy zestaw porządnych ciuchów od sześciu miesięcy. Zdarłam z siebie obwisłe legginsy rozmiar 16, które kupiłam w Wigan, i wciągnęłam džinsy. Sprytnie je obmyślili, rozciągały się u góry, a nogawki miały wąskie jak zwykłe spodnie. Wspaniale było znów mieć na sobie coś, w czym człowiek dobrze się czuje. Ściągnęłam T-shirta i włożyłam śliczną bluzeczkę w kwiatuszki; zgoda, wyglądałam odrobinę na mamuszkę, ale czego oczekiwać w tych okolicznościach? Rzecz w tym, że wszystko świetnie pasowało i nie miałam wrażenia, że za chwilę coś się ze mnie zsunie albo przetnie mnie na pół. Potem przymierzyłam spódniczkę, też bardzo pomysłową, z tą samą bluzką, następnie z drugą i wreszcie z trzecią, potem zdjęłam spódniczkę i ponownie włożyłam džinsy i właśnie wtedy usłyszałam drzwi frontowe, a potem głos matki w przedpokoju.

- Mamo! - zawołałam. -Jedną chwilkę - odkrzyknęła.

Słyszałam, jak rozmawia z panią Crowther, a potem ponownie trzasnęły drzwi wejściowe. Wreszcie na schodach rozległy się jej kroki i pojawiła się na progu mojego pokoju.

- O co chodzi? - Jej głos zabrzmiał tak ostro, że się zawahałam.

-Te wszystkie ubrania... -Tak?

-Ty je kupiłaś?

-A niby skąd miały się tu wziąć? -Och, mamo, wielkie dzięki...

-Zamówiłam je z katalogu - przerwała mi. - Jeśli ci się

nie podobają, nie zrywaj metek, to je zwrócę. Oddasz mi w ratach, będziemy musiały to jakoś ustalić. Nawet wiadomość, że to nie prezent, nie osłabiła mojej wdzięczności.

-To bardzo miłe z twojej strony...

- No cóż, powiedzmy sobie szczerze, w tamtych łańkach zaczynałaś już wyglądać żałośnie. -

Odwróciła się, żeby odejść, ale podeszłam do niej, by ją zatrzymać.

-Mamo, muszę ci coś pokazać... - Podniosłam zdjęcie z USG i nieśmiało wyciągnęłam ku niej.

Rzuciła jedno krótkie spojrzenie i odwróciła wzrok. Uwolniła rękę i wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Czasem trudno pojąć, co kobieta widzi w jakimś chłopie. Kochałam tatę, bo był moim tatą; nieczęsto go widywaliśmy, ale kiedy już się pojawił, był dla nas wspinałką. Zrobił Jimmy'emu łódkę z drewna, z pułapką na myszy w środku, tak że jak się nacisnęło guzik z boku, to cała się rozkładała. Godzinami bawiliśmy się nią na kamiennych płytach z podwórka. Dla mnie zrobił małe krzeselko - wciąż je mam -z toczonymi nogami. Kiedy z niego wyrosłam, służyło moim lalkom. I chociaż miał cięty język, to złoił mi skórę tylko dwa razy, za „Dobry posranek”, którym przywitałam mleczarza -skąd mogłam wiedzieć, że to brzydkie słowo - i za robienie min za plecami matki, co ta dostrzegła w lustrze.

Jimmy'ego nie tknąłby nawet palcem, uważał go za nasze słoneczko; wszyscyśmy zresztą tak uważali. Miał wdzięk ojca, ale bez tej jego arogancji.

Kiedy jednak dorosłam, a szczególnie gdy wyszłam za mąż, zaczęłam rozumieć, jak ciężko udęczył moją matkę. Babcia Florrie go nienawidziła; nie cierpiała, jak znienacka

pojawiał się u nas i zostawał na noc, ale nigdy nie powiedziała nie, ponieważ Polly marzyła o tym, żeby został, podobnie jak my, dzieci. Czasami jego matka, babcia Fenton, zachodziła do nas i te dwie stare kobiety siadały na wypchanej końskim włosiem kanapie i narzekały na jego zachowanie.

Żal nam było babci Fenton. Żeby tak urodzić syna, który nie znosił kobiet. Była na służbie, kiedy jej się to przytrafiło, i nigdy nie powiedziała, kim był ojciec, chociaż wszyscy wiedzieli, że to gość, u którego pracowała; tyle że go to nic a nic nie obchodziło. Więc kiedy Harold był mały, miała ciężko, w tamtych czasach nie dawali przecie żadnych zasiłków. Prowadziła stragan obok Victorii, sprzedawała piwo z pokrzyw, oblewane czekoladą rurki i słodowe toffi. To smutne, bo była taką miłą kobietą. Dla Polly zrobiłaby wszystko. Od swojego syna nie zaznała wiele dobrego.

Wiem, że ja miałam szczęście. Bill był cudownym mężem i ojcem. A czym dłużej chodzę po tym świecie, tym większą mam pewność, że to rzadkość takich spotkań.

Stale to odkładałam - szczerze mówiąc, wolałabym powbijać sobie w kolana sześciocalowe gwoździe - w końcu jednak trzeba to było zrobić. Steve musiał się dowiedzieć o sprawie.

Nie powiedziałabym, że stosunki między nami były złe; on był zbyt leniwy, żeby pielegnować w sobie urazę. Dla niego przeszłość to przeszłość, nie bardzo się przejmuje tym, że nasze małżeństwo się rozpadło. Zawsze robi wrażenie zadowolonego, że mnie widzi (co zdarza się raz do roku), i równie zadowolonego, kiedy wychodzę.

Mieszka w Harrop, u podnóża Brow; można by tam bez trudu dojść, ale wspinanie się z powrotem byłoby ciężką harową. Pojechałam samochodem i zaparkowałam na podjeździe przed jego segmentem.

- Hej tam.

Zobaczył auto przez okno i teraz w skarpetkach stał w drzwiach. Od ostatniego spotkania zdążył zapuścić wąsy, co go postarzało. Nadał był jednak chudy jak szczapa, miał te same ostre rysy i zawiadacki uśmieszek.

Przeszłam zarośniętą ścieżką, a potem ciemnym korytarzem przecisnęłam się obok kartonowych pudeł do pokoju, na tyłach domu.

- Usiądź. Woda się właśnie zagotowała.

Tutaj na podłodze było jeszcze więcej kartonów, leżały stosy gazet, poniewierały się brudne talerze i kubki, na drucianym stojaku obok nie zapalonego gazowego kominka wisiały džinsy. Kiedy się rozeszliśmy, byłam przerażona tym, jak on mieszka, teraz jednak zobojeźniałam. Łuszcząca się tapeta jeszcze nikomu nie wyrządziła krzywdy. Byle nie działo się to w moim domu.

-No więc o co się rozchodzi? Przez telefon robiłaś wrażenie roztrzęsionej. Cóż z Charlotte? - Podał mi kubek z wizerunkiem Lindy Lusardi i usiadł naprzeciwko.

- Tak. Boże, nie da się tego łatwo powiedzieć. Wpakowała się w kłopoty.

- Co? W szkole? Myślałem, że to prymuska.

- Nie, ciężki tępaku, wpakowała się w k ł o p o t y. Jest w ciąży.

- O jasna cholera. - Postawił filiżankę na dywanie i obdarzył mnie tym swoim krzywym uśmieszkiem.

- Chyba nie nasza Charlie. Myślałem, że jest rozsądniejsza.

- Najwyraźniej nie jest.

- Nie mogę uwierzyć. - Pokręcił głową. - Nasza Charlie. Taka mądra dziewczynka. Mądrzejsza od nas, w każdym razie tak uważałem. Co też ona sobie wyobrażała?

Wzruszyłam ramionami i ze znużeniem odchyliłam głowę na oparcie kanapy.

- I żebym jej tysiąc razy nie przestrzegała. - Westchnęłam. -



Ale wiesz, jaka ona jest, taka nieprzenikniona. Tak trudno do niej trafić. Nawet nie byłam pewna, czy ma chłopaka, taka jest skryta. I ciąża jest już zaawansowana, za późno na zabieg. Zdołała to ukryć przed wszystkimi. - To nie moja wina, miałam ochotę dodać, ale Steve i tak nigdy by tego nie pomyślał. Usprawiedliwiałam się przed sobą, nie przed nim.

— A ten młodzian, co on ma do powiedzenia na ten temat? -Całkiem bezwiednie wyprostował się i zacisnął szczęki.

Zapadła chwila milczenia.

— Tak naprawdę nie drażyłam tego aspektu sprawy - oświadczyłam niezdarnie.

— Co masz na myśli? Nie byłeś u niego w domu, nie rozmawiałaś z rodzicami? Bo mnie się wydaje, że on ma parę rzeczy do wyjaśnienia.

Nie mogłam mu powiedzieć, że byłam zajęta obwinianiem Charlotte oraz roztrząsaniem własnych niedoskonałości i nie przyszło mi do głowy nic innego prócz konieczności pozbycia się ciąży. A kiedy ten plan się nie powiódł, byłam tak rozsierdzona, że nie umiałam myśleć rozsądnie. Nie mogłam się zmusić, żeby powiedzieć Charlotte dzień dobry, a co dopiero przeprowadzić z nią sensowną rozmowę na temat roli ojca dziecka. Zresztą w głębi duszy nie winiałam jego, winiałam ją, bo niezależnie od tego, co mówią ludzie, do czasu, kiedy mężczyźni zaczną zachodzić w ciążę, nigdy tak naprawdę nie będzie równości płci; była przecież wystarczająco bystra, żeby wiedzieć, że to ona wpadnie w tarapaty, i dlatego to właśnie ona powinna być czujna. Jeśli chodzi o seks, mężczyźni po prostu próbują dostać wszystko, co tylko się da, nie przemyślują swoich działań; to należy do nas, kobiet. W mojej zatem opinii, wina leżała po jej stronie.

Steve jednak zwietrzył niegodziwca, bo jego błękitne oczy zabłysły.

— Jak się nazywa ten łajdak i gdzie mieszka?

- Paul. Paul Bentham. A mieszka niedaleko, w bok od Barrow Road. Chodził z Chadotte do podstawówki. Pewny siebie chojrak. Rzucił ją jakieś trzy miesiące temu. Myślałam, że usycha za nim z tęsknoty i stąd ta huśtawka nastroju. Nigdy nie przypuszczałam...

- No dobra, złożę temu Paulowi Benthamowi wizytę i powiem mu dokładnie, jak się sprawy mają. Nie może sobie tak po prostu odejść; ja tak nie zrobiłem, prawda? Nawet w tak młodym wieku trzeba umieć ponosić konsekwencje. Gówniarz. -Walnął pięścią w oparcie fotela. - Zeby tak urządzić naszą Charlotte, a potem dać nogę. Biedna dziewczyna. Daje sobie jakoś radę?

A co ze mną? - chciałam zawołać. Ja sobie nie radzę! Najchętniej wsiadłabym do pierwszego autobusu, który jedzie na lotnisko w Manchesterze, i uciekła z kraju, gdyby nie to, że beze mnie cały dom by się zawalił. Chryste, nie mogę nawet wyskoczyć do sklepu bez sprawdzenia worka Nan i stanu psychicznego Charlotte; czuję się jak tamten Grek, co to musiał dźwigać cały świat na swoich barkach.

Nie przyszłam tu jednak, żeby sobie ponarzekać. Szkoda zachodu, bo Steve po prostu się od tego odgradza, o co zresztą toczyliśmy kiedyś ze sobą straszliwe boje. Nigdy nie rozumiał, że kobiety lubią ponarzekać dla samego narzekania, muszą zrzucić ciężar z serca i nie chcą słuchać o żadnych praktycznych rozwiązaniach czy sensownych działaniach. Potrzebują pełnej zrozumienia uwagi, mnóstwa uwagi.

- Jakoś sobie radzi - odpowiedziałam więc. - W tej chwili nie martwię się o nią, ona - w tym miejscu pozwoliłam sobie na gorzki śmiech - jest już w dość zaawansowanej ciąży i całkiem optymistycznie nastawiona. Chociaż, jak sądzę, oklapnie, kiedy urodzi się dziecko.

- Cóż, tak się zdarza, no nie?

- Właśnie.

Nastąpiła chwila milczenia i oboje wspominaliśmy w myślach, jaki to pieprzony bajzel zrobiliśmy z naszego życia w tych pierwszych miesiącach po urodzeniu Charlotte.

- No tak, ty się przynajmniej o nią troszczysz - oświadczył Steve, a mnie ukłuło poczucie winy. - Więc co chcesz, żebym zrobił? Kiepsko mi się z nią gada... Trochę mnie przeraża, jeśli chcesz wiedzieć. - Roześmiał się zakłopotany. - Jest tak cholernie mądra i jest ode mnie wyższa, i w ogóle... - Przeczesał palcami włosy. - Za mało ją znam.

Mogłam tu rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale za bardzo byłam świadoma tego, że uczucia, które Steve starał się wyrazić, obawy, były w zasadzie moimi obawami. Zresztą kłótnia była mi teraz potrzebna jak dziura w moście.

- Pewnie udałoby mi się wskrobać trochę gotówki - ciągnął. Wykonał niejasny gest w kierunku kartonów. - Przechowuję towar jednemu gościowi z pracy, będzie z tego dla mnie parę funciaków. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Charlotte je dostała.

- Nie będę udawać, że się nie przydadzą. Za pieniądze szczęścia nie kupisz...

- Ale przynajmniej można być nieszczęśliwym w lepszych warunkach - dokończył i oboje uśmiechnęliśmy się przelotnie. - W porządku. Żaden problem.

- Tyle że ja nie przyszedłam tutaj, żeby coś wyrwać.

- Wiem o tym.

- Uważałam, że powinieneś znać sytuację. Możliwe... możliwe, że ona i tak tu przyjdzie, obgadać to z tobą.

Po twarzy Steve'a przemknął strach.

- O jasna cholera. Posłuchaj, powiem ci, co zrobię. Pójdę do tego młodziaka i zobaczę, czy coś mi się uda wyjaśnić. To znaczy, przecież już chyba niczego nie mogę pogorszyć, co?

Z kubka mizdrzyła się do mnie Linda Lusardi, a ja patrzyłam na nią i dumałam.

- Pewnie nie możesz. Postaraj się tylko trzymać nerwy na wodzy - powiedziałam.

Udało się uniknąć sensacji na całą szkołę. O czwartej po południu, tego wtorku, kiedy miałam USG, zadzwoniłam do pani Carlisle i opowiedziałam jej całą tę żalosalną historię. Powiedziała, żeby dała jej pół godzinki na zastanowienie się, po czym oddzwoniła z informacją, że pozwolą mi pisać egzaminy w gabinecie pani Duke, z dala od całej reszty, że będę mogła przyjść i wyjść w czasie, kiedy trwają lekcje, żeby nikt mnie nie zobaczył. Tak też zrobiłam; wślizgnęłam się do budynku i opuściłam go niczym jakiś pękaty duch. W przypadku prac sprawdzanych przez komisję zewnętrzną musiał mi towarzyszyć któryś z nauczycieli, natomiast kiedy pisałam te oceniane przez nauczycieli z naszej szkoły, pozostawiono mnie samej sobie; tylko ja, butelka wody mineralnej Evian, paczuszka gumy do żucia Polo i to moje małe pofałdowane zdjęcie. Nigdy wcześniej nie byłam tak skupiona.

Po ostatnim egzaminie przyszła pani Carlisle i długo ze mną rozmawiała. Przyniosła mi kubek szczerze osłodzonej prawdziwej kawy, nieświadoma, że nawet zapach rozpuszczalnej przyprawiał mnie o mdłości. W każdym razie miałam czym zająć ręce, podczas gdy ona mówiła o przyszłym roku, o ewentualnym odroczeniu studiów i o różnych możliwościach opieki nad dzieckiem. Sporo się wywiedziała.

- Nie wolno ci rezygnować z marzeń - oświadczyła dwukrotnie.

A ja już nawet nie wiedziałam, jakie są te moje marzenia.

Ostatniego dnia semestru zebrała dziewczęta z mojej klasy i wszystko im opowiedziała. Zamierzałam tam pójść i się pożegnać; Daniel uważał, że powinnam. Ale kiedy ta chwila nadeszła, nie potrafiłam stanąć w świetle jupiterów i zamiast tego spędziłam kolejny ranek nad kanałem w Amb-ley, rzucając liście na wodę i obserwując, jak unoszą się ku wolności.

To było w środę; w czwartek zadzwoniła Julia, żebym spotkała się z nią w mieście na lunchu, a ponieważ uważałam, że należy jej się to ode mnie, zgodziłam się.

Julia należy do osób, które w żadnej sytuacji nie tracą rezonu. Musi to mieć po matce, osobce o dziewczęcej urodzie i promiennym uśmiechu na uszmińkowanych ustach, która potrafi porozmawiać z każdym. Pamiętam ostatni „dzień otwarty”, kiedy była tam pewna kobieta bez włosów, myślę, że miała raka, a mama Julii podpłynęła do niej i w zupełnie naturalny sposób rozpoczęła pogawędkę. Obsługiwałam stoisko z przekąskami i z przerażeniem myślałam, że kobieta może podejść do mnie, a ja spytam: „Czy życzy pani sobie perukę?”, zamiast: „Czy podać pani tackę?” Muszę więc przyznać szczerze, że gdyby sytuacja była odwrotna, gdyby to Julia była w ciąży, zakłopotanie nie pozwoliłoby mi wykrztusić słowa.

Julia nie miewa podobnych problemów. Podbiegła do mojego stolika i objęła mocno za szyję.

- Niech ci się przyjrzę! - zawołała. - Wyglądasz wspaniale! Włosy ci błyszczą, cerę masz jak brzoskwinia! To niesamowite!

Usiadła i złożyła zamówienie, a potem z plastikowej torby wyjęła puszystą zabawkę od Anyi, kartkę podpisaną przez wszystkie dziewczęta z naszej klasy oraz książkę opisującą

ciężę miesiąc po miesiącu, od pani Carlisle. Byłam do głębi poruszona.

-Anya też chciała przyjść, ale pomyślałyśmy sobie, że obecność nas obu mogłaby cię speszyć. Mówi, że zadzwoni do ciebie w przyszłym tygodniu. Skontaktowałybyśmy się z tobą wcześniej, ale za pierwszym razem, kiedy byłaś nieobecna, pani Carlisle powiedziała nam, że podejrzewają u ciebie mononukleozę i że nie wstajesz z łóżka. Tymczasem, jejku, ty kwitniesz. Wszyscy są podnieceni i przekazują najlepsze życzenia. - Postawiła pluszowego króliczka od Anyi na tylnych łapkach. - Jaki słodki! Więc jak się miewasz?

Czułam się nieźle, dopóki nie dostałam tych prezentów, tymczasem ta nieoczekiwana życzliwość dosłownie zwała mnie z nóg. Ze wszystkich sił starałam się nie rozplakać, czułam, że się czerwienię, a słowa więzły mi w gardle.

-To bardzo miło... - wykrztusiłam z trudem.

-Już nic nie mów. - Julia tryskała energią. Podano napoje i półmisek z ciastkami. - Boże, czy ty nie u w i e I b i a s z tych czekoladowych babeczek? Ja mogłabym je jeść, aż by mi odstrzeliły wszystkie guziki. Fantastyczne. Aha, ominęło cię sporo istotnych wydarzeń z ostatnich tygodni. Wyobraź sobie, że zawiesili Denny'ego za sprzedaż skrętów uczniom z młodszych klas. Jeden z nich o mało nie puścił z dymem toalety, kiedy usiłował zapalić takiej domowej roboty fajkę. Bóg wie, co w nich było, bo na pewno nie tytoń. Martin Ainsworth twierdzi, że suszone morskie wodorosty. Niektórzy uczniowie potracili głos, stąd nauczyciele wiedzieli, że coś jest nie w porządku; kiedy wrócili po przerwie, skrzeczeli jak żaby. W każdym razie nie była to prawdziwa trawka, bo wyrzuciliby go na zbitą buzię, wiesz przecież, jaki przewrażliwiony na punkcie narkotyków jest dyro.

Słuchanie jej trajkotania bardzo mnie odprężyło. Pozwoliło udawać przed sobą, że znów mogę być normalna, mieć zwyczajne troski i radości nastolatki. Nie było mi do śmiechu, ale ona mnie rozśmieszyła, a dziecko w moim wnętrzu wierciło się i podskakiwało.

- ...I wtedy Jimbo powiedział Simonowi, że widział Abby i Dorna, jak się migdalili u Fatty'ego Arbuckle'a, i Simon strasznie się wściekł, i przy wszystkich, w kolejce po lunch, powiedział Abby, że jest dziwką, wobec czego Dom ruszył na niego i wywiązała się wielka bójka, stoliki fruwały wokół, i pan Barry musiał ich siłą rozdzielać, zaprowadził ich do osobnych pomieszczeń, żeby ochłonęli, i wezwano rodziców. Było naprawdę gorąco. - Zamilkła, żeby nabrać powietrza. - Sama widzisz, ile cie ominęło. Nie wiem, jak w ogóle ludzie mogli się czegoś uczyć. Bo ja nie byłam w stanie. Raport o moich wynikach w nauce wypadł katastrofalnie. Co mi tam. - Ugryzła wielki kęs ciastka i puściła do mnie oko.

-Za to mój wspaniale - oświadczyłam ponuro.

Mama była w okropnym nastroju, kiedy nadszedł pocztą. Była to jedna z tych sytuacji bez wyjścia, podobnie jak każdego roku, kiedy rezultaty egzaminów są coraz lepsze, a prasa jęczy: „Och, na pewno zmniejszono wymagania”. Ale gdyby kiedykolwiek wyniki egzaminów się pogorszyły, pisałiby: „Och, poziom w widoczny sposób się obniża”, a „Daily Telegraph” zamówiłby specjalny raport na temat tępoty dzisiejszych nastolatków. Gdyby więc moje oceny z egzaminów były złe, mama byłaby niepocieszona, że marnuję swoje szanse. To, że okazały się lepsze, niż miałam nadzieję, czyniło ciężę jeszcze większą katastrofą, bo najwyraźniej stworzona jestem do lepszych rzeczy. Albo raczej byłam.

-Julio - spytałam - jak to wyglądało, kiedy pani Carlisle powiedziała wam o mnie?

Wahała się jedynie przez ułamek sekundy.

-Cóż, byłyśmy autentycznie zaskoczone i niektóre dziewczyny zerkały na mnie, najwyraźniej musiały uważać, że wiedziałam o wszystkim...

- Rozumiesz, dlaczego nie mogłam nic powiedzieć?

- Tak, tak, jasne. Przy czymś tak ważnym trzeba najpierw wszystko przetrwać, zanim sprawa stanie się własnością ogółu. A potem bliźniaczki spytały, czy mogą wysłać ci kartkę, pani Carlisle powiedziała, że byłoby to bardzo miłe. Tak to wyglądało, szczerze. Aha, jeszcze kilka osób spytało mnie, czy będziesz z nami w przyszłym roku. Będziesz?

- Nie wiem. Nie wiem, jak to jest, kiedy ma się dziecko. Gdyby nie było to zbyt kłopotliwe, umieściłabym je w żłobku czy czymś takim i wróciła do szkoły w styczniu. Może wcześniej. Nie chcę powtarzać roku, nie mam ochoty chodzić do jednej klasy z tymi wszystkimi młodszymi palantami. Nauczyciele mogliby przysyłać mi zadania, a egzaminy zdawałabym eksternistycznie. Och, zresztą nie wiem. Wszystko to kręci mi się w głowie jak karuzela. Będziemy musieli poczekać i wtedy zobaczymy.

Julia kiwała głową.

-I oczywiście - oświadczyła - kiedy pytali mnie, kim jest ojciec... powiedziałam im, że nie wiem. Ale nie jestem pewna, czy mi uwierzyli. Naturalnie nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz.

Widziałam, że pali się, żeby zadać to pytanie. Cóż, jak dotąd, dobrze sobie z tą sytuacją radziła.

Poczułabym ulgę, gdybym wreszcie coś powiedziała.

-Nie sądzę, byś go znała. To chłopak, z którym przed laty chodziłam do szkoły. Paul. Ale nie jesteśmy już ze sobą.



Nie chciał mieć ze mną do czynienia, kiedy się dowiedział. Źle to wszystko rozumiałam. Człowiek sądziłby, że skoro... skoro z kimś spał, to całkiem nieźle tę osobę poznał. Przynajmniej ja tak myślałam, co jest tylko jeszcze jednym dowodem mojej głupoty. Mam nadzieję... mam nadzieję, że przejedzie go ciężarówka, powolutku, tak że żebra będą mu pękać jedno po drugim, a jego skowyt będzie słychać aż w Blackpool. Mam nadzieję, że przeprowadzi się na drugi koniec świata i już nigdy go nie zobaczę. Och...

Poczułam przeszywający ból w kroczu.

Julia natychmiast zerwała się na równe nogi.

-Charlotte! Nic ci nie jest? Chcesz, żebym kogoś wezwała? Mam zadzwonić po lekarza?

Zmieniłam pozycję na krzesło.

-Wszystko gra, przestań panikować. To już się nie powtórzy. Uuu! - Tym razem zgięłam się wpół z bólu i z trudem łapałam powietrze.

- Nie ruszaj się, wezwę pogotowie.

-Wracaj! - wrzasnęłam, kiedy Julia odrzuciła krzesło, gotowa natychmiast wystartować po ratunek. - Nie zamierzam rodzić. Przynajmniej tak mi się wydaje. Boli nie tam. Raczej tu niżej. Ojej.

Ludzie zaczęli odwracać głowy, a ja wpadłam w popłoch, co zdarza mi się zawsze, kiedy przypadkiem znajdę się w centrum uwagi. Poczułam kolejne ukłucie. Trzeba stąd wyjść, i to natychmiast.

- Muszę wracać do domu - oznajmiłam. - Możesz mnie odprowadzić na przystanek?

-Na przystanek? Chyba żartujesz. Zawiozę cię autem. Nie waż mi się tylko rodzić na nowych pokrowcach mamy, bo mi tego nie wybaczy.

Julia prowadziła samochód z przesadną ostrożnością, co

chwile na mnie zerkając. Czy pas aby nie za mocno naciągnięty? Czy bóle powtarzają się co trzy minuty? Może jednak zawrócić do szpitala? Na wszystko odpowiadałam nie i ból powoli ustąpił. Zaczęła mi opowiadać o planach wakacyjnych i o swoim nowym pokoju, a kiedy znalazłyśmy się na Brown Moss Road, obie wydałyśmy westchnienie ulgi.

-Przestraszyłaś mnie nie na żarty, moja pani - powiedziała, zatrzymując auto. - Już dobrze?

Skinęłam głową.

- Nie mówisz tego tylko tak sobie?

- Nie. Naprawdę. Dzięki.

- Odprowadzić cię do drzwi?

- Nie, nie trzeba. Czuję się już dobrze, to musiało być... Zobaczyłyśmy go jednocześnie. Julia odwróciła się do

mnie zaintrygowana. -A ten krwawiący człowiek na twoim progu to kto?

- O Boże - jęknęłam. - O Boże, mój Boże. Właśnie dlatego nie zapraszam nigdy nikogo do swojego domu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- ...oszło trochę nie tak. Sze...raszam, Charlie - oświadczył mój tata przez chusteczkę.

Mama posadziła go na kanapie, nachyliła się i zacisnęła mu nos palcami; w szkole ciągle miała do czynienia z krwawiącymi nosami.

- Przestań połykać - rzuciła ostro - bo ci się zrobi niedobrze. Wypluj tutaj, jeśli musisz. - Podsunęła mu pod brodę plastikową miseczkę.

- Nie mogę uwierzyć, że tam poszedłeś. Dlaczego najpierw ze mną nie porozmawiałeś? Jak się zachował? Był rzeczywiście wkurzony?

Z jednej strony byłam wstrząśnięta faktem, że tata wdarł się w ten sposób w moje prywatne życie, po tym jak przez całe lata trzymał się na uboczu. Z drugiej jednak byłam wdzięczna, że wreszcie ktoś zdecydował się sprawić Paulowi solidne wciry, był już na to najwyższy czas. Jeśli właśnie coś takiego się wydarzyło. Bo nie wyglądało to zbyt obiecująco.

- kurzony? ył zastrachany, kiedy ojął, kim jestem. Wygarnąłem mu. Nikt się szed czymś takim nie uchyla. Boć meszyzną - owiedziałem. - Nie smykaj ed owiedzialnością.

-I wtedy właśnie cię uderzył? - spytała mama. Wiedziałam, co ma na myśli, bo myślałam to samo. Wyglądał żałośnie z tą swoją zakrwawioną chusteczką, po-

chyloną głową i wiszącym na jednej nitce guzikiem przy koszuli. Dać się pobić siedemnastolatкови, niezły numer, tato.

Zza tłumiącej warstwy krzepnącej krwi dotarła w końcu do nas cała jego opowieść, choć trudno było mi stwierdzić jak bardzo podretuszowana.

Poszedł tam późnym popołudniem, kiedy jak przypuszczałem, Paul powinien być w domu (i jak sądzę, z nadzieją, że jego starego nie będzie). Drzwi otworzył „jakiś chłopaczek” i zawołał Paula, który zszedł na dół, niczego nie podejrzewając. Tata rozpoczął przemowę, która wkrótce przerodziła się w ostrą pyskówkę, podczas której Paul najpierw utrzymywał, że dziecko nie jest jego, a potem, że skoro już postanowiłam mieć je wbrew jego życzeniu, to nie należy teraz stawiać mu żadnych żądań. (W tym momencie włączyłam się, żeby powiedzieć, co o tym myślę, ale matka mnie uciszyła.) Po kilku minutach obrzucania się inwektywami Paul odwrócił się i zaczął wchodzić na górę i wtedy tacie odebrało rozum, bo rzucił się do przodu i złapał Paula za nogi. Paul padł twarzą na schody - „Będzie miał jutro niezłe podbite oko” - i zaczął wierzgać, żeby się wyrwać, i wtedy trafił nogą prosto w nos taty - „to był zupełnie przypadkowy cios”. W tym momencie na podeście ukazał się pan Bentham, rozespany wyciągał zatyczki z uszu - „chociaż, kiedy mnie zobaczył, od razu oprzytomniał”. Zbiegł na dół, podniósł Paula, sprawdził, czy nic mu nie jest, oparł o poręcz. Tymczasem tata wykrzykiwał uwagi na temat postępowania jego synalka i pomimo zaprzeczeń Paula zaczął pojmować, o co chodzi w całej tej sytuacji. Już się zamachnął, żeby przyłożyć ojcu, kiedy zobaczył jego szalone błękitne oczy i zakrwawiony nos i opuścił ramię. (Podejrzewam, że akurat ten fragment jest prawdziwy. Pan Bentham lubi mieć święty spokój.) Potem kazał tacie wynosić

się ze swojego domu, a jeśli ma ochotę ciągnąć tę sprawę dalej, to niech doprowadzi do badania krwi. „Zrobię to, nie przejmuj się. Naślemy na was tych od praw dziecka. A temu smarkaczowi należy się solidne lanie” - oświadczył tata i wypadł na dwór.

- Więc mamy opowieść pełną wrzasku i wściekłości, nic nie znaczącą - mruknęłam pod nosem.

Matka wyciągnęła rękę i trzepnęła mnie w ucho.

- Bez takich uwag, moja pani. Należałoby się raczej podziękowanie po tym, co tata przeszedł. Nawet jeśli była to strata czasu.

Tata obdarzył nas rozpaczliwym spojrzeniem i natychmiast zrobiło mi się przykro. Dobra córka podniosłaby tyłek i uściskała go, ale to akurat nie wchodziło w rachubę, wobec czego uśmiechnęłam się tylko do niego słabo.

-W każdym razie dzięki, tato. Mam nadzieję, że nos za bardzo cię nie boli.

Na próbę odsunął chusteczkę.

- Próbowałem pomóc. -Wiem. Paul to ostatnia kanalia.

- No tak, zgadza się, zupełnie nie rozumiem, co w nim widziałaś, złotko. Też mi się zdawało, że z niego arogancki gówniarz.

Dziecko wymierzyło mi kuksańca, a ja pomyślałam sobie: Ty mały biedaku, to o twoim ojcu mowa. Cóż za dziedzictwo.

- Nie macie nic przeciwko temu, żebym poszła na górę i się położyła?

Mama i tata potrząsnęli głowami, a ja powlokłam się do swojego pokoju. W sąsiednim chrapała i mamrotała coś do siebie Nan. Padłam na łóżko. Dziecko nie przestawało kopać.

- To pewnie coś, co nazywamy „bólami wiązadeł” - oświadczył doktor Gale. - Nie ma powodu do obaw. Twoje mięśnie muszą utrzymywać ogromny ciężar, nic dziwnego, że trochę protestują. - Siedzieliśmy w ogrodzie za ogromnym domem Daniela i cieszyliśmy się słońcem. Usadowili mnie na leżaku, w cieniu pod bukiem; później, pod tym samym bukiem, Daniel będzie próbował mnie pocałować, a ja mu nie pozwolę, psując tym samym ów idealny wręcz dzień.

-Tak właśnie podejrzewała położna. Wszystkie stawy są tak obciążone, że musi mnie pobolewać tu i tam. Ale i tak się przestraszyłam. Moja przyjaciółka myślała, że zamierzam rodzić.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniał pan Gale z uśmiechem. - Według mnie jesteś okazem zdrowia. Miły ten ojciec Daniela. Wysoki jak syn, ale bardziej pewny siebie, dystyngowany. Uroczy spikerski akcent. Założę się, że wszystkie pacjentki w średnim wieku fantazjują na jego temat. Spowodował, że się odprężyłam, mimo że nigdy wcześniej go nie spotkałam i na dodatek byłam w siódmym miesiącu ciąży, i nie miałam najmniejszego pojęcia, co mu o mnie powiedziano. Podejrzewam, że w swoim gabinecie miał już do czynienia z najróżniejszymi okazami. Słońce przygrzewało, a w lawendzie u naszych stóp brzęczały pszczoły.

Z wnętrza domu dochodziły głosy pani Gale i Daniela; zajęci byli przygotowywaniem posiłku. Ja nazwałabym go obiadem, ale tutaj nazywano go kolacją i jadano o siódmej, a nie o piątej. Pamiętam, że kilka lat temu mama spróbowała wprowadzić coś takiego; Nan prawie gryzła obrus ze zdenerwowania, a ja ciągle podkradałam markizy, tak że kiedy wreszcie jedzenie pojawiło się na stole, już go nie chciałam, „lii, przecie nie mogę być codziennie narażona

na takie dziwactwa", oświadczyła wtedy Nan. I wybuchła wielka awantura.

Zastanawiałam się, co też by mama powiedziała o edwardiańskiej willi Gale'ów. Pewnie zaniemówiłaby z zazdrości i poczucia niższości, oglądając mozaikową posadzkę, politurowane schody, wysokiej klasy ryciny na ścianach. Nimbyśmy doszły do kuchni marzeń, szczęka już by jej opadła z wrażenia, tak jak mnie teraz. Kuchnie nie interesują mnie szczególnie, na ogół przemykam przez nie w poszukiwaniu czegoś do przegryzienia, ale nawet ja zauważyłam, że ta wyglądała jak prosto z jakiegoś pokazowego domu. Przede wszystkim była ogromna, z kamienną podłogą i nieskazitelnymi szafkami i - owszem, mama by chyba umarła - z ogromnym piecem Aga w starym stylu oraz z najnowocześniejszą, obudowaną kuchenką. Były tam też te wszystkie gustowne drobiazgi, jakie widywałam na okładkach magazynów mamy; wiszące u sufitu pęki suszonych ziół, błyszczące miedziane rondle, kolekcja różnorodnych wiktoriańskich kafelków na jednej ze ścian.

- Mama dekoruje torty na wesela i inne przyjęcia - oznajmił Daniel lekceważąco. - Działa też w poradnictwie.

Poprowadził mnie przez szklane drzwi do uroczego ogrodu i przedstawił ojcu, przyniósł nam napoje, a potem zostawił samych, żebyśmy mogli pogawędzić.

- Uspokoilem cię? - spytał doktor Gale. - Bo teraz nie należy rozmyślać i się zamartwiać, szczególnie czymś, co jest całkiem normalne. Staraj się zachować spokój. Spokojne mamy rodzą spokojne dzieci, jak wskazują wyniki badań.

- Naprawdę?

- Owszem. Pomyśl tylko. Pomiedzy wami zachodzi wymiana przeróżnych związków chemicznych, włącznie z ty-

mi, które uwalnia twój organizm, kiedy jesteś w stresie. W późniejszym stadium ciąży mogłoby to wpłynąć na osobowość dziecka. A teraz, no cóż, nosisz w sobie zdolne do życia maleństwo.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że gdybyś jutro zaczęła rodzić, to dziecko miałoby dużą szansę przeżycia. Pod warunkiem że uzyskałoby natychmiastową i fachową opiekę medyczną. Byłoby chudziutkie, ale miałoby wszystko na miejscu, mniej więcej.

Roześmiałam się i pogładziłam się po brzuchu.

- A już na pewno jest bardzo ruchliwe.

-Świetnie. - Doktor Gale upił łyk i zwrócił spojrzenie na trawnik.

Jakżebym chciała wprowadzić się tu do was na najbliższe trzy miesiące, pomyślałam.

Na kolację był pieczony pstrąg i sałatka i, co za niespodzianka, okazało się, że pietruszkę i koperek pani Gale wyhodowała sama. Pomyślałam o ogródku zielonym mamy sprzed dwóch lat, na który składał się rząd doniczek na parapecie. Większość ziół wyrosła niesamowicie wysoko, po czym zwiędła; inne nie wyrosły w ogóle. Nan miała zwyczaj wrzucać zużyte torebki herbaty ekspresowej do doniczki stojącej najbliżej suszarki na naczynia, co też na pewno nie pomogło.

- Daniel mówi, że zamierzasz studiować anglistykę -odezwała się uprzejmie pani Gale. Mówię „uprzejmie”, choć domyślałam się, że musiała zaciskać zęby, żeby nie przestać być miłą. Trochę ją rozumiałam. Jej ukochany synek przyprowadza do domu jakąś ciężarną zdzirę, która najwyraźniej nie wie, jakiego noża użyć, i która, zmarnowawszy własne życie, snuje Bóg wie jakie plany, żeby zmarnować i jego.



-Chciałabym pojechać do Oksfordu - oświadczyłam z ustami pełnymi ryby.  
- Chcieliśmy, żeby Tasha tam studiowała, ale ona z jakiegoś powodu uparła się na Birmingham. -1 grymas. - No cóż. Daniel zapewne będzie się ubiegał o przyjęcie do Lincoln. Pójdzie śladami swojego ojca. - Pani Gale kiwnęła głową w kierunku męża.  
- Fantastycznie. Czy to przyjemny uniwersytet? Bardzo tam pagórkowato? - odezwałam się.  
- Zaszło chyba drobne nieporozumienie. - Doktor Gale zakasłał uprzejmie. - Chodzi o Lincoln College, w Oksfordzie.  
Aleśmy się wszyscy zaśmiewali. Zrezygnowałam z dalszych zmaganiań z rybą i odłożyłam sztucce. Gdybym zjadła więcej na raz, byłoby mi niedobrze.  
-Gillian była w St Hilda's College. Poznaliśmy się na dorocznym balu majowym.  
-Jakie to romantyczne - powiedziałam całkiem szczerze. Oto ludzie, w których życiu wszystko przebiegało jak należy i we właściwej kolejności.  
-Tak, towarzyszył jej gość, którego nie znośm. Skończyło się tym, że przyłożyłem mu pięścią w szczękę. -Uśmiechnął się do żony i podniósł kieliszek. - Cudowne czasy.  
-A ty przyszedłeś z Elise Osborne, dziewczyną znaną w całym Oksfordzie z powodu najbardziej drażniącego śmiechu - ripostowała zręcznie pani Gale. - Skończyłaś już, Charlotte?  
Pomogłam sprzątnąć ze stołu, a na deser jedliśmy owoce, co też nigdy nie zdarza się w naszym domu, gdzie owoce tkwią w misce, aż zaczynają pleśnieć, i wtedy się je wyrzuca. Biedna mama. To by jej się podobało: włoskie pieczywo, wino, pięć rodzajów sera, winogrona. Wielokrot-

nie próbowała przekonać nas do różnorodnych potraw, ale już dawno data za wygraną. Ulubionym daniem Nan jest boczek, dwa obrzydliwe, wygięte w łuk plastry, pokryte grubą warstwą tłuszczu, które Nan je palcami; jadłaby to na śniadanie, obiad i kolację, gdyby tylko mama jej pozwoliła. Dla odmiany mogą być flaki, mięso i cynaderki zapiekane w cieście, nadziewane paszteciki kupowane w markecie albo pasta z krewetek. Aha, i jeszcze łosoś z puszki. Jeśli mama jest na tyle niemądra, żeby podać coś tak szalonego jak ryż czy makaron, danie nietknięte ląduje w śmieciach. Pojęcia nie mam, jak Nan udało się przetrwać wojnę.

Ja sama zaliczam się do osób pojadających i nie lubię zasiadać do stołu. Kiedy mam ochotę na jogurt, robię kciukiem dziurę w przykrywce i wypijam przy świetle z lodówki zawartość pojemnika. Żadnego bałaganu. Można by oczekiwać, że mama będzie mi wdzięczna za takie praktyczne podejście, ale nic z tego. Jeśli chcę zjeść herbatnik, muszę zawracać sobie głowę wyjmowaniem talerzyka spod całego stosu filiżanek i miseczek - często pożrę herbatnik, nim wyciągnę talerzyk - a potem zmywaniem i odstawianiem go na miejsce, gdy tymczasem samo zjedanie zajmuje zaledwie dwadzieścia sekund. Jakby kilka okruchów było czymś ważnym. Gdyby miała życie jak należy, to na pewno ważne by nie były.

Siedzieliśmy zatem wokół stołu i zgodnie jedliśmy owoce. Gdyby nie liczyć kilku chytrych spojrzeń rzuconych przez elegancką panią Gale, posiłek był wspaniały.

- Kawy? - spytała na koniec.

- Nie dla Charlotte, przestała ją pić-wyрęczył mnie Daniel.

-To prawda. - Nie powiedziałam jej jednak tego, co powiedziałam Danielowi, mianowicie że smakuje jak moc. -Jeśli można, wypiję jeszcze jedną szklaneczkę soku winogronowego.

Daniel podszedł, żeby odsunąć moje krzesło.

- A ja napiję się wina - oznajmił. - Weźmiemy to ze sobą na zewnątrz.

Na tarasie było nadal widno, ale już znacznie chłodniej. Wdychałam wieczorne powietrze i czułam się jak nowo narodzona. W moim wnętrzu przewracał się i wiercił mały bananek, przybierając dziwne kształty, które wyczuwałam pod palcami. Zieleń trawników lśniła w wieczornym oświetleniu, a ja zagapiłam się na chmurę muszek kołyszącą się nad stawem pod żywopłotem. O ile mniej stresujące jest życie na wyższym szczeblu drabiny społecznej, kiedy ma się tę przestrzeń wokół siebie i pieniądze, i wiedzę o świecie. Pomyślałam o mamie i żałowałam, że będę musiała wrócić do domu.

-Śliczny ogród. Boże, ta uderzająca do głowy woń... Przypomina mi się Keats: „Nie mogę dostrzec kwiatów u swoich stóp”. Na pewno nie dlatego, że widok zasłaniał mu własny nabrzmiały brzuch. - Dziecko się przeciągało, w pobliżu zaczął śpiewać kos i przez krótką chwilę miałam wrażenie, jakbym znajdowała się na planie filmowym. -Wiesz, jesteś szczęściarzem.

Daniel pomógł mi usiąść na stopniu, po czym usadowił się obok.

-Taa, pewnie tak.

- Nie ma tutaj żadnego pewnie. - Zastanawiałam się, czy nie wyliczyć mu wszystkich tych powodów - zgodna rodzina, mnóstwo pieniędzy, pozycja społeczna - ale doszłam do wniosku, że byłoby to w złym guście. - W twoim domu panuje niewiarygodny wręcz spokój - oświadczyłam w końcu.

-Naprawdę?

Spojrzałam na niego, ale on siedział wpatrzony w jakiś punkt na horyzoncie.

- O tak, niesamowity. Cóż, w porównaniu z moim. Przy nim to nawet Bejrut jest spokojnym miejscem
- zażartowałam. Ptak przestał śpiewać i odleciał, czarna sylwetka na tle nieba pokrytego smugami obłoczków. - Nie podoba ci się tutaj?
- Nieszczerólnie. - Oparł brodę na dłoni. - Szczerze mówiąc, dobrze czułem się w Guildford.
- Dlaczego się przeprowadziliście? Westchnął.
- Tata dostał od kolegi ze studiów propozycję nie do odrzucenia. Tamten chciał otworzyć z nim wspólną praktykę. Tata uważał to za zrządzenie losu, przyjechał obejrzeć to miejsce i spodobało mu się tutaj. Spakowaliśmy więc manatki i ruszyliśmy za nim. Gdyby to było rok wcześniej czy rok później, pewnie byśmy się nie przenieśli, rodzice nie chcieliby zmieniać mi szkoły, ale na szczęście dla nich akurat dostałem świadectwo. - W jego głosie pobrzmiwała gorycz. - Już wybrałem przedmioty na następny rok i z radością myślałem o rozrywkach z przyjaciółmi... miałem ich tam. Milesa i Toby'ego. Nieraz świetnie się razem bawiliśmy. I nie przypominali tych palantów, z którymi teraz spotykam się w świetlicy; Boże, każdy z nich jest tak nudny, że sam siebie zanudza. Odsunęłam się nieco i wlepiłam w niego wzrok.
- Nie miałam pojęcia, że jesteś taki zde gustowany.
- Kontaktujemy się e-mailami, tyle że Miles ma teraz dziewczynę i przez jakiś czas nie spodziewam się zbyt częstych wiadomości od niego. Zresztą, to już nie to samo.
- Może przeprowadzicie się z powrotem - powiedziałam -jeśli twojemu tacie nie spodoba się praca tutaj.
- Nie sądzę. - Podniósł kamyk i rzucił na trawę. - Bo widzisz, moja mama miała romans, więc już nigdy tam nie wrócimy.

- Boże. - Wciągnęłam powietrze.

- Przyszedł po poradę do tej organizacji, w której się udzielała. Złamała wszelkie reguły. Usunięto ją stamtąd natychmiast, tyle że na szczęście dla niej wszyscy zainteresowani postanowili trzymać buzię na kłódkę. On wrócił do żony. My odbyliśmy naradę rodzinną na temat tego, co robić dalej, nie, żeby kogokolwiek interesowało moje zdanie. I wtedy pojawiła się ta propozycja pracy tutaj. Tata uważał, że może to być jedyny sposób na utrzymanie rodziny w całości. Nadal jednak jest wściekły, podobnie jak ona, tyle że z innych powodów. Prawdziwe szaleństwo! Pod wieloma względami lepiej byłoby, gdyby się rozstali. Już sam nie wiem. Wkurza mnie to ciągle udawanie, tak jak dzisiejszego wieczoru.

Byłam wstrząśnięta, słuchając go. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może mieć własne problemy, był po prostu kimś, kto pomaga mi przetrwać moje. Przysunęłam się bliżej i objęłam go ramieniem.

- To wino przemawia przeze mnie. Nie, to nie wino, to ja sam - wyznał.

- Och, Danielu.

-Chyba jedynie ty utrzymujesz mnie przy zdrowych zmysłach - oświadczył, odwrócił szybkim ruchem głowę i pocałował mnie w usta.

Nie zastanawiałam się nad tym, co robię, nie była to świadoma decyzja, w każdym razie odepchnęłam go od siebie i przyłożyłam grzbiet dłoni do ust. Czułam kwaśny smak wina i winy. On cofnął się gwałtownie i wlepił we mnie wzrok, a potem pochylił nisko głowę, tak że nie widziałam jego twarzy.

-Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Głupio...

Reszty nie dosłyszałam.

- Nie, to ja cię przepraszam, Danielu. Naprawdę. Przepraszam.

Drzwi za nami otworzyły się i na tarasie zastukały obcasy. Poczulałam powiew wiatru na ramionach i zobaczyłam, jak nagle poruszyły się liście buku w głębi ogrodu.

- Czy skończyliście już to, co mieliście do picia?

- O tak - odparł Daniel. - Skończyliśmy definitywnie.

Zadzwonili do mnie do pracy ostatniego dnia semestru. Dzieciaki były podniecone, ogołacały tablice ze swoich prac, wywracały szuflady. Młodsze rozbiegły się po budynku, wyciągając wbite w ściany pinezki, bo pan F obiecał batonik Marsa temu, które przyniesie ich najwięcej.

Sylv odebrała dla mnie wiadomość i aż rozpierało ją poczucie ważności, kiedy w czasie przedpołudniowej przerwy wpadłam do sekretariatu.

- Dzwonili z opieki społecznej. Masz jak najszybciej skontaktować się z niejaką Joyce Fitton. Tutaj jest numer. To ta sprawa adopcji?

- Tak - odparłam. Nie miałam siły kłamać.

- Och, panie dyrektorze, Karen odnalazła swoją biologiczną matkę.

Pan F, który właśnie wsadził do środka głowę, żeby poprosić o zszywacz, spojrział na mnie zdumiony.

- Nie - zaprotestowałam. - Sylv się pośpieszyła. Mam tylko spotkanie z pracownicą opieki i tyle. Może mają jakieś informacje, a może nie. To zresztą głównie rozmowa, takie tam ocenianie.

- Ocenianie czego? - spytała natychmiast Syk

- Czy mogę tu wtargnąć i poprosić o znalezienie pewnego pliku w komputerze? - spytał pan F. - To dość pilne. Zobaczymy się później, Karen.

Przepełniona wdzięcznością umknęłam stamtąd i poszłam zatelefonować z pokoju nauczycielskiego. Nie rozmawiałam z Joyce przez telefon, to jakaś inna kobieta zapisała moje nazwisko w terminarzu, więc nie wiedziałam, co takiego znalazła. Tym razem już na pewno ma adres mojej matki. Jej biurko było zavalone papierami, a na komputerze, obok stworka, tkwiła plastikowa marchewka. To wszystko nie wyglądało zbyt profesjonalnie, ale przynajmniej ktoś odkurzył żaluzje.

Joyce założyła okulary i otworzyła tekturową teczkę z moim nazwiskiem na okładce.

- Nie jestem w stanie podać pani adresu matki, Karen - zaczęła.

„Jasna cholera! Na co płacimy te pieprzone podatki?“, miałam ochotę krzyknąć. Cholerni pracownicy opieki społecznej! Co robicie całymi dniami, siedzicie sobie i popijacie kawę? Bo najwyraźniej żadnej cholernej roboty nie wykonujecie, to oczywiste.

- Ile jeszcze trzeba będzie poczekać? - udało mi się wykrztusić. - Jest pani rozczarowana? - Joyce przechyliła współczująco głowę.

- Wydaje mi się, że czekam już całą wieczność.

- To trudne, prawda? No cóż, teraz mogę skontaktować panią z kimś, kto wie, gdzie jest pani matka, kto może być pośrednikiem.

- Dlaczego? Czy ona nie chce dać się odnaleźć?

- To trochę skomplikowane. - Joyce odłożyła teczkę i wychyliła się do przodu, łokcie oparła o biurko, złożyła dłonie. - Kiedy opuściła dom samotnej matki, zamieszkała u tej pani, która była kimś w rodzaju opiekuna zastępczego. Tym dziewczętom z okolicy, które nie miały z czego żyć, proponowała zamieszkanie w przejściowym ośrodku, do czasu aż znajdą jakąś posadę i mieszkanie

albo postanowią wrócić do rodziny. Kiedy twoja matka stamtąd odeszła, latami utrzymywała z nią kontakt... nie sądzę, by utrzymywała jakiegokolwiek stosunki z własną rodziną w Wigan. Zamieszkała w Londynie i, eee, zmieniła nazwisko.

- To znaczy, że wyszła za męża?

- Musi pani porozmawiać z naszym kontaktem, z panią Beattie, Mary Beattie. Proszę najpierw do niej zadzwonić.

- No tak, dobrze. Proszę więc o namiary na nią. Joyce podała mi kartkę papieru.

- Jak powiedziałam, może pani wykorzystać ją jako pośredniczkę i w ogóle nie spotykać się ze swoją matką, jeśli pani nie chce. Mogłybyście wymienić korespondencję przez Mary bez podawania własnego adresu.

- Dlaczego miałabym tak postąpić?

- Ja jedynie podaję pani różne możliwości, Karen. - Joyce splotła dłonie nad zamkniętą teczką. - I jeśli będzie pani chciała to przedyskutować, jestem do dyspozycji.

Ta cała cholerna konspiracja, tyle zawracania głowy o nic. Wykonują pracę dla siebie samych, ci pracownicy opieki społecznej. Ale przynajmniej teraz mogłam sama zacząć działać i na pewno pójdzie o wiele szybciej.

- Dzięki - powiedziałam, wstając i wkładając kartkę do torebki. - Muszę już lecieć, jestem umówiona.

- Powodzenia.

Wyszłam z budynku i pod szarym niebem pospieszyłam do miejskiej galerii na spotkanie z panem F. Była to wystawa zatytułowana „Psy w sztuce”.

- Lubię obrazy, na których coś można rozpoznać, a nie gmatwaninę plam. Nie wiem, czy wynika to z tego, że jestem staromodny. - Pan F - Leo, kiedy nie jesteśmy w pracy - stał przed



dużym obrazem przedstawiającym kobietę w białej nocnej koszuli z cocker spanielem na rękach. - I przyznaję, że jest mi wszystko jedno. Widziałaś tego psiaka? Też mieliśmy spaniela, kiedy byłem chłopcem. - Jak się wabił?

- Kipling. Ojciec nadał mu to imię.

- My mieliśmy czarnego kota o imieniu Kredzik. Też ojciec dał mu to imię. Dziwne, ale zaginął w tym samym tygodniu, w którym mój tata poszedł po raz ostatni do szpitala. Żaden nie wrócił. Kredzik zapewne nie wiedział, co ma ze sobą robić bez mojego taty; zawsze przesiadywał na warsztacie, podczas gdy tata majstrował coś w szopie. Tata twierdził, że uczy kota ttzy-mać gwoździe w łapkach.

- Wydaje się, że był miłym człowiekiem.

- O tak. Był naprawdę miły.

Szliśmy dalej w milczeniu i obejrzelśmy jamnika na brzegu rzeki oraz psa myśliwskiego leżącego obok stosu bażantów.

- A jak poszło spotkanie w opiece społecznej? Jeśli w ogóle chcesz o tym rozmawiać...

- Ach, nie ma problemu. Przynajmniej tak mi się wydaje. Trochę zagrań w stylu płaszcza i szpady w sprawie wiadomego kontaktu, ale dostałam adres kobiety, która ją zna, więc w sumie wszystko teraz zależy ode mnie.

- Pojedziesz do Londynu?

- No cóż...

Minęliśmy bernardyna stojącego na występie skalnym oraz średniowiecznego chatta siedzącego u stóp tycerza.

- To niesamowite, ale mam uczucie... jestem niemal przerażona, teraz, kiedy widać już koniec spiawy. Nie, może nie p r z er aż o na, ale niechętna do wykonania tego ostatniego kroku. Ciągłe wracam myślą do dzieciństwa; wspomnienia, o których byłam przekonana, że dawno się zatarły, zaczęły pojawiać się

niespodziewanie w mojej głowie, niektóre z nich we snach. Nan na pikniku z gąsienicą przyczepioną do rajstop. Ten czas, kiedy pomogła mi wygrać szkolny konkurs na wielkanocny kapelusz.

Zastanawiam się, czy... czy w pewnym sensie nie odizucam tego wszystkiego, szukając swojej prawdziwej matki. Bo nie wszystkie tamte dni były nieszczęśliwe. — Zatrzymaliśmy się przed domem niemieckim pilnującym niemowlęcia. - Prawdę mówiąc, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że miałam całkiem miłe dzieciństwo. Bo przed chorobą taty moim najbardziej przerażającym przeżyciem był Doktor Who walczący z diabłami morskimi. A jedyne oszustwo, jakie zapamiętałam, to odkrycie, że na metce kocyka mojego misia widnieje napis „czysta żywa wełna”, a nie „własność misia Fuzzyego”. Pomiedzy mną i mamą popsulo się dopiero po śmierci taty. Za co prawdopodobnie ponoszę część winy. Bo widzisz, pomimo swoich wad, była dobrą matką. Po prostu nie pasowałyśmy do siebie i tyle.

- Czujesz się nielojalna?

- Tak.

- Chodźmy na herbatę i bułeczki z rodzinami — zaproponował Leo.

Poszliśmy w stronę wyjścia.

- Bezwstydnie populistyczna, niemniej zabawna - rzucił po drodze kobiecie przy biurku i przeszliśmy na drugą stronę ulicy do Ośmiokąta.

- Pamiętam coś takiego. - Przesypywałam łyżeczką cukier w cukiernicy. - Czy wierzyłeś w złodziei cukru, kiedy byłeś mały?

- Nie bardzo rozumiem.

Zacząłam wygładzać powierzchnię cukru wybrzuszeniem łyżeczki.

- W szkole podstawowej uważaliśmy te latające nasiona -dmuchawca i innych roślin — za owady czy coś w tym sensie,

które odżywiają się cukrem. Ciągłe znajdowałam je w naszej spiżarni. Bardzo długo w to wierzyłam.

- Nie, nigdy czegoś podobnego nie słyszałam. - Leo roześmiał się. - Opowiedz mi coś jeszcze.

Rysowałam wzorki na wygładzonej teraz powierzchni cukru i zastanawiałam się.

- No dobrze, a co powiesz o tych kamyczkach i zielonych szkiełkach, którymi obsypane są niektóre mogiły?

- Co z nimi?

- Cóż, jeśli weźmiesz choć jeden ze sobą do domu, duch osoby z tamtego grobu tak długo będzie nawiedzał cię w sypialni, aż położysz ten kamyczek z powrotem tam, gdzie leżał.

- Zrobiłaś to kiedyś?

- W życiu. To zbyt przerażające. Ale pewien chłopiec z naszej klasy zrobił i przysięgał, że w nocy obudziła go jakaś podła starucha. Tyle że on mieszkał ze swoją babcią, co pewnie wyjaśnia sprawę.

- Przestań już, dość. Bo się udławię bułeczką. - Leo zaśmiewał się i ocierał dłonią oczy.

- Było też to wielkie szaleństwo z robieniem sobie malinek na rękach, mieliśmy wtedy zaledwie po osiem lat, nie wiedzieliśmy, w czym rzecz. Niektórzy chłopcy mieli fioletowe całe przedramiona. Dziwię się, że nikt nigdy nie zawiadomił rzecznika praw dziecka. A potem niejaka Sharon Dawes powiedziała, że matka złapała ją, jak to robi, i oświadczyła, że można od tego dostać raka, więc jednego dnia daliśmy sobie spokój. Wszyscy poza Christopherem Flintem, ale on był stuknięty.

Wysłano go zresztą do szkoły specjalnej w Little Lever.

Teraz już chichotaliśmy oboje.

- To mi przypomina Gavina Crossleya - zauważył Leo. - Nie sądzę, żeby pobyl z nami dłużej, jak tak dalej pójdzie.

- Och, tamten był znacznie gorszy. Kiedyś przewrócił na bra-

ta szafę i wystrzelił z wiatrówki w panią Porter z kiosku, kiedy nie chciała mu dać gazet do roznoszenia.

- Małomiasteczkowe oryginały.

- Szczęśliwe czasy.

- Więc jak, pojedziesz do Londynu czy nie?

- Bóg jeden wie. Rzucę monetą. Nie, nie, lepiej policzę rodzynki w bułeczce. Parzysta liczba, jadę, nieparzysta, zostaję. -Wzięłam nóż i zaczęłam przekrawać bułeczkę. - Zawsze mogę zmienić zdanie. Jako dziewczynka nigdy nie miałam nowych ubrań, z wyjątkiem tych sznurowanych trzewików, które nosiłam w niedzielę; wszystko poza tym było używane. Dlatego też podczas procesji musiałam na ogół iść na końcu szeregu, chociaż opuściłam mszę tylko raz, kiedy złamałam rękę. Powiem wam, kto zawsze maszerował pod samą chorągwią, to była Annie Catterall w swojej frymuśnej, białej sukience, a przecież ona nigdy nie chodziła do szkoły niedzielnej i w ogóle. Tylko dlatego, że jej rodziców stać było na to, żeby ją ładnie ubrać. Raz moja przyjaciółka Lily Alker trzymała koniec wstęgi przy chorągwi, nie wiem, jak jej się to udało, bo miała ojca inwalidę. Może pożyczyła sukienkę od kogoś albo co. W każdym razie procesja zbliżała się do końca, kiedy ta wstęga się zerwała. Annie zabrała ją sobie do domu i zrobiła z niej kokardy do warkoczy. Kiedy to się wydało, zdarli jej z włosów te wstążki i posłali do łóżka, ale wpierw dobrze przetrzepali jej skórę. Może więc i lepiej, że ja szłam na szarym końcu.

Najgorsze w życiu lanie dostałam, kiedy zabrałam mamu-sine guziki, żeby się nimi pobawić na ulicy. Rysowaliśmy kółko na piasku i rzucaliśmy guziki do środka, jeśli udało się

trafić, zabierało się wszystkie te, które w tym kręgu już były. Często przy tym wdawaliśmy się w kłótnie, ale człowiek nie pomyśli, jak jest młody. Grało się też w świnkę i inne gry. Świnka była najlepsza, chociaż teraz chyba się w nią nie gra. Kładło się swoją świnkę, czyli gruby kawałek drewna z zastruganym ostro jednym końcem, na cegle, tak żeby ten ryjek wystawał poza krawędź cegły. Potem waliło się w nią kijem, a ona frunęła w powietrze. Więksi chłopcy potrafili tak uderzyć, że leciała kawał ulicą. Zgadywali wtedy, ile jest do niej kroków. Czasami kooperatywa organizowała biegi ulicą Chantry, ale ja nigdy żadnego nie wygrałam. Nie umiałam dobrze biegać, oj nie. Raz dostałam w nagrodę lalkę, ale tylko dlatego, że dali je wszystkim; wtedy też przybiegłam ostatnia. To było w tych biedniejszych czasach. W tych lepszych babcia Florrie piekła pierniki i drożdżówki, zapiekała mięso w cieście i cynaderki, przyrządzała nogę wołową z chrupiącą skórką. Ulicami chodził wtedy i krzykiem zachwalał swój towar handlarz flaków. Ale w latach powojennych, kiedy byłam jeszcze mała, matka musiała chodzić do kościoła po darmowy chleb; można było dostać dwa bochenki na tydzień. I na ulicy zawsze jacyś ludzie żebrali, śpiewając, na rogach przesiadywali górnicy, co to nie mieli pracy.

Jak teraz sobie o tym pomyślę, to moja matka była cudowna, bo przecież ani Jimmy, ani ja nigdyśmy tego nie odczuwali, tej całej biedy. Szkoda, że nie mogła być ze mną dłużej.

Anya zatelefonowała i powiedziała, że idzie do szkoły po wyniki egzaminu, i spytała, czy nie miałabym ochoty spotkać się tam z nią. - Bliźniaczki robią potem piknik w parku, jeśli nie będzie

padać. Bardzo chcą cię zobaczyć. Tak jak ja. Przyjdź, rozerwij się trochę.

Zdawało mi się, że jestem zbyt nieszczęśliwa, by choć podnieść głowę z poduszki, ale ostatecznie poszłam. Bolesnie przeżywałam brak Daniela; gorzej niż zerwanie z Paulem. Tamto objawiło się kilkoma ostrymi ukłuciami w piersi. Teraz czułam uporczywy, tępy ból w całym ciele, zupełnie jakbym była chora na gripę.

Zastanawiałam się, czy nie wpadnę na niego w sekretariacie. Teoretycznie uczniowie przychodzą po wyniki między dziesiątą i dwunastą, ale w praktyce już o dziewiątej pięćdziesiąt przed drzwiami kłębi się tłum rozhisteryzowa-nych nastolatków, którzy natychmiast po otwarciu drzwi wdzierają się do środka. Wślizgnęłam się z całą gromadą o 10.03, tak że nie musiałam czekać pod drzwiami i narażać się na zaciekawione spojrzenia. Na ogół uczniowie, którzy przychodzą później, to ci, którzy wiedzą, że albo poszło im świetnie, albo naprawdę źle. Obserwuje się przy tym mnóstwo pozerstwa, klasowe zgrywusy udają zdumienie, że nie poszło im jeszcze gorzej; dziewczęta zbijają się w grupki, te, którym się powiodło, z zakłopotaniem obejmują i pocieszają zapłakane koleżanki. Wokół stoją nauczyciele, składają gratulacje, kiedy się one należą, kiedy zaś nie, unikają kontaktu wzrokowego. Atmosfera jest pełna napięcia. Nie cierpiałam tego w ubiegłym roku, z trudem wytrzymywałam teraz. Na te kilka minut moja ciąża odeszła w zapomnienie. Anya i ja stałyśmy odgrrodzone od siebie udreką własnych obaw, rozkładałyśmy niecierpliwie kartki papieru, wpatrywałyśmy się w nie, wchłaniałyśmy informacje, a potem wrzeszczałyśmy jedna do drugiej, do każdego, kto tylko zechciał słuchać.

- Mam bardzo dobry!

- O mój Boże, ja też!

Anya objęła mnie w pasie, co było nie lada wyczynem, i niczym dwie pijaczki wytoczyłyśmy się na dwór. Pani Carlisle ruszyła za nami.

- Świetna robota, obie. Z przyjemnością czekam na następny rok. - Uśmiechnęła się do mnie. - To dla ciebie, numer mojego telefonu domowego. Możesz zadzwonić, kiedy tylko zechcesz, i spotkamy się, żeby wszystko obgadać. - Podała mi zaklejoną kopertę. - Nie pozwól, żeby dostała się w niepowołane ręce. Nie chcę przez całe lato wysłuchiwać sprośności przez telefon!

- Ona jest taka miła - powiedziała Anya, kiedy szliśmy powoli w stronę parku.

Natknęliśmy się na idące w stronę szkoły bliźniaczki, wyraźnie roztrzęsione, ale nigdzie nie widziałam ani śladu Daniela. Przyszło mi do głowy, że być może wyjechał albo że poprosił o przysłanie wyników pocztą. Mimo to nie mogłam przestać zerkać na twarze kierowców, kiedy mijały nas kolejne samochody i jeden za drugim wjeżdżały podjazdem i ustawiały się wokół dziedzińca szkoły.

- Chcesz pogadać o dziecku? - spytała niespodziewanie Anya. - To znaczy teraz, zanim wyjdą bliźniaczki. Bo nie byliśmy pewne, czy tego chcesz czy nie, a nie chciałyśmy zachować się niewłaściwie.

Biedna Anya. Te słowa musiały kosztować ją wiele wysiłku.

- Dzięki. - Pokręciłam głową. - Nie, nie dziś. Chyba mam ochotę być po prostu sobą, a nie „panią ciężarną”. Nie przeszkadza ci to?

-Ależ nie, skądże - zapewniła mnie. W jej głosie usłyszałam ulgę.

W tym momencie pomyślałam, jak dobrze byłoby zrzucić z siebie tę ciążę, choć na kilka godzin, odpiąć to wyrzucenie i powiesić je w szafie. Chciałam mieć chwilę wytchnienia, odrobinę wolnego czasu dla siebie, w nagrodę za dobre zachowanie, czasu na jeden ostatni wypad z dziewczynami, a potem, wieczorem, wróciłabym do tego, co jest tak bardzo częścią mnie samej. Wyglądałam teraz okropnie i wciąż byłam zasapana, nie mogłam się schylać, nieustannie chciało mi się siusiu... Jesteś takim wielkim pasożytem, powiedziałam dziecku, kiedy brałam kąpiel. Niech sobie słyszy, co mi tam. Kiedy dogoniły nas bliźniaczki (obie ocenione na dostateczny), weszłyśmy do parku i rozłożywszy się przy klombie w zagłębieniu terenu, zajęłyśmy się jedzeniem. I chociaż w naszej rozmowie ziała ogromna czarna dziura, bo wszystkie, włącznie ze mną, unikały tematu, który przecież aż kłuł w oczy, to jednak gadało się znakomicie, tyle było innych tematów. Jest mnóstwo rzeczy interesujących nastolatków, różne błahostki, plany, plotki. Nie bardzo mogłam się w nie angażować, mogłam natomiast słuchać i śmiać się, i żartować.

Podjechała furgonetka z lodami i Anya poszła, żeby kupić nam wszystkim po rożku. Rozgrzane powietrze drgało nad ziemią. Kiedy spojrzałam na opadające w kierunku wejścia rabatki czerwonych i białych kwiatów, dostrzegłam Daniela idącego szybkim krokiem w naszą stronę. Nie wiedziałam, co mam zrobić, zresztą i tak nie bardzo mogłam się ruszyć, bo w każdej ręce trzymałam lodowy rożek. Uśmiechnęłam się, po czym odwróciłam wzrok, na wypadek gdyby to już okazało się za dużo. Lody w jednej ręce zaczęły się rozpuszczać i ściekać po palcach, wykręciłam więc dłoń i próbowałam je zlizać. W tym momencie Daniel puścił się biegiem.



- Nie! - wrzasnął.

- O co mu chodzi? - odwróciłam się do Anyi, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Nie zwalniając ani trochę, jak burza przeleciał obok, wytrącając mi lody z ręki. Pacnęły na ziemię, ostrym końcem rożka do góry, i zaczęły rozpływać się po żwirze.

Nie udało mu się zatrzymać w miejscu, przeleciał przez rabatkę i znieruchomiał dopiero po kilku metrach, dysząc ciężko. Anya zrobiła do mnie minę mającą oznaczać, że chyba mu odbiło.

-Co ty, do diabła, wyprawiasz? - spytałam. Wydawało mi się to dość dziwaczną reakcją na odrzucenie jego zalotów.

Podszedł bliżej, rozczochrany i z uśmiechem na twarzy.

- Niewiele brakowało. Czy położna nie powiedziała ci o listeriach?

-Taa. Śmiertelnie groźne bakterie. Są w pleśniowych serach i w pasztetach, ale ja ich nie jadam. Więc?

-A także w takich miękkich lodach z furgonetek, jeśli ma się pecha. Ostrożności nigdy za wiele. Mogę postawić ci lody w polewie czekoladowej?

- Jezu. - Zwróciłam na Anyę zrozpaczone spojrzenie. Co z takim zrobić?

- Sama decyduj - odpowiedziała, chichocząc, i usiadła na ławce obok wytrzeszczających oczy bliźniaczek.

Co miałam robić?

-Wezmę lody z zamrożonego soku - oświadczyłam ponuro.

Z daleka musieliśmy wyglądać na dziwną parę, ja niczym baryłka na nogach, on długi i cienki. Kiedy podawał mi lody na patyku, zrobił to zamaszycie i z ukłonem. Miałam ochotę go kopnąć.

- Posłuchaj, mój królewiczu z bajki, chcesz, żebym wepchnęła ci to do nosa? - syknęłam.

Wróciliśmy do dziewczyn, które za naszymi plecami wymieniały znaczące spojrzenia i tłumiliły chichoty. Będę wyrozumiała i powiem, że jeszcze się nie uspokoiły po przeżyciach związanych ze sprawdzaniem wyników egzaminu.

- No dobrze - oświadczyła Anya po jakichś trzydziestu sekundach - musimy się ruszyć, jeśli chcemy jeszcze zaliczyć sklepy. Idziesz z nami?

- Nie ma sensu, żebym kręciła się teraz po Arndale. Zresztą i tak muszę niedługo wracać.

Wiedziałam, że nie mogą się doczekać chwili, kiedy będą same. Z miasta zadzwonią pewnie do Julii i zdadzą jej szczegółowe sprawozdanie dotyczące tego szaleńca z Queen's Park.

Pożegnałyśmy się mnóstwem uścisków, obietnicami telefonicznego kontaktu i życzeniami powodzenia, po czym dziewczęta się ulotniły. Daniel leżał na ławce i lizał lody.

- Czekam, aż uaktywnią się te środki dodawane do żywności - oświadczył.

- A mnie się wydaje, że już zadziałały. Brałeś dzisiaj jakiś środek pobudzający?

- Mój jedyny problem to chorobliwie niski poziom ocen -powiedział i usiadł, osłaniając dłońmi oczy.

- Naprawdę? Co dostałeś?

- Dobry i dostateczny. Rodzice będą zgorszeni. Dobrze im tak, za to, że przenieśli mnie tutaj w krytycznym momencie mojego rozwoju.

Podeszłam i usiadłam na drugim końcu ławki.

- Dobry i dostateczny to nie tak źle. To tylko egzaminy końcowe. Możesz przecież przystąpić do nich ponownie i poprawić oceny, prawda?

-Tak, tak. Nieważne, już mam w głowie przygotowaną gadkę dla rodziców. Ty dostałaś bardzo dobry, prawda?

-To oznacza jeszcze większe kłopoty w domu; matka powiesi mi tę kartkę jak kamień u szyi. Skąd wiesz?

-Zgadłem. Gratuluję. Mój tata byłby zachwycony, uważa, że jesteś wspaniała.

-To miłe z jego strony, że mnie odwiózł w zeszłym tygodniu.

- Żaden problem. Dobrze mu się z tobą rozmawiało. Mówi, że jesteś inteligentna. Mnie objechano za to, że byłem zbyt urżnięty, żeby cię odwieźć.

-A byłeś? Urżnięty?

- Owszem. - Obejrzał patyk po lodach i odczytał dowcip. - Dlaczego wrony lecą do lasu?

- Nie mam pojęcia...?

- Bo las do nich nie przyleci. Niezłe. - Schował patyk do kieszeni i wstał. - Odwiozę cię teraz, jeśli chcesz.

- Nie powiem nie.

I jakby nigdy nic, ruszyliśmy zgodnym krokiem. Może oboje mieliśmy zbyt dużo do stracenia.

- Nie obrazisz się, jeśli cię nie zaproszę do środka? Jestem śmiertelnie zmęczona, muszę się położyć - powiedziałam.

- I tak powinienem już wracać do domu. I ponieść konsekwencje. - Daniel skrzywił się. - Cholerni rodzice, prawdziwa kula u nogi. Do zobaczenia!

Nacisnęła klakson, a ja, raptem przygnębiona, powlokłam się do wejścia. Reakcja na to wszystko, jak przypuszczam. Chwilę szamotałam się z drzwiami, cisnęłam kartkę z wynikami na stół i padłam na kanapę. Z kuchni wyszła rozpromieniona Nan.

- Iii, to nasza Charlotte. Urodnie wyglądasz, zotko. Połóż sobie wyżej nogi, a Debbie zrobi ci filiżankę herbaty. Przyniosła ci mały prezent.

Posłałam jej całusa.

- Naprawdę cię kocham, Nan - oświadczyłam.

Kiedy wróciłam do domu, księżniczka leżała na kanapie i podziwiała malutkie śpioszki, Nan masowała jej stopy, a Debbie, sprzątaczką, trzymała nad jej brzuchem igłę na nitce.

- Nie mam pojęcia, czy kręci się w kółko czy nie - mówiła Debbie. - Zresztą i tak nie pamiętam, jak to jest. Pamiętasz może, Nan? Jak chłopiec, to kółko, a jak dziewczynka, to linia prosta?

- Może to hermafrodyta - zażartowała Charlotte.

Jestem przekonana, że żadna z nich nie wie, co znaczy to słowo, obie jednak wybuchnęły śmiechem.

Wzięłam ze stołu świstek papieru i skrzywiłam się. To samo, co z raportem o wynikach w nauce, kolejne fiasko. Szkoda, że nie dostała bardzo dobrej oceny z rób do cholery to, co ci każą.

- Wiesz, że marnujesz sobie życie - warknęłam, przechodząc. Nawet nie odwróciła głowy.

- O, właśnie zobaczyłam, jak się ruszyło - wykrzyknęła Debbie. - Niech mu Bozia da zdrowie.

- Mogę dotknąć? - spytała Nan.

Trzy dni później opuściłam dom.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dzień zaczął się normalnie; wkroczyła Nan i oświadczyła, że mamy ranek. Taki z tej mojej matki ranny ptaszek. Worek zmieniałam u niej w pokoju, po czym zeszła na dół, żeby się umyć. Ja tymczasem wskoczyłam w legginsy i koszulkę. Nan wróciła do swojego pokoju, żeby się ubrać, a ja ruszyłam do kuchni przygotować śniadanie. To wszystko ma w sobie coś z sekwencji baletowej, którą przez lata udoskonalaliśmy, a jedyną osobą, która potrafi wszystko zepsuć, jest Charlotte, kiedy zerwie się niespodziewanie wcześniej albo utknie na długo w łazience, żeby poprawiać fryzurę. Tego jednak ranka ja już zdążyłam skończyć grzanek, a Nan nadal się nie pojawiała, wobec czego wróciłam na górę, żeby zobaczyć, w czym rzecz. Siedziała na łóżku w samej halce, gniewnym wzrokiem wpatrując się w krzesło.

- O co znów chodzi? - spytałam. - Kaszka ci tam stygnie.

- Nie włożę tego. - Palcem wskazała na przerzuconą przez oparcie krzesła sukienkę.

- A dlaczego nie?

- Bo nie jest czerwona.

- Och, na miłość boską. To śliczna sukienka, mamó. Miałaś ją na sobie w zeszłym tygodniu.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

- Wiesz co, włoż na wierzch ten rozpinany sweterek w rdzawym kolorze. To przecież odcień czerwieni.

Milczenie.

- No cóż, nie możesz iść do kościoła w halce. Niedługo przyjdą Maud i Ivy, a chyba nie chcesz, żeby na ciebie czekały. -Otworzyłam drzwi szafy i przejrzałam jej ubrania. - Zaraz, zaraz, a co byś powiedziała na to? - Wyjęłam szarą sukienkę ze szkarłatnymi kwiatami na spódnicy. - Ta jest ładna. - Za mało czerwona.

Siłą woli zachowując spokój, powiesiłam szarą sukienkę z powrotem i wyszłam na podest, żeby zajrzeć do kosza na brudną garderobę. Może za pomocą odświeżacza tkanin i solidnego strzepnięcia uda się doprowadzić do jako takiego stanu ten jej kostiumik z czerwonej wełny. Pogrzebałam w koszu i natrafiłam na niego; miał na przodzie plamę po zupie. Wrzuciłam go z powrotem i stałam tam, zastanawiając się. Miałam do wyboru cztery możliwości. Mogłam natychmiast rzucić się przez poręcz. Wtedy wszystkim byłoby przykro. Mogłam wybuchnąć głośnym płaczem, na co i tak nikt nie zwróciłby uwagi. Mogłam wrócić do pokoju mamy i dać jej po twarzy - och, wiem, że to okropny pomysł, jestem niby jej opiekunką i to nie jest jej wina itp., itd., ale wierzcie mi, że są momenty, kiedy jestem tak tego bliska, że muszę natychmiast odejść i policzyć do dziesięciu. Albo, i ten pomysł zaczął nabierać realnych kształtów jako najbardziej rozsądne posunięcie w tych okolicznościach, mogłam zwyczajnie dać nogę.

Wróciłam do pokoju mamy, wyciągnęłam zapasowe worki oraz taśmę niezbędną do ich założenia i położyłam to wszystko na toalecie. Potem ze szkatułki wyjęłam małe nożyczki i w każdym z worków wycięłam odpowiedniej wielkości otwór.

- Jestem już dość stara, żeby móc robić, co mi się podoba -burknęła niespodziewanie.

- Nie, mamó, nie jesteś dość stara, jesteś za stara, w tym cały problem.

Z szafy zdjęłam neseser i zabrałam do swojego pokoju. (*Jedziemy!Jedziemy!*) W głowie, w rytm mojego oddechu, pobrzmie-

wała mi bzdurna piosenka Nan. Zapakowałam elegancki kostium, czółenka, dwie pary legginsów oraz różne bluzki, majtki, podróżne mydełko w płynie, kosmetyki i lokówkę do włosów. (***Autem jedziemy!***) Kiedy przechodziłam obok jej pokoju, zobaczyłam, że ułożyła się na łóżku i zamknęła oczy. Nie zatrzymując się, zesłam na dół, do łazienki, skąd wzięłam kosmetyczkę, po czym w korytarzu przejrzałam jeszcze swoją torebkę i notes z adresami. (***Szuka nas sześćdziesięciu policjantów, a my nie wiemy, gdzie się znajdujemy!***) W końcu naskrobałam Charlotte na kartce, że wyjeżdżam na kilka dni do przyjaciółki i zadzwonię wieczorem, a jeśli będzie jej potrzebna jakaś pomoc, to niech się skontaktuje z tatą albo z opieką społeczną. Był to z mojej strony dowód całkowitego braku odpowiedzialności. Wyobrażałam sobie te okrzyki przerażenia, kiedy Charlotte wstanie wreszcie, żeby wpuścić Maud i Ivy, i wtedy wspólnie odkryją prawdę. Cóż, będą musiały sobie jakoś z tym poradzić.

Tak mocno trzasnęłam drzwiami auta, że omal nie odpadły, po czym na cały regulator puściłam taśmę z Madonną. Przez całą drogę do Manchesteru usprawiedliwiałam się w takt tej muzyki. ***Rescue Me. Secret. Bad Girl.*** Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam.

A potem, kiedy wjechałam na niemal pusty parking, taśma dobiegła końca i jakiś człowiek w radio oświadczył, że księżna Diana nie żyje.

Siedziałam w aucie kilka minut i słuchałam; wypadek samochodowy, Francja, wczesne godziny ranne, ucieczka przed pościgiem. „Czekamy na państwa telefony”, oznajmił prezenter. „Proszę dzwonić i dzielić się z nami odczuciami na temat tego ogromnie smutnego wydarzenia, tej wstrząsającej tragedii; halo, Gemma z Radcliffe”. I załamujący się głos Gemmy: „Wprost nie mogę w to uwierzyć, była taka młoda...” Wyłączyłam radio i spokojnie wysiadłam z samochodu.

Na stoiskach przed budynkiem dworca gazety krzyczały na

główkami, na murze obok baru ktoś narysował kredą ogromne serce i napisał **R.I.P. DL** To było zupełnie nierzeczywiste. Kupiłam bilet w automacie i wyszłam na peron, gdzie grupka pasażerów z wielkim ożywieniem wymieniała uwagi. Jakaś kobieta po pięćdziesiątce z zaciętą twarzą i paskudną broszką w kształcie szponu na płaszczu; bardzo chudy mężczyzna, marznący w samej koszuli; młoda kobieta w indyjskim sari i anoraku, trzymająca za rękę potulnego szkraba; normalnie wszyscy bardzo staraliby się strzec swojej prywatności. Tego ranka było jednak inaczej.

- W tunelu - mówiła kobieta ze szponem - okropność.

- Ci chłopcy - wymamrotała młoda mama, kręcąc głową, podczas gdy jej córeczka zadarła głowę i obserwowała, jak między metalowymi belkami przelatują gołębie.

- Cholerni reporterzy. - Chudzielec zacisnął pięści. - Powinno się ich pozamykać. Nie mają żadnych skrupułów.

- W naszej gazecie napisali, że była tylko ciężko ranna-włączyła się znów ta od szponu - myślałam, że ptzeżyła, dopóki nie włączyłam telewizora. Wprost nie mogę uwierzyć.

Chudy zobaczył, że wpatruję się w jego „Observera”, i bez słowa podał mi gazetę. Podniosłam ją do oczu, obejrzałam zdjęcia i przeczytałam tekst. Zatem to wszystko prawda.

A potem na peron wtoczył się pociąg do Euston.

Kiedy ruszył ze stacji, siedziałam samotnie w kącie przy oknie i myślałam o Dianie i o sobie.

Przypomniałam sobie te wszystkie królewskie uroczystości, całą tę nadzieję i szczęście pośród wydarzeń mojego zmarnowanego życia, jej uroczą uśmiechniętą twarz i tamtą bajkową pomiętą suknię.

Wydawało się, że wszyscy są razem, miało się wrażenie, że cały naród jest z tobą, kiedy siedzisz przed telewizorem i oglądasz ten pocałunek na balkonie. Zachowałam pamiątkowe wydanie „Radio Times”

i nawet ptzez krótki czas naśladowałam jej uczesanie. Uważałam, że ona jest zaczarowana i nietykalna, a potem okazało się, że dała się



nabrać jak my wszyscy. Tamto wyznanie i łzy w godzinach największej oglądalności; cierpiałam za nią. A teraz, po tych wszystkich nieszczęściach, nie żyła, co stanowiło wstrząsający dowód na to, że pieniądze i elegancja, i klasa, i uroda nie znaczą zupełnie nic w obliczu losu.

Ogarnął mnie głęboki smutek i odezwało się poczucie winy. Skoro ona nie potrafiła dać sobie z tym rady, to jaką szansę ma reszta z nas? A potem, niczym zimna mgła, zaczęły się unosić wokół mnie wszystkie moje niedoskonałości i wady i nagle zalałam się łzami, i krajobraz za oknem zupełnie się zamazał. Nawet jej nie znałam, pomyślałam sobie, dlaczego więc płaczę?

Ten dzień zaczynał nabierać jakiegoś surrealistycznego zabarwienia. Mamy nie ma, w kuchni tata wypakowuje mrożone gotowe dania i puszki z jedzeniem dla Nan, a wszystkie stacje telewizyjne są pełne Diany.

-Jasne, że szkoda, ale nie wiem, dlaczego te wszystkie kobiety ronią łzy - mruknęłam. - Człowiek gotów pomyśleć, że była najbliższą przyjaciółką setek tysięcy ludzi. Chyba robią to na pokaz, dla kamer.

- Wziąłem sześć sztuk tej minipizzy, bo była w promocji -oznajmił tata. Widziałam, że jest nieźle wkurzony. - Co za cholerny cyrk. Koniecznie muszę być jutro w robocie. Tyle brałem wolnego, że szef dał mi ostrzeżenie. Ale Ivy Seldon mówi, że w klubie seniorów zgłaszają się już na dyżury, dzwoniłem też do opieki społecznej i codziennie rano na godzinę przyjdzie pielęgniarka. Jutro jest ta kobieta z Crossroads, a potem ta wasza sprzątaczką. Będzie ruch jak na targu. Na pewno nie będziesz zdana na siebie, złotko. Ja zajrzę codziennie po kolacji. Zresztą, może mama wróci za dzień czy dwa.

- Nie martwię się, tato. - I rzeczywiście się nie martwiłam. Pod pewnymi względami odczuwałam ulgę, że pozbyłam się jej z domu. - Już kiedyś to zrobiła, pamiętasz? Wtedy wymacała sobie guz w piersi i wybrała się do Fleetwood na długi weekend.

-Aha. I okazało się, że to nic takiego. Myślisz, że rzeczywiście pojechała do jakiejś przyjaciółki?

- Nie sądzę. Nie ma przyjaciółek.

- Może do jakiegoś faceta, co? -Ależ skąd.

-Tak tylko się zastanawiałem.

-Wiesz, była okropna, jeśli chodzi o dziecko. Chciała, żebym się go pozbyła. Tata z jeszcze większą energią pakował produkty do zamrażalnika.

- No cóż, chodziło jej o twoje dobro. Myślała, że tak byłoby dla ciebie najlepiej. No wiesz, wykształcenie i w ogóle.

- Chyba jej tego nigdy nie wybaczę. Weszła Nan.

-A gdzie nasza Karen? Wymieniliśmy z tatą spojrzenia.

- Musiała na chwilę wyskoczyć. Masz ochotę na herbatę? - Tata odłączył czajnik i podstawił pod kran.

-Trzeba mi zmienić worek - westchnęła Nan. -Twoja działka - oświadczył tata.

Natychmiast po wyjściu z pociągu znalazłam sklep z telefonami komórkowymi, rzuciłam ekspedientowi swoją kartę kredytową i wyszłam stamtąd z Nokią, ładowarką oraz pakietem startowym wartym dwadzieścia funtów. „Ma pani słabą baterię”, zdążył poinformować mnie młody bysttżak ze sklepu. „Co pan po-

wie?", zażartowałam, ale on już stracił zainteresowanie moją osobą. Usiadłam na skwerku, z dala od ulicznego ruchu i przeczytałam instrukcję. W końcu byłam gotowa zadzwonić.

Na nieszczęście to Steve odebrał telefon, tak że już w pierwszych sekundach wysłuchiłam wszelkich najgorszych wyzwisk. Kiedy wreszcie udało mi się wcisnąć parę słów, podałam mu swój numer i dopilnowałam, żeby go zapisał i mi odczytał; nie, żeby był tępy, w żadnym razie, on po prostu jest niedbały. Spytałam

0 Charlotte i o Nan i wysłuchiłam kolejnego steku wyzwisk, po czym usłyszałam w tle głos Charlotte, która prosiła, żeby oddał jej słuchawkę. Wiedziałam, że jeśli pozwolę sobie na rozmowę z nią, to się załamie, wrócę natychmiast na stację i wsiądę do najbliższego jadącego do domu pociągu.

- Powiedz jej, że wrócę za dzień czy dwa - rzuciłam szybko. - Mam słabą baterię. Muszę lecieć. -

Potem nacisnęłam „Zakończ”

1 na pół godziny wyłączyłam telefon. Jeśli mam zrobić to dobrze, muszę zachować trzeźwy umysł. Wróciłam na stację, kupiłam plan miasta i zjechałam ruchomymi schodami do metra. Stałam bez końca przed planem metra, usiłując się w nim zorientować, podczas gdy co chwilę ktoś na mnie wpadał, wzdychał mi niecierpliwie nad głową. Wyciągnęłam rękę i palcem próbowałam prześledzić trasę, zupełnie jak ktoś, kto ma kłopoty z czytaniem. Northern Line, przesiadka na King's Cross do Piccadilly. To było oczywiste. Ale w której strefie się znajduję i ile w związku z tym kosztuje bilet? Do kasy stała długa kolejka, wobec czego utknęłam na dłuższą chwilę przed jednym z automatów biletowych, studiując instrukcję, przy nieustannym akompaniamencie niezadowolonych cmoknięć zniecierpliwionej kobiety, która stała za mną. Wreszcie wcisnęłam odpowiedni guzik i mała karteczka wpadła do mojej dłoni. A teraz którymi schodami? Stałam niczym skała pośrodku wirującego nurtu rzeki. Jakiś Azjata z teczką nadepnął mi na nogę.

- Przepraszam - rzucił i nie oglądając się za siebie, zniknął w tłumie.

Podjęłam decyzję, zjechałam w dół obok reklam teatrów i muzeów i wylądowałam w tunelu, w którym wiało i śmierdziało spaloną gumą. Czy powinnam się udać na peron pierwszy czy drugi? Skąd, do cholery, mam to wiedzieć? Szybki rzut oka do kieszonkowego notesu i naprzód wykafelkowanym pasażem, by wynurzyć się wreszcie na peronie wypełnionym znudzonymi ludźmi. Niemal natychmiast rozległ się okropny łoskot, z ciemności wystrzelił pociąg i zatrzymał się przed nami. Drzwi otwarły się z sykiem. Cofnęłam się grzecznie i w rezultacie omal nie zostałam stratowana przez cisnący się do wagonu tłum.

Ostatni raz byłam w Londynie na szkolnej wycieczce, która przypadła akurat w okresie srebrnego jubileuszu panowania Elżbiety. Mieliśmy wtedy na sobie szkolne mundurki i okolicznościowe odznaki, ponieważ, jak powiedziała nasza wychowawczyni, tego właśnie, a nie džinsów i adidasów, życzyłaby sobie nasza królowa. Poszliśmy przed Buckingham Palace i ktoś oświadczył, że królowa na pewno znajduje się w jego wnętrzu, bo widać to po fladze, może więc wyjrzała przez okno i nas zauważyła.

Wysiadłam na King's Cross i tam zobaczyłam zebrzącą nastolatkę z dzieckiem na biodrze.

Pomyślałam o Charlotte i wyciągnęłam portmonetkę. Górna warga dziewczyny pokryta była opryszczką, ale oczy miała bardzo ładne. Gdzie jest twoja mama? — zastanawiałam się.

- Jak ma na imię? - spytałam, uśmiechając się do zasmarkanego malucha z okrągłymi oczyma.

- Ełlie - odparła dziewczyna i zręcznie schowała banknot do kieszeni.

Myślałam o niej całą drogę do Amos Grove.

Wreszcie wydostałam się schodami na górę, na słońce. Czułam się, jakbym cała była poobijana.

Wyciągnęłam plan miasta i ruszyłam w drogę. Szukałam Hemmington Grove i pani Mary Beattie. Prawdę mówiąc, to nic takiego wielkiego, ta zmiana worka Nan (wkrótce przecież będę zmieniała pieluchy). Na początku mnie to wkurzało, teraz jednak robi mi się po prostu smutno. Nan leży potulnie na łóżku, z podłożonym ręcznikiem, sukienkę ma podciągniętą, a majtki i rajstopy zsunięte na uda. Pomiedzy nogami rosną rzadkie białe włosy, a skóra na brzuchu zwisa luźno. Ściąga się stary „oddechający” plaster oraz zużyty worek i wkłada się do hermetycznie zamykanej plastikowej torby. Potem kawałkiem wyjałowionej gazy wyciera się skórę wokół tej niesamowitej, zadziwiająco czystej dziury w ciele Nan. Odrywa się zabezpieczenie ze świeżego worka, a worek przyczepia otworem do brzucha Nan, przy czym mama stosuje jeszcze dodatkowe zabezpieczenie w postaci kawałka taśmy u góry. Czasami, kiedy skóra jest zaczerwieniona, używamy kremu Nivea, ale trzeba uważać, żeby nie dostał się pod spód, bo wtedy worek się nie trzyma i może dojść do katastrofy. Przez cały ten czas Nan ma zupełnie nieruchome spojrzenie, a wraca do życia dopiero w momencie, w którym opuszcza się jej sukienkę. No i tyle. Nic szczególnego.

Szłam właśnie do kubła ze śmieciami po takiej południowej zmianie, kiedy usłyszałam dzwonek u drzwi. Tata miał rację, było jak na targu. Myślałam, że to może kolejna z ochotniczek Ivy, tymczasem okazało się, że to Daniel z eleganckim wiklinowym koszem dla niemowlaków.

-Jedna z pacjentek ojca prosiła, żeby przekazać go da-

lej. Potrzebny będzie materacyk, ale ma stojak i te falbanki dookoła.

- Odjazdowy. - Wzięłam kosz i postawiłam na kanapie, a on wrócił do samochodu po resztę.

Maud i Nan rzuciły się, żeby obejrzeć kosz.

- lili, ale śliczności - zachwyciła się Nan.

- Lepszy niż szuflada - powiedziała Maud, zaglądając do środka. - Kiedy się urodziłam, mama położyła mnie w szufladzie.

- No cóż, w tamtych czasach tak robili - przytaknęła Nan. - Ale też jest ci on śliczny.

- Gdzie będzie stał? - spytała Maud. Nan wzruszyła ramionami.

- Może stać w moim pokoju - oświadczyłam. - Musi. Bo przecież to ja będę wstawać w nocy. -

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak Daniel mocuje się ze stertą książek i z naręczem zwiewnych falbanek pokrytych haftem angielskim. - Poczekaj - zawołałam. Wytoczyłam się z domu i przytrzymałam mu furtkę. - Wchodź, ty zwariowańcu. Wezmę chociaż kilka książek z tego stosu.

- Są od pani Carlisle. Pomyślała, że może zechcesz trochę poczytać, zanim się zacznie nowy semestr. Nie bierz za dużo, najwyżej te z samej góry.

- O Boże, muszę do niej zadzwonić. Zamierzałam... -Przerwałam głośnym okrzykiem i książki wylądowały na chodniku.

- Co się stało? - Daniel rzucił wszystko z powrotem na fotel w aucie i objął mnie.

- Zabierz mnie do domu. Szybko do domu, Dan.

Ruszyłam z powrotem chwiejnym krokiem i kiedy znalazłam się w środku, natychmiast usiadłam, bo brakło mi tchu.

- Co jest, Charlotte? Masz bóle?

Nan i Maud kręciły się obok zaniepokojone.

- Mam jej zrobić filiżankę herbaty? - spytała Maud. - Tak, doskonały pomysł. Dziękuję. - Daniel podszedł,

usiadł obok mnie, wymachując rękoma. - O co chodzi, Charlotte?

- Tam był Paul - jęknęłam. - Po drugiej stronie ulicy, nie zauważyłeś go. Szedł sobie z torbą żeglarską. Zobaczył mnie... o Chryste, co za upokorzenie. Gapił się na mnie, a potem z pełną premedytacją odwrócił wzrok w inną stronę i szedł tak, aż skręcił za róg. Pewnie by pobiegł, gdyby mógł. Drań.

- Paul.

- Tak.

- Nędzny podlec - oświadczyła Nan, układając usta jak do splunięcia. - Jeszcze się doigra.

- Nie jestem w tym najlepszy, ale pójdę za nim i mu przyłożę, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej - powiedział Daniel. - Wystarczy, że mi powiesz, gdzie mieszka.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, kiedy wyobraziłam sobie tę scenkę. „Przepraszam, powiedziałby pewnie Daniel, czy pozwolisz, że dam ci w szczękę?” Po czym Paul stłukłby go na kwaśne jabłko.

- Nie, nie trzeba. Mój tata już tego spróbował. Niemądra offerma.

Daniel odetchnął z ulgą, a Maud weszła z herbatą.

- Słuchaj, na pewno nic ci nie jest? Czy nie powinienem zawieźć cię do lekarza?

- Nie, naprawdę, nic mi nie jest. Po prostu bardzo się wstydzę i tyle. - Wypiłam łyk herbaty. - Dziękuję. A teraz chętnie bym się położyła.

- Świetny pomysł. Z nogami wyżej. - Daniel wstał. - I tak już muszę iść.

-Zostań, proszę - powiedziałam. - Chodź do mojego pokoju, to sobie pogadamy.

Maud popatrzyła na mnie takim dziwnym wzrokiem, że omal mi się nie wyrwało: „Na miłość boską, przecież nie mogę być już bardziej w ciąży, prawda?”

- Przykro mi, że mam taki mały pokój - powiedziałam, kiedy Daniel układał się na tym moim siedzisku wypełnionym plastikowymi kulkami.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytał.

- Nic takiego. To tylko takie dziwne, że tutaj jesteś. - Leżałam na boku, z głową na poduszce Nan, tej w kształcie litery V, próbując znaleźć sobie najlepszą pozycję. - Problem z takim rozдутym ciałem polega na tym, że nigdy nie jest człowiekowi wygodnie.

- Podejrzewam, że nim to się skończy, będziesz jeszcze szersza.

- Tobie to dobrze, chudziaku. - Ułożyłam się na wznak. - Włączyć jakąś muzykę?

- Tak, proszę. Taśmy są na tej półce przy twojej głowie. Wybierz, co chcesz, byle było relaksujące. Ta na samej górze jest dobra; Julia mi ją przegrała. Ma to być moja taśma do słuchania przy porodzie. Tło muzyczne dla mojej męki.

- W tym pokoju wszystko jest... pod ręką. - Daniel włączył magnetofon, wychylając się ponad półką. Przez kilka minut słuchaliśmy w milczeniu.

*Jaki sens ma ta miłość? Co zrywa rozsądku nie To chemiczna iluzja A ty masz ochotę się wić.*



- Problem z Paulem jest taki - zaczęłam - że go nienawidzę, ale też, w pewnym sensie, nadal Kocham. Nie, nie jego samego, ale tę osobę, którą myślałam, że jest. Na początku wydawał się świetny, bo był niefrasobliwy, a ja jestem taka poważna; naprawdę myślałam, że jest dla mnie dobry. Szaleństwo. Do dziś nie zapomniałam, jakie obiecujące wydawały się te pierwsze tygodnie. Mój mózg nie dostosował się jeszcze do ostatnich wydarzeń. Wiem, że to gnojek, ale przecież jest też ojcem mojego dziecka.
- Nie jest, skoro nie chce nim być. Nie zmusisz go, żeby zainteresował się dzieckiem, jeśli tego nie chce. Mogłabyś co najwyżej wyciągnąć od niego kilka funtów po urodzeniu dziecka, ale niewiele więcej.
- Wiem. Jednak z biologicznego punktu widzenia...
- Biologia nic nie znaczy. Co najwyżej wciśnięcie fiuta, gdzie trzeba i w odpowiednim momencie. Zarumieniliśmy się oboje. Piosenka dobiegła końca i zaczęła się następna.  
*Jesteś mi gwiazdą, księżycem, słońcem Moją latarnią wśród burzy Chronisz mnie przed zgubą Łagodnie prowadzisz w podróży Przez nawałnice*
- Inny problem to taki, że on szwenda się tuż za naszym progiem, czego świadkami byliśmy dzisiaj. Ciągłe będziemy na siebie wpadali, to okropne. Daniel gryzł paznokcie.
- Co tylko jeszcze bardziej przemawia za tym, żebyś wybrała uczelnię; zawsze możesz przesunąć termin rozpoczęcia studiów. Zapomnij o tym palancie i skup się na swoim życiu.

- Wiem, wiem. Masz rację. - Uniosłam się nieco i posłałam mu słaby uśmiech. - Teraz, kiedy się nad tym zastanowię, to wiem, że już w podstawówce był palantem. Należał do tych, którzy zaczynali rozróbę, po czym znikali. Na niego nigdy nie krzyczano. Ale jednocześnie potrafił być zabawny i dobrze grał w piłkę, miał więc mnóstwo kumpli. Znał też te wszystkie sprośne piosenki.
- „Pan O'Donneck ma półmetrowy członek”, tego typu numery?
- Tutaj śpiewali metrowy - zachichotałam. - Najwyraźniej tam na południu się kurczą.
- Phi - skwitował moje słowa Daniel.
- Były też te klasyczne: „O narodzie, o narodzie, zostawiłam stanik i majtki w chłopaka samochodzie” i „W słonecznej Italii piorą majtki w balii”. Wszystko było o bieliźnie.
- To taka szczególna szkoła komedii, posługująca się majtkami, jajami i cyckami.
- Można to tak nazwać. Miał też taką zagrywkę; podchodził do człowieka i pytał: „Jesteś PŻO?” Jeśli odpowiadałeś nie, mówił: „To znaczy, że nie jesteś Prawdziwie Żywą Osobą?” A jeśli odpowiedziałeś tak, mówił: „Jesteś więc Publicznym Żywopłotowym Ogrodzeniem” i padał na ciebie całym ciężarem.
- Rzeczywiście genialne.
- A kiedyś mieliśmy tego studenta na praktyce, zresztą całkiem sympatycznego gościa. Jak Superman ciągle wskakiwał w swój dres i wyskakiwał z niego i raz, kiedy zostawił w klasie adidas, Paul wypisał mu flamastrem na podeszwach PALANT. Przynajmniej to miał na myśli. Ale pomyliły mu się buty, więc kiedy przyszedł czas na opowiadanie historyjek i ten młody nauczyciel usiadł z nami na podłodze, wyciągnął przed siebie nogi i złączył stopy, to powstał

napis ANTPAL. Ale i tak wszyscy uważali to za bardzo śmieszne.

- Podejrzewam, że w tym miasteczku już od lat musi dochodzić do chowu wsobnego - oświadczył Daniel.

Numer 80 okazał się porządnym edwardiańskim bliźniakiem z pomalowanymi na biało parapetami, czarnymi drzwiami frontowymi oraz z dwoma ogromnymi ceramicznymi donicami po obu stronach schodków. W wykuszowym oknie zobaczyłam udrapowane kwieciste kotary oraz paproć w żardynierze Wedgwooda. Stałam tam zapatrzona chyba z dziesięć minut; pewnie miałam nadzieję, że ktoś wyjdzie, ale nic z tego. Wreszcie wzięłam neseser i poszłam dalej, rozglądając się w poszukiwaniu tabliczek z napisem „Noclegi”. Na końcu ulicy skręciłam w prawo i idąc wzdłuż rzędu niewielkich szeregowców, natrafiłam na tabliczkę, o którą mi chodziło.

Korytarz cuchnął starym psem, tapeta była brudna, ale nie przejęłam się tym zbytnio. To miała być tylko baza wypadowa. Starsza pani ze świszczącym oddechem, która zaprowadziła mnie do mojego pokoju, zadawała mnóstwo pytań, nie dając jednak czasu na odpowiedź, co mi bardzo odpowiadało. Zamknęłam jej drzwi przed nosem i zrzuciłam buty; czas zadzwonić do pani Beattie. Gdzie moja komórka?

Przygotowałam się psychicznie przed naciśnięciem guzika, tym razem jednak bateria była już rzeczywiście rozładowana. Zrządem losu. Z ulgą rzuciłam telefon na łóżko. Po przemyśleniu podłączyłam go do ładowarki i zajęłam się rozpakowywaniem, a potem myciem w maleńkiej umywalce. Przyjrzałam się sobie w lustrze i zastanowiłam, co po tylu latach może pomyśleć o mnie matka. Chciałam zrobić na niej wrażenie, niech wie, że wytosłam na elegancką, zorganizowaną kobietę. Ogólnie nie wyglądałam źle. Skóra nie najgorsza jak na mój wiek - kilka

zmarszczek wokół ust, to wszystko - włosy pomiędzy dwoma kolejnymi przycięciami, kiedy to właśnie wyglądają najlepiej. Włożę kostium oraz czółenka i pomaluję paznokcie, jeśli starczy mi czasu. Położyłam się na łóżku i wstrzymałam oddech pod wrażeniem niezwykłości tego wszystkiego. Moja matka.

Po godzinie sprawdziłam telefon. Ekranik się rozjaśnił; czas dzwonić.

Kobieta, która podniosła słuchawkę, miała akcent charakterystyczny dla osób z wyższych sfer.

- Czy mam przyjemność z panią Mary Beattie?

- Tak, owszem. Czym mogę służyć? - Głos miała chłodny i profesjonalny, jak recepcjonistka u psychologa: Przykro mi, ale przez telefon nie podajemy wyników testów.

- Ee, nazywam się Karen Cooper. Zapewne pani Fitton z wydziału opieki społecznej w Bolton dzwoniła w mojej sprawie. Sądzę... ona powiedziała, że mogłaby pani., czy może mi pani pomóc odnaleźć moją matkę? Nazywała się Jessie Pilkington. Kiedyś u pani mieszkała, dawno temu.

- Tak, tak... Joyce Fitton rzeczywiście telefonowała. - Zamilkła, a ja słyszałam w słuchawce własny oddech. - Tak, cóż, doszliśmy wówczas do wniosku, że mogłaby pani kiedyś przyjechać i spotkać się ze mną, a ja powiedziałabym...

-Jestem tutaj.

- W Londynie?

- Tak. Zatrzymałam się u przyjaciółki. Chciałabym, jeśli to nie kłopot, przyjść i porozmawiać z panią.

- Chwileczkę, tylko zerknę w kalendarz - powiedziała.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na podwórko. Otoczenie niewiele się różniło od otoczenia domów „dwa na górze, dwa na dole” w Wigan. Tu jednak była ta atmosfera, w jakiś sposób czuło się, że to musi być Londyn.

- No dobrze - odezwała się znowu. - Czy może pani przyjść jutro rano? Powiedzmy, o dziesiątej? Czy to może za wcześnie? Skąd będzie pani jechała?

- To mi odpowiada. Będę o dziesiątej.

- Wobec tego czekam - oświadczyła, a mnie serce zamarło z przerażenia.

Tego wieczoru miałam zajęcia w szkole rodzenia. Zawzięłam się i postarałam wyglądać na starszą, niż jestem, i robić wrażenie, że zostawiłam w domu ukochanego męża, a nie wściekłego tatę i szaloną babcię.

Położna trzymała w górze plastikowy model kości miednicy i przepychała przez niego główkę lalki.

Siedziałam tam, w zaawansowanej, trzydziestoczytygodniowej ciąży, i znowu myślałam: To nie ja, to nie może dotyczyć mnie. Nie jestem gotowa. Nie dam sobie z tym rady.

„Spaliłaś za sobą mosty, dziewczyno”, dźwięczał mi w uszach głos matki.

Siedziałam psychicznie wyczerpana na szeszlunku i czekałam, aż pani Beattie zrobi herbatę. Przez całą noc goniłam pociągi. Jeden z nich jechał do Ameryki, a ja spytałam Johna Noakesa (który mi towarzyszył): „Jak on może przejechać ocean?”, a on odparł: „Och, wszystko jest możliwe”. Wstałam dużo za wcześnie, zrobiło mi się zimno, weszłam z powrotem do łóżka i pomalowałam paznokcie.

Włączyłam radio, ale ciągle mówili o śmierci Diany. Trochę sobie popłakałam - co najmniej w połowie ze zdenerwowania - a potem zesłam na dół, na śniadanie, którego zresztą nie mogłam przełknąć. Moja gospodyni była najwyraźniej wielką fanką Elvisa, bo przez cały posiłek miałam przed oczyma zegar ścienny Love Me Tender, którego duża wskazów-

ka miała kształt gryfu gitary. Czas biegł tak powoli, że wydawało się, jakby zegar stał. Potem się ubrałam i dwadzieścia po dziewiątej byłam gotowa do wyjścia, ktażyłam więc w tę i z powrotem pomiędzy dwoma domami. I chociaż pani Beattie nie była moją matką, to jednak kostium włożyłam.

- Proszę bardzo - powiedziała, podając mi porcelanową filiżankę na podstawku.

Na próżno szukałam wzrokiem bezpiecznego miejsca, gdzie mogłabym ją postawić. Co będzie, jak pochłapię herbatą ten ładny perkal! Umieściłam w końcu filiżankę na kolanach i przyjrzałam się pokojowi.

-Jaki to piękny dom - powiedziałam. Bo rzeczywiście był. Chciałabym mieć wszystko to, na czym spoczęło moje oko.

- Teraz, kiedy jestem sama, trochę dla mnie za przestronny. I schody zaczynają sprawiać trudność. Zastanawiałam się, ile może mieć lat. Siedemdziesiąt? W każdym razie była bardzo elegancka. Żadna tam mamuśka.

- Mogłaby pani zainstalować windę schodową - powiedziałam.

- Może na tym się skończy.

Popijałyśmy herbatę. Co też ona sobie myślała? Nieprzenikniona, taka mi się wydawała.

- Więc jeśli chodzi o moją biologiczną matkę... - zaczęłam. Zacisnęła wargi i postawiła filiżankę na kamiennych płytach przed kominkiem.

- Tak, tam na biurku leżą dokumenty, gdyby zechciała je pani podać. Proszę też postawić tamten stoliczek pomiędzy nami. Muszę wyjaśnić wszystko po kolei.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy jedną po drugiej oddzielała od siebie kartki papieru.

- Czy dobrze rozumiem, że pani nie wie zupełnie nic o swojej matce?

- Tylko tyle, że była bardzo młoda i że nie była mężatką.

Owszem, wiem, że zamieszkała w Londynie. Pewnie chciała jak najszybciej uciec! - zachichotałam nerwowo. W tym cichym pokoju mój głos zabrzmiał zbyt głośno.

- No tak - powiedziała ostrożnie pani Beattie. Przesunęła w moją stronę fotokopię jakiegoś dokumentu. - Proszę to przeczytać.

Był to reportaż z jakiejś gazety z kwietnia 1971 roku. Mówił o tym, że mężczyzna i kobieta mieszkający w Croydon zostali oskarżeni o nieumyślne zabójstwo, spowodowanie śmierci dziecka znajdującego się pod ich opieką. Ciało sześciolatniej dziewczynki pokryte było siniakami i strupami, a organizm wyniszczony niedożywieniem. Napisano, że ze względu na swoją drobną budowę wyglądała na dwa lata młodszą, niż była. Sąsiedzi zaczęli coś podejrzewać, kiedy zauważyli, że dziecko grzebie w pojemnikach na śmieci, i powiadomili opiekę społeczną, ale jakoś ich informacja nie dotarła tam, gdzie trzeba. Szkoła nie zauważyła niczego, bo dziewczynka do szkoły w ogóle nie chodziła. Kiedy umarła, nie było jej nawet na liście dzieci zagrożonych.

Dziewczynka miała na imię Emma, a Jessie Pilkington była jej matką.

Czytałam ten tekst w kółko i ciągle nic nie pojmowałam. Pani Beattie wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń. Cała się trzęsłam.

- Czy to mogła być moja siostra? - wyszeptałam wreszcie.

- Przyrodnia.

- O Boże. Moja mała siostrzyczka. - Rozpłakałam się. Pani Beattie usiadła wygodnie w fotelu i głaszcząc mnie po

ręce, pozwoliła mi się wypłakać. Zegar tykał, samochody ptze-jeźdzały za oknem; nic innego do mnie nie docierało. Trwało to długo.

- Mam też fotografie, ale być może nie chce ich pani oglądać - pani Beattie przerwała milczenie.

- Emmy? - Otarłam oczy.

- Ich wszystkich. Z gazety.

- To mi złamie serce.

Objęła mnie, a ja się poczułam jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem i Nan mnie tuliła do siebie, bo dowiedziałyśmy się o chorobie taty. Wtedy też tykał zegar, a radio w kuchni grało *Bridge Over Troubled Water. Jestem przy tobie.*

- Czy pani Fitton wiedziała o tym wszystkim?

- Tak. - Pani Beattie otarła oczy. - Ponieważ jednak jestem dyplomowaną terapeutką i kiedyś pracowałam w opiece społecznej, pomyślała, że będę najbardziej odpowiednią osobą, która może z panią na ten temat porozmawiać. I oczywiście, znałam pani matkę.

- Jak ona mogła zrobić coś tak okropnego? To znaczy własnemu dziecku? - Charlotte, małeńka Charlotte, płacząca w łóżku, Charlotte jako berbec ciskająca owsiankę na podłogę, mocząca łóżko; śliczna Charlotte.

- Związała się z brutalem, jak wiele kobiet, zdziwiłaby się pani, jak wiele, zresztą ze wszystkich środowisk. Była osobą bardzo... ubogą i zupełnie bezradną, pomimo niewyparzonego języka. Została więc z tym człowiekiem, chociaż zaczął się znęcać nad jej córką - mała nie była jego dzieckiem, ojcem był inny mężczyzna, co na pewno nie ułatwiało sytuacji. Do końca twierdziła, że sama nigdy nie zrobiła Emmie krzywdy. Nie wiem, czy to prawda czy nie. Na pewno nie było dość dowodów, by skazać ją za okrucieństwo bezpośrednie; obrona twierdziła, że nie stawała w obronie córki ze strachu, by nie zaczął i jej maltretować. Może to prawda. Dostała cztery lata; on dostał piętnaście, i zmarł na raka w więzieniu.

- To dobrze.

- Potem, kiedy Jessie wyszła z więzienia, zmieniła nazwisko i przeprowadziła się. Ludzie odnosili się do niej bardzo wrogo, jak zawsze w podobnych wypadkach, choć nie sądzę, by wtedy



prasa była tak wścibska jak obecnie. Otrzymywała listy z inwektywami, grożono jej śmiercią, więc spróbowała uciec od tego, co zrobiła, i jakoś na nowo się odnaleźć. Ogólnie rzecz biorąc, udało jej się tego dokonać.

- Ciągłe nie mogę pojąć tego wszystkiego. - Przyłożyłam dłonie do skroni.

- Musi to być dla pani ogromny wstrząs. Może coś podać, kieliszek koniaku?

- Nie. Wezmę paracetamol, mam w torebce. - Wiedziałam jednak, że żaden paracetamol nie złagodzi tego ucisku wokół serca, nie pozwoli zapomnieć tych strasznych zdań z gazety.

Pani Beattie poszła po szklankę wody, a ja upfytomniłam sobie, że sięgam po teczkę z papierami i szukam zdjęcia. Nie rób tego! - krzyczało coś we mnie, ale ja musiałam wiedzieć. Ze zdjęcia spoglądała na mnie beztróska uśmiechnięta dziewczynka o delikatnych rysach, ubrana w kraciastą sukienkę i rozpinany sweterek. Szybko zamknęłam teczkę. Miałam wrażenie, że z żalu i wściekłości pęknie mi serce.

- Więc moja m... Jessie Pilkington żyje? - spytałam, kiedy pani Beattie wróciła do pokoju.

- Tak. Mam jej adres kontaktowy, chociaż już od wielu lat z nią nie rozmawiałam. Przysyła mi zawsze kartkę na Boże Narodzenie, to wszystko.

-Jak dzieciobójczyni może wysyłać świąteczne kaitki? Nie nienawidzi jej pani?

- To dość trudne... nienawidzę tego, co zrobiła, bez wątpienia, jednak są też i inne aspekty. Poniosła przecież karę, odsiedziała wyrok. Trzeba pamiętać, że ona sama była pod wieloma względami ofiarą. Jej własny ojciec...

- Wystarczy. Proszę przestać. - Zakryłam uszy rękoma. Pani Beattie wzięła papiery i wsunęła je pod fotel. Żałowałam, że nie mogę zrobić tak samo z tą nowo nabytą wiedzą.

- Czuję się zupełnie odmieniona - oświadczyłam, a ona przytaknęła głową. - Już nic nigdy nie będzie takie samo. Muszę teraz iść i wszystko przemyśleć. Czy mogę dostać adres Jessie Pilkington?

- Nie mam prawa tego pani odmówić.

- Ale nie jest pani przekonana, że powinnam go brać? Pani Beattie obciągnęła mankiet i wygładziła spódnicę.

- Nie wiem, czy to ma sens.

- Mimo to proszę.

Sięgnęła po papiery i wyjęła kopertę.

- Jest tutaj. Dziś wieczór proszę dobrze sobie przemyśleć, jak zamierza pani postąpić, a jutro przyjdź do mnie. Omówimy to sobie. - Ponownie zacisnęła ręce na moich dłoniach. - Była pani bardzo dzielna.

Najwyraźniej życie uczyniło panią silną.

- Nie czuję się silna.

- Ale jest pani.

Potem mnie uściskała, a ja opuściłam jej dom.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Powinnam wrócić prosto do domu, czułam jednak, że nie zaznam spokoju, dopóki nie stanę twarzą w twarz z Jessie Pilkington, czy jak się teraz ta kobieta nazywa, i z nią nie porozmawiam. Zabrałam swoje rzeczy z wynajętego pokoju i ruszłam do stacji metra.

W wagonie wszystko wydało mi się obskurne i groźne. Ludzie zerkali na siebie kątem oka; prawie nikt się nie odzywał. Nawet ta piękna para, uczipiony uchwytu chłopak i dziewczyna, wyglądała, jakby kpiła z nas wszystkich, kiedy raz po raz wybuchali śmiechem. Różnorodność wokół mnie też była przerażająca; wydawało się, że w moim wagonie zebrali się przedstawiciele każdej rasy, każdego języka, klasy i grupy społecznej. Kręciło mi się od tego w głowie. Otworzyłam kopertę i po raz

enty sprawdziłam adres. Lewisham. Jak to miejsce może wyglądać? Człowiek słyszy nazwy londyńskich dzielnic i niewiele mu one mówią. Niektóre z czymś się kojarzą - Brixton (zamieszki), Peckham (Del Boy), Lambeth (Walk) - ale większość nic nam nie mówi. No bo w końcu ilu londyńczyków odróżni Worsley od Whalley Range w Manchesterze?

Może ona to jakoś naprawi. Może powie coś, co wszystko wyjaśni, i nie będzie to już wyglądało tak źle. Bo gorzej i tak być nie mogło. Nie miałam wyjścia, musiałam to zrobić.

Niewiele czasu zajęło mi zorientowanie się, że Lewisham to nie jest okolica pierwszej klasy, zamieszкана przez milionerów. Zobaczyłam wiele zabitych deskami okien, a także kraty na niektórych sklepach. Nawet nie było co porównywać z Hemmington Grove. Odniosłam wrażenie, że ceramiczne donice długo by tutaj nie przetrwały. Kiedy tak stałam, obracając w tę i z powrotem plan miasta, podszedł do mnie jakiś obdartus o ponurym spojrzeniu i krzyknął mi coś prosto w twarz. Pochyliłam głowę i poszłam dalej.

Znalezienie Bewely Road, jak się okazało, brudnej i przygnębiającej, zajęło mi niemal dwadzieścia minut. Szłam, patrząc na numery, aż dotarłam do dwupiętrowego bloku z lat sześćdziesiątych, upstrzonego kolorowymi, pomarańczowo-niebieskimi parapetami. Jest trochę takich domów w Wigan, w pobliżu centrum. Kojarzą mi się ze zdesperowanymi matkami, uwięzionymi tam z rozwrzeszczanymi szkrabami i sikającymi na klatkach schodowych nastolatkami. Może i jestem snobką; dom ptzecież nie czyni człowieka tym, kim jest; kto jak kto, ale ja powinnam to wiedzieć. Tyle że teraz już niczego tak naprawdę nie byłam pewna.

Mieszkała na parterze. Zadzwoiłam - czułam mdłości i kręciło mi się w głowie, oparłam się więc o futrynę - i czekałam. Drzwi otworzyły się gwałtownie i oto stała przede mną.

Pierwsze rzuciły mi się w oczy brudne palce u stóp z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Miała na sobie sandały, legginsy i porozciągany T-shirt, podobny do tych, w jakich sama obijam się po domu. Jej twarz była moją twarzą, tylko starszą i wykrzywioną goryczą.

- Wiem ktoś ty - warknęła. Nie pozbyła się północnego akcentu. - Mary dzwoniła. Ostrzegła, że możesz się pojawić.

- Mogę wejść? - W ustach miałam sucho i mój głos dziwnie brzmiał. - Przyjechałam z daleka. - Słyszałam telewizor, ale nie mogłam zajrzeć do środka, ona blokowała drzwi.

- Nie obchodzi mnie, skąd przyjechałaś. Musisz stąd iść. Nigdy nie chciałam cię widzieć. O co ci chodzi, po co chcesz węszyć i mącić? Nie masz własnego życia?

- O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać, powiedzieć ci, co robiłam przez te wszystkie lata. Myślałam, że chcesz się dowiedzieć. Są też sprawy, o które muszę cię zapytać.

Odgarnęła siwiejące włosy za uszy i zniżyła głos.

- Słuchaj no, ja chcę tylko, żebyś się odczepiła. Jeśli cię nie chciałam, kiedy byłaś słodziutkim niemowlakiem, to chyba nie widzi ci się, że potrzebuję cię teraz, taką zgorzkniałą trzydziestolatkę, nie uważasz? Na miłość boską. Nic ci nie jestem winna.

- Mam trzydzieści cztery lata. Chciała zamknąć drzwi.

- Czekaj! - Z trudem wcisnęłam się bokiem w szparę. Owionął mnie zapach frytek. - Powiedz mi przynajmniej o ojcu. Może on chciałby mnie zobaczyć, nawet jeśli ty nie chcesz.

- To czeka cię trudne zadanie. Bo on nie żyje. - Roześmiała się złośliwie. -1 bardzo dobrze, cholernie dobrze.

- No tak, ale kim był? Mam prawo wiedzieć.

- Aha, prawo, co? Wszyscy mamy prawa, złotko. No cóż, powiem ci, skoro tak się palisz do prawdy. Był podłym gnojem. Chciał się ciebie pozbyć. Zrobiłby to własnoręcznie, jakbym mu

pozwoliła, zrobił to już takiej jednej. Rozumiesz? - Musiałam mieć niewyraźną minę. - Za pomocą... - wykrzywiła twarz i szatnęła ręką-...wieszaka do ubrań.

Zakryłam ręką usta i zrobiłam krok do tyłu, a ona zatrzasnęła drzwi. Zauważyłam, że mam czarny ślad biegnący od góry do dołu kostiumu.

Daniel przyszedł znowu i zanim rozmroziliśmy pizze, oglądaliśmy sobie telewizję dziecięcą. Bez mamy można się było naprawdę odprężyć.

- Nie uwierzysz, ale znów chce mi się siusiu - powiedziałam, podnosząc się z kanapy. Poczułam, jak coś ze mnie wypływa. - O mój Boże. - Oboje patrzyliśmy na rosnącą ciemną plamę na mojej spódnicy.

- Chyba się posiu-siałam.

-To nie są siuski - oświadczył przytomnie Daniel.

Stałam na peronie w Euston, kiedy zadzwoniła moja komórka. Aż podskoczyłam, gdy się odezwała.

- Halo? - Spodziewałam się kolejnej połajanki od Steve'a.

- Halo - odezwał się uprzejmie jakiś młody człowiek. - Nie mieliśmy okazji się poznać, dzwonię tylko, by poinformować panią, że córka rodzi.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Mam najpierw zadzwonić do szpitala czy do twojego ojca? - pytał Daniel, podczas gdy ja ręcznikiem kąpielowym, który zdążył mi przynieść, wycierałam to, co ze mnie wypłynęło.

- Boże, nie mam pojęcia - rzuciłam. Byłam nie na żarty przerażona.

-W porządku. Zadzwonię po karetkę. Połóż się i spróbuj odprężyć.

Wyciągnęłam się na kanapie i siłą woli nakazywałam dziecku, żeby się poruszało.

- Moja karta ciążowa jest na kredensie. Może będzie trzeba podać im jakieś szczegóły.

-W porządku.

Daniel zniknął w korytarzu. Ja zaczęłam się modlić. Kiedy wrócił, był rozpromieniony.

- Będą tu za dziesięć minut. Co powinnaś ze sobą zabrać?

- Na górze jest torba. Pójdę z tobą. - Zaczęłam się podnosić.

- Nie. Zostań w pozycji horyzontalnej. Ja to załatwię.

- Na karteczce przyklepionej do rączki jest jeszcze lista dodatkowych rzeczy - krzyknęłam za nim. -

Nie zapomnij mojego walkmana. I postaraj się nie obudzić Nan. Nie poradzę sobie z nią teraz. -

Wytrzymałam jakieś dziesięć se-

kund, po czym wstałam. - Och, mój bananku, trzymaj się -szepnęłam. Powlokłam się do telefonu, ciągle trzymając ręcznik pomiędzy nogami, i wykręciłam numer taty. Dzięki Bogu zdążył już wrócić.

-Taa? - spytał z pełnymi ustami.

-Tato? Możesz tu zaraz przyjść? Bo muszę jechać do szpitala.

- Charlotte? Nic ci nie jest, złotko? Co się dzieje?

- Chyba dziecko pcha się na świat. Usłyszałam, jak tata się krztusi, a potem kaszle.

- Myślałam, że to ma być w październiku. Zaczęłam płakać.

-Już lece! - zawołał. - Niech лихо porwie twoją matkę. -Odłożył słuchawkę.

-Wracaj na kanapę - syknął Daniel znad poręczy schodów.

Kiedy przyjechała karetka, uparłam się, żeby Daniel pojechał ze mną.

- Nie, Charlotte, to bez sensu. Poczekał na twojego ojca, a potem pojedę za wami samochodem. W ten sposób będę mógł krążyć między szpitalem a domem, a jak pojedę w karetce, moje auto zostanie tu i nie będę miał środka transportu.

Zaczęłam szlochać, mimo że staliśmy na ulicy i widać było, jak we wszystkich okolicznych domach drgają firanki.

- Nie każ mi jechać samej. Proszę, chodź. Tak się boję. - Rozpaczliwie uwiesiłam się jego ręki.

- Czy twój ojciec ma klucz?

-Taa - odpowiedziałam, pociągając nosem.

- No to pieprzyć. Jedziemy! -1 unosząc długie nogi, wdrapał się na tył karetki.

- Przymocuję ci to do brzucha, żebyśmy słyszeli bicie serca twojego dziecka - powiedziała irlandzka położna. - Musisz leżeć w miarę spokojnie. Sądysz, że masz już skurcze?

Czekali na mnie z wózkiem, co było dość dziwaczne -czyżby uważali, że dziecko mogłoby wypaść, gdybym poszła na oddział o własnych siłach? - i wieźli pospiesznie lśniącymi korytarzami, a Daniel dreptał obok. Teraz czał się w nogach łóżka. Za nic nie chciałam stracić go z oczu. Mama była już w drodze; zadzwonił do niej z holu szpitala; powiedziała, że zajmie jej to jakieś pięć godzin.

Nie wiedziałam, czy mam skurcze czy nie.

-Tam w dole odczuwam coś dziwnego, ale nie ból.

Pielęgniarka skinęła głową i wskazała papierową taśmę, która niczym biały jęzor zwisała z aparatu monitorującego.

-To nam pokaże, czy poród się zaczął - oświadczyła. Przez środek taśmy biegła czarna falista linia.

-Wygląda jak wariograf - zauważył Daniel.

*Pik-pik-pik-pik* odzywało się dziecko. Położna wyszła z pokoju.

-Twoja matka myślała, że ja to Paul - uśmiechnął się Daniel.

- O Boże, co jej powiedziałaś?

-Że w żadnym razie nim nie jestem. Więc doszła do wniosku, że jestem lekarzem.

-To ten twój wytworny akcent. Mama ma fioła na punkcie angielszczyzny z BBC.

- Słuchaj, tuż za drzwiami jest telefon, mógłbym go tu przyciągnąć, jeśli chcesz z nią porozmawiać.

Robiła wrażenie bardzo przejętej. Powiedziała, że nigdy by nie wyjechała, gdyby zdawała sobie sprawę z sytuacji, ale że pierwsze dziecko na ogół się spóźnia. - Sięgnął do kieszeni dzinsów. -Mam tu około funta drobnych.



-Schowaj - powiedziałam zdecydowanie. Nie nalegał.

Dziesięć minut później przyszedł lekarz, żeby mnie zbadać.

-Wyskoczę na korytarz-oświadczył Daniel i wyslizgnął się z pokoju. Biedaczysko, znajduje się tu w bardzo niejasnej roli.

-Jestem doktor Battyani - oznajmił uśmiechnięty mężczyzna w białym fartuchu. - Postaram się nie sprawić ci bólu. Podciągnij nogi, postaw stopy obok siebie i rozchyl kolana. - Badał mnie przez chwilę, podczas gdy ja wpatrywałam się w otwory wentylacyjne w suficie. Bolało, nawet całkiem mocno. - Masz dopiero dwucentymetrowe rozwarcie - oświadczył, naciągając prześcieradło na mój nieszczęsny brzuch. - Widzę jednak, że aparat rejestruje łagodne skurcze. Chociaż to nieco przedwczesne, z obawy przed infekcją nie będziemy powstrzymywali porodu. Damy natomiast zastrzyk sterydów, żeby pomóc dziecku oddychać.

-Czy dziecku nic nie grozi? - Serce ścisnęło mi się ze strachu.

- Jesteście pod najlepszą opieką - powiedział i wyszedł.

Skurcze, przepisowo, zaczęły się pół godziny później.

- Boli, ale da się wytrzymać - powiedziałam do Daniela, który czytał mi hasła krzyżówki z „Timesa”.

- Muszę powiedzieć, że jak dotąd poród był dość nudny.

- Na twoim miejscu nie narzekałbym - mruknął pod nosem, gryząc w zamyśleniu końcówkę długopisu. - To, co widziałem na filmach w telewizji, wyglądało przygnębiająco. Rodzące kobiety uczipione mosiężnych prętów łóżka, rzucające się i wrzeszczące. Może masz wysoki próg bólu. A teraz, co powiesz na powłokę wytworzoną przez larwę, pięć liter?

Godzinę później, kiedy badała mnie położna, dostałam



To ci dopiero pieprzona pięciogwiazdkowa kłamczucha.

-Znieczulenie zewnątrzoponowe!

-Anestezjolog jest akurat przy innej pani. Sprowadzimy go natychmiast, kiedy tylko będzie wolny - obiecała i błyskawicznie się ulotniła.

- Charlotte, co się dzieje? - Moje zawodzenie ściągnęło z powrotem Daniela.

-Po jaką cholere pisze się plan porodu, skoro nikt nie zwraca na to najmniejszej pieprzonej uwagi? - darłam się na cały głos. Niech ta zołza usłyszy. Gdzieś w innym pomieszczeniu też ktoś wrzeszczał.

- Z tego, co wiem, kobiety średniowiecza żuły korę wierzby. Zawiera naturalną aspirynę.

Przepraszam, już się zamykam. - Przetarł mi szyję i kark wilgotną, chłodną myjką. Jego mina - szeroko otwarte oczy, nerwowe spojrzenia i zacięte usta - przywodziła na myśl próbującego się uśmiechać dorsza. Omal nie wybuchnęłam śmiechem.

Pani Radosna wciągnęła do pokoju butlę z podtlenkiem azotu i drugą z tlenem i podsunęła mi ustnik.

- Jak przy oddychaniu, zacznij wdychać w chwili, w której poczujesz przyływ bólu.

Wciągnęłam potężny haust i omal nie zemdlalam. Rąbnął mnie kolejny skurcz.

- Czy to coś daje? - spytał Daniel, próbując odczytać napis na butli.

- Co za cholerne bzdury - wydyszałam, kiedy już przestałam jęczeć.

Jazda tym pociągiem była jak pobyt w więzieniu. Jedyne, co mi zostało, to własne myśli, całe warstwy okropnych wspomnień, ułożone jedna na drugiej, a na samym wierzchu strach. Znikąd

żadnej ulgi. Gdziekolwiek się zwróciłam, oczyma duszy widziałam jakiś wylaniający się straszliwy obraz, pojawiający się jak ta dziwaczna ciemna skaza, którą dostrzegamy, kiedy zbyt długo patzymy na zapaloną żarówkę. Sceny z przeszłości, niektóre z przyszłości, zamazywały spokojne twarze współpasażerów i krajobraz za oknem. Kiedy zbliżaliśmy się do Manchestetu, zapadała noc i jedyne, co widziałam, patrząc w okno, to własną przerażoną białą twarz.

- Chcę wstać - szalałam.

- Musisz mieć te elektrody na brzuchu. Koncentruj się na oddychaniu. To już nie potrwa długo. -

Położna coś zapisała i spojrzała na zegarek.

- No to przynajmniej muszę ściągnąć z siebie to. - Jakoś udało mi się kompletnie zaplątać w T-shirt, w którym mnie tu przywieźli. Dlaczego tu tak cholernie gorąco?

- Ee. - Daniel kręcił się gdzieś z boku. - Posłuchaj, Charlotte, może to odpowiedni moment, żebym sobie poszedł? Jest tu mój tata i zawiezie mnie pod twój dom, żebym mógł zabrać samochód. Ale jeśli chcesz, to zostanę. Wiesz, że cię nie zostawię, jeśli jestem ci potrzebny. - Sięgnął po moją dłoń akurat w momencie, w którym dopadł mnie kolejny skurcz. - Charlotte? Charlotte?

- W porządku - udało mi się wydusić. - Jasne, idź już. - Musiałam się skoncentrować na rytmie bólu. Teraz zrozumiałam, dlaczego zwierzęta chowają się, kiedy mają urodzić młode. Nie mogłam znieść jego niepokoju, tego zatroskania, tej cholerniej myjki.

-Jesteś pewna?

Zamknęłam oczy; może pomyśli, że zemdlalam.

-Ja tam bym poszła, gdybym była na twoim miejscu

szeptnęła położna. - Możesz przyjść jutro, przynieść piękny bukiet kwiatów. - Widziałam, jak puszcza do niego oko.

-Wie pani, to nie jest ojciec, nieeeeeooooooooooooooooooooo-ooooo - zawylałam.

Uśmiech ani na moment nie opuścił jej twarzy.

- No to do zobaczenia - wymamrotał i pomachał mi bez przekonania.

Było jakoś lepiej, kiedy sobie poszedł.

-Pociąg do Bolton odchodzący o 10.05... - ektan nad moją głową zamigotał -

...trzydziestopięciominutowe opóźnienie. Podróżnych przepraszamy za powstałe utrudnienia.

- Ale ja MUSZĘ się dostać do córki! - wrzasnęłam w górę, w stronę monitora, a mój głos odbijał się cichym echem pod żelaznymi belkami stropu. Nikt na peronie nie zwrócił na mnie szczególnej uwagi; ostatecznie w dzisiejszych czasach stukniętych nie btakuje.

- Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie, Charlotte. - Głos docierał do mnie jak spod wody. - Charlotte, kiedy przesz, widzę czubek głowy dziecka. Mnóstwo ślicznych ciemnych włosów. Chcę, żebyś za każdym skurczem parła ze wszystkich sił. Dobrze? Przyciągnij głowę do klatki piersiowej i przyj przeponą w dół.

Nie byłam już w stanie mówić, ale starałam się robić to, co mi kazano. Trudno byłoby znaleźć słowa, żeby opisać te odczucia, byłam jedną rozkołysaną masą obolałych mięśni, przestałam cokolwiek kontrolować.

- Koncentruj się na oddychaniu. Przeponą w dół. Parłam z całych sił, ale byłam coraz bardziej zmęczona.

- Nie dam rady - udało mi się wykrztusić.

- Owszem, dasz. Chyba chcesz, żeby to dziecko się urodziło, co?

Cholernie głupie pytanie.

Parłam, aż oczy wyszły mi na wierzch, ale wyglądało na to, że postępy są niewielkie. Pomyślałam o tych wszystkich kobietach w historii ludzkości, które rodziły dzieci. Dlaczego nigdy się nie słyszy, jak to naprawdę jest? Czy dla wszystkich było to takie koszarne? Niektóre kobiety mają mnóstwo dzieci. Pani Shankland z poczty urodziła siedmioro; czy za każdym razem przechodziła przez coś takiego?

- Charlotte. - Męski głos. - To znów doktor Battyani. Jak się masz? - Całkiem rozsądnie nie czekał na odpowiedź. - Zbadałem cię i myślę, że zrobimy małe nacięcie.

Nie powiedział gdzie, ale ja wiedziałam. Przerabialiśmy to na zajęciach szkoły rodzenia i wtedy pomyślałam sobie: Cokolwiek się stanie, nie chcę tego, w żadnym razie.

- Wszystko będzie dobrze - sprawdził swoje notatki - najpierw zastosujemy znieczulenie miejscowe.

Aha, to teraz macie te cholerne środki znieczulające, co? - pomyślałam.

- Nyjee - udało mi się wykrztusić.

Potraktował to jako tak; cóż może i było to tak. Byłam już tak zdesperowana, żeby wreszcie urodzić to dziecko, że na użycie palnika acetylenowego też bym się zgodziła.

Ciągle czekałam na to zapowiadane cięcie i nie bardzo wiedziałam, co się dzieje.

- Jest tu ktoś do ciebie - powiedział głos z irlandzkim akcentem. - Proszę przejść na tę stronę i wziąć ją za rękę.

A potem zalała mnie wielka fala i znów parłam.

- Właśnie tak, Charlotte, świetnie ci idzie, główka już prawie wyszła.

Tuż przy mojej twarzy ktoś płakał i kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam mamę, moją mamę, która mocno ścisnęła mnie za rękę, i wtedy główka wreszcie wyszła i dziecko oblepione śliską mazią znalazło się na zewnątrz. Szlochałam i dyszałam ciężko, a moja leżąca łzy mama wyglądała jak strach na wróble. Wsparłam się o nią i patrzyłam, jak unoszą i oglądają dziecko.

-Czas narodzin, 23.42 - usłyszałam kobiecy głos.

Dziecko wrzasnęło, kiedy położono je na zimnej wadze.

-A niech to... - dławiała się mama. - Nie mam chusteczki. - Otarła oczy rękawem kurtki, zostawiając na beżowym mankiecie smugę tuszu.

Położna przyniosła dziecko i położyła je na mojej piersi, a ono wierciło się i dostało czkawki.

- Masz chłopczyka, dwa pięćset pięćdziesiąt - oświadczyła rozpromieniona.

- O, chłopiec. Myślałam, że będzie dziewczynka. - Patrzyłam w zadziwieniu na sklezione czarne włoski i zmrużone, zapuchnięte oczy. To ja tego dokonałam. Jest mój.

Zrobiło się zupełnie cicho; czekałam na fanfary, fajerwerki, tymczasem nie słyhać było nic poza robiącą porządku położną. Doktor Battyani nachylił się nade mną i dużymi, brązowymi rękoma uniósł do góry purpurowe dziecko.

- Musimy jeszcze raz go dokładnie obejrzeć - oznajmił i zabrał go na stolik stojący po drugiej stronie pokoju.

Mama uścisnęła mnie i pocałowała w głowę, podczas gdy pojawiła się inna położna i zaczęła gmerać tam na dole.

- Jeszcze tylko urodzisz łożysko - powiedziała radośnie -i to już będzie wszystko.

Mama razem z tą pierwszą położną doprowadziły mnie do porządku, przebrały w nocną koszulę, uczesały i umyły gąbką.

- Mogę teraz dostać mojego synka? - spytałam, mając ciągle uczucie, jakbym unosiła się w powietrzu.  
- Musimy zabrać go na oddział intensywnej opieki, żeby mu podać trochę tlenu - powiedział doktor Battyani. - Pomożemy mu w oddychaniu.

Przerażone popatrzyłyśmy z mamą na siebie.

- Czy on umrze?

Doktor Battyani cmoknął z niezadowoleniem i pokręcił głową.

- To mocne i zdrowe niemowlę jak na trzydzieści cztery tygodnie. W nocy jednak będzie mu znacznie lepiej, kiedy pomożemy mu trochę w oddychaniu. Masz już dla niego imię, żebyśmy mogli je wypisać na przywieszce?

- Nie. - Krótko myślałam o imieniu Fyffes. - O Boże, mam, nie mam dla niego imienia...

-Spokojnie. Możemy wpisać twoje. - Lekarz podszedł do łóżka i zwrócił się do mamy. - Potrzebny jej teraz solidny odpoczynek. Może pani jeszcze chwilę przy niej zostać.

Ręce i nogi dygotały mi ze zmęczenia. Zamknęłam oczy i przytuliłam się do niej, czego nie robiłam, odkąd byłam malutka.

- Och, mam, tak się cieszę, że tu jesteś-wyszeptałam. Nachyliła się i głaskała mnie po ręce.

- Ojciec i ja chcieliśmy pogratulować dobrej roboty -oświadczył Daniel, wynurzając się z cienia.

-To jakieś halucynacje? - spytałam przytomnie. Roześmiał się. Za nim stał pan Gale. Widziałam, jak mama wodzi wzrokiem od jednego do drugiego. - Myślałam, że pojechałeś do domu?!

-Tata powiedział, że mogę się tutaj pokręcić do północy. Zdażyłaś w ostatniej chwili.

- Nie tylko ty - mruknęła mama pod nosem.



Jak często rodzice nas przepraszają? (Cóż, przede wszystkim większość z nich nie ma zwyczaju słuchać i dlatego nigdy do nich nie docięta, że postąpili źle.) Bo w tych staraniach, by sprostać rodzicielskim obowiązkom, trzeba przywdziać strój superbohatera, naprężyć się i napiąć mięśnie i wtedy wpada się w pułapkę arogancji. Zaczyna się to dość wcześnie, na przykład przed supermarketem, kiedy berbec podnosi wrzask, domagając się jakiegoś zupełnie nieodpowiedniego smakołyku, który przyciągnął jego uwagę, powiedzmy, pudełka czekoladek miętowych. Jasną rzeczą jest, że należy okazać stanowczość. Trzeba pokazać, że człowiek wie, co robi, bo zawsze istnieje obawa, że jakiś przechodzień zauważy twoje słabości i zdemaskuje cię jako oszusta, który tylko udaje rodzica. A wtedy odbiorą ci dzieci i twoje życie się zawali.

Musisz też przekonać swoje dziecko, że to ty rządzisz, bo dzieci rzekomo to lubią, te jasno określone granice i w ogóle. Ale posłuchaj, one wcale nie uważają, że to ty rządzisz. Przez cały czas dobrze wiedzą, że forsujesz swoje opinie tylko dlatego, że jesteś większa i możesz mocniej przyłożyć i głośniej wrzasnąć, a to nie to samo, co rządzić. Ty jednak bardzo wczułaś się w swoją rolę i jesteś przekonana, iż niezależnie od sytuacji, to właśnie ty masz rację i jeśli twoje dziecko z tym się nie zgadza, to znaczy, że ono się myli; to pudełko czekoladek staje się symbolem twojego właściwego zrozumienia sposobu, w jaki funkcjonuje ten świat. I tak to trwa do końca twoich dni, więc zdarzają się siedemdziesięciolatkom sttofowani przez dziewięćdziesięcioletnich rodziców za rozrzutność, zaniechanie wizyt, bałagan w domu itp.

Philip Larkin napisał ów słynny wiersz o tym, jak to twoja mama i twój tata popieprzą ci życie; zauważ, że dalej już nie mówi: „A potem, kiedy dorośniesz, oni zrozumieją swoje błędy i przy drinkach na tarasie z całego serca was przepraszają”.

Zamierzam zmienić ten stan rzeczy. Zamierzam pzeptosić Charlotte, a potem patrzeć, jak niebiosa się rozstępują i pęka skorupa ziemna.

- Chyba o nas zapomnieli — wyszeptała, opierając głowę na moim ramieniu. - Wcześniej mieli tu co robić. Nie martwię się. Tak jest miło, tylko my dwie. Jak wyglądam?

- Dopiero co urodziłaś, nieważne, jak wyglądasz. Czy to twój nowy chłopiec, ten z burzą włosów?

- Nie, to przyjaciel... ze szkoły.

- Nie najgorszy przyjaciel, skoro przyjeżdża tu z tobą, żeby trzymać cię za rękę. Zasługuje na medal. - Zmieniłam pozycję i popatrzyłam na jej wilgotne włosy i zaczerwienione oczy. Wydawała się taka młoda, jakby przebudziła się właśnie ze złego snu i wślizgnęła do mojego pokoju, żeby się przytulić, jak to robiła wtedy, po odejściu Steve'a. - Och, Charlotte... - zaczęłam.

- Co, mamó? — Ziewnęła szeroko.

- Tak bardzo cię przepraszam.

Zwróciła na mnie błękitne oczy i zmarszczyła brwi.

- Za co? Ostatecznie byłaś tu ze mną, prawda? I wszystko poszło dobrze. Wiesz, im się wydaje, że ten gaz daje tylko chwilowy efekt, ale ja sądzę, że pozostaje w organizmie. Mogłabym teraz unieść się z łóżka i popłynąć pod sufit. - Wpatrzyła się w brudne kafelki, jakby były najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziała.

- Nie, nie miałam na myśli swojego nagłego wyjazdu, chociaż tego też nie powinnam była robić...

- Dokąd pojechałaś?

- Lyme Regis - powiedziałam bez zastanowienia. W ubiegłym tygodniu w Granadzie grali ***Kochankę Francuza***.

- Hmm. Dokopałaś się jakichś szkieletów?

- Co masz na myśli?

- Skamieliny. Amonity, takie tam. Wiem, że gadam od rzeczy, nie zwracaj na mnie uwagi. - Znowu zamknęła oczy.

- Aha, rozumiem. Nie, spędziłam ten czas bardzo spokojnie. Musiałam coś przemyśleć. W każdym razie nie powinnam była

tak sobie wyjechać, bez uprzedzenia. To nie było w porządku. Czasami wydaje mi się, jakbym działała według jakiegoś poradnika, na przykład: ***Jak zostać złą matką***, przyznam się nawet, że były chwile, kiedy czułam, że sama mogłabym taki napisać.

- Boże, mamó, jest całe mnóstwo gorszych od ciebie.

Przypomniały mi się tamte zatrzaśnięte w twarz drzwi i wyobraziłam sobie kulącą się w kącie małą obdartą postać i nikogo, kto by ją obronił. Raz jeszcze łzy spłynęły mi po policzkach.

- Byłam dla ciebie okropna podczas tej ciąży. - Pociągnęłam nosem. - Ja tylko chciałam, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, mamó. Od dziś skończmy już z kłótniami, dobrze? Nie znoszę tego, atmosfera staje się wtedy taka... burzliwa. Nan też tego nienawidzi. - Przeciągnęła się i spróbowała obrócić na bok. - Wiesz, kiedy byłam młodsza, bywałam zazdrosna o Nan, ponieważ poświęcałaś jej tyle czasu. „Miłość to nie jest tort, nie można jej pokroić na kawałki”, powiedziałaś kiedyś. A ja na to: „Owszem, ale czas można. Zegar nawet wyglądem przypomina tort”. Pamiętasz?

- Nie. Boże, wszystko pojmowałam na opak. Za to też cię przepraszam, jeśli czułaś się zaniedbana.

- To był mój problem, samolubnej nastolatki. Ty starałaś się po prostu najlepiej, jak umiałaś. Teraz to widzę. Mnóstwo rzeczy widzę. Wiesz, naprawdę ją kocham. - Westchnęła i zapanowała długa chwila milczenia.

Myślałam, że zasnęła, i już zamierzałam podkraść się do wyłącznika po drugiej stronie pokoju i przygasić światła.

- Powiedz, jak to było, kiedy mnie urodziłaś. Nigdy o to nie pytałam - odezwała się nagle.

Opadam plecy o metalowe pręty łóżka.

- No cóż, niektóre momenty wciąż doskonale pamiętam. Był to chyba najlepszy i jednocześnie najgorszy dzień mojego życia. Rodziłam przez prawie dwadzieścia siedem godzin i musieli użyć

kleszczy, i stąd masz to niewielkie zagłębienie na lewym policzku. Położna była wredna. Kiedy jej się poskarżyłam, jak bardzo mnie boli, odparła: „Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, zanim wpakowałaś się w te kłopoty”. Naprawdę. Tetaz złożyłoby się na taką skargę. Steve'a nie było przy mnie, bo twierdził, że nie znieś widoku moich męczarni, kiepska wymówka. A Nan odchodziła od zmysłów z niepokoju; tak bardzo się bała, że mogłaby stracić mnie albo ciebie, a przecież dopiero co została wdową, tak że kiedy się wreszcie urodziłaś, była jak wyżęta ścierka. Ona pierwsza cię wzięła na ręce - możliwe też, że to ona przecięła pępowinę, będę musiała ją o to spytać - a potem ułożyła cię w moich ramionach. Wszystkie pielęgniarki komentowały błękit twoich oczu, a ty utkwiałaś we mnie groźne spojrzenie, jakbyś chciała powiedzieć: Jestem twoja i niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, że mogłabyś mnie oddać. Wzruszyłam się do głębi, bo był to pierwszy raz od początku ciąży, kiedy uświadomiłam sobie, że jesteś konkretną osobą.

Opuściłam wzrok, dumna ze swojej przemowy, ale Charlotte spała już w najlepsze z kciukiem w ustach.

Obudziłam się raptownie, kiedy wózek ze śniadaniem przejechał z łoskotem obok drzwi mojego pokoju. Pierwszą moją myślą było: Dziecko umarło w nocy, a oni nie mają odwagi mi o tym powiedzieć. Nacisnęłam dzwonek i po chwili weszła młoda pielęgniarka z jakimiś kartami w rękach.

- Co z moim dzieckiem?

- Och, mały miał bardzo dobrą noc. Dzisiaj oboje przeniesiecie się na oddział. Możesz najpierw wziąć prysznic, zobaczysz, jak dobrze ci robi. Na pewno czujesz się jeszcze zmaltretowana, ale to szybko minie. A skoro już tu jestem, sprawdzę, co trzeba.

Zmierzyła mi temperaturę i ciśnienie, a ja przez cały ten

czas próbowałam przyzwyczać się do myśli, że urodziłam dziecko, że jestem matką. Nie, to musi być jakaś pomyłka. Przecież w rzeczywistości nie mogłam urodzić dziecka. To nie działa się naprawdę. Na oddziale było mnóstwo prawdziwych matek, z dziećmi tuż obok, w łóżeczkach z przezroczystego plastiku. Miejsce przy moim łóżku było puste. Leżałam tam, największa oszustka świata, podczas gdy kobieta naprzeciwko podniosła swoje dziecko, włożyła rękę w wycięcie koszuli i wyłowiła pierś. Potem przystawiła niemowlę do sutka i wolną ręką zaczęła przerzucać kartki jakiegoś magazynu. Zrobiło to na mnie niemałe wrażenie. Po prawej stronie dziewczyna mniej więcej w moim wieku przewijała niemowlę i widać było, że nie pierwszy raz to robi. Próbowałam przyjrzeć się temu ponad jej ramieniem, ale wszystko wydało mi się cholernie skomplikowane, a dziecko wierciło się bez przerwy. Kiedy już zapakowała jego maleńką pupkę, włożyła mu śpioszki; ostrożnie zginała maciupkie kończyny i wsuwała palce w otwory rękawów, żeby wydobyć zaciśnięte piąstki. Wreszcie podniosła dziecko do góry, dłonią przytrzymując bezwładną główkę, i wezwała pielęgniarkę, która przyniosła butelkę, a niemowlę piło z niej z zamkniętymi oczyma. Byłam przekonana, że nigdy nie będę w stanie tego zrobić. Upuszczę go, to pewne jak amen w pacierzu, albo złamię mu rączkę, kiedy spróbuję go ubrać. Lepiej, jak od razu im powiem, że nie nadaję się na mamę.

I właśnie wtedy go przywieźli w łóżeczku na kółkach.

- Proszę bardzo - oznajmiła siostra, ustawiając je wprawnie obok mojego łóżka i blokując kółka. -
- Masz tu swoją mamę. - Żadnej reakcji ze strony zawiniętego ciasno w kocyki pakunku. - Śpi jeszcze.
- Nachyliła się nad łóżeczkiem i dotknęła główki. - Jakie śliczne włoski.

-Czy to normalne, spać tak długo? - Znowu poczułam wzbierający niepokój.

- O tak. Narodziny są bardzo męczącym przeżyciem, i to nie tylko dla mamy. Obudzi się, kiedy uzna za stosowne. Mój Boże, niewiele czasu minie, a będziesz się modliła, żeby zasnął!

Wychyliłam się i patrzyłam na pomarszczoną buzię. Żadnego ruchu. Szukałam jakichś oznak oddechu, ale był opatulony zbyt wieloma kocykami, więc ostrożnie spuściłam nogi z łóżka - oj oj oj oj - i zaczęłam go odwijać. Wreszcie ukazała się małeńka klatka piersiowa i zobaczyłam, jak wznosi się i opada. Dzięki Bogu. Położyłam się z powrotem na łóżku i leżałam, obserwując te delikatne poruszenia, w górę i w dół, bo gdybym tego nie robiła, toby przestał oddychać.

Obudził się dopiero po obiedzie, kiedy byłam już przekonana, że umrze z głodu.

- Proszę mi pomóc go nakarmić-żałosnym głosem zwróciłam się do pielęgniarki.

Właśnie odsłoniłam piersi, kiedy weszła mama.

-O Boże, chyba nikogo ze sobą nie przyprowadziłaś? Wyobraź sobie, że ojciec zobaczyłby mnie w takim stanie, albo Daniel!

Mama wywróciła oczami i zaciągnęła zasłonki wokół łóżka. -Jak sobie radzisz? - spytała.

- Nie mogę go zmusić, żeby otworzył szerzej buzię. -Spojrzałam na małeństwo bezradnie kręcące główką. - Widzisz, nie ma pojęcia, o co chodzi. Myślałam, że to kwestia instynktu.

Położna zmieniła położenie małego i włożyła dodatkową poduszkę pod moje ramię.

- Pogładź go po policzku, wtedy otworzy usta. - Ujęła moją pierś i praktycznie wcisnęła sutek w usta małego.

Dotknięcie innej kobiety i to w taki sposób było dla mnie wstrząsem. Zadrzałam.

- Nie podoba mi się to. Czuję się bardzo dziwnie. -Dziecko pociągnęło raz i oderwało się od sutka. Zaczęło płakać tak wysokim tonem, że dosłownie przeszywał człowieka na wylot.

- Chyba sobie z tym nie poradzisz, Charlotte, wiesz, to jednak dość trudne. Może już lepiej, żebyś karmiła go butelką.

- Daj mi szansę. - Podniosłam głowę zirytowana. - Nie poświęciliśmy temu jeszcze nawet dwóch minut. A w ogóle, to jak to było z tobą i ze mną?

- Och, ty przez cztery miesiące byłaś karmiona wyłącznie piersią. - Mama zrobiła zadowoloną minę.

-Więc on też będzie. - Zmarszczyłam brwi. - No dalej, koleś. Przyłóż się do tego. - Przysunęłam go bliżej i znów poczułam na skórze dotyk szukających ust.

-W ten sposób - oświadczyła położna. Pociągnęła mój bark do przodu i obróciła główkę małego.

Poczułam, jak układa się w moich ramionach, zaczyna ssać i się uspokaja. - Właśnie tak. - Cofnęła się, żeby podziwiać tę kompozycję. - Widzisz, jak teraz przetyka? Tego musisz pilnować. Na początku ta technika wydaje się trochę skomplikowana, potrzeba trochę wytrwałości, to wszystko. Zawołaj, jak będziesz mnie potrzebowała.

Mama puściła do niej oko i już wiedziałam, że mnie podeszły. Nie przejęłam się tym ani trochę. Siedziałam niczym królowa, albo mumia, a on ssał i ssał. Przyglądałyśmy mu się w nabożnym milczeniu.

- No cóż - oznajmiłam po chwili - ostatecznie świnię potrafią to robić i krowy, i owce.

- Psy i koty.

- Myszy i szczury.

I zaczęłyśmy się obie głośno śmiać.

Była to pierwsza chwila od samych początków ciąży, kiedy uświadomiłam sobie, że jesteś konkretną osobą i że chociaż masz niebieskie oczy ojca, to ich spojrzenie jest moje. Uparte. Może dlatego tak bardzo się kłóciłyśmy, bo jesteśmy takie do siebie podobne. Już wtedy wiedziałam, że będą z tobą kłopoty, ale nie miało to znaczenia, bo czułam, jak moje serce wzbiera miłością.

Do małego Jezuska przyszło Trzech Mędrców; do mnie tata, Daniel i Nan. Najpierw pojawił się tata, sztywny, jakby kij połknął. -Co ci dolega? - spytałam, rozbawiona.

- Nie znoszę szpitali, oj nie. Brrrr. Od samego zapachu dostaję gęsiej skórki. - Usiadł na fotelu przy łóżku, ale plecy trzymał prosto, czujny, gotów do odparcia każdego ataku. - No, to jak się masz? O, widzę go. Wspaniały chłopak, co? Doskonale. Świetna robota.

- A jak ty sobie radziłeś? Co z workiem Nan? Uśmiechnął się.

- Och, zadzwoniłem do tej kobiety z Crossroads i ubłagałem, żeby kogoś przysłała, powiedziałem, że to sytuacja awaryjna i tak dalej. Niech przyśle jakąś miłą młodą pielęgniarke, najlepiej blondynkę.

-1 przysłała?

-Aha. Miał na imię Simon.

- Dobrze ci tak. - Zachichotałam.

- Może i tak. Hej, nim zapomnę, przyniosłem ci książkę. Wiem, że je pochłaniasz. - Wyciągnął spod fotela torbę i wyjął z niej tomik Penguin Classic. - Proszę bardzo. Popatrzyłem na okładkę i pomyślałem sobie: To będzie coś w sam raz dla Charlotte. Wziąłem ją od gościa z pracy, ma ich całą furgonetkę.

Podniosłam książkę. *Tessa d'Urberville*, odczytałam.



-Och, tato, jesteś nieoceniony! - Uściskałam go.

- O co chodzi? Chyba jej nie czytałaś, co? Bo nie wiem, o czym ona jest, ale wygląda mi na coś takiego, co lubisz. Zdusiłam śmiech, wciskając twarz w jego bark.

Nie siedział długo, jednak przed wyjściem dał mi coś jeszcze.

- Przysuń się, a powiem ci coś, za co będziesz mnie błogosławić przez kilka następnych tygodni. To będzie najlepsza rada, jaką usłyszysz. Jeszcze bliżej, muszę mówić szeptem.

Przysunęłam się zaintrygowana.

- Kiedy ten maluch zapłacze, będziesz chciała natychmiast do niego biec. I to jest w porządku, w większości przypadków. Ale przyjdzie taki dzień, kiedy poczujesz, że nie dajesz rady, a on się tak wydziera, że masz ochotę wyrzucić go przez okno. Cóż, w takiej chwili zmień mu pieluchę, podaj butelkę, a potem pozwól, żeby mu się odbiło, i zostaw go. Zamknij drzwi, idź na dół i weź sobie filiżankę herbaty. Nikt nie zadzwoni po policję, Bóg nie porazi cię piorunem; daj sobie pięć minut i potem dopiero wróc na górę. I jeśli będziesz miała szczęście, łobuziak zdąży już zasnąć.

- Dzięki, tato.

- Proszę bardzo.

Potem przyszedł Daniel, z wielkim bukietem kwiatów.

i z książką Miriam Stoppard o opiece nad niemowlętami.

- Nie wiem, czy już ją masz, ale mój ojciec mówi, że to kompetentne opracowanie. - Rzucił ją na łóżko, a sam rozsiadł się w fotelu. - Nie mogę uwierzyć, że wyglądasz tak normalnie po tych traumatycznych przeżyciach.

- Daj spokój, wyglądam jak maskara. I czuję się, jakby mnie ciężarówka przejechała. Dobrze przynajmniej, że on jest taki grzeczny. - Kiwnęłam głową w stronę łóżeczka.

Daniel wstał i popatrzył.

- Chudzinka, co? Tata mówi, że nie miał co prawda szansy zgromadzić odpowiedniego zapasu tłuszczu, ale że ma zupełnie niezłą wagę jak na swój wiek. - Palcem posztur-chał małego na próbę, ale ten nie zareagował. - Robi jakieś numery?

- Żadnych. To bardzo rozczarowujące. Chociaż, owszem, robi czarną kupkę.

- Urocze. - Usiadł ponownie. - Zdecydowałaś już, jak mu dać na imię?

- Nie. Chciałam najpierw pogadać o tym z mamą. Na pewno zna jakieś rodzinne imiona, z których mogłabym skorzystać. - Znów zerknęłam w stronę łóżeczka i kolejny raz przeszedł mnie dreszcz niedowierzania. - To takie niesamowite, że on tu jest.

-Tak, domyślam się, co czujesz. - Daniel zdjął okulary i zaczął wycierać szkła koszulą. - Przepraszam, że pod koniec byłem taki bezużyteczny.

-Ależ skąd. - Patrzyłam na niego zaskoczona. - Byłeś wspaniały. Bez ciebie nie dałabym sobie rady przez te kilka pierwszych godzin.

-Tak, ale kiedy zaczęły się te okropne bóle... nie wiedziałem, co robić, i było to takie straszne, patrzeć, jak się męczysz, i nie móc ci pomóc. Poza tym teraz, kiedy spoglądam wstecz, widzę, że powinienem mieć na szyi kartkę z napisem „NIE, NIE JESTEM OJCEM”. Przeżyłem kilka krępujących momentów w kontaktach z żeńskim personelem pielęgniarstwa. Jedna spytała mnie, czy... - Roześmiał się niezręcznie. - Kiedyś ci powiem. Hej, a w ogóle to słuchałaś przy porodzie tej taśmy Julii?

-A, tej? Nie, zupełnie o niej zapomniałam. Podłączenie do tego urządzenia monitorującego już mi zupełnie wystarczyło, nie wytrzymałabym jeszcze słuchawek na uszach.

- Posłuchaj jej teraz; pomoże ci się odprężyć.
- Dobry pomysł - powiedziałam. Jednak już w momencie, w którym zaczął grzebać w mojej torbie, uświadomiłam sobie, że nie mogę założyć słuchawek i jednocześnie nasłuchiwać głosu dziecka. Minie zapewne wiele czasu, zanim znów skorzystam z mojego walkmana.
- Nan przyszła wieczorem. Wyglądała elegancko, jakby szła do kościoła, w tym czerwonym kostiumie i z perłami na szyi. Widać było, że jest podekscytowana.
- Gdzie maleństwo? - spytała drżącym głosem. Mama poprowadziła ją do łóżeczka, a ona utkwiała w niemowlęciu zachwycone spojrzenie. - lili, małe jagniątko. Zupełnie jak nasz Jimmy, cały i zdrowy. Jaki słodki. Toż to nie godzi się ich krzywdzić. Och, Charlotte, złotko, on jest piękny. - Pocałowała mnie, owiewając przy okazji zapachem perfum, po czym mama usadowiła ją w najwygodniejszym fotelu. Cała uwaga Nan skupiona jednak była na łóżeczku. - Tylko one się tak naprawdę liczą, tylko dzieci. Ma niemożliwie dużo włosków. Upodobał sobie naszego Jimmy'ego.
- Kim jest Jimmy, mamo? Czy dziecko mogło sobie kogoś upodobać, co? - bezgłośnie poruszałam wargami.
- Nie - szepnęła - ale nic nie mów. Obserwowałam, jak mama patrzy na Nan, i wydawało mi się, że w pewnym stopniu jest wobec niej inna niż dotąd. Nic konkretnego, tylko jakby była spokojniejsza i łagodniejsza. Możliwe zresztą, że to tylko gra mojej wyobraźni; przecież aż kipiałam hormonami.
- Mogę go potrzymać? - spytała rozpromieniona Nan.
- Jak sądzisz? - Zerknęłam na mamę.
- Poradzi sobie. Ja go przytrzymam. Pozwól jej, Charlotte, to dla niej wiele znaczy.

Podniosła małego i położyła delikatnie na kolanach Nan, tak że jego główka spoczęła w zgięciu jej ramienia. Budził się właśnie i otwierał niebieskie oczka. Nan siedziała sztywno, wyglądała, jakby się bała oddychać.

- Zrobiłaś jakieś postępy, jeśli chodzi o imiona? - spytała mama.

- Nie. Ciągłe się zastanawiam, kogo przypomina, ale popadam w przygnębienie... nie sądzę, żeby był podobny do Paula, a ty?

- Widziałam go tylko dwa razy, jak wiesz, a i to prawie rok temu. Zresztą to nieważne, nawet jeśli jest rzeczywiście podobny. To, kim jesteś, zależy od wychowania, nie ma nic wspólnego z genami. Jestem tego pewna. - Zrobiła bardzo dziwną minę.

- Skoro tak mówisz... Wobec tego powiedz tym wszystkim naukowcom, żeby przestali marnować czas na badania. W każdym razie mam nadzieję że nie będzie taki jak Paul, że będzie porządnym człowiekiem.

- Wychowamy go właściwie - oświadczyła mama. - Będzie umiał odróżnić dobro od zła.

-A jeśli nie, damy mu po pupie.

- Nie, nie damy - zaprotestowała natychmiast mama. -Znajdziemy inny sposób. Dzieci nie powinno się bić, z żadnego powodu.

Dobłą chwilę trwało, nim ta rewelacja tak naprawdę do mnie dotarła.

- Do diabła, mamó - zawołałam rozjuszona - szkoda, że tak nie uważałaś, kiedy to ja byłam mała.

Nigdy nie miałaś najmniejszych oporów, żeby chlasnąć mnie po nogach. Mój Boże, pamiętam dobrze ten raz w sklepie obuwniczym.

-Tak, wiem, przepraszam cię. - Dziwnie skrzywiła usta,

jakby miała się rozplakać, wobec czego dałam spokój. Może te hormony są zaraźliwe.

Nan zaczęła śpiewać małemu drżącym głosem.

*- Jak mogę być uboga*

*Skoro twe słodkie loki złotem przetykane?*

*Jak mogę być uboga*

*Skoro niczym perełki twe ząbki kochane?*

*Twoje wargi to dla mnie rubiny*

*Oczy zaś brylanty z puzderka*

*I dlatego, kiedy cię mam, maleńki*

*Bogata jestem jak milionerka.*

- Och, Nan, jakie to śliczne. Chociaż on akurat nie ma złocistych loków.

- Ząbków też nie ma, ale nie sądzę, żeby zamierzał zgłaszać pretensje - dorzuciła mama.

-Jakie powinnyśmy dać mu imię, Nan?

- lili, ledwo się obejrzymy i będziesz duży - powiedziała do maleństwa. - Będziesz. Oj, będziesz. -

Patrzył okrągłymi, niewidzącymi oczyma, a ona kiwała nad nim głową.

- Zapisałam ci tu kilka rodzinnych imion. - Mama otworzyła torebkę i wyjęła notes. Przerzucała kartki ze złoconymi brzegami, aż natrafiła na zakładkę z wstążki. - Mam. Jest tu oczywiście Bill; William, jeśli wolisz. Nan byłaby uszczęśliwiona, gdybyś dała mu to imię. - Uśmiechnęła się do Nan, ale nie doczekała się żadnej reakcji; Nan była zbyt zajęta gruchaniem do małego, żeby cokolwiek do niej dotarło. - Harold, mogłabyś skrócić do Harry'ego; tak miał na imię ojciec Nan. I jest oczywiście Jimmy albo James; to był braciszek Nan.

- Nie wiedziałam, że miała brata.

- Och, on zmarł bardzo młodo. Chyba wpadł pod tramwaj. A może to jej tata, nie jestem pewna. Miała smutne ży-

cie, naprawdę, bo matka jej zmarła, kiedy Nan była zaledwie po trzydziestce, a ojca straciła jeszcze jako nastolatka. -Tak jak ty.

- Tak jak ja. Wiesz, on toby dopiero kochał to maleństwo. Widziałam, jak jej spojrzenie prześliznęło się po różo-

wo-białej głowie Nan i spoczęło na maleńkiej ciemnowłosej główce kilka cali niżej. Skóra maleństwa była jeszcze pocętkowana ciemnymi purpurowymi plamami; skóra Nan blada, naznaczona sinymi żyłami i plamami wątrobowymi. Mama wydała z siebie ciężkie westchnienie, które zamieniło się w ziewnięcie.

- Przepraszam cię, skarbie, jestem wykończona.

- Ty jesteś wykończona? - zdziwiłam się.

-Wiem, wiem, pamiętam, jak to jest. - Ponownie zerknęła w notes. - Och, jest jeszcze Peter, to był jej dziadek, zatem twój prapradziadek.

Poprawiłam ramiączko stanika i skrzywiłam się z bólu.

- Rodziny z tą swoją ukrytą historią przypominają góry lodowe.

- Nie sądzę, by w porównaniu z nimi góry lodowe były aż tak niebezpieczne - oświadczyła mama, zamykając notes.

W swoim najdawniejszym wspomnieniu bujam kołyskę z Jim-mym przy kominku i wpatruję się w ten okropny czerwony żar leżących w głębi węgielków, podczas gdy babcia Marsh śpiewa, żeby utulić go do snu.

*Serdecznie cię, śliczna ptaszyno, witamy,*

*Choć zupełnie nie w porę przyszłaś do swej mamy.*

Zawsze nazywała go śliczną ptaszyną, tego naszego aniołka. Nigdy nie byłam o niego zazdrosna; nie mogłam się

wręcz doczekać, kiedy dorośnie, żebyśmy mogli się razem bawić. Kiedy miał osiem lat, był najlepszy w pluciu na naszej ulicy; wzmacniał się wprzód lemoniadą, a potem, jakby nigdy nic, częstował pozostałych orzeszkami ziemnymi, tak że jak przyszło do próby, tamci mieli sucho w ustach; nie dziwota, że wygrywał wiele razy. A kiedy byłam nie w sosie, śpiewał mi: „Łaskocz mnie, Timothy, Łaskocz mnie aż się rozweśeł”; zawsze miał mnóstwo pomysłów. I wtedy, kiedy wszedł pod stół, udając pirata, i wyrwał nogę od stołu, tak że blat opadł z jednej strony, powiedziałam matce, że to ja zrobiłam, chociaż potłukła się jej najlepsza filiżanka. I powinnam była bardziej na niego uważać. Gdybym była z nim wtedy, tamtego dnia, nad kanałem...

Kątem oka dostrzegłam ruch. -Nan?

Nan pochylała się powoli do przodu, dziecko zsuwało się coraz niżej. Z przerażenia serce zaczęło mi łomotać w piersi, ale mama wyciągnęła szybko rękę i złapała małego w chwili, kiedy zaczął się staczać. Zobaczyłam, że z kącika ust Nan spływa nitka śliny i plami jej czerwony żakiet.

- Szybko, Charlotte - powiedziała mama, wkładając małego do łóżeczka i wracając natychmiast do Nan. - Wciśnij ten swój dzwonek i przywołaj pielęgniarkę. - Zawahałam się przez krótką chwilę, kompletnie oszołomiona widokiem Nan, która oklapła jak balon, z którego wypuszczono powietrze. - No już! -krzyknęła mama. - Nan chyba ma wylew.

Powiadają, że jest jakiś tunel ze światłem na końcu, a ja jak raz znalazłam się w Ambley, na brzegu kanału, z Jimmym.

-W porządku? - pyta mnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Niczego sobie wyglądasz - mówię - mimo wszystko. Śmieje się i bierze mnie pod rękę. Ciągnie mnie w stronę

mostu - dzień jest piękny, wszystko odbija się w wodzie, wokół spokój, a kiedy podchodzimy bliżej, na drugim brzegu widzę ludzi, którzy urządzili sobie tam piknik. Mają koc i butelki z piwem, kosz pełen drożdżówek i pasztecików, i innych różności. Na ziemi leżą małe dzieci i wymachują w powietrzu nóżkami, inne siedzą i poklepują trawę, śmieją się same do siebie, jak to maluchy mają w zwyczaju - a co dziwne, żadne z nich nie płacze. Jedno podczołgało się i wzięło sobie drożdżówkę, żuje ją zawzięcie, pewnikiem ząbkuje. Mała dziewczynka w letniej sukieneczce i rozpinanym sweterku leży na brzuszku i puszcza w stronę maluchów bańki mydlane, ma miskę z mydlinami i wygięty w pętelkę drucik. Jimmy zaciska rękę na moim ramieniu, ja odwzajemniam mu uścisk, jest mi tak ciepło. Umieram, myślę sobie, i jest tak rozkosznie.

- Patrz - mówi Jimmy, wskazując ręką pod drzewa, a ja widzę tam babcię Marsh i babcię Fenton; babcia Marsh trzyma motek czerwonej wełnianej przędzy, a babcia Fenton



zwija ją w kłębek. Tak są zajęte pogawędką, że żadna mnie nie zauważa. Jimmy szturcha mnie łokciem i robi minę, a ja go przytulam.

- Nic się nie zmieniłeś - mówię do niego. Wzrusza ramionami. Mam chętkę spytać go o mamę i o tatę, ale coś mnie powstrzymuje.

Odzywa się róg tenorowy i wiem, że to Bill, zanim jeszcze go widzę. Stoi wyprostowany i nieruchomy tuż nad wodą. Nie macha, nie odejmuje instrumentu od ust, tylko gra dla mnie. To *Stranger in Paradise*, dźwięki tańczą ponad wodą jak światło, przemawiają do mnie. W powietrzu jest tyle miłości, że można by się nią upić. Nie ma żadnego pośpiechu. On na mnie zaczeka.

Zbliżamy się do mostu.

- Chodź - mówi Jimmy - to już bliźniętka. - Pociąga mnie za rękę, a oczy mu błyszczą.

Mam ochotę ruszyć biegiem, bo nagle czuję całą tę energię, może nawet mogłabym przeskoczyć przez kanał, ale kiedy dotykam palcami zwieńczających murek kamieni, z boku nadciąga ciemność i wszystko znika. I kiedy tak patrzę przed siebie, widzę maleńki punkcik światła. Staje się coraz większy. Zbliża się do mnie bardzo szybko, bardzo szybko

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Pani Hesketh! Nancy! Czy pani nas słyszy?

Odejdźcie. Światło razi mnie w oczy. Jestem martwa.

Spędzałam długie godziny w tym szpitalu. Tak długie, że równie dobrze mogłabym tam zamieszkać. Piętro wyżej, w innym skrzydle, siedziałam przy Charlotte, kiedy rodziła; teraz czuwałam przy umierającej matce. Smutek i radość oddzielone kilkuset jardami. Wystarczy skręcić w lewo, wspiąć się na schody, przejść przez dwuskrzydłowe drzwi.

Nad moją głową buczała świetlówka. Oczy paliły mnie z niewyspania. Bo nawet jeśli udało mi się złapać kilka godzin snu, to znów śniłam, że jestem w pociągu, co było bardzo wyczerpujące, chociaż tym razem już wiedziałam, dokąd jadę; starałam się dostać do domu. I dostałabym się, gdyby ten cholerny peron nie przeistaczał się w plac targowy w Chorley.

Musiałam nieustannie mrugać, żeby nie drgały mi przed oczyma odbicia w wypełnionym nocnym niebem oknie. Za każdym razem, kiedy mijał mnie wózek, miałam wrażenie, że jego gumowe kółeczka toczą się po moim sercu, że turkocząc i grzechocząc, wdzierają mi się do mózgu, rozjeżdżając go na kawałki. Zastanawiałam się, czy Emma była kiedyś w szpitalu, na oddziale nagłych wypadków, gdzie pielęgniarki, wymieniając znaczące spojrzenia, szukały połamanych kości i opatrywały stłu-

czenia. Dlaczego nikt nic nie zrobił? Dlaczego Jessie nic nie zrobiła? Za każdym razem, kiedy zaczynałam o tym myśleć, w moim umyśle otwierała się otchłań niezrozumienia i tylko przypominała mi się jej twarz w szparze uchylonych drzwi, zacięta, zgorzkniała. Zrozumiałam, że w jej oczach był lęk, nie złość; ona się mnie bała. Zawsze uciekała od przeszłości, nie mogła się spodziewać spokoju. I nie powinna go zaznać.

Zastanawiałam się, czy on na koniec cierpiał, tamten mężczyzna. Miałam nadzieję, że tak. Miałam nadzieję, że długo się męczył, a potem poszedł do piekła. Teraz zrozumiałam te opowieści o zwykłych ludziach wynajmujących płatnych zabójców. W obliczu takiego zła, cóż innego pozostaje, jak tylko zetrzeć je z powierzchni ziemi.

Człowiek stara się nie pamiętać o tych najciemniejszych stronach życia, ale myśli jakoś same napływają do głowy i nie można się od nich opędzić. W miejscu takim jak to, gdzie czas staje się ziemią niczyją, człowiek nie ucieknie od rozważań. Bo pobyt w szpitalu przypomina ci, że każda kolejna sekunda kogoś wyprowadza i kogoś wprowadza, dusze wciskają się tu z mroku albo odchodzą w mrok. Za każdą żywą osobą stoi rzekomo dziesięć duchów, czyż nie? A co z tymi, którzy mają być dopiero poczęci, z widmowymi dziećmi z przyszłości? Gdyby wiedziały, jakie cierpienie je czeka, ile z nich wybrałoby możliwość nie-przychodzenia na ten świat? Przez głowę przelatywały mi jeden za drugim straszne obrazy. Doniesienia z wojny, Diana w hospicjum z chłopczykiem bez włosów, plakaty Stowarzyszenia na rzecz Przeciwdziałania Przemocy wobec Dzieci, nawet ta telewizyjna reklama szczepień ochronnych, w której mały berbec turla się blisko skalnego urwiska. Zaciąganie zasłon wokół trumny taty. Jakieś dziwne morze przed Pałacem Buckingham.

Zegar szpitalny tykał, zabierając ze sobą ludzkie istnienia, a nieżyjący ustawiali się w kolejce po pamięć. Czekałam w nie-

skończoność. Tak bardzo pragnęłam przytulić Emmę i wszystko naprawić; bo ona tam przecież była, tuż obok mnie, czułam ją; a za Emmą wszystkie te dzieci, które płaczą nocami z przerażenia albo z bólu, albo z osamotnienia, cisnęły się i wyciągały do mnie małe rączki, aż poczułam, że zaraz zacznę krzyczeć...

- Czy mogę z panią porozmawiać?

Lekarka była młodą Hinduską, bardzo ładną, z lekko haczykowatym nosem. Spojrzałam na nią tępym wzrokiem i ciężko podniosłam się z miejsca. Torebka zsunęła mi się po ramieniu i spadła na podłogę, ale byłam zbyt zmęczona, żeby mogło mnie to obejść. Stałyśmy naprzeciwko siebie, a ja próbowałam coś odgadnąć z wyrazu jej twarzy. Do jej policzka przyczepiła się rzęsa, na oczy opadał jakiś niesforny włos. Zastanawiałam się, czy czasem ozdabia czoło tą czerwoną kropką. Wszystko to przeleciało przez moją głowę w ułamku sekundy. Spójrz mi w oczy, błagałam, bo jeśli tego nie zrobisz, będę wiedziała, że przynosisz złe wieści.

Nan leżała w oddzielnym pokoju; nikogo przy niej nie było, kiedy weszłyśmy. Zastanawiałam się, czy to zły znak. Podłączono ją do mnóstwa przewodów i rurek.

-Nie będzie wiadomo, jakim uszkodzeniom uległ jej mózg, dopóki nie odzyska przytomności - powiedziała mi mama. - Możliwe jednak, że nas słyszy, ten zmysł zanika na samym końcu. Uważaj więc, co mówisz. Wygląda trochę ponuro bez sztucznej szczęki.

Zapomniałam, że jest taka drobna. Wydawało się, że pod nakryciem nic nie ma, a jej leżąca na wierzchu dłoń przypominała indyczą łapkę.

- Mamo? - jęknęłam, ale uciszyła mnie i popchnęła delikatnie do przodu.

- Najpierw ulokujmy jego lordowską mość. - Postawiła fotelik samochodowy na krześle - mały był zmęczony podróżą i pogrążony w głębokim śnie - drugie krzesło przysunęła dla mnie. Potem usiadła sama i zaczęła rozpakowywać prezenciki przysłane przez różnych ludzi. - Pomyślałam sobie, że jej powiem o tych rzeczach, nawet jeśli nie może ich zobaczyć, być może coś do niej dotrze i będzie zadowolona, że wszyscy o niej myślą. No dobrze. Mamo? - Nachyliła się nad łóżkiem i podniosła głos. -Mamo, jest tutaj Charlotte z małym, przyszli się z tobą zobaczyć. Przyniosłam też prezenty i kartki. W kościele wszyscy dopytują się o ciebie, odczytali twoje nazwisko, polecając cię w specjalnej modlitwie. Pastor przesyła pozdrowienia. - Sięgnęła do torby. - Mam tu dla ciebie pełno różności, mam je położyć na łóżku? Nie, lepiej nie, mogłyby zaczepić o rurki. W każdym razie Ivy dała ci chusteczki higieniczne o cytrynowym zapachu, bardzo się przydadzą. - Położyła je na nocnym stoliku. - Przyniosłam plik „Woman's Weekly” od Maud i wodę kolońską w sztyfcie. Pani Waters z biblioteki przysłała ci wielką torbę cukierków toffi, o proszę, a Reenie dała mi dla ciebie słoiczek kremu do rąk z kapryfolium. Jeśli chcesz, mogę ci zaraz posmarować dłonie.

Nie było najmniejszej reakcji, coś okropnego, mama jednak paplała dalej.

-Jest też wiele kartek, za chwilę ci je przeczytam. Aha, i jeszcze butelka lemoniady od Debbie, a Nina przyniosła puszkę „Miętówek wuja Joego”...

Zachichotałam nerwowo.

- O co chodzi?

-Przepraszam. To ta nazwa. Zawsze mnie rozśmiesza. -Co? „Miętówki wuja Joego”?

- Tak. - Staralam się zdusić chichot, aż zaczęły mi łzawić oczy.

- No cóż, wiesz, co mówią o „Miętówkach wuja Joego”, co? - Mama posłała mi niewyraźny uśmiezek; chyba już wtedy miała ochotę parsknąć śmiechem.

-Nie.

„Miętówki wuja Joego” powodują, że serce pika, Daj je swojej babci i patrz, jak smutek znika - wyrecytowała cichutko.

Patrzyłyśmy na siebie przez jakąś sekundę, po czym dostałyśmy ataku histerycznego śmiechu.

Śmiałam się, aż rozboleły mnie żebra, śmiałyśmy się tak, że mama spurpurowiała i dostała czkawki, a potem strąciła z kolan puszkę, która potoczyła się aż do drzwi, co było bardzo zabawne, i mały się obudził, i wtedy mama próbowała go podnieść, ale był przypięty i nie mogła sobie poradzić z pasami, co było przekomiczne.

I wtedy Nan otworzyła oczy.

- Diabła tam - oświadczyła.

Mocno zacisnęłam oczy. Może jak ich nie otworzę, to uda mi się wrócić. Ciagle niemal czułam ten ciepły kamień pod ręką. Kiedy spojrzałam na Jimmy'ego, zobaczyłam przyczepione do grzywki nasionka mlecza, i chciałam je strącić i znów poczuć te jego prześliczne włosy pod palcami. Ale wyrosła między nami ściana czerni i już wiedziałam, że go nie ma, nie ma Billa, nie ma pozostałych. Straciłam okazję. Nie mogłam tego znieść.

- Obudź się, babciu, i nadaj imię mojemu synkowi. Czekamy, żebyś to ty go jakoś ochrzciła. Nie możemy bez końca nazywać go Banankiem, bo będą się z niego śmiać w szkole. - Rozcierałam jej drobne zimne palce, podczas gdy mama poszła po pielęgniarkę. - Nan? Nan! - Westchnęła głęboko, ale się nie poruszyła. Jeśli teraz umrze, uznają, że to moja wina, pomyślałam. - No już - syknęłam. Nagle mały kichnął dwa razy, a ja poczułam, jak ciało Nan drgnęło. Położyłam głowę na poduszkę, tuż przy jej twarzy, i zobaczyłam, jak zatrzepotała rzęsami, a spod powieki wytoczyła się wielka łza, zatrzymała, a potem rozpląnęła na policzku pośród zmarszczek. Ściągnęła wargi i widziałam, że próbuje coś powiedzieć. Fałdy wokół jej ust pogłębiły się. - Co, Nan, co? Tylko oddech, szybki i płytki, ale żadnych słów. Puściłam jej rękę i pobiegłam po mamę. Dajcie mi wrócić, chciałam powiedzieć. Podajcie mi coś, szybciutko, póki jeszcze pamiętam, jak się tam dostać. Gdybym tylko mogła sobie zasnąć i gdyby tylko wyłączyli to obmierzłe światło. Staralam się, bardzo się starałam, ale nie udało mi się zmusić ust do mówienia. -Co ona mówi? - spytała mama, kiedy pielęgniarka trzymała Nan za przegub i liczyła. - Nie zrozumiałam. Jej zęby... Pielęgniarka pokręciła coś przy aparatach, przestawiła rurki, po czym zdjęła kartę, która wisiała w nogach łóżka, i coś tam zapisała. Nan chrapnęła lekko i jęknęła. Pielęgniarka odłożyła kartę i nachyliła się, zbliżyła ucho do warg Nan, zmarszczyła brwi. My czekałyśmy. Wyprostowała się.

-Wygląda na to, że wygrała wakacje dla dwojga. Zaraz sprowadzę lekarza.

Wcale nie to chciałam powiedzieć.

Był dzień nadania imienia mojemu synkowi oraz urodziny Nan. Pielęgniarki stały wokół łóżka i klaskały, a ja robiłam zdjęcie aparatem, z tych zwanych jednorazówkami. Nan w nowej lizesce, trzyma na kolanach tort. Zdjęcie obejmowało również kawałek balkoniku do chodzenia, ale żeby go nie było widać, musiałabym odciąć rękę Nan. Powiedziałam jej to.

- Tyle ci z niej pożytku, że możesz się jej pozbyć - zauważyła. -Wiesz, dlaczego klaszczą, kiedy ktoś stary powie im, ile ma lat? Dlatego, że jeszcze nie umarł, ot i wszystko.

- Widzę, że nie wpłynęło to na jej mowę - mruknął do mnie tata.

- Nie. Tak naprawdę to miała wielkie szczęście. Jeśli „szczęściem” można nazwać niemożność samodzielnego poruszania się czy jedzenia. Bardzo jest podenerwowana tym przykuciem do łóżka. Była przecież taka sprawna. Bo ile w końcu znasz osiemdziesięciojednoletków, którzy nadal mogą sięgnąć do palców stóp?

- No tak, ale ona jest niska. Nie musi się za bardzo schylać.

- Przestań. Myślę, że jest rzeczywiście przygnębiona.

Tata poczuł się skarcony. Żeby być sprawiedliwym, trzeba powiedzieć, że po prostu nie potrafi sobie radzić ze smutnymi sytuacjami. Przyszedł tylko dlatego, że mama go przycisnęła, bo przecież mogą to być jej ostatnie urodziny, a ona zawsze miała o nim taką dobrą opinię.

-To jak sobie będzie radzić, kiedy się jej stąd pozbędą?



Chodzi mi o to, że Karen ma pełne ręce roboty z tobą i z dzieckiem, żeby jeszcze mogła się opiekować Nan. Co ona zrobi?

-To najlepsze miejsce, w jakim mogła mieć wylew -oświadczyła głośno Ivy, chwytając tatę za ramię. Kiwnęła głową w kierunku Nan. - Mówiłam, że to dla ciebie najlepsze miejsce. Ale masz piękne kwiaty.

- Krew i bandaż. - Nan wykrzywiła się w stronę wazonu z czerwonymi i białymi goździkami. - Przynoszą pecha. Mówiłam pielęgniarce, ale nic nie zrobiły.

-Zróbmy jedno zdjęcie z tobą, Williamem i ze mną na łóżku razem z nią - powiedziała mama. - Steve - wręczyła tacie aparat - bądź tak uprzejmy. - Mama i ja usiadłyśmy na żelaznej ramie łóżka z obydwu stron Nan, z Willem, niczym z tłustym białym pędrakiem, na jej kolanach. - Gotowi.

- No dobra. Uśmiech, proszę.

- Ee, kiepska sprawa - oznajmiła Nan, zamykając oczy.

Gdyby to były inne czasy, nietypowa dla Nan posepność wprawiłaby mnie w konsternację, no ale trzeba być realistką. W naszym domu panował chaos, a człowiek nie może jednocześnie skupić się na wszystkim. Wychodziłam ze skóry, żeby być lepszą matką w najbardziej nieznośnych okolicznościach, to znaczy dom wyglądał, jakby spadło na niego kilka bomb. To prawda, Nan w tej chwili nie było, ale odwiedzałam ją ptawie codziennie, a ze względu na Charlotte biegałam po schodach w górę i w dół jak jakieś stuknięte jo-jo.

- Mamo, mamo, ciągle nie mogę dopiąć dzinsów!

- Bo ledwie sześć tygodni temu urodziłaś dziecko. Wrócisz do swojej figury, tylko trochę poczekaj. Osusz oczy i napijemy się herbatki.

- Mamo, mamo, odpadła mu resztką pepowiny!
- No bo one odpadają. Wytrzymaj mu ostrożnie brzuszki i uważaj, żebyś go nie uraziła przy przewijaniu.
- Mamo, mamo, w jego kupce są jakieś kawałki!
- To normalne. Daj spokój, Charlotte, przestań się zamartwiać o każdy drobiazg.
- Mamo, mamo! Mamo! Zapomniałam, jak się go kąpie.
- Och, na miłość boską, Charlotte, po prostu spróbuj! Głowa mu od tego nie odpadnie! Potrzeba mi tylko pięciu minut cholernego spokoju na przejrzenie „Bolton Evening News”.

**ltd.**

Aż nie mogę uwierzyć, że tak się zmieniła; była kiedyś taka niezależna, a teraz przez cały czas siedzi mi na grzbiecie. Po cichu przyznam, że to dość miłe. Cieszy mnie, kiedy potrafię jej powiedzieć, co zrobić, a ona - o dziwo - mnie słucha. Baczy pilnie na każde moje słowo, nieustannie wypytuje, jak to było, kiedy to ona była niemowlęciem. Rozmawiamy ze sobą tak, jak od lat nie rozmawiałyśmy.

Kiedy opanowała ją depresja poporodowa, była jak szmaciana lalka, całkowicie nieużyteczna. Mały miał żółtaczkę i powiedziałam jej, że to normalne i niegroźne, ale ona nie przestawała biadolić, że dziecko zamienia się w banana; myślałam, że jej kompletnie odbiło. A potem nagle jej przeszło i dwa dni później mogliśmy już sobie żartować z rozmiaru jej piersi.

- Spójrz na to, mamo - powiedziała, przykładając do obfitego biustu jeden ze swoich starych staników.
- Wygląda to jak biustonosz skrzata.

Pokładałyśmy się ze śmiechu. Naprawdę, doskonale sobie radzi. Kłótnie będą zawsze, ten nałóg nazbyt już wszedł nam w krew, niemniej mam silne poczucie, że jeśli o nią chodzi, to otrzymałam coś w rodzaju drugiej szansy.

Ludzie myślą, że doskonale sobie radzę, tymczasem wcale tak nie jest.

Te wszystkie tajemnice, które kobiety trzymają dla siebie. Szczerze mówiąc, rozumiem dlaczego; kiedy urodzisz, masz uczucie, jakby przenicowano ci ciało i na tydzień powieszono je na sznurze do suszenia bielizny. Gdyby wiedziały o tym wszystkie dziewczyny, żadna już nigdy nie zaszłaby w ciążę. Ja na pewno nie zdecyduję się na powtórkę, w żadnym razie. Will będzie się musiał pogodzić z tym, że jest jedynakiem. Tam w dole jestem tak pokiereszowana, że aż przerażenie bierze. Czuję te sterczące szwy; mają się rzekomo rozpuścić same, ale wcale nie jestem o tym przekonana. Kiedy dotykam swojego ciała podczas kąpieli, mam wrażenie, że ono nie jest moje.

Piersi też nie są moje. Zmieniły się we wrażliwe, mięsiste wory mleka, a na dodatek, jeśli Will prześpi karmienie, stają się guzowate. Wtedy muszę, jak jakąś wielką krowę, wydoić się sama do umywalki w łazience. Mleko tryska cienkimi strużkami, po prostu coś niesamowitego.

A dziecko jest przedziwne. Ma żałośnie podkulone nóżki i ogromny brzuch, i oczy, które wpatrują się we mnie, jakby przenikały wprost do wnętrza głowy; mam nadzieję, że tak nie jest. Jego siusiak jest śmieszny, miękki drobiazg w kształcie dzióbka od czajniczka. Kiedy zmywa się z niego kupkę, trudno uwierzyć, że kiedyś będzie to ten wielki, twardy, żylasty trzon, otoczony sztywnymi włosami. Mama mówi, że w porównaniu ze mną to dobre maleństwo, w nocy budzi się tylko raz czy dwa i zasypia natychmiast po nakarmieniu, ale mnie to, że muszę do niego wstawać o różnych porach, dosłownie dobija. Jak ludzie wytrzymują bez snu? Czasami leżę w ciemności i czekam, aż zapłacze,

i zastanawiam się, czy przypadkiem nie czyta mi w myślach i czy właśnie dlatego nie zaczyna zawodzić.

Kiedyś, nikomu o tym nie powiedziałam, płakał tak bez końca w swoim łóżeczku, a było już wpół do czwartej rano. Dostał wzdęcia, ale ja tego nie wiedziałam, myślałam, że robi mi na złość. Podniosłam go, a on nie przestawał wrzeszczeć mi w ucho i całe moje ciało zaczęło dygotać, bo miałam ogromną ochotę mocno nim potrząsnąć. Takie potrząśnięcie pokaże mu, o co chodzi, powstrzyma płacz, pomyślałam. Potem się zreflektowałam i przypomniały mi się słowa taty, a kiedy podeszłam do łóżeczka, żeby go położyć. Will beknął zdrowo i natychmiast przestał płakać. A ja zesłam na dół i wypiłam filiżankę herbaty.

To słodki maluch. Ja nazywam go Will, mama William, natomiast dla Nan jest on Billem albo „Śliczną ptaszyną”. Tata mówi o nim „nasz mały bobas”. Teraz już bez trudu go przewijam, śpiewam piosenki grupy Oasis, on przybiera na wadze i bardzo możliwe, że właśnie dzisiaj po raz pierwszy się uśmiechnął. W każdym razie mama powiedziała, że to był uśmiech.

Mimo wszystko nadal czuję się oszustką. Przystawiam go do piersi, spoglądam w dół na tę kruchą główkę i myślę sobie: Jeszcze cię nie kocham. Nie chciałabym, by spotkała cię jakakolwiek krzywda, gołymi rękoma odpędziłabym od ciebie tygrysa. A przecież jest w moim wnętrzu takie puste miejsce, które, o czym jestem przekonana, powinno być wypełnione innym jeszcze uczuciem. Bo dziecka nie wystarczy bardzo lubić, prawda?

Co ja robię?

W domu jest pełno okolicznościowych kartek i prawie codziennie ktoś przychodzi z jakimiś drobiazgami dla małego. Pan F przysłał książkę z kołysankami z całego świata; siostra Debbie przyniosła pełną torbę ciuszków, na trzy do sześciu miesięcy, które jej już przestały być potrzebne. Wszystkie mamy przyjaciółki z klubu seniorów też coś dały, robione na drutach sweterki, śpioszki i co tam jeszcze. Pani Katechi z sieci sklepowej Spar podarowała nam album do zdjęć z napisem „Pierwszy roczek”; Pauline przyszła z całą torbą prezentów od nauczycieli i uczniów, nawet niektórzy rodzice się dołączyli. Wiele z tych rzeczy jest używanych, ale nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież William nie będzie się skarżył, prawda?

Charlotte chciała koniecznie wiedzieć, dlaczego wszyscy są tacy mili.

- Nie znam połowy tych ludzi. Dlaczego pokupowali mi prezenty?

Siedziałam przy stole i pisałam podziękowania, ale przerwałam i odłożyłam pióro.

- Wiesz, to zabawne, bo przypominałam sobie, że myślałam dokładnie tak samo, teraz natomiast to rozumiem. Dzieje się tak dlatego, że nowo narodzone dziecko jest nie zapisaną kartą, nie popełniło jeszcze żadnego z tych błędów, jakie popełniają dorośli. Ludzie chcą wykorzystać tę niewinność i uczyć ją, póki trwa. Takie niezepsute życie przyciąga innych, ma w sobie coś z magii. Daje nam wszystkim nadzieję. To małe dziecko ma przed sobą szansę naprawienia tego, co my popsuliśmy.

- Bez przesady, mamo - zachichotała Charlotte. - A czy to po prostu nie jest dlatego, że niemowlęta są słodkie?

William, który leżał golutki na kocyku do przewijania i wierzgał pulchnymi nóżkami, sapnął i kichnął.

- Może. W każdym razie ja tak to widzę. Hej, załóż mu lepiej szybko pieluchę, zanim się posika. U chłopców, jak odkryłam, potrafi to sięgnąć daleko.

- Wiem, jak z fontanny. - Charlotte przyklękła - coraz lepiej sobie radzi - i zaczęła go ubierać. - Taak, mogę zrozumieć, że ludzie są mili w stosunku do niego, bo któż by nie był? Myślałam jednak, że niektórzy z nich będą krzywo na mnie patrzeć, no wiesz, bo nie mam męża i w ogóle. Przynajmniej ci starsi.

- Och, kochanie, nie ma prawdopodobnie na tym świecie kobiety, która nie pomyślałaby, że to mogłoby spotkać każdą. Dotyczy to szczególnie tych starszych i nic dziwnego, bo za ich młodych lat o wpadkę było o wiele łatwiej.

Charlotte zapięła ostatni zatrzask przy kombinezonie Williama.

- Och, Boże, wyobraź sobie, mamó, wyobraź sobie tylko Ivy Seddon... i Maud Eckersley... na plecach, w trawie!

- Przestań już, moja pani, nie bądź wredna. Dziś po południu muszę je obie zawieźć do szpitala. Coś mi się zdaje, że te wszystkie hormony musiały ci jakoś uderzyć do głowy. Ale, niech mnie licho, co za wymyślny obrazek.

- Przecież kiedyś na pewno były młode. Musiały być obiektem zalotów i...

Włożyłam ostatnią kartkę do koperty.

- Och, nie sądzę. Bo wiesz, seks odkryto dopiero w latach sześćdziesiątych. Wcześniej wszyscy zachowywali się przyzwoicie.

- Tak? Naprawdę?

- A jak sądzisz? - zaśmiałam się.

Kiedy mama spytała, co chciałabym dostać na urodziny, odparłam, że chciałabym się wyspać. I była to prawda. Jedyne, czego naprawdę było mi potrzeba, to przyłożyć na kilka godzin głowę do poduszki. Mogą się wypchać przyjęciami i upominkami. Myślałam, że wywróci oczyma i zasugeruje złoty medalionik, ale ona powiedziała tylko: „Wobec tego zabierz się do ściągania mleka”.

Tak więc rankiem w dniu moich osiemnastych urodzin przyleciały dobre wróżki i uniosły Willa, a ja, zaplątana w pościel, spałam i spałam. Obudziłam się w południe i ponownie zasnąłam. Za tym drugim razem zaczęło mi się śnić coś dziwnego. Byłam w londyńskim metrze i jakiś krasnal z czarną brodą stał w ścisku tuż przy mnie. Wpatrywał się we mnie i oblizywał wargi, więc próbowałam się odsunąć, ale w tym gęstym tłumie okazało się to niemożliwe. Potem uniósł ręce i zaczął mocno ugniatać moje piersi. Ścisnął coraz mocniej, aż naprawdę mnie rozboleło, i wtedy się obudziłam.

Leżałam w kałuży własnego mleka. Przesiąkło przez stanik, T-shirt i prześcieradło. Piersi miałam takie twarde, że mogłabym się na nich położyć i wisiałabym chyba ze stopę nad materacem. „Jasna cholera”, powiedziałam, nadal czując ból, i zwlokłam się z łóżka. Zataczając się, wyszłam na podest, mrużąc oczy przed światłem; chciałam koniecznie odnaleźć swoje dziecko, żeby mogło zmniejszyć nieco to ciśnienie, zanim eksploduję.

-Boże, mamó! - wrzasnęłam, kiedy zesłam ze schodów. - Gdzie jest Will? Muszę go nakarmić, moje piersi są jak kamienie. I cała jestem w mleku.

Otworzyłam drzwi do salonu i ciągle otumaniona, dojrzałam spory tłumek: Daniela, Julię, Anyę, mamę, Ivy i Maud, szefa mamy (?), Debbie, tatę; a na dodatek transparent z napisem, baloniki, kiełbaski koktajlowe.

-Wszystkiego najlepszego-usłyszałam słaby głos Daniela.

Zrobiłam w tył zwrot na pięcie i uciekłam na górę; drzwi pokoju zamknęłam za sobą na klucz.

Dziesięć sekund później zapukał do nich Daniel.

- Daj spokój, Charlotte, przepraszam cię, przepraszamy cię wszyscy, wpuść mnie.

- Odejdź! - krzyknęłam. - Niech przyjdzie mama.

Przyszła zaraz, trzymała Willa, którego pyzata buzia spoczywała na jej ramieniu.

- Proszę cię bardzo. - Podała mi go, a on natychmiast zaczął szukać piersi. - Ułóż się wygodnie. - Mały przypiął się i zaczął ssać. - Brakowało ci mamusi, prawda? W każdym razie zachowywał się świetnie, był grzeczny przez całe przedpołudnie - dodała pośpiesznie. - I jak, już wszystko gra? Jest mi tak przykro...

-A jak myślisz? Stałam tam przed nimi jak na wyborach miss mokrego podkoszulka, bez makijażu, z włosami jak u stracha na wróble, to jak ty byś się na moim miejscu czuła? Boże, mamó, jak mogłaś?

-To miała być niespodzianka.

-Tak, owszem, to była niespodzianka. Przestań się uśmiechać! To nie jest zabawne, nie jest. Dobry Jezu. Dlaczego nie przyszłaś mnie uprzedzić? To było straszne. Nie wiem, czy kiedyś odważę się postawić nogę za drzwiami tego pokoju. Dostanę agorafobii i będzie to twoja wina.

- Przestań. - Mama poklepała mnie po kolanie. - Nikt się nie przejmuje. A ja zaglądałam do ciebie co kwadrans. Zamierzałam pozwolić ci się dobudzić i powiedzieć, że wpadł tu Daniel, to może pociągniesz usta pomadką. Ale kiedy ostatni raz spojrzałam na ciebie, wydawałaś mi się pogrążona w głębokim śnie i żal mi było cię budzić, a potem Maud chciała wiedzieć, na jak długo wstawić paszteciki, i tym mnie zatrzymała. Widzieliśmy cię tylko przez moment, na miłość boską. Naprawdę, nikt się nie przejmuje.

-Ale ja tak.

- Chciałam zrobić dla ciebie coś miłego, Charlotte. Daj mi szansę. - Nagle mama zaczęła wyglądać na bardzo znużoną. - Wiesz, ja też się męczę. Zajmowałam się tym oto młodzieńcem przez całe przedpołudnie i przygotowałam



poczęstunek, naprawdę jestem skonana. Ale chciałam ci sprawić przyjemność, bo w końcu to twoje osiemnaste urodziny, coś specjalnego. Chyba odwiozę twój prezent do Argos, nie zasługujesz na niego.

- A co to?

-Żeby sprawdzić, będziesz musiała zejść na dół.

Will położył rączkę na mojej nagiej piersi i rozczapierzył w ekstazie palce. Podstawiłam mu swoją dłoń, a on uczeplił się kciuka. Jego główkę nadal okrywały ciemne i gęste włosy, wbrew przepowiedniom Maud, która twierdziła, że powypadają.

- Ty małpeczko - powiedziałam do niego. - Dla ciebie to nieważne, w jakim ja jestem stanie, co? Nie masz o tym najmniejszego pojęcia. A co tam. W porządku, poddaję się.

- Nie denerwuj się i nie obrażaj! Naprawdę! Wszyscy zebrani w tamtym pokoju chcą tylko życzyć ci wszystkiego najlepszego, więc przestań się bocyć. - Wzięła ode mnie wiercącego się Willa, a ja zaczęłam szukać czystych ciuchów.

- Wiesz, że to nie moja wina, że się tak wkurzam, to te hormony - tłumaczyłam się.

- Bzdury. Nie możesz bez końca korzystać z tej wymówki. Słuchaj, przyniosłam ci twoją szczoteczkę do zębów, napełniłam nawet wodą dzbanek babci i miskę w pokoju obok, żebyś nie musiała schodzić do łazienki, możesz tutaj doprowadzić się do porządku.

-Jestem zołza?

- Czasami.

- Dlaczego nie możemy jak normalni ludzie mieć łazienki na górze?

- Kiedy wygramy na loterii. A teraz rusz się.

Okazało się, że to Daniel dał mi najlepszy prezent, chociaż ten od mamy był dość niezwykły.

Wtoczyła załadowany stolik na kółkach.

- Pomyśleliśmy, że masz dość rzeczy dla małego. To jest wyłącznie dla ciebie.

- Przyda się podczas studiów - oświadczył tata nieśmiało.

- To dobry zestaw. - Daniel podał mi nożyczki, a ja zaczęłam przecinać taśmę. - Chociaż może kiedyś trzeba będzie go rozszerzyć.

Wiedziałam już, że to komputer, zanim usunęłam resztę papieru. -O, mój Boże, skąd wy...?

-Twój tata dołączył się z pewną sumą, a także Nan. Nie chcemy, żebyś zapomniała o swoich planach na przyszłość -oznajmiła mama.

W zadziwieniu okrężałam wielkie kartony.

- Przecież już kupiliście mi fotelik samochodowy. Nie zasługuję na to.

- Owszem, zasługujesz - stwierdzili tata i Daniel jednocześnie.

- Nie, nie zasługujesz - powiedziała mama.

- Gdzie go postawimy? - Pomyślałam o swoim pokoju, o maleńkim biurku, dwóch metrach kwadratowych wolnej przestrzeni.

- Może wystawimy serwantkę z tamtego rogu. Pogadamy o tym później. - Mama poszła do kuchni i wróciła z workiem na śmieci. - Pozwól mi pozbierać ten styropian, zanim się wszędzie rozlezie.

- No to kiedy będzie tort? - spytał tata.

Julia i Anya (pudło specyfików do pielęgnacji skóry i włosów) siedziały do chwili, kiedy tata wychodził do pracy, na

tę swoją zmianę, zaraz potem Debbie (album na zdjęcia) musiała lecieć na autobus. Maud i Ivy (talon na książki i krem z arniką) podreptały na wieczorne nabożeństwo, w rezultacie pozostał jedynie pan Fairbrother (książka Paula Wilsona) oraz Daniel (jak dotąd nic). Kiedy mama zabrała się do odnoszenia naczyń do kuchni, Daniel wystrzelił z fotela, jakby ukąsiła go osa. -Ja się tym zajmę, a pani niech posiedzi.

- O, jak to miło z twojej strony. - Mama zarumieniła się z radości. - Zostaw wszystko na suszarce, ja jutro to po-odstawiam.

- Należę wina - oznajmił pan Fairbrother. Siedziałam w kuchni, żeby dotrzymać Danielowi towarzystwa, kołysząc na rękach Willa, aż zasnął.

- Ciekawe, czy życie wszystkich staje się takie niesamowite po urodzeniu dziecka, czy też dotyczy to tylko mnie. Mam wrażenie, że wszystko, czego kiedyś byłam pewna, obecnie po prostu się rozplynęło.

- Na przykład? - Daniel gmerał w wodzie, szukając zmywaka.

- Mama teraz jest niemal ludzka, ta sytuacja musiała dobrze na nią wpłynąć. Nan się tutaj nie kręci, to naprawdę dziwne, chodzi mi o to, że zawsze tu była. Jakaś część mnie tęskni za nią jak szalona, inna boi się jej powrotu do domu. Rozumiesz, dwumiesięczne niemowlę oraz Nan pod jednym dachem.

Chaos. Mama znów zrobi się rozdrażniona, a szkoda, no i jest całkiem możliwe, że na tych nowych lekach Nan też będzie rozdrażniona. - Will miauknął niespodziewanie, ale zaraz się uspokoił. - I tata, tak często teraz tu bywa, że to aż wytrąca człowieka z równowagi. Przynajmniej on się nie zmienia, jest jak zwykle czarujący i beużyteczny. No i ten facet, pan Fairbrother...

- Chce, żebyśmy mówili mu Leo, powiedział już wcześniej.
- Niech będzie Leo. Czemu on się tu kręci? Na pewno jest za stary dla mamy. I w ogóle nie w jej typie.
- Myślałem, że jest w porządku. Chociaż twojemu tacie się chyba nie spodobał.
- No cóż, ci dwaj są jak dzień i noc. I jeszcze przyszły Julia i Anya; byłam naprawdę wzruszona. Ty to zorganizowałeś?

Daniel chciał popchnąć okulary do góry i posmarował sobie nos pianą.

- Mogłem.-Zdmuchnął bąbelki, a one pofrunęły jak płatki śniegu i przywarły do kafelków. - Zamierzałem zabrać cię do Pizza Hut i poprosić je, żeby też przyszły, ale zadzwoniła twoja mama i powiedziała mi o tym...
- Zadzwoniła do twojego domu?
- Bardzo długo gawędziła z moim tatą, zanim oddał mi słuchawkę.
- O Boże. Jak mi przykro. Daniel wzruszył ramionami.
- Ja bym się tym nie przejmował. Ojciec to urodzony flirciarz, nie trzeba tego brać poważnie. Moja matka nazywa to „podejściem do pacjenta”. - Wylał wodę z miski i napełnił ją ponownie, żeby zająć się garnkami. - Podobałby się jej ten kanciasty zlew. Lata trzydzieste, co? Za te oryginalne czarno-białe kafelki też pewnie gotowa byłaby zabić.
- Ale na pewno nie podobałaby się jej wędrówka przez kuchnię, żeby wziąć prysznic.
- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Podejrzewam, że tę łazienkę dodano już po wybudowaniu domu.
- Wiem, że babcia i dziadek wprowadzili się tutaj tuż przed wojną, ale nie wiem, czy mieli tu blaszaną wannę

i wygodkę na dworze, czy też już wtedy dom był zmodernizowany przez radę miejską. Musiałabym ją zapytać. Mama pamięta, że w pokoju frontowym był wielki pękaty piec, tam gdzie jest teraz kominek gazowy, ale jego pozbyto się w latach siedemdziesiątych.

- Ma zdecydowany charakter, ten twój dom. Jest wypełniony historią.

- Daj spokój. Możesz tak sobie mówić, bo nie musisz tu mieszkać. Ja w każdej chwili bym się zamieniła.

-Wypijecie wino tutaj? - Mówcie-mi-Leo pokazał się w drzwiach z dwoma kieliszkami.

- Postaw je na razie na lodówce. - Podniosłam się ostrożnie; Will spał jak zabity. Zaniósłam go do bawialni i położyłam na jego bujanym foteliku. Z odrzuconą do tyłu głową i z tym zadartym noskiem przypominał ubrane w śpioszek prosiątko.

- Kochany maluch - powiedziała mama. Zauważyłam, że wina już niewiele pozostało w butelce.

- Możesz go jeszcze trochę popilnować? W ramach urodzinowego prezentu?

Skinęła głową. Poszłam do kuchni i wzięłam swój kieliszek. -Zostaw to, Daniel. No już.

- Miałem nadzieję, że to powiesz - odezwał się z uśmiechem.

Na górze, w moim pokoju, spoważniał.

- Czekałem, żeby dać ci to - oświadczył, wkładając rękę do kieszeni marynarki. - Nie chciałem tego robić przy wszystkich. - Wyjął małą czarną kostkę, rozmiarów, no cóż, pudełeczka na pierścionelek. A niech to licha, pomyślałam sobie. - Weź to - powiedział, kładąc je na mojej dłoni. Za chwilę pewnie padnie na kolana i wszystko zepsuje.

Przełknęłam ślinę i uniosłam wieczko.

-Och, Danielu.

-To twoje szczęśliwe kamienie. Masz przekłute uszy, prawda? Zapomniałem sprawdzić.

-Och, są śliczne. - Śmiałam się z ulgą. - Wspaniałe. Natychmiast je założę. - Stałam przed lustrem w szafie i wsunęłam maleńkie szpilki w płatki uszu. Błękitne klejnociki błyskały w świetle przy każdym ruchu. - Podobają mi się moje uszy. To jedyna część mojego ciała, która ostatnio nie zmieniła kształtu.

-Wyglądasz fantastycznie. - Daniel promieniał dumą.

Odwróciłam się, a ponieważ staliśmy tak blisko siebie, nie musiałam się szczególnie wyciągać, żeby go pocałować. Objął mnie i wtopiliśmy się w siebie, ustami, biodrami, palcami stóp. Gdyby to był film, pomyślałam, muzyka przybrałaby na sile, a kamera okrążałaby nas w długim ujęciu zbliżenia. Całował naprawdę dobrze, zaskakująco dobrze. Może zostawił w Guildford nie tylko kolegów; nigdy go o to nie spytałam.

- Chodź, połóżmy się na łóżku - zaproponowałam.

-Tylko jeśli jesteś absolutnie pewna. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Jesteś?

-Tak.

Długo leżeliśmy, obcałowując się i ocierając jedno o drugie. On przesuwając palcami po moich plecach i szyi, instynktownie wyczuł, że nie należy dotykać piersi. Jego pocałunki były leciutkie i drżące na mojej skórze. Przez cały czas pilnował się, żeby jego ręka przypadkiem nie zawędrowała poniżej mojego pasa, chociaż ja tarłam biodrami o jego krocze jak jakaś skończona zdzira. Nagle zapragnęłam, żeby mnie dotykał, tak naprawdę dotykał. Przestałam przejmować się sadłem na brzuchu i sterczącymi szwami, po prostu pragnęłam jego palców. Poprowadziłam jego. rękę elek-

tryzującą ścieżką w dół, poniżej paska spódnicy, aż pod brzeg majtek. Myślałam, że umrę z pożądania. Przez cały ten czas on spoglądał w moje oczy i przesuwał dłoń naprawdę delikatnie, och, jak delikatnie. Wiedziałam, że jestem kompletnie wilgotna; wiedziałam też, że to, co teraz czuję, jest lepsze od wszystkiego, co kiedykolwiek odczuwałam z Paulem. Żadnej szarpaniny, gwałtownych pchnięć, ostrych, połamanych paznokci, jedynie opuszki palców poruszające się niczym piórka dokładnie w tym miejscu, gdzie było mi najlepiej. Przyjemność narastała, aż przerodziła się w całkiem inne odczucie; musi to przedłużyć, nie wolno mu przerwać, zamknęłam oczy i dochodziłam, dochodziłam na jego ręce, falami, najbardziej wyrafinowanej, fantastycznej, cudownej...

- Nic ci nie jest? Otworzyłam oczy.

-O mój Boże. To niewiarygodne. Nie miałam pojęcia, jak to jest. O Boże. - Opadłam z powrotem na poduszki. -Jesteś kapitalny. Wiedziałeś dokładnie, co należy robić.

- Czytałem coś niecoś na ten temat - odparł skromnie.

- Ty i ten twój cholerny Internet. - Wtuliłam twarz w jego pierś.

- Raczej Ashley Carter, autorka powieści historycznych. Jeden z tych trefnych paperbacków mojej mamy. Trzyma je na dnie szafy; myśli, że nie wiem. Na okładce może i są krynoliny oraz wachlarze, ale, wierz mi, wewnątrz kryje się ostry materiał. Edukowałem się latami. - Twarz miał zaróżowioną, a ponieważ zdjął okulary, wyglądał jakoś inaczej, bardziej bezbronne.

Doznałam nagłego przypływu miłości do niego i wyciągnęłam ramiona, żeby znów go do siebie przytulić. Czułam na brzuchu jego twardość.

- Czy jest... czy jest coś, co ja mogłabym dla ciebie zrobić? - spytałam.

- Na pewno - westchnął i położył się na wznak, a ja zaczęłam otwierać zamek przy jego spodniach. Londyńska wizyta ani razu mi się nie przyśniła, mimo że się spodziewałam nie wiadomo jakich koszmarów. Może jest tak dlatego, że myślę o tym cały czas i moja podświadomość nie musi tego wyciągać w nocy. Emma, z tymi swoimi delikatnymi, rozwianymi włosami i wielkimi oczyma. Widzę ją dosłownie wszędzie, w moich uczennicach w szkole, a także jako osobę dorosłą, którą nie miała szansy być. Ta dziewczyna od pogody w Telewizji Porannej, która z jakiegoś powodu mi ją przypomina, jest coś takiego w łuku jej brwi. Serce mi skacze do gardła, kiedy Judy Finnegan ją zapowiada.

Cóż mogę zrobić, Emmo? - pytam ją, ale ona ma tylko smutek i strach w oczach. Stała się moją urojoną przyjaciółką; lada moment zaczęłam nakrywać dla niej na stole. A czasami nocą serce nabrzmiewa mi uczuciem i mam wrażenie, że miłość wypłynie ze mnie niczym morze i ogarnie te wszystkie dzieci, których nikt nie chce, obmyje ich małe ciała, gdybym tylko mogła do nich dotrzeć. Cóż mogę zrobić?

Jeśli zaś o nią chodzi, to stała się tym niedobrym doznaniem, które wślizguje się od czasu do czasu w moją pamięć, często niespodziewanie. Jednak przerwy pomiędzy kolejnymi powrotami jej obrazu stają się coraz dłuższe. Być może, kiedyś w przyszłości, minie cały dzień, a jej twarz w ogóle nie pojawi się w mej pamięci. Czy Nan znała Jessie Pilkington? Wydaje się to niemożliwe; taka dobroć spotykająca takie zło. W każdym razie odnalazłam swoją prawdziwą matkę. I co za niespodzianka, ostatecznie okazała się nią Nan.



Ponownie przemyślałam sobie to wszystko, kiedy siedziałam w poczekalni przed gabinetem lekarza, gotowa na pizyjęcie długofalowej oceny stanu Nan. Przygotowałam sobie tyradę: Nie ważcie się pozbywać stąd mojej matki jako osoby blokującej łóżko! Przez całe życie płaciła składki na ubezpieczenie zdrowotne, nie wymaga nic więcej poza tym, do czego jest uprawniona. Jeśli powrót do sił zabierze jej dużo czasu, to trudno, będziecie musieli po prostu to uwzględnić. Czy w tym kraju już zupełnie nie dbamy o starych ludzi? Żaden specjalista nie będzie mnie lekceważył.

A przecież, kiedy już się z nim spotkałam, pan Hammond okazał się człowiekiem bardzo rozsądnym.

- Proszę usiąść. No tak, pani nazywa się Cooter.

- Nie, nazywam się Cooper.

- Ojej, to chyba niezbyt dobry początek. - Poprawił swoje notatki. - Rozumiem, że opiekuje się pani matką, panią Hes-keth, od trzynastu już lat, tak?

- Tak, chyba tyle będzie... Chociaż, szczerze mówiąc, przez jakiś czas to ona opiekowała się mną. Miałam lekką depresję poporodową, a potem, po rozwodzie, kolejną, więc kiedy się wprowadziłam do mamy, nie byłam w najlepszym stanie. Była wręcz cudowna, jeśli chodzi o moją córkę, dawała jej codziennie czyste ubranka, robiła kanapki do szkoły, kiedy sobie z niczym nie radziłam; to czas, o którym myślę z niechęcią, nie jestem z siebie dumna.

Nagle wspomnienie, siedzę przy stole, w ręce trzymam pędzelek do farb Charlotte, a po twarzy płyną mi łzy. „Nie”, mówi Nan, głaszcząc mnie po ramieniu, „nie odbierają dzieci tylko dlatego, że ich matka trochę sobie pomaluje”. Z góry dochodzi odgłos dzikiego tupotu Charlotte, wścieklej na mnie, ponieważ nocą, kiedy rozpierała mnie energia, zamalowałam farbami wszystkie strony magicznej książeczki do kolorowania, którą zresztą sama jej kupiłam, nie pozostał nawet jeden nie zamalowany

skrawek. „Nie mogłam się powstrzymać”, powtarzam w kółko, „to było silniejsze ode mnie”. Nan nie przestaje głąskać, Charlotte nie przestaje tupać. Och, robiłam jeszcze bardziej dziwaczne rzeczy; nie mam pojęcia, dlaczego akurat przyszedł mi do głowy ten incydent.

Kiedy wróciłam do terażniejszości, zobaczyłam, że brwi pana Hammonda uniesione są powyżej stalowej oprawki okularów, i uświadomiłam sobie, że mam otwarte usta; Bóg jeden wie, co sobie o mnie pomyślał. Wzięłam się w garść i mówiłam dalej:

- Tak że tylko te ostatnie, och, nie wiem, pięć czy sześć lat miałam z nią kłopot. Trudno dokładnie określić ten moment, kiedy zamieniłyśmy się rolami i ona znalazła się pod moją opieką. Od bardzo dawna zapominała różne rzeczy; kładłyśmy to na karb wieku. Teraz już w żadnym razie nie mogę zostawić jej samej, z obawy, że spali naczynie do opiekania albo zostawi odkrecony kran, chociaż bywają dni, kiedy zachowuje się jak każdy inny i nikt by nie pomyślał, że coś jest z nią nie tak.

Rozumiem, że to dość charakterystyczne dla demencji starczej?

- Może tak być. - Pan Hammond skinął głową.

- Niesamowite, prawda? Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać, czy ona udaje czy nie. Wie pan, czasami mogłabym... - uniosłam zaciśnięte pięści na wysokość twarzy, po czym roześmiałam się, żeby pokazać, że to tylko żart. Ciekawe, czy dał się nabrać? Podejrzewam, że widział już wystarczająco wiele opiekunek, żeby wiedzieć, jak to jest. W każdym razie nie przestawał kiwać głową, nie wezwał też policji. - A daję sobie radę dlatego, że jest taka sprawna fizycznie. Potrafi bez trudu wejść i wyjść z wanny, wspiąć się po schodach na piętro, samodzielnie ubrać; naprawdę coś cudownego.

- Obawiam się, że obecnie sprawy wyglądają zupełnie inaczej. - Pan Hammond złożył dłonie i przybrał współczujący wyraz twarzy.

- Tak też się domyślałam.
- Musi pani zrozumieć, że przez jakiś czas pani Hesketh będzie w znacznym stopniu niesprawna. Obecnie pielęgniarki pomagają jej przy jedzeniu, ubieraniu i zachowaniu osobistej higieny. Będzie potrzebowała stałej opieki.

Zapanowało milczenie, a ja przetrawiałam to, co usłyszałam.

- A co z fizjoterapią? - zapytałam wreszcie.
- W dłuższej perspektywie może ona przynieść korzyści, jednak cudów nie spowoduje.
- Czy będzie mogła wchodzić po schodach? Pan Hammond pokręcił głową.
- Bez pomocy nie będzie nawet mogła chodzić. Ten udar mózgu miał poważne skutki. Dlatego też musimy tutaj wspólnie ustalić, jaką zapewnić pani matce opiekę, żeby jakość jej życia była jak najlepsza.

Zatem to była moja pokuta za odepchnięcie jej i próbę znalezienia czegoś lepszego. Przez resztę życia będę musiała stosować chwyt strażaka i zarzucać ją sobie na ramię, kiedy tylko zechce jej się siusiu; jedną ręką karmić łyżeczką Williama, a ją drugą. Upadłam na duchu.

- Ona chce - mówiłam - wrócić do domu. I ostatecznie będzie musiała tam wrócić, ale czy nie możecie jej zatrzymać na miesiąc czy dwa? Osiem tygodni temu córka urodziła dziecko i domyśla się pan, że cały nasz dom wywrócony jest do góry nogami i że będzie nam potrzebna większa pomoc z opieki społecznej... Czy pan tego dopilnuje, czy muszę się z nimi skontaktować osobiście?

- Nie jestem pewien, czy pani do końca zdaje sobie sprawę z sytuacji - oświadczył łagodnym głosem.

- Nie sądzę, by dała sobie pani radę sama. Pani matce potrzebna będzie stała opieka.

Pomyślałam o jej pokoju, o znoszeniu jej w nocy do łazienki na parterze albo o próbie wstawienia łóżka do salonu, gdzie wtedy

stanąłby stół, gdzie byśmy jadły? Może gdybyśmy przestawiły kredens... ale gdzie? Czy można by zamienić pokój Nan na jadalnię będącą jednocześnie gabinetem, w którym Charlotte mogłaby pracować? Byłoby to dość zabawne, jeść na górze, nosić tam całe jedzenie z kuchni, a potem znów odnosić na dół naczynia...

- Czy pani pracuje? - spytał pan Hammond.

- Na pół etatu. Dlaczego?

Nie musiał odpowiadać. Całe moje przyszłe życie stało mi przed oczyma.

- Uważam, że powinna pani wziąć pod uwagę dom opieki - oświadczył.

- Och, niestety, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Znajdziemy jakiś sposób, żeby sobie poradzić - odparłam. Wiedziałam, że niezależnie od tego, jak ciężki jest stan Nan, nie ma możliwości, żebym zdołała zaszkodzić jej bardziej. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mogłoby jej nie być z nami. Kiedy wstałam, żeby wyjść, powróciła pewna myśl, którą od dawna w sobie dusiłam. Pan Hammond robił na mnie wrażenie życzliwego człowieka, więc zaryzykowałam:

- Czy mogę pana o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czy sądzi pan, że mój rozwód mógł być czynnikiem, który wywołał tę demencję? Bo nie mogła się po tym pozbierać; rodzina jest dla niej wszystkim.

-Nie.

- Aha. Dziękuję. - Podeszłam do drzwi. - A, ee, czy jest możliwe, że wylew mógł nastąpić dlatego, że tydzień wcześniej wyjechałam sobie na kilka dni wakacji?

-Nie.

- Och. Tak tylko pomyślałam, że lepiej zapytać.

- Do widzenia, pani Cooter — usłyszałam, kiedy zamykałam drzwi. Nie bardzo wiedziałam, jak mam to rozumieć.

Szłam szpitalnym korytarzem obok pomalowanego na pastelowe kolory oddziału położniczego z plakatami ukazującymi szczęśliwe karmiące matki, minęłam oddział dziecięcy z ogromnym ściennym malowidłem przedstawiającym Tygrysa, aż dotarłam do sklepiku, gdzie kupiłam wielką tabliczkę czekolady. Pożarłam ją bez przyjemności i poszłam do Nan. Właśnie próbowała przewrócić kartkę .."Woman's Weekly", śliniła kciuk i palec wskazujący, gniotła róg.

- To beznadziejne - mamrotała pod nosem. Na mój widok się rozplomieniła, a to już było coś. - Ii. To nasza Karen. Urodnie wyglądasz. Przywiozłaś dziecko? Słodkie, kochane maleństwo.

- Nie, mammo. Jutro je przywiozę.

Przez chwilę wzrok miała nieobecny, potem wróciła do rzeczywistości.

- Oo, jak się cieszę, że cię widzę, szpital mi się nie widzi, wszyscy tu ciągiem gadają głupoty. Ale urodnie wyglądasz, masz nową sukienkę?

- Nie, mammo. To ta z C&A, kupiłam ją, kiedy byłyśmy w Chester. Pamiętasz? Tak wtedy lało, że jedyne, co nam pozostało, to chodzenie po sklepach.

- Aha. Nie, nie pamiętam. No to masz ze sobą małego czy nie?

Potem poszłam do Steve'a i zupełnie niechcący się z nim przespałam.

- Jesteś pełna niespodzianek, słowo daję. - Steve przekreślił się i wsparł na łokciu. - Gdybym wiedział, tobym zmienił pościel.

- O Boże - zamknęłam z irytacją oczy - dlaczego musisz być taki obrzydliwy! W ogóle się nie zmieniasz.

- To część mego uroku.

Kiedy wyszłam ze szpitala, byłam zbyt przygnębiona, żeby wrócić do domu, wobec czego poszłam na zakupy. Po godzinie

spędzonej na łożeniu w Debenhams nadal nie miałam ochoty wracać, więc wpadłam do niego. Liczyłam na filiżankę herbaty i pół godziny spokoju, żeby przed rozmową z Charlotte poukładać sobie to wszystko w głowie. Trafiłam na Steve'a świeżutko po kąpieli, znowu gładko ogolonego i lekko jeszcze podchmielonego po wyczynach z poprzedniego wieczoru.

- Powiniennem wytrzeźwieć do końca, za dwie godziny muszę być w robocie. Bieda z tymi nocnymi zmianami. Chciałbym pracować na pół etatu - pożalił się.
- Najchętniej w ogóle byś nie pracował - roześmiałam się. - Nie znam nikogo, kto by był aż tak leniwy. Podrapał się niefrasobliwie po głowie.
- A bo to życie jest za krótkie. Więc o co się rozchodzi? Z naszym bobasem wszystko w porządku? Opowiedziałam mu o wizycie u specjalisty.
- Bo widzisz, Nan jest taka ufna, sama jest jak niemowlę. Nie mogłabym oddać jej do domu opieki, to byłoby okrutne.

Steve pociągnął za koniec paska szlafroka.

- Ta, to nielicha zagwozdka. A ci z opieki społecznej nie pomogą?
- Nie wiem. Chyba będą musieli, no nie? Och, jak sobie pomyślę o tym, że będę znów musiała wędrować przez te ich różne działy i wypełniać te wszystkie kwestionariusze. - Nie miałam ochoty zbliżać się do ich biur z obawy, że wpadnę na Joyce Fitton i zobaczę w jej oczach litość. - W tym roku to istna seria, jedno po drugim. Musiałam chyba stłuc lusterko albo przejechać czarnego kota.
- Tak sobie myślę - oznajmił Steve (i przestawił fotele, żeby usiąść tuż przy mnie) - i wcale nie przemawia przeze mnie alkohol, bo to już od dawna nie daje mi spokoju...
- Co mianowicie?
- No, w sumie cieszyło mnie, że mogłem troszkę więcej po-

móc, no wiesz, że byłem pod ręką, że się zaangażowałem. Miło jest zobaczyć częściej Charlotte, bo widzi mi się, że przestała zadzietać nosa, dobrze jej zrobiło, że musiała zakasać rękawy i pozmienić trochę pieluch. A tak po prawdzie, to ja nie przepadam za niemowlakami...

- Też mi nowość.

- No nie, rzeczywiście, ale ten młodzieniec, kiedy podrośnie, będzie potrzebował kogoś, kto z nim pogra w nogę, i właśnie wtedy ja chciałbym być pod ręką.

- Przecież jesteś. Czasami bywałeś bardzo pomocny. Co chcesz tak naprawdę powiedzieć, Steve? - Jego ramię opierało się o moje, czułam zapach płynu po goleniu.

- Spotykasz się z tym facetem?

- Z którym? Leo Fairbrotherem?

- No tak, z tym dyrektorem. - Potarł miejsce nad górną wargą, tam gdzie miał przedtem wąsy. - Czy to twój przyjaciel?

- Nie. - Była to prawda; między nami nie zaszło absolutnie nic i nie wyglądało na to, żeby coś miało zajść. Nie miałam pojęcia, jakie są zamiary Leo, jednak na horyzoncie nie majaczyło mi żadne wielkie uwodzenie. Z grubsza już rzecz odpuściłam. - A co z tobą? Co z tą kobietą z Turton, co to przebiegła londyński maraton?

- Och, z nią? Ona jest nieważna.

- Nieważna czy nieznośna?

- Jedno i drugie. Chciała, żebym uprawiał z nią jogging, wyobrażasz sobie? Powiedziałem, że jedyny sposób, żeby zmusić mnie do biegania, to ustawić na końcu trasy pub. Wcale jej to nie rozśmieszyło.

- Cały ty. - Szturchnęłam go rozbawiona, on oddał mi kuksańca, spleliśmy się w jakimś niezdatnym uścisku. Jego twarz zamajaczyła nad moją, wargi trafiły w policzek, potem w usta, wobec czego twarz mi stężała. - Do jasnej cholery, Steve, co ty wyprawiasz? - oburzyłam się.

- Bo co? - zdziwił się i znieruchomiał. - Nie podoba ci się?
- Miał rację; było to bardzo miłe. Ponad rok z nikim nie spałam; niektórzy mężczyźni z Po Siedemdziesiątce zaczęli mi wyglądać na łakomy kąsek.
- Bez żadnych zobowiązań, no chodź. Obojgu nam to dobrze zrobi.
- Nie mogę się z tobą przespać, nie bądź śmieszny.
- Wiesz, co z tobą jest nie tak? - pytał Steve, całując mnie w szyję, tam, gdzie lubię, o czym dobrze wiedział. - Ty we wszystkim doszukujesz się problemów. A czasami trzeba chwycić chwilę. Przestań wszystko analizować. - Wsunął mi rękę pod kołnierzyk i opuścił ramięczko stanika, co spowodowało, że sutki zaczęły mi pulsować w oczekiwaniu. Jego szlafrok się rozchylił. - Nawet nie wiesz, jak na mnie działasz.
- Chyba jakieś pojęcie mam - wymamrotałam, a on zaczął rozpinać mi bluzkę.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Czy to oznacza, że wracam? - Steve wciągnął spodnie na chude biodra i zapiął.

- Dokąd niby wracasz? Widziałeś gdzieś moje rajstopy?

- Są tutaj, na abażurze. - Rzucił mi je. - Z powrotem na łono todziny.

Wywróciłam rajstopy na właściwą stronę.

- Daj spokój. Przecież nie mieszkasz w Australii, prawda? Jesteś częścią tej rodziny, czy mi się to podoba czy nie. Jesteś ojcem Charlotte, a ona cię teraz potrzebuje.

- A ja tak to sobie umyśliłem. - Usiadł na krawędzi łóżka. -Ze moglibyśmy jeszcze raz spróbować, no nie? Nie mówię, że bym się wprowadził, czy coś podobnie szalonego, ale moglibyśmy się czasami spotykać na drinku i, i...

Znalazłam buty, włożyłam je i stałam, spoglądając na niego z góry.

- Nie, Steve, nie ma mowy. To byłoby zbyt skomplikowane.

- Skomplikowane? Jestem chyba najmniej skomplikowanym gościem, jakiego znasz. Nie ma we mnie nic skomplikowanego, nie uważasz? No proszę, przyznaj, że tak jest.

- Nie to miałam na myśli. - Westchnęłam. - A odpowiedź brzmi nie.

- Aha. Mam dla ciebie kapitalny prezent gwiazdkowy i w ogóle.

- Przekupstwo nic ci nie da. Od trzynastu lat nie kupujemy sobie bożonarodzeniowych prezentów. I nie zacznę tego robić teraz. - Wzięłam jego brudną szczotkę do włosów i spróbowa-

łam poprawić sobie fryzurę, nie dotykając tym przyrządem głowy. - Dajmy temu spokój, póki panujemy nad sytuacją, he? Możesz wpadać, kiedy chcesz, ale nigdy więcej tej bzdurnej gadaniny.

- Ale było niezłe, co? - Uniósł głowę i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Pierwsze miejsce, do którego się udałyśmy, Bishop House, znajdowało się w najniższej położonej części miasteczka. Powietrze było lodowate, niebo wyglądało jak kalka kreślarska, kółka wózka ślizgały się po asfaltowym podjeździe. Na dodatek zaczynało zmierzchać, chociaż było dopiero popołudnie.

Dotąd widziałam Bishop House jedynie jako wiktoriańskie gmazysko osłonięte kasztanowcami, przy trasie autobusu jeżdżącego do Bolton, tymczasem teraz mogło się ono stać nowym domem Nan.

- Bo widzisz - powiedziała do mnie mama przy śniadaniu - nie jestem przekonana, że potrafię zapewnić jej taką opiekę, jaka jest konieczna. Jest w nie najlepszym stanie i nigdy już tak do końca nie wydobrzeje. Tak twierdzą lekarze. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę potrzebna jej obecność wykwalifikowanych pielęgniarek.

Patrzyłam przez okno i starałam się oswoić z tymi nowinami. Przejechał autobus z Ribble i przypomniał mi wyprawy z Nan do Wigan na piętrze takiego pojazdu oraz mieszankę cukierków od Woolwortha, które zawsze wspólnie wybierałyśmy. Bardzo lubiłam chodzić z Nan na zakupy, kiedy byłam dzieckiem, bo nigdy nie było żadnej kłótni i mogłam sama decydować, co chcę, i dostawałam to we własnej, osobnej torebce. Ona przepadała za moim towarzystwem, a ja za jej, to było bardzo proste. Potem, kiedy byłam starsza, sytuacja się zmieniła; ja się zmieniłam. Ona

wcześniej spędzała całe godziny na wycinaniu dla mnie obrazków z katalogów i na pomaganiu mi przy pieczeniu pierniczków w kształcie zwierzątek, a ja nagle przestałam mieć dla niej czas. Boże, przecież ja ją opuściłam.

- Mogłabym pomóc. A może udałoby się nam namówić nasze lokalne władze, żeby zainstalowały u nas na schodach taką windę, o jakiej bez przerwy paple Thora Hird? Są też takie wanny z otwieranym bokiem, widziałam ich reklamę, kiedy oglądałam *Countdown*. Jeśli my dwie będziemy współpracować...

-Ty masz już dość zajęć. - Mama pokręciła głową. -Rano ledwie starczy ci czasu, żeby umyć się pod pachami i włożyć sweter po właściwej stronie. Nie jest tak? Nie masz pojęcia, ile jej trzeba poświęcić uwagi, ja sama na początku też nie zdawałam sobie z tego sprawy. Bo ty wciąż myślisz o dawnej Nan, takiej, jaką była kiedyś. Tymczasem ona jest teraz kompletnie inną osobą. - Mówiła wolno, jakby w przecwiczony sposób, i przyszło mi do głowy, że musiała wiele razy przetrawiać te argumenty.

- Mam uczucie, jakby ona umarła, to okropne, mamo.

- Nie wolno ci tak myśleć, Charlotte. - Mama zawzięcie mieszała kawę, nie rozwijając tematu. Pograżyłyśmy się w ponurej zadumie, a Will przyglądał się nam poważnie z dywaniku przed kominkiem. Chciałam przełknąć łyżkę płatków kukurydzianych, ale uwięzły mi w gardle. Bo naprawdę wyobrażałam sobie, że kiedy minie zagrożenie, to po jakimś czasie Nan wyjdzie ze szpitala i pojawi się w domu, i znów będzie nam sprawiała kłopot. Chcę powiedzieć, że przecież jesteśmy na progu dwudziestego pierwszego wieku, potrafią wysyłać kamery na Jowisza i Saturna, to niby dlaczego wiedza medyczna nie pozwala poradzić sobie z jej krnąbrnymi kończynami. To niewiarygodne, że Nan ma nie wrócić do domu.

- Znajdziemy sympatyczne miejsce z młodymi pielęgniarzami, z którymi może sobie flirtować. Zobaczysz, wszyscy ją polubią, a i ona będzie bardzo zadowolona, kiedy się już tam zadomowi. Przetrawiałam jeszcze jej słowa, kiedy otworzyły się ogromne drzwi frontowe Bishop House i w nasze nozdrza uderzył zapach moczu. W tym samym momencie zauważyłam, że małemu musiało się ułać i mama ma uwalany rękaw z tyłu, ale ponieważ była bardzo zdenerwowana, wolałam jej o tym nie wspominać. Wjechałyśmy z Willem podjazdem dla wózków i zatrzymałyśmy się w holu, a młoda dziewczyna, która nas wpuściła, poszła po dyrektorkę.

- Boże, ale tu gorąco - jęknęła mama, rozluźniając szalik. - Lepiej odkryj trochę Williama, zanim się ugotuje.

Kiedy rozchylałam kocyki, z sali telewizyjnej wyszedł maleńki staruszek i chwiejnym krokiem ruszył w naszym kierunku.

- Muszę iść do toalety! - warknął, stając przed moją matką.

Mama spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- Pójdę po pielęgniarkę.

-Nic nie rozumiesz, muszę iść natychmiast. - Miał załzawione i zdesperowane oczy; jego widok doprowadził mnie do mdłości.

- Poczekaj, mamó. - Ułożyłam Willa z powrotem i pomknęłam korytarzem, skręciłam za róg (w sali, do której zajrzałam, były tylko cztery panie grające w karty), zawróciłam i sprawdziłam schody do półpiętra, ale nigdzie nie zobaczyłam nikogo z personelu.

-Siostro! - krzyknęłam.

-Sio-ostro! - zaświergotała do mnie radośnie siwowłosa staruszka w niebieskim szlafroku. Machała mi znad poręczy, dopóki nie zesłam na dół.

-Człowiek by myślał, że jest tu jakiś dzwonek czy coś w tym sensie... - zawołałam i rozdrażniona wróciłam do wózka, ale mama i staruszek zniknęli. Wyciągnęłam Willa, usiadłam z nim na stopniu i czekałam. Wreszcie zjawiała się mama, brwi miała zmarszczone.

-Coś takiego! Biedaczysko.

-Ty chyba nie...?

- Oczywiście, że tak, kiedy już wreszcie znaleźliśmy toaletę. Był bardzo zdenerwowany. A ty znalazłaś pielęgniarkę?

- Nie. Czy musiałaś wytrzeć mu tyłek?-Nie mogłam w to uwierzyć. Patrzyłam na nią pełna trwożnego podziwu.

- Nie, tylko jego ptaszka. - Mama spojrzała na zegarek. -Co też ta kobieta wyrabia? Nie miej takiej zdumionej miny, to jest to samo, co czasami robię w szkole, tyle że na większą skalę, ci z zerówki często miewają tego rodzaju kłopoty. Gdyby chodziło o Nan, to na pewno chciałabyś, żeby ktoś jej pomógł, prawda?

To kazało mi się zamknąć. Czekaliśmy jeszcze pięć minut pod nieudolną świąteczną dekoracją, zwisającą z jakiegoś elementu instalacji oświetleniowej, aż wreszcie wróciła ta młoda dziewczyna.

- Pani Street przeprasza, ale coś ją zatrzymało. - Zniżyła głos. - Dzisiaj rano zmarł pensjonariusz i ona teraz rozmawia z jego córką. Ja mogę panie oprowadzić, zanim ona będzie wolna.

Poszliśmy za dziewczyną, której włosom zdecydowanie przydałoby się umycie. Zwiedzanie okazało się przygnębiające i było jak otwieranie kolejnych okienek jakiegoś smętnego kalendarza adwentowego. Za drzwiami każdego pokoju krył się żaloszny obrazek: zapadnięta głęboko w fotelu samotna stara kobieta ogląda serial na kanale dla dzieci; trzy staruszki śpią na siedząco, laski odłożone na

podłogę; łysy, zgarbiony mężczyzna wpatruje się przez wykuszowe okno w gęstniejący mrok. Meble były tandetne i brzydkie, z drugiej ręki, pokryte białą melaniną albo szarą drewnopodobną okleiną, wykładzina z gatunku tych szorstkich, sznurowych, tu i tam poplamiona.

- Ratunku! Ratunku! - wołała z jednego z pokoi leżąc w łóżku kobieta.

- Czy nie powinna pani do niej zajrzeć? - spytała mama. Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Nie, nic jej nie jest, naszej pani Wallis. Zawsze tak robi, a kiedy się do niej wejdzie i spyta, o co chodzi, mówi: „Ja krzyczałam?” Wszystko w porządku, naprawdę. - Zamknęła drzwi, odcinając nas od krzyków kobiety. - To doskonałe dla nich miejsce, dostają gotowe posiłki, mają własne pokoje i zawsze jakieś towarzystwo. Organizujemy dla nich bingo i koncerty. W przyszłym tygodniu przyjadą uczniowie z St Peter's i będą w jadalni śpiewać im kolędy. To miły dom, ten tutaj.

Szukałam w jej twarzy śladów ironii, ale nic takiego nie dostrzegłam. Przytuliłam mocno Willa, a on wczepił się w mój bark i zakwilił.

Zanim wyszliśmy na świeże powietrze, byliśmy bliskie hysterii, napatrzywszy się na okropieństwa tego domu. W świetle reflektorów zainstalowanych na zewnątrz dostrzegłam ulgę na twarzy mamy. W mroźnym powietrzu przy każdym wydechu z jej ust wydobywał się obłoczek pary.

- Nie możemy jej tu umieścić! - zawyrokowała.

- O, dzięki Bogu, mam. To było straszne. Sama myśl o niej z nimi wszystkimi...

-Wiem. A przecież masz pojęcie, personel stara się, jak może. To takie smutne... - Pokręciła głową. - No ale tamten sedes pokojowy! - Zaczęła chichotać.

- No wiesz, nie miałam najmniejszego pojęcia, co to ta-

kiego. Myślałam, że to zwykłe miejsce do siedzenia. Byłam po prostu zmęczona; spróbuj tylko taszczyć tego tłusciosz-ka przez czterdzieści minut, myślałam, że mi nogi odpadną.

-I nie byłoby tak źle, gdyby był pusty... Szkoda, że nie widziałaś swojej miny!

- Dziwisz się? - Teraz ja też zanosiałam się nerwowym śmiechem. - Ale nie umieścimy tu Nan, prawda?

-Nie.

- Świetnie. No to wesołych świąt.

-Wesołych świąt, Charlotte. A nawiasem mówiąc, wiesz, że małemu się ułało na twoje ramię? Z głębi wózka zaświeciły oczka Willa. -Ty mały flejtuchu - skarciłam go.

Szczerze mówiąc, podjęłam decyzję, a przynajmniej tak mi się wydawało; niech się dzieje, co chce, moja matka za nic nie pójdzie do domu opieki. „A sprawdziłaś Mayfield?” - spytał mnie któregoś dnia Leo. Najwyraźniej jego ojciec spędził tam kilka tygodni, żeby dać wytchnienie rodzinie, i obaj byli pod dużym wrażeniem. „Przypomina bardziej czterogwiazdkowy hotel”, powiedział mi w barze Ośmiokąt, do którego się udaliśmy po obejrzeniu spektaklu *Pan Inspektor przyszedł*. „Bardzo optymistyczna atmosfera, ani trochę nie przygnębiająca, chociaż niektórzy pensjonariusze przykuci są do łóżka. Wiem, że jest to dalej, niżbyś chciała, ale masz przecież samochód, którym można tam dojechać mniej więcej w kwadrans. W każdym razie uważam, że rekonesans warto byłoby przeprowadzić. Pojadę z tobą, jeśli chcesz”.

Posłuchałam jego rady, ale pojechałam tam z Charlotte. Ostatecznie to sprawa rodzinna.

Mayfield było nowoczesnym budynkiem z pomarańczowej cegły, z oknami wychodzącymi na hipermarket, ale z czystym, przestronnym i widnym wnętrzem. Pachniało pastą do mebli

i psem. „Rozkwitaj tam, gdzie cię posadzono” - obwieszczał napis na gobelinie wiszącym nad drzwiami do holu.

- Mamo, widziałaś to? - Charlotte ręką wskazała dwumetrowej wysokości klatkę wypełnioną papużkami falistymi, które właśnie się rozszalały, bo kot szylkretowy rozłożył się na szczycie ich siedziby, a miękką, giętką łapę opuścił leniwie wzdłuż prętów.

- Tak naprawdę to są bardzo zaprzyjaźnieni - oświadczyła dyrektorka, elegancka kobieta w granatowym kostiumie, która powitała nas przy wejściu. - One po prostu lubią rugać tę naszą kotkę, ale ona jest za dobrze karmiona i zbyt leniwa, żeby wyrzucić im jakąś krzywdę, nawet gdyby mogła się do nich dostać. Prawda, moja pani? — Kot zastrzygł uchem, ale poza tym nie wykonał najmniejszego ruchu. — Och, mamy tu jeszcze Bertiego. — Bertie okazał się żółtym labradorem, który właśnie się zbliżył i położył łeb na kocyku Willa. - Wszyscy kochają Bertiego. - Dyrektorka poklepała jego bok. — Muszę się bardzo starać, żeby powstrzymać naszych gości od przekarmiania go.

Charlotte pogłaskała psa, a ten tak wywijał ogonem, aż jego zad tańczył.

- Nan by się spodobał - powiedziała do mnie bezgłośnie. Nie wiem, czy sprawiła to jaśniejsza farba, czy też okna były

większe, czy może dlatego, że oglądałyśmy to miejsce rano, a nie o zmierzchu, w każdym razie było tutaj o niebo lepiej niż w Bishop House. Nie brakowało w Mayfield starych ludzi w kiepskiej kondycji, ale wyglądało na to, że tutaj o wiele więcej się dzieje. Nawet ci, którzy oglądali telewizję, spierali się między sobą. Ile trzeba mieć lat, żeby być za starą na urodzenie dziecka?

- Tutaj lubimy programy dyskusyjne, prawda? - spytała dyrektorka. - O czym mówią dzisiaj? „Urodziłam, mając sześćdziesiątkę”? Dobry Boże. I co o tym sądzisz, Enid?

- Uważam, że ona jest stuknięta - oświadczyła pani w różowym, rozpinanym swetrze. - Ja dałam sobie spokój, kiedy urodziłam ostatnie, a miałam wtedy zaledwie dwadzieścia sześć lat.



Mam pełne ręce roboty, żeby zająć się sobą, a co tu dopiero mówić o dziecku.

Wszystkie panie oszalały na punkcie Williama. Enid koniecznie chciała go sobie posadzić na kościstych kolanach.

- Widzisz pieska? Widzisz tego ślicznego pieska? To moja Bella, to właśnie ona.

Bertie, zanim wyszedł, przydreptał do każdej wyciągniętej ku niemu ręki.

- Rusza na obchód - powiedziała dyrektorka. - Kumpluje się ze wszystkimi. Zatem, co jeszcze mogłabym pokazać?

- Wydaje mi się, że już dość zobaczyłyśmy, prawda, Charlotte? - Mama wyciągnęła do niej rękę. - Dziękujemy za oprowadzenie, jesteście bardzo wdzięczne. A jest jakieś wolne miejsce?

- W tej chwili akurat tak. - Dotknęła delikatnie ramienia mamy. - To nigdy nie jest łatwa decyzja, ale czasami tak właśnie jest najlepiej. Proszę się zastanowić i dać mi znać.

Bertie przebiegł obok nas ścigany przez kobietę z balkonikiem.

- Skarbie! Skarbie! Wracaj tu! - krzyczała. - Ten łobuziak porwał mi gazetę - poskarżyła się, kiedy mijała dyrektorkę.

- Nie przejmuj się, Irene, przynajmniej dostarcza ci dziennej porcji ćwiczeń, prawda?

Wypuściła nas na zewnątrz, a my stałyśmy przez chwilę na werandzie i spoglądałyśmy na hipermarket Morrisona. - I co o tym myślisz? - spytała mnie Charlotte.

- Myślę... to nie byłoby takie złe - odparłam. Ruszyłyśmy powoli chodniczkiem do głównej ulicy, gdzie zaparkowałam auto. - Mam tylko nadzieję, że Nan się zgodzi.

Człowiek czeka latami, żeby prześcignąć rodziców, a kiedy już do tego dochodzi, nie ma żadnego poczucia zwycięstwa. Kiedy byłam mała i mnie skarcono, myślałam: Tylko poczekajcie, jak dorosnę, to wam pokażę. Czasami tata nadużywał swojej rodzicielskiej władzy, „Bo ja tak mówię”, czego wręcz nienawidziłam. Nic jednak nie przygotowuje nas na dzień, w którym

uświadamiamy sobie, że rodzice są słabsi od nas. To tak, jakby nagle ziemia usunęła się nam spod nóg.

Siedziałam przy łóżku mamy i zanim się odezwała, długo trzymałam ją za rękę. Ostatecznie zaczęłam dłuższą przemowę.

„Mamo - powiedziałam - chcę ci coś powiedzieć, przekazać pewną tajemnicę, którą powinnaś poznać”. Śpiąc, oddychała równo i spokojnie. „Coś, co dopiero odkryłam”. Zabawne, z profilu była do mnie trochę podobna. W każdym razie niektóre bruzdy i zmarszczki miałyśmy takie same. „No wiesz, chodzi o tamten czas, kiedy zaszłam w ciążę. Uważam - ubrałam myśl w konkretne słowa - że mogło to być zachowanie freudowskie”. Leżała na wznak, przez co skóra jej się wygładziła i twarz wydawała się o wiele lat młodsza. „Czy rozumiesz, co to oznacza? Chcę przez to powiedzieć, że gdzieś głęboko część mnie była zbyt przerażona, by przystąpić do egzaminów i pójść na uniwersytet, i zacząć nowe życie z dała od wszystkiego, co kiedykolwiek znałam. Wtedy tego nie wiedziałam, nie było to zachowanie świadome, ale teraz widzę wszystko wyraźnie. Myślę, że zajście w ciążę było sposobem na uniknięcie tego całego ryzyka. Więc i tak nigdy nie pozbyłabym się Charlotte, niezależnie od tego, co mówiłam w tamtym okresie. I nie winię ciebie. Nie winię nikogo. Bo tak właśnie układa się życie”. O Mayfield zamierzałam jej powiedzieć, kiedy się obudzi.

Nagle w całym domu pojawiło się mnóstwo żółtych kurczaczków.

- Czemu niby one mają służyć? - spytałam mamę, która produkowała je w zawrotnym tempie. - Nie wiedziałam nawet, że potrafisz robić na drutach.

- Nan nauczyła mnie już lata temu, nie zapominaj. A te można zrobić w godzinkę. Ivy pokazała mi jak. Potem włoży się do każdego czekoladowe jajko Cadbury'ego. - Wy-

pełniła kurczaka, wsadzając palec do środka. - Jeśli nie jesteś zajęta, możesz przyszyć oczka tym dwom, o tam. W koszyku jest czarna wełna.

- Muszę przewinać Willa, bo śmierdzi. A w ogóle, to po co je robisz?

- Dla Stowarzyszenia na Rzecz Przeciwdziałania Przemocy wobec Dzieci. Obgadałam to z Leo; w przyszłym semestrze zamierzamy przeprowadzić w szkole wielką akcję charytatywną i zobaczyć, ile uda nam się zebrać podczas różnych imprez. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zrobić kiermasz wielkanocny i sprzedawać te po, powiedzmy, funcie za sztukę? A może udałoby się dostać więcej, jak myślisz?

- Myślę, że jesteś zdrowo kopnięta - odparłam, położyłam Willa na plastikową matę i zaczęłam rozbierać. - Zbliża się Gwiazdka, więc jak tu gadać o Wielkanocy. A tak w ogóle, to nie wiem, skąd bierzesz na to czas. - Rozwinęłam pieluchę. - O Boże, spójrz tylko na to. Powędrowało mu aż na plecy.

- No cóż, pomyślałam sobie, że jeśli będę robić dwa czy trzy tygodniowo, od teraz do marca, a za każdym razem jak pójdziemy na zakupy, kupię kilka tych jajek...

Will rechotał z uciechy, kiedy go wycierałam.

-To nie jest ani zabawne, ani mądre - pouczyłam go. Złapał się za genitalia i wykrzywił buzię w uśmiechu. - Dewiant - oświadczyłam i założyłam mu świeżą pieluchę.

-Zastanawiałam się też nad wyścigiem gumowych kaczek na kanale w Ambley i o sponsorowanej pieszej wędrówce, a może nawet o ukradkowej sprzedaży ciast co piątek, bo jeśli będziemy robić to na dworze, to sprzątaczkę nie będą narzekać na te wszystkie okruchy... - Druty w rękach mamy niestrudzenie postukiwały.

-Zamieniasz się w Nan, słowo daję - zażartowałam.

- Niech ci takie myśli w ogóle nie przychodzą do głowy-odparła.

Przypuszczam, że to jej sposób radzenia sobie z sytuacją. Najwyraźniej było bardzo trudno dotrzeć do Nan z informacją, że już tu nie wróci, i za każdym razem, kiedy mamie wydawało się, że jej przekazała tę straszną prawdę, Nan spoglądała na nią i mówiła coś w stylu: „Już nie mogę się doczekać powrotu do domu, do tego maluszka”. W końcu dała sobie spokój.

Aha, odkryłam jeszcze jedną zabawną rzecz: skoro już mówimy o stawaniu się Nan, to mama zostawiła papiery, gdzie jak gdzie, ale właśnie na sypialni, cały stos materiałów z ministerstwa edukacji i zatrudnienia związanych z powrotem do nauki. Ciekawe, o co tu chodzi i czy to Leo Fairbrother podsunął jej ten pomysł. Bo obecnie to on właśnie chyba stoi za wieloma jej posunięciami. Nic jej nie powiem, nie sądzę bowiem, by te papiery były przeznaczone dla moich oczu. Zostawiłam zatem plik tam, gdzie był, a kiedy następnym razem rzuciłam okiem, już go nie było.

W wigilię Bożego Narodzenia przyszedł Daniel, żeby poważnie porozmawiać.

- Co tu się dzieje? - zdziwił się na widok chaosu panującego w moim pokoju. - Czy to jest naprawdę najlepszy czas na generalne porządki?

-To pomysł mamy. Chciała, żebyśmy przeniosła się do pokoju Nan, ale ja odmówiłam, wobec czego próbujemy zrobić z niego coś w rodzaju gabinetu połączonego z pokojem dziecięcym. Jeśli uważasz, że tu jest bałagan, to zajrzyj obok. Chodź, popatrz, to zupełnie niesamowite.

Mama przesunęła szafę Nan aż do samej komody, żeby mieć wolną ścianę, a całe łóżko zavalone było wysoko bie-

lizną typową dla starszej pani oraz zapasową pościelą. Odsłonięty po przesunięciu szafy prostokąt dywanu miał ciemniejszy kolor, a na świeżo odkrytej tapecie wisiały spektakularne pajęczyny. Bóg wie, jaka to krzyżówka tarantuli przez kilka ostatnich lat dzieliła ten pokój z Nan.

- Biurko pójdzie tam, a także biblioteczka. A w Nowy Rok wprowadzi się tu Will, pomyślałam, że jego łóżeczko mogłoby stanąć pod oknem. - Przepisnęłam się obok łóżka i popatrzyłam na oszroniony fronton U Pracujących. Było nieomal pięknie, gdyby nie tych dwóch chłopaków łązących od samochodu do samochodu i wypisujących na skrzących się szybach nieprzyzwoite wyrazy.

Otworzyłam okno. - To się pisze przez CH - wrzasnęłam. - Niby co wam Święty Mikołaj przyniósł w prezencie? Zanik mózgu? - Błyskawicznie zadarli głowy do góry i kiedy mnie zobaczyli, pokazali mi środkowy palec. Odwzajemniłam im się tym samym i zamknęłam okno. - Jak to miło, że duch wspólnoty w lokalnych społecznościach ma się tak dobrze. Chryste, co za ziąb. - Szybko zaciągnęłam zasłony i objęłam się ramionami, żeby trochę się rozgrzać. - Nie mam tylko pojęcia, co się stanie z tym łóżkiem. Okazałybyśmy całkowity brak szacunku, gdybyśmy teraz zaczęły coś robić z jej rzeczami, skoro ona jeszcze nawet nie wie, że już tu nie wraca. Jakby nie żyła, a przecież żyje.

- Może twoja mama dałaby je na przechowanie - odezwał się.

- Może. - Przysiadłam po jednej stronie materaca, a Daniel po drugiej. - W końcu przecież właśnie coś takiego robimy z Nan.

Wyciągnął rękę i uściśnął moją dłoń.

- Głowa do góry - uśmiechnął się, próbując dla rozbawienia mnie mówić z północnym akcentem.

-Ty, uważaj.

- Ee, diabła tam - wygłupiał się dalej.

- Odwał się.

Ściągnął usta i zatrzepotał rzęsami.

- Och, panie Higginbottom, czy to fretka tam w spodniach u pana, czy też po prostu tak się pan cieszy na mój widok? - robił kolejne żalosne eksperymenty z akcentem.

Złapałam dużych rozmiarów majtki w kolorze ecru i cisnęłam w niego.

- Przestań, no już. Chcę choć przez chwilę być nieszczęśliwa. Ty tego nie rozumiesz, Nan była tutaj zawsze.

-Tak jest.

Wyciągnął ramiona, więc się przeczołgałam do niego przez łóżko. Przyciągnął mnie do piersi, a ja poczułam, że drzę.

- No i co z tego, że była - mówiłam - tak naprawdę nie zwracałam na nią uwagi. Na ogół traktowałam jej obecność jako uprzykrzenie. A teraz jest już za późno. - Opuściłam ręce i powoli wypuściłam powietrze. - Byłam denną wnuczką. Dlaczego nigdy nie mówimy tego, co powinniśmy, tym, na których nam zależy?

-Jak powiedziałaś, ona jeszcze żyje. Napraw tę sytuację, skoro tak to odczuwasz. Posłuchaj, nie chcę się wykazać brakiem zrozumienia, ale wierz mi, że wydając na świat Willa, zrobiłaś dla niej nie mniej niż którykolwiek z lekarzy. Idź do niej. Porozmawiaj. - Uścisnął mnie, a potem ujął moją twarz w dłonie. - I posłuchaj, jest jeszcze coś, co w tej chwili jest ważniejsze od wszystkiego innego.

- Co takiego? - Poszukałam jego oczu.

-To, że na ramieniu masz cholernie wielkiego pajaka. Z krzykiem poderwałam się z łóżka i szarpiąc za sweter, zatoczyłam się na ścianę.

- Spokojnie! - zawołał Daniel i rzuciwszy się do przodu, przykrył dłonią ciemny kształt stworzenia, które czaiło się pomiędzy kłaczkami pluszowej narzuty. - Mam cię! - Pod-

niósł je do góry, jakby chciał mu się dokładniej przyjrzeć. -

O nie, uciekł! - krzyknął, kiedy mały, czarny stwór wyskoczył mu z ręki i wylądował u moich stóp. Wrzasnęłam co sił w płucach i przykleiłam się do szafy. Coś włochatego leżało na podłodze i nie ruszało się.

- Ty cholerny draniu - powiedziałam i podniosłam to coś. W drzwiach pojawiła się mama, znowu ze swoją dawną

niezadowoloną miną. Trzeba przyznać, że świetnie jej to wychodzi.

-Może byście się zachowywali trochę ciszej? Dopiero co położyłam małego... - Grzbietem dłoni otarła czoło niczym jakaś biedaczka z wiktoriańskiego melodramatu.

- Przepraszam...

- Przepraszam panią. - Daniel przechylił na bok głowę i z powagą uniósł brwi; nadawało mu to wygląd dwunastolatka.

Mama się naburmuszyła.

- Obawiam się, że to moja wina, proszę pani, zachowałem się bardzo niepoważnie. - Daniel jeszcze pokorniej zgiął kark.

- Tak, mamó, to naprawdę jego wina, bo rzucił we mnie tym - Boże, to wcale nie jest zabawne! - tymi sztucznymi wąsami. - Podniosłam je do góry, żeby mogła zobaczyć. -Co one w ogóle tu robią? Nie przypominam sobie, żeby jako dziecko przebierała się za pirata.

- Pokaż. - Wyciągnęła rękę, a ja położyłam wąsy na jej dłoni. - Och. - Uśmiechnęła się i odwróciła je spodem do góry. - Nigdy byście nie uwierzyli, one należały do Nan.

Daniel uniósł brwi.

-Też mi coś - prychnęłam.

- Naprawdę. Występowała w wielu przedstawieniach dla Związku Matek, w komediach mówionych dialektem. Z jakiegoś powodu zawsze grała mężczyzn.

- Przecież ona jest taka mała!

- Na tym właśnie polegał dowcip. Dobierano jakąś zwalistą kobietę na żonę, że niby z męża pantoflarz, coś w tym stylu. Para jak z kartki znad morza. Występowali U Pracujących w czasach, kiedy nie było tam jeszcze tak obskurnie.

- Mój Boże, naprawdę? Widziałaś ją kiedyś? - Zafascynowała mnie ta Nan, której nie znałam.

- Och, nie, byłam wtedy malutka. Choć wiem, że była dobra. Bardzo szybko doprowadzała publikę do łez, ze śmiechu. Spytaj Maud, ona będzie pamiętać. - Podała wąsy Danielowi, jakby to była kanapka.

- Proszę bardzo, młodzieńcze, spróbuj, czy to twój rozmiar.

Daniel wziął je uprzejmie i przycisnął do skóry nad górną wargą.

-1 co sądzisz? - zaczął mówić, odwracając się do mnie, ale wąsy odpadły i ruchem przypominającym opuszczanie się pająka po nitce pajęczyny sfrunęły na podłogę pomiędzy jego stopy.

Niemal czekałam, jak zaczną umykać w bok po dywanie.

-Obrzydliwość! Wyglądałaś jak dziecko miłości profesora Winstona i Cher. Nigdy nie zapuszczaj sobie wąsów, obiecujesz? - Pochyliłam się i podniosłam je z podłogi. - Jeśli to zrobisz, zostawię cię, jasne? - Przyłożyłam sobie wąsiki; pachniały stęchlizną. - Ale wyobraźcie sobie Nan przebraną za mężczyznę. - A w ogóle, to jak one się tu znalazły? - spytałam mamę i zrobiłam krok do przodu, żeby przesunąć stos wiekowych powłoczek i prześcieradeł. Niektóre wciąż tkwiły w swoich oryginalnych celofanowych opakowaniach. - Wypadły spośród nich? Zaraz, chwileczkę, a to co?

Mama podniosła kilka sztuk bielizny pościelowej i głębiej, pomiędzy jej warstwami, zobaczyliśmy worek na robótkę, z różowej rafii, z drewnianymi rączkami. Tak długo leżał ściśnięty bielizną pościelową, że zostawił na niej swój



odcisk, od spodu i od góry, niczym jakaś skamielina. Wystawały z niego ryżawe wąsiki, a kiedy mama go podniosła, wypadł gruby drewniany kołek i potoczywszy się, zatrzymał przy moim udzie. -A to co? Mama zmarszczyła brwi.

- Pewnie świnka. -Że co?

-Taka gra, w którą dawniej grywano - wyjaśniła. Niespodziewanie osaczyły mnie duchy z przeszłości Nan. -Ciekawe, co oni z tym robili? - zainteresował się Daniel, próbując zakręcić drewnianym młynkiem na narzucie.

- Chyba walili kijem, a potem gonili. - Mama pogrzebała w worku i wyjęła małą gipsową figurkę, z trójkąciem w miejscu, gdzie kiedyś był nos. Wyciągnęła do nas rękę, żebyśmy mogli ją obejrzeć. - Nazywali je laleczkami kew-pie, miały zawsze wypięte brzuszki i loczek z formy. Ta jest pewnie dość stara.

-Coś warta?

- Nie sądzę. Pamiętasz lepsze czasy, prawda, złotko? Nie przejmuj się, my wszyscy też. - Mama położyła laleczkę na łóżku i ostrożnie opróżniła worek, układając wszystko po kolei na narzucie, pomiędzy mną i Danielem, po czym przyklękała, żeby mieć oczy na poziomie tych wszystkich przedmiotów. Były tam różne papierki, pocztówki i inne drobiazgi.

Moją uwagę zwróciła para różowych niemowlęcych buczków.

- Och, jakie słodkie. To moje?

- Nie, moje. I ta grzechotka w kształcie jagniątka. - Mama posmutniała, kiedy ich dotykała.

- Te są na pewno z pierwszej wojny światowej - oświadczył Daniel, przerzucając stosik ozdobionych haftem pocztówek. -Zdumiewające. To prawdziwa historia społeczna.

Mama podała mi list do Świętego Mikołaja, który napisała, mając jakieś sześć czy siedem lat.

- Fioletowym mazakiem? Trochę niechlujnie. A ta maskara w rogu?

-Ja ci dam maskarę. - Mama udawała oburzoną. - Narysowałam tu Barbie. Bo wiesz, wtedy całe moje szczęście zależało od tej lalki, myślałam, że z nią moje życie będzie nareszcie pełne. Mimo że były to lata, kiedy jeszcze nie wyposażyli jej w kończyny, które można efektownie ustawiać i w długie do pupy włosy, i co tam jeszcze. To się zmieniło w jakieś szaleństwo; tworzą luksusowe apartamenty dla Barbie i przyczepy kempingowe, salony piękności i dyskoteki... Zepsuli całą przyjemność. Ja przycinałam kartony po butach, wykładałam je tapetą, przestań chichotać, Charlotte. I Kena można było kupić tylko w Stanach, nie importowano go, wobec czego musiałam się zadowolić figurką Action Mana, którą sobie kupiłam na jakiejś wyprzedaży na cele dobroczynne. Jego chwytne palce nieraz się przydały. - Mama z tęskną miną wyglądała list. - Wiecie co, szkoda, że nie zatrzymałam tamtej lalki, byłaby teraz ozdobą każdej kolekcji. W niczym nie przypominała tych, jakie ty miałaś, kiedy byłaś malutka; wszystkie identyczne, bez wyrazu, różowiutkie, z blond włosami. Tamta miała czarną czuprynkę z grzywką i opartowską sukienkę, à la Mary Quant. Wyglądała dość złowrogo, ale mogła zostać na pamiątkę.

- Po prostu odlotowa - powiedziałam i roześmiałam się. -Boże, mamó, ależ z nas smutasy.

- Zdajesz sobie sprawę, że te kartki były świadkami przelewu krwi - wtrącił się Daniel. - Ten tu odcisk kciuka, to mogła być krew. No, no. Powinnaś je przynieść do szkoły. Pani Carlisle byłaby zachwycona. - Odwrócił jedną z nich i zaczął czytać.

- Nie. - Mama wyjęła mu ją delikatnie z rąk. - Przepraszam. Chcę najpierw sama je przejrzeć. Mogą dotyczyć spraw osobistych. Wiesz, dziadek Nan tam zginął.

Światło w pokoju zmieniło natężenie, w przewodzie kominowym westchnęło powietrze. Daniel wpatrywał się zażenowany w swoje kolana, więc żeby poprawić nastrój, rozpięłam agrafkę na bandażu, który tam znalazłam, i zaczęłam owijać go wokół jego nadgarstka. Nie protestował, więc opłotłam mu całą rękę i zawiązałam staranny supeł na barku. Po krótkiej chwili otrząsnął się z zamyślenia i rozpoczął akcję odwetową za pomocą szpulki z wąską różową wstążeczką. Przesuwał śliską satynę, splatając swoje długie kościste palce z moimi szczupłymi, a ja pomyślałam: Kocham cię, mój ty zwariowany nieboraku.

I w tym momencie poczułam bliskość Emmy, wydawało mi się, że słyszę, jak oddycha tuż koło mnie. Sięgnęłam więc pod stos papierów i natrafiłam na Nowy Testament w czarnej oprawie, bardzo prosty, z wąską szczeliną pomiędzy złoconymi brzegami kartek niczym półprzymknięte oko. Uchyliłam ją odrobinę szerzej i zobaczyłam kawałek różowego papieru, „Uwierzytelniony odpis wpisu...

Głównego Rejestru... rozważą". Zaświadczenie o mojej adopcji. Niczego nie zauważyli, ta para na łóżku; zbyt zajęci zabawą wstążkami. Cóż, niech się bawią. To i tak nie miało żadnego znaczenia.

Zamknęłam księgę i włożyłam ją z powrotem do worka. Tuż obok westchnęła Emma.

Mama ni stąd, ni zowąd zrobiła się dziwnie rozkojarzona, oświadczyła, że chce pobyć przez chwilę sama, więc zabrałam Daniela do swojego pokoju. Było tam jeszcze mniej miejsca niż zazwyczaj, ale udało mu się jakoś wcisnąć

w kącie przy drzwiach; nie powiedziałam mu, że na dnie worka ze śmieciami stojącego u jego boku znajdują się wszystkie pamiątki po moich sześciu miesiącach znajomości z Paulem. Przed wrzuceniem tam tej garści kartek, liścików, zdjęć i biletów spryskałam wszystko razem pianką do włosów i teraz pokój pachniał jak jakiś tandetny salon fryzjerski. Daniel zmarszczył nos, ale powstrzymał się od komentarza.

Wzięłam do ręki wymiętoszone kartki z artykułem zatytułowanym „Idealna dziesiątka: paznokcie, dla których warto umrzeć!”

- Boże, spójrz tylko na to! Wyobraź sobie, że można mieć czas na malowanie paznokci! - Wrzuciłam kartki do plastikowego worka. - Większość tych rzeczy zrobiła się zupełnie nieaktualna. Jakby dotyczyły innej epoki.

- Doskonale cię rozumiem. Och, chyba dłużej nie wytrzymam - jęknął - jeśli się nie ruszę, całkiem ścierpnę. - Uniósł się niezdarnie z podłogi i omijając porozrzucane rzeczy, podszedł do łóżka. Położył się i z rękoma pod głową robił wrażenie całkiem swobodnego. - A teraz, skoro sytuacja się uspokoiła, to co zamierzasz robić dalej ze swoim życiem? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

-Przy małym dziecku trudno tak naprawdę o spokój. Mama nadal chce, żebym poszła na uniwersytet, ale nie wydaje mi się to na razie możliwe. Pani Carlisle uważa, że powinnam zrobić sobie rok przerwy i tylko powtórzyć te przedmioty, z których nie zdążyłam zdać egzaminu; ma pomysł, żeby przysyłać mi zadania pocztą, a ja mogłabym przychodzić tylko na kilka lekcji w tygodniu. Najwyraźniej dyrektor nie ma nic przeciwko temu.

- A co ty na to? - spytał.

- Bardzo mi zależy na tych egzaminach. Ciężko na nie pracowałam. To będzie cholernie dziwny rok - oznajmiłam.

Zauważył moje smętne spojrzenie i wyciągnął rękę. Podeszłam i usiadłam obok niego.

- Chodź tutaj. - Pociągnął mnie w dół, oplótł swoimi długimi ramionami i pocałował we włosy. -

Posłuchaj, ja nigdzie nie jadę, postanowiłem. Nie zostawię cię, Charlotte.

- Nie bądź niemądry - wymamrotałam w jego klatkę piersiową. - Przecież marzyłeś o Oksfordzie.

- Marna szansa - parsknął. - Wątpię, żeby mnie przyjęli na podstawie zaledwie trzech zdanych egzaminów. Tata może sobie spróbować wykorzystać swoje znajomości, ale mnie to nic nie pomoże, chyba że pomylą moje papiery z papierami jakiegoś innego biedaka. Zresztą, to już przestało być ważne. Liczysz się ty i Will.

Odsunęłam się i dotknęłam jego twarzy.

-To jest ważne. Danielu. Jeśli nie dostaniesz się do Oksfordu, przyjmą cię gdzieś indziej, jesteś po prostu cholernie bystry. Musisz skończyć studia. Bo ja bym pojechała, gdyby sytuacja była odwrotna.

- Naprawdę? - Wyglądał na zaskoczonego.

- Och, nie wiem - powiedziałam. Z dołu dobiegło ciche kwilenie Willa. Już się sprężyłam do zejścia na dół, kiedy zamilkł; pewnie mama tam poszła i wzięła go na ręce. Pozwoliłam swoim mięśniom z powrotem się rozluźnić, ale myśli pędziły mi przez głowę jak szalone. - Wszystko wydaje się takie trudne. Mój mózg nie jest już taki jak kiedyś.

- A może to ja odłożę studia i zrobię sobie rok przerwy? Załatwiłbym sobie jakąś pracę w zakładach mechanicznych; czy twój tata nie mógłby mnie polecić?

- Mój tata? - Roześmiałam się. - To by pogrzebało twoje szanse. Nie, nie rób tego. Przecież i tak musielibyśmy rozstać się pod koniec roku, chyba że ja dostałabym się na ten sam uniwersytet co ty, a na to nie ma żadnych gwarancji. - Daniel zrobił żalostną minę. - Daj spokój, co roku ty-

siącom par się przydarza coś takiego. I w końcu albo im się udaje, albo nie...

- Nam się uda - zawyrokował. -Tak - potwierdziłam.

- Nie chcę cię zostawiać - westchnął.

Czułam, że cała sprawa zaczyna wymykać się nam spod kontroli.

-Daniel! - Potrząsnęłam go za ramiona, pchnęłam na materac i usiadłam na nim okrakiem. Jego

szeroko otwarte oczy spoglądały ponuro. Dmuchnęłam mu w twarz, ale on tylko odwrócił głowę. -

Słuchaj no ty! - wycodziłam mu prosto w ucho. - Nie bądź głuptasem. Przecież to i tak byłoby dopiero od przyszłego września! A do tego czasu możesz poznać jakąś odlotową laskę i się z nią ulotnić. Weź się w garść! Rozchmurz się! Bo jak nie, będę musiała ściągnąć ci spodnie i cię pomolestować.

Zapadła chwila milczenia.

- Mówiłem ci, w jakiej jestem depresji? - zapytał.

Potem leżeliśmy spokojnie, a ja przeczesywałam mu palcami czuprynę. -Wiesz, naprawdę powinienes je sobie przyciąć.

- Myślisz? Bo ja zawsze uważałem, że są tym, co u mnie najlepsze.

- Nie truj. - Potargałam mu włosy. - Wyglądasz jak młody Einstein.

Chwycił mój nadgarstek i ucałował go.

- Na pewno uważasz, że przesadzam, ale jest to pierwszy raz w moim życiu, a już na pewno pierwszy raz od wyjazdu z Guildford, kiedy czuję, że do kogoś należę. Czy to brzmi idiotycznie?

- Nie, bo ja przeżywam coś podobnego. Chodzi o... o pró-

bę znalezienia swojego miejsca. Nigdy nie czułam się w tym dobra. Zauważ, ten dom nie był najlepszym terenem do formowania stałych związków. Był polem bitwy, a ponieważ mieszkaliśmy tu trzy, to zawsze wypadło dwie przeciwko jednej, tyle że w różnych kombinacjach. U was to niemożliwe, z racji tego, że jest was czworo.

- Owszem, chociaż dobrze wiem, co masz na myśli, mówiąc o awanturach - powiedział. Zmieniłam pozycję, ułożyłam się do niego plecami, a on objął mnie ramieniem i zaczął szeptać mi w kark.

-Jakiś rok przed naszym wyjazdem z Surrey każdego wieczoru odbywały się zawody we wrzasku i prawdę mówiąc, było nas wtedy tylko troje, bo siostra już wcześniej wyjechała. Po awanturach następowały okresy lodowatego milczenia i te codzienne: „Powiedz swojej matce, że nie będzie mnie na obiedzie” i „Wobec tego powiedz swojemu ojcu, że będzie musiał sobie sam gotować”, ze mną pośrodku. Już nigdy więcej nie chcę przechodzić przez coś takiego. Jeśli zaczną, wyprowadzę się, teraz już jestem na to wystarczająco dorosły.

-Wprowadź się tutaj. Zobacz, jak żyją przedstawiciele tej drugiej połowy. - Szturchnęłam go w żebra. Westchnął.

- My wszyscy chłopcy i dziewczyny po przejściach, rozsiani po całym kraju, którzy próbujemy stworzyć swoje własne rodziny. Mam nadzieję, że nam się uda.

To dziwne uczucie pojawiło się nagle; może dogoniła mnie depresja poporodowa. Dużo czasu spędziłam na przeglądaniu worka na robótkę Nan, chociaż na tamto zaświadczenie już nie spojrzałam. Znalazłam cztery sprzączki od szelek i siedem kuponów ze słoików z dżemem, spiętych mocno razem, pustą szpulę po

bawełnianej włóczce z wbitymi gwoździami do robienia plecionek (na jej boku Nan narysowała długopisem uśmiechniętą buzię); dyplom za długoletnią ptacę w papierni, z nazwiskiem mojego taty; biuletyn Towarzystwa Trzeźwości z 1899 roku, Bóg jeden wie czyj; i mój pierwszy ząbek, zawinięty w pergamin i włożony do puszek po cukierkach; i jeszcze serwetkę na stół, pełną supełków po lewej stronie, którą wyszyłam w pierwszej klasie. Myślałam o Nan jako o młodej kobiecie, dziewczynce, a potem o takiej, jaką jest obecnie. Teraźniejszość nie wymazała przeszłości, ona przecież kiedyś była tamtymi innymi, młodymi osobami.

A potem Will znowu zaczął płakać, wobec czego wrzuciłam wszystko z powrotem i pełen worek zabrałam ze sobą na dół. A kiedy podniosłam małego wierzyciętę i przytuliłam do piersi, poczułam, jakby czas się rozwidlił, i wtedy zobaczyłam wyraźnie, do czego, o mało co, bym doprowadziła. Zdarzyło się, kiedy miałam jakieś siedem lat, że w jednym ze zrujnowanych garaży na skraju osiedla wypatrzyłam wróble gniazdo. Były w nim trzy jasne, nakrapiane jajeczka, doskonale jak z obrazka, na tle jakichś białych kłaczków i szarobrazowych piórek. Ptasia matka szalała z niepokoju, ćwierkała z belki u góry, więc najpierw tylko patrzyłam, potem jednak pragnienie, żeby poczuć na dłoni te gładkie ciepłe skorupki, okazało się zbyt silne i wzięłam je do ręki. To było zupełnie niezwykle uczucie. Poniosłam je ostrożnie do domu i natychmiast zaniiosłam tacie. Zakładałam, że będzie tak samo podekscytowany jak ja. Kiedy zobaczył, co mam, jego oczy rozbłysły gniewem, a potem posmutniały. Bruzdy pomiędzy nosem i kącikami ust pogłębiły się; było to gorsze, o wiele gorsze, niż gdyby na mnie krzyczał. Bez słowa zaprowadził mnie z powrotem do gniazda i kazał umieścić w nim delikatnie jajeczka, po czym staliśmy tam jakiś czas, żeby sprawdzić, czy ptasia matka wróci.

- Bo widzisz - szepnął - ona może poczuć na nich twój zapach i wtedy będzie zbyt przestraszona, żeby się zbliżyć.



- Czy to znaczy, że te małe ptaszki umrą? - Nagle pojęłam, czym tak naprawdę są te jajka; kupuje się je w supermarkecie jak paczkę herbatników, prawda? A potem, kiedy się je zjada, to w środku już jest tylko żółta i biała maź, a nie małe ptaszki. Poczułam się okropnie.

Tata niemal niedostrzegalnie skinął głową, a ja się rozplakałam. Czekaliśmy ponad pół godziny, ale ptasia mama się nie pojawiła.

- Nie trać nadziei - powiedział tata, żeby mnie pocieszyć, kiedy w końcu wziął mnie za rękę i zabrał do domu, ale ja przecież nie byłam głupia. Wiedziałam, że jajeczka musiały być utrzymywane w cieple. Wiedziałam, co zrobiłam.

- Rzecz w tym - wyjaśniał, kiedy mijaliśmy kościół - że nawet jeśli zabiera się jedno jajko, to nie zabija się jednego ptaka, zabija się całe miliony.

- Jak to możliwe? - Przez całą drogę wycierałam nos w rękaw swetra, ale w ogóle mnie za to nie skarcił.

- Bo ten ptaszek miałby dzieci i te dzieci miałyby z kolei swoje dzieci i tak dalej, i tak dalej, przez całe pokolenia. W nieskończoność.

Pogębienie mnie nie było zupełnie w jego stylu, stąd wiedziałam, że uważa tę sprawę za poważną. Przez całe lato zaglądałam do tamtego garażu w nadziei, że przyniosę tacie dobre wiadomości i będzie można puścić całą sprawę w niepamięć, ale za każdym razem jajeczka, ten namacalny dowód mojej winy, tam były. Na początku jesieni zniknęło całe gniazdo, nie wiem, czy za sprawą chłopaków, wichury czy może lisa; czy one zjadają zepsute jajka? W każdym razie przestałam tam chodzić. Żeby zrobić mi przyjemność, następnego roku na urodziny tata kupił mi lornetkę i zabrał mnie na górę Pike, gdzie mieliśmy wypatrzeć kawkę albinosa (i wypatrzyliśmy!), tyle że wspinaczka tak go zmęczyła, że zejście na dół trwało bardzo, bardzo długo. Myślę, że mogły to już być początki jego choroby. Nadal

pamiętam twarz Nan, kiedy chwiejnym krokiem wszedł do domu. I tak to się złożyło, że nigdy nie wciągnęłam się w obserwowanie ptaków.

A ciebie, mały Willu, tak ufnie leżącego w moich ramionach, z tymi delikatnymi, falującymi nozdrzami, z buzią lekko zmarszczoną ziewnięciem; tak niewiele brakowało, żebym cię unicestwiła. Niewiele brakowało, żebym była aż taką złą matką. Nie mieści mi się w głowie, że mogłam chcieć zrobić coś takiego z twoim życiem i z życiem twojej matki. Za każdym razem, kiedy na ciebie spojrzę, będę odczuwała ciężar tego, co mogło się być wydarzyć; ta cała przyszłość mogła zostać wymazana. Twój pierwszy ząbek, pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszy dzień w szkole. I należy mi się ten ciężar. Odkupię to, mój maleńki; będę dobrą babcią, naprawdę będę.

Dziwne: w nocy, kiedy wstałam, żeby przygotować małemu pokarm, usłyszałam płacz mamy. Szlochała i zdawało mi się, że coś do siebie mówiła. Nie zajrzałam do niej. Byłam wykończona; zresztą i tak nie wiedziałabym, co powiedzieć. Będzie musiała jakoś się uporać z problemem Nan. Myślę o tym, co pastor powiedział na pogrzebie Billa: Drzwi są zawsze otwarte. Nigdy nie są zamknięte. Bieda tylko, że nie spytałam go wtedy, co miał na myśli, a teraz już nie żyje, ten nasz pan Speakman. Co też on miał na myśli?

Boże Narodzenie okazało się dziwaczne, chociaż zaczęło się w miarę normalnie. Przed wszystkim były to pierwsze święta z Emmą. Nie odstępowała mnie przez cały ranek; oczy miała

szeroko otwarte. Nie opuścisz mnie już nigdy, prawda? - spytałam ją bezgłośnie, a ona pokręciła głową.

Nan przyjechała ze szpitala na świąteczny obiad, dzięki Bogu, bo inaczej spędziłabym ten dzień przytłoczona poczuciem winy. Pokroiłam jej jedzenie, kiedy jeszcze talerze były w kuchni; przełożona pielęgniarek mi to doradziła. Potem pokroiłam też porcję Charlotte, żeby mogła sobie jeść z małym marudą na kolanach. Przebrnęliśmy zatem przez posiłek bez kłopotów, chociaż rozpakowywanie strzelających niespodzianek okazało się niemałym wyzwaniem, bo towarzyszące temu odgłosy doprowadziły Willa do wrzasku. W końcu tak się rozryczał, że Charlotte zabrała go na górę, gdzie natychmiast zasnął. Wtedy pojawił się Steve ze swoim kapitalnym prezentem.

- Nie zostanę dłużej, bo siostra już na mnie czeka. Chciałem tylko podrzucić te.

Te okazały się CD-ROM-ami dla Charlotte, butelką podejrzanych perfum dla Nan, nedorzecznie wielkim misiem dla Williama oraz notesem ze spiralnym grzbietem dla mnie.

- Co to takiego? - spytałam, obracając go w rękach, a odnajdując jedynie na tylnej okładce metkę z ceną i nazwą sklepy. Fakt, z przodu był ładny obrazek, zdjęcie jeziora Windermere, ale nie dostrzegłam w nim niczego, czym warto byłoby się ekscytować.

- No to zajrzyj do środka. Będzie tego ze dwadzieścia. Siedziałem nad tym wiele godzin.

Przerzuciłam kilka kartek.

1 zobowiązanie na 1 godzinę przy dziecku podpisano Steve

- Nieźle, co? Gość z roboty zobaczył to w programie Oprah Winfrey i powiedział, że wszystkich to zachwyciło. - Cofnął się o krok i czekał na brawa.

- Dzięki. Naprawdę, to wspaniały prezent. W pełni go doceniam.

- Tak też sobie myślałem. - Steve się rozpromienił. - Tylko niech to nie będzie sobotnie popołudnie, ze względu na piłę. I we wtorki i czwartki wieczorem mnie nie ma. Piątki też nie są całkiem pewne. Ale poza tym... jestem do waszej dyspozycji! Hej, a przy okazji, ile zapłaciłyście za tę choinkę? Bo w robocie znam faceta, który sprzedaje drzewka po funciaku za stopę. Bierze je ze szkółek przy autostradzie, wykopuje nocą, żadna tam kradzież czy coś takiego. W przyszłym roku załatwię wam taką.

Kiedy sobie poszedł, Charlotte chciała koniecznie wiedzieć, o co tak naprawdę chodziło.

- To taka próba wciśnięcia się z powrotem. Już ja wiem, co on sobie kombinuje. Ale darowanemu koniowi i tak dalej, hej? Nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę z tego, w co się pakuje. - Popatrzyłyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem. - Już sobie wyobrażam, jak on zmienia Willowi ubabraną pieluchę.

- Albo kiedy Will rzyga mu na plecy.

- Właśnie.

- Te perfumy wonieją płynem do czyszczenia toalet - oświadczyła Nan. - Postaw je pod zlewem obok Ajaksu.

Krótko potem pojawił się Daniel jak jakiś szelmowski Święty Mikołaj, niosący ze sobą zupełnie nową przyszłość. Ledwo wszedł, zauważyłam, że jest jakiś niespokojny.

- To wszystko mam dla Willa - powiedział zdyszczanym głosem, odpakowując stos zabawek w jaskrawych kolorach. - Tata mówi, że mózg niemowlęcia rozwija się jeszcze przez wiele miesięcy po urodzeniu, tak że potrzeba mu dużo bodźców. - Nacisnął brzuch plastikowej krowy, a ta zamuczała. - Od tego zaiskrzają mu neurony.

- Biegłeś tutaj? - spytałam.

W odpowiedzi zachichotał tylko nerwowo i wręczył mi ogromną poinsecję.

- Na stół - wyjaśnił. - Chociaż muszę przyznać, że już wygląda bardzo ładnie.
- Obróciłyśmy obie wzrok na pobojowisko w postaci resztek indyka. Biały obrus wyglądał jak na pół przecięty ciągnącą się ścieżką sosu, a papierowy kapelusz Nan, w który wytarła ręce i zgmiotła, wylądował w sosjerce. Na stole wały się upominki ze strzelających niespodzianek: pomięte kartki z przeczytanymi już dowcipami, kostki do gry, łamigłówka, breloczek w kształcie rybki.
- Aha, no tak - powiedziała Charlotte. - Miałyśmy dekorację pośrodku stołu, z rudzikiem, ale ją podпалиłam i ptaszek się stopił.
- Świetnie. Weź te, proszę; to jeszcze nie wszystko - oświadczył Daniel, teatralnym gestem prestidigitatora wyciągając następne pakunki.
- Zaczynałam się zastanawiać, czy nie jest pijany. Miał jeszcze talk dla Nan oraz pasek z wężowej skóry dla Charlotte, pasujący do jej wysokich butów. Była uszczęśliwiona.
- Zdejmiesz wreszcie tę kurtkę czy nie? - spytałam ze śmiechem.
- No właśnie, usiądź, na miłość boską, ty wiercipięto - powiedziała Charlotte. - I skoro już tutaj jesteś, rozsądź pewien spór. - Wskazała ręką srebrzące się lametą sztuczne drzewko, ze składanymi gałązkami, które wyciągamy co roku na Gwiazdkę. - Czy to jest czy też nie jest świąteczna choinka typowa dla klasy średniej?
- Lepiej byś zamilkła - powiedziałam bez specjalnej nadziei, że mnie posłucha. - Muszę iść do kuchni obrać kości indyka z resztek mięsa.
- Poczekaj chwileczkę. I co ty na to, Danielu? Cofnął się, usiadł na kanapie i wzruszył ramionami.
- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.
- No cóż - wyjaśniała panna Mądralińska - mama uważa, że

powinniśmy zacząć ustawiać prawdziwe drzewka, bo tak jest wytwornie, chociaż dużo więcej z nimi kłopotu.

- Naprawdę je 1 u b i ę - odparłam. - Lubię ich zapach, bo jest taki nastrojowy. Mogłyśmy taką mieć już w tym roku, ale dużo było ostatnio problemów, i jakoś nie zdążyłam się do tego zabrać.

- Tyle że - ciągnęła moja córka - ja powiedziałam jej, że w domach tej prawdziwej klasy średniej za bardzo dba się o środowisko, żeby dla kaprysu ścinać drzewa, tak że w rzeczywistości sztuczna choinka jest bardziej odlotowa.

- Uważam, że obie są fajne - oświadczył Daniel - jeśli ktoś chce mieć taki pogański przeżytek we frontowym pokoju.

- No dobrze, a jakie drzewko mają twoi rodzice? - spytałam, podnosząc się, żeby posprzątać ten bałagan ze stołu.

- Świerk norweski. Ale w pracy, u siebie w gabinecie, ojciec ma plastikową choinkę; nie wiem, czy można ją brać pod uwagę.

- A widzisz - powiedziała do mnie Charlotte, co nie przeszkadzało mi uważać, że tak naprawdę to właśnie ja wygrałam ten spór.

- O co chodziło z tymi drzewkami? - spytał Daniel, kiedy mama była zajęta w kuchni indykiem.

- Miły z ciebie młodzian - oświadczyła Nan, usiłując wychylić się do przodu i poklepać go po kolanie.

- A wiesz, że zbliżam się do dziewięćdziesiątki?

-Wspaniale.

- Im się widzi, że stary to już nigdy nie jest dorzeczny. -Nan siedziała rozparta, a na jej twarzy malowało się zadowolenie.

- Naprawdę? Naprawdę tak uważają? - Daniel zwrócił się do mnie.

- Cóż, no wiesz, trochę się z nią drażniłam, bo czasami taka niemądra z niej staruszka. Posłuchaj.

- *Gdy wieczorem pasterze skarpetki prali*

*Oglądając ITV*

*Zstąpił do nich anioł Pański*

*I przestawił na BBC -*

śpiewała mama, przekrzykując radio.

- A niech to jasny szlag! - zawołała nagle. Z czego wynikało jasno, że tegoroczny indyk broni się dzielnie.

-Zjem toffi - oznajmiła Nan radośnie.

Wiedziała, że nie da rady otworzyć swojej torebki, więc uklękła na dywanie, znalazła kilka cukierków i zaczęła je odwijać z celofanu.

- Mama ma obsesję na punkcie przynależności do klasy średniej. Powtarzam jej, że to niemądre i że w dzisiejszych czasach zapewne już wszyscy należymy do klasy średniej.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to może być ważne -zdziwił się Daniel.

- Och, cóż, bo ty należysz do tej prawdziwej klasy średniej. To tylko ci pół na pół, ci znajdujący się gdzieś pomiędzy, mają jakąś obsesję na tym punkcie. Nan znała swoje miejsce, pracowała w przędzalni i była z tego dumna; ja prawdopodobnie stąd wyjadę i - kiedyś tam - skończę studia, i będę zarabiać ponad dwadzieścia tysięcy rocznie, więc to też będzie w porządku. - Widziałam, jak brwi Daniela poruszają się szybko w górę i w dół. - No dobrze, tak będzie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Przepraszam, nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak kołtuńsko. Tymczasem mama należy do klasy wywłaszczonych; pracująca na pół etatu asystentka klasowa mieszkająca w byłym domu komunalnym. Do czegoś aspiruje, ale nie wiem, do czego.

Daniel wiercił się przez chwilę, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Ironia tkwi w tym, że ona weszła do klasy średniej i nawet o tym nie wie. - Położyłam odwinęte z celofanu cukierki na kolanach Nan i wróciłam na kanapę. - Mam ci powiedzieć dlaczego?

-Jestem bardzo ciekaw.

- Bo zamiast marnować energię i narzekać na wszystko, zakasała rękawy i robi teraz, co może, żeby sytuację poprawić. Jak daleko sięgnę pamięcią, powtarzała w kółko, że życie powinno wyglądać inaczej, a ja zawsze sobie wtedy myślałam: To w takim razie czemu nie spróbujesz go zmienić? I nigdy nie uzyskiwałam zadowolającej odpowiedzi, chyba że za taką uznasz: „My takich rzeczy nie robimy”, „Tak to już jest”, „Opuszczamy głowy i brniemy dalej”. Tymczasem osoba z klasy średniej twojego typu mówi: Napiszę do swojego posła, ułożę harmonogram sąsiedzkich dyżurów, wywrę nacisk na radę, zorganizuję zebranie. Ludzie klasy średniej działają, nie cierpią.

-To zbyt wielkie uogólnienie - oświadczył Daniel, obejmując się mocno ramionami jak ktoś, kogo przypadkowo zamknięto w zamrażarce. - Znam wielu biadolących przedstawicieli klasy średniej. Prawdopodobnie połowa pacjentów mojego ojca należy do tej kategorii.

- Phi. To moja teoria i będę się jej trzymać.

- Pani Waters ma wszystkiego dość, bo czeka ją operacja oka - włączyła się Nan.

- Nie. Ma dość tego, że jej syn ciągle słucha rocka. - Zachichotałam, ale kiedy zobaczyłam jej niepewne spojrzenie, poczułam się głupio. - Słucha głośno muzyki - wyjaśniłam.

- No tak, ci młodzi tak robią. Ty też. -Ja nie...

Z kuchni dobiegł nas głośny trzask i okrzyk. Wstałam, żeby sprawdzić, co się stało.



- Myślisz, że twoja matka długo tam jeszcze posiedzi? Bo jest coś, co powinnyście wszystkie usłyszeć - wyrzucił z siebie. - Wszystkie razem. Tak sędzę.

Radarowe Ucho błyskawicznie było z powrotem z nami.

Wyobrażałam to sobie jak scenę ze starego filmu. „Czy mogę mieć ten zaszczyt i poprosić o rękę pani córki Charlotte?” Szok, ale z tych miłych. To znaczy, jakkolwiek by było, syn lekarza. Wchodziłam do pokoju, wycierając w fartuch krwawiący kciuk, gotowa odgrywać rolę wyrozumiałej matki.

Wstał natychmiast, kiedy weszła mama.

-li, już idziesz? - wymamrotała Nan z ustami pełnymi toffi. - Musisz wdziać płaszcz, na dworze jest mroźno.

Pokręcił głową zażenowany i ustawił się plecami do kominka. Mama i ja siedziałyśmy naprzeciwko niego niczym zespół przesłuchujący kandydata na posadę. Rozprostował palce, rozczapierzył je, po czym złożył dłonie. Potem opuścił ramiona wzdłuż ciała, a ja pomyślałam: O Boże, o co mu chodzi? Teraz to już nie miałam najmniejszego pojęcia. Podniósł głowę i wreszcie zaczął:

- Powinienem powiedzieć to wcześniej, zaraz po przyjściu, ale nie wiedziałem jak... jest coś, co muszę powiedzieć wam obu. Przynajmniej wydaje mi się, że powinienem powiedzieć... to znaczy bez wątpienia powinienem powiedzieć, chodzi tylko o to, czy powinienem powiedzieć to wam obu razem, czy tylko pani, a może tobie, Charlotte, a ty porozmawiałabyś z kolei ze swoją matką.

- Maureen Tickle miała przez sześć tygodni złamaną nogę w kostce, zanim ją prześwietlili - oświadczyła Nan. - Chodziła na niej i w ogóle. Ćwiczyć, ot co, powiedział jej

lekarz, słowo daję. - Zamknęła usta i zapatrzyła się w kolana Daniela.

- Proszę mówić - zachęciła go mama. Tak mocno ścisnęła kciuk, że jego czubek zrobił się bieluteńki.

-Tak, oczywiście. Rzecz w tym, że być może postąpiłem niewłaściwie, działając za pani plecami, zapewne tak było i pani będzie się na mnie gniewała. Ojciec będzie na mnie wściekły, kiedy się dowie, oświadczy, że wszystko zrobiłem nie tak, jak trzeba.

- Co takiego, na miłość boską? - Chciałam ściągnąć jego wzrok na siebie, ale on patrzył gdzieś daleko nad naszymi głowami.

- Na poczcie mają nową pracownicę, z wielkimi zębami, jak u królika.

-Zamknij się, Nan, na chwilkę.

-To miała być niespodzianka. Pogrzebałem w Internecie. Uważałem, że macie prawo wiedzieć... -

Daniel wyjął z kieszeni džinsów jakąś kopertę i wykonał ruch, jakby zamierzał podać ją mamie, potem jednak cofnął rękę i przycisnął ją do piersi. -Teraz widzę, że najpierw powinienem był przyjść do pani, bo dotyczy to pani rodziny, to nie moja sprawa...

- Proszę, Daniel, wykrztuś to wreszcie. - Podniosłam się z kanapy, a on pozwolił mi wyjąć sobie z ręki tę kopertę. Zaczęłam rozkładać kartkę, którą okazał się wydruk z jakiejś sieci internetowej, z przypiętą od tyłu spinaczem kopertą, i pomyślałam sobie: Chryste, on odnalazł biologiczną matkę mamy, niech to szlag, to dopiero będzie puszka Pandory. Usiadłam szybko z powrotem, niepewna, co mam zrobić. Ale potem, kiedy udało mi się skupić wzrok, zobaczyłam adres, [www.nationalsavings.co.uk](http://www.nationalsavings.co.uk) i napis „Gratulacje!”, a nad nim zdjęcie uśmiechniętej kobiety z uniesionymi wysoko rękoma.

Mama nachyliła się nade mną i oglądała kartkę.

- Czy wygrałyśmy coś? - spytała i przełknęła ślinę. Zdjęła spinacz.

- Nie ekscytujcie się za bardzo, moje panie. - Na twarzy Daniela widoczny był grymas emocji. - To nie jest główna wygrana. Ale lepsze to niż nic. I wolne od podatku. - Kołysał się do przodu i do tyłu; myślał, że najchętniej rzuciłby się do drzwi i umknął na ulicę.

- Muszę cię rozczarować, Danielu, ale my nie mamy żadnych obligacji pożyczki premiowej. Musiałeś wpisać niewłaściwe litery, czy coś takiego. - Mamie drżał głos, bo zdążyła zauważyć linijkę, w której podano sumę: dziesięć tysięcy funtów! - To kogoś innego wylosowano.

- Cholerni szczęściarze - powiedziała, śmiejąc się bez przekonania.

- Nie. Nie. Właśnie to usiłuję powiedzieć. To był absolutnie niewłaściwy postępek, takie działanie za waszymi plecami. Kiedy zauważyłem te obligacje, powinienem był je natychmiast wam oddać...

-Jakie obligacje? - Mama drżącą ręką podnosiła skrzydełko koperty.

-Te z tamtego starego worka na robótkę. Z pokoju babci Charlotte. Były razem z tymi wszystkimi jedwabnymi pocztówkami. - Twarz Daniela płonęła, włosy mu sterczały, ponieważ raz za razem przeczesywał je palcami. - Niech to diabli, aż nie mogę uwierzyć, że zachowałem się tak po chamsku. Powinienem je natychmiast wam przekazać. Ale wymyśliłem sobie, że zrobię miłą niespodziankę.

- Czy dają po południu film z Jamesem Bondem? - spytała Nan. - To taki szykowny gość.

Zignorowano ją, więc zamknęła oczy. Mama rozłożyła wachlarz z obligacji na kanapie pomiędzy sobą a nią. „Emisja Ministerstwa Skarbu JKM”; leżąca najbliżej mnie opiewała na jeden funt.

-Zatem Nan wygrała dziesięć tysięcy funtów? - Roześmiałam się. Sama myśl była przezabawna. - Mój Boże, będzie mogła sobie kupić całą ciężarówkę boczku!

Nan otworzyła oczy i też zaczęła chichotać, chociaż nie sądzę, żeby wiedziała, co się dzieje.

-Zaraz, chwileczkę, poczekajcie - powiedziała mama, machając kartką i ciężko oddychając.

- Co znowu?

Mama zmarszczyła brwi.

- Na samych obligacjach nie ma przecież żadnego nazwiska... ale na dołączonej kartce jest napisane Karen Hesketh. Czy to oznacza...

- O mój Boże! Założę się, że babcia i dziadek kupili ci je, kiedy byłaś malutka. Ile tam tego jest?

Nan uśmiechała się szeroko.

- Za dwadzieścia funtów. Wtedy to była fortuna. - Mama podniosła się powoli i uklękła przed Nan, podsunęła jej pod nos wachlarz z papierów. Przypominały trochę banknoty. -Czy to ty? Czy wy to kupiliście, kiedy się urodziłam? - Nan nie przestała się uśmiechać, ale milczała. - To bardzo ważne, mamó. Rozumiesz? Czy kupiliście to... dla mnie?

- Są datowane na kwiecień sześćdziesiątego trzeciego roku, jeśli to może coś pomóc - szepnął uprzejmie Daniel.

- Och... - Mama złożyła obligacje na kolanach Nan i ujęła jej dłonie.

Nan roztargnionym gestem poklepała córkę po głowie, westchnęła, po czym znów zamknęła oczy.

- To był godny, dorodny indyk - wymamrotała. Otworzyła usta i natychmiast zasnęła, a jej głowa opadła do tyłu. Jak oni to robią, ci starzy ludzie, że tak natychmiast zasypiają?

Daniel pomógł mamie wstać z klęczek.

-Wszystko w porządku, proszę pani? - zaniepokoił się.

- Czy jesteś absolutnie pewny - mówiła, patrząc mu

w oczy - że te pieniądze są nasze? Bo wiesz, teraz już chyba bym nie zniosła, gdybyś się mylił.

- Proszę pani - odpowiedział, nie spuszczać wzroku - nie odezwałbym się ani słowem, gdybym nie miał stuprocentowej pewności.

- No tak, nie zrobiłbyś tego.

- Nie, proszę pani.

Tak więc mama otworzyła butelkę wina, którą dostała na koniec roku od jakiegoś ucznia, i Daniel wypił jeden kieliszek, po czym poszedł, bo, jak powiedział, mamy teraz dużo do obgadania. Kiedy zamknęłam za nim drzwi i wróciłam do pokoju, przez chwilę patrzyłyśmy z mamą na siebie, a potem wybuchnęłyśmy śmiechem.

- O mój Boże - powtarzała mama w kółko. - O mój Boże.

Wiedziała, że Charlotte chodzą po głowie wielkie zakupy; bez trudu wydałaby wszystko na ciuchy, zabrałoby jej to kilka miesięcy, ale w końcu by tego dokonała. To jednak moje pieniądze. Z miejsca jej o tym przypominałam. Wyraźnie zrzędała jej mina.

- No tak, to czy przynajmniej możemy zrobić łazienkę? Mówiłaś, że ją zrobisz.

Pokręciłam głową.

- To w takim razie co? - zniecierpliwiła się. Coraz wyraźniej traciła humor; zabawne było to obserwować. No cóż, całe to napięcie musi znaleźć sobie gdzieś ujście. - Chyba nie zamierzasz wsadzić wszystkiego do banku na „czarną godzinę”? Daj spokój, mamo, życie jest takie krótkie.

Emma skinęła głową.

- Podzielę się z tobą tymi pieniędzmi — oznajmiłam. — Podzielę je równo, pół na pół. - Oczy jej się zaświeciły. Pięć tysięcy do wydania w Top Shop! - Ale posłuchaj, te pieniądze potrzebne są nam do zrobienia czegoś ważnego.

- Czego?

- Pozwolą nam obu iść na studia.

Prawie było widać, że jej mózg pracuje na dużych obrotach.

- Nam obu? Czy ty... ? Wiesz, rzeczywiście wydawało mi się, że intetesujesz się jakąś uczelnią.

Cholera. - Potrzaśała głową. - Czy przyjmują ludzi tak... ludzi takich jak ty?

- No wiesz. - Zamachnęłam się nogą, jakbym zamietzała dać jej kopa. - Będę dojrzałą studentką. No, już dobrze, ptzestań stroić miny. To nie jest aż tak zabawne. Wiadomo, że są tysiące takich jak ja.

Zbadałam tę sprawę dokładnie. Ja po prostu nigdy nie pomyślałam, że to może być realne, zważywszy choćby na koszty. Ale natychmiast, kiedy tylko Daniel nam powiedział... Och, Charlotte! Wciąż nie mogę uwierzyć... Są też długi do spłacenia, całkiem sporo, karty sklepowe, katalogi...

- Mój komputer.

- Twój komputer. Reszta jednak pójdzie na studia nauczycielskie dla mnie na uniwersytecie Manchester Metropolitan, a tobie opłacimy studia filologiczne na takim uniwersytecie, jaki sobie wybierzesz. Bo powinnaś kontynuować naukę bez żadnych przerw, Charlotte.

Czułam się przepelniona energią i naprawdę byłam gotowa wejść w to nowe milenium, o którym tyle wszyscy gadali.

- Nigdy nie zamierzałam rezygnować ze złożenia papierów -odparła nieco wyniośle. - Zawsze jednak mogę wziąć pożyczkę.

- Mogłabym oblać cię tym winem. Nie bądź niemądra! Po co się zadłużać, kiedy całkiem spora sumka czeka, żeby ją na ten cel wykorzystać? Na dodatek pomoże nam ona pokryć koszty pobytu Willa w najlepszym żłobku, jaki dla niego znajdziemy. Jeśli nie masz nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

-Jasne, że nie. Boże, nawet mnie o to nie pytaj. To ty będziesz obciążona naszą gwiazdeczką, kiedy ja wyjadę, od ciebie więc zależy decyzja. - Przeczesała palcami włosy i westchnęła. - Niech to wszyscy diabli, mamó, może zabrzmi to idiotycz-

nie, ale przecież dziesięć tysięcy na to wszystko nie wystarczy, prawda?

Łyknęłam wina.

- Nie pokryje wszystkiego, zgoda, ale pozwoli nam na niezły start.

- Powiesz tacie? Dał nam wtedy część tego lewego odszkodowania.

- Ściśle rzecz biorąc, nie dał. Chociaż to nie jego wina; miał dostać tysiące, ale firma dochodząca roszczeń zabrała większość na honoraria. I dobrze mu tak, żeby malować sobie sińce cieniem do powiek... Tak więc myślę, że na razie to przemilczymy. Nie, żeby on żałował tych pieniędzy na twoją edukację, taki nie jest. Jest z ciebie dumny. - Nawet jeżeli go trochę przerażasz, pomyślałam w duchu. Zrzuciła klapki, wyciągnęła się na kanapie i położyła mi stopy na kolanach, tak jak wtedy, kiedy była bardzo mała. Był to taki zwyczajny, wyrażający zażyłość gest, a jednak nie zrobiłaby tego sześć miesięcy wcześniej, kiedy obie kipiałyśmy nienawiścią. Popatrzyłam na jej kształtne, młode palce i na krótką chwilę przypomniałam ją sobie jako malutkie dziecko; przez myśl przemknęło mi zaskakujące wspomnienie dotyku pulchnych stopek na moich gołych udach, kiedy ująwszy ją pod pachy, podnosiłam rozchichotaną do góry. Tamta gładka, niewinna skóra, tamte zabawy; idzie rak nieborak... warzyła sroczka kaszkę, warzyła...

Otrząsnęłam się z zadumy i wróciłam do rzeczywistości.

- Jednego nie rozumiem - mówiła właśnie - dlaczego ci ludzie od obligacji nie skontaktowali się z nami. Czy to jest jak w loterii, trzeba samemu sprawdzać numery?

Ujęłam palce jej stóp między dłonie, a ona piszczała i wierciła się; co za przeżycie, że znowu możemy być tak blisko. Opanowała mnie ogromna chęć, żeby się nachylić i objąć ją z czułością, podziękować za to, że kiedyś była takim ślicznym dzieckiem, ale mogłaby sobie pomyśleć, że mi się pomieszało w głowie.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziałam. - Powinni byli napisać. Powinnyśmy dostać co najmniej jeden list w październiku lub listopadzie. Ciekawe, co się z nim stało,  
Z fotela dobiegło cmoknięcie i jakieś mamrotanie. Charlotte odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Nan, po czym rzuciła mi rozpaczliwe spojrzenie.

- O Boże, mamó. Przecież ona mogła z tym zrobić cokolwiek. Upiec w tosterze, schować pod dywan, wcisnąć za ob... -Zachichotała zabawnie. - No tak, kto wie. Mogli nam przysłać całą furę listów z gratulacjami! A zgarniała je, jeden po drugim. Zupełnie jakby za skrzynką na listy czaił się jakiś złośliwy pies. Kto wie, ile ważnej korespondencji straciłyśmy w ten sposób przez ostatnie kilka lat. Z drugiej wszakże strony, można by przypuszczać, że użyją telefonu...

- Którego ona nigdy nie odbiera. Charlotte klepnęła się w czoło.

- A my mogłyśmy być zajęte i przegapić taki telefon...

- Nie próbują przecież kontaktować się bez końca. Daniel powiedział, że są tysiące wygranych, po które nikt się nie zgłasza.

- Tysiące ludzi z babciami, które zjadają korespondencję?

- Kto wie. - Myślałam o tym, co może przynieść nowy rok, o czekającym na Nan łóżku w Mayfield. Pamiętać to jak położyć sobie na piersi rodzinną Biblię. - No cóż, tego problemu już nie będziemy miały - powiedziałam.

Leo przyszedł wieczorem, kiedy Nan już nie było. Powiedziałam mu o pieniądzech; z początku nie zamierzałam, ale potem tak jakoś samo wyszło. Ogromnie się ucieszył ze względu na nas, czego zresztą się spodziewałam. To naprawdę sympatyczny człowiek.



Jest naturalnie całe mnóstwo rzeczy, na które pieniądze nie mają żadnego wpływu.

Czułam się przedziwnie, zostawiając Nan w tamtym domu. Ulokowałyśmy ją w pokoju - zupełnie ładnym, z wykuszowym oknem i drzewem tuż za nim, które zasłaniało większą część parkingu - postawiłyśmy jej ranne pantofle koło łóżka, bieliznę włożyłyśmy do szuflad, różne drobiazgi umieściłyśmy na półkach. Niewiele tego miała. Duże zdjęcie Willa z jednej strony łóżka, ślubne mamy z drugiej, najlepsze jednak miejsce dostało się powiększonej fotografii, na której ona i dziadek siedzą przytuleni na ławce. Mogli mieć wtedy po dwadzieścia lat. Ona ma białe pończochy i czarne trzewiki z klamerką, włosy proste, do ramion. Spogląda w obiektyw, z półuśmiechem, jakby coś sobie kombinowała. On wpatrzony w nią, mocno obejmuje ją ramionami, uśmiecha się nieśmiało. Nogi wysunął przed siebie i widać po cztery gwoździe nabite z przodu każdej podeszwy jego butów. Są tacy młodzi.

- Będziesz sobie mogła patrzeć na ptaszki, mamo. -Tak.

Kiedy odchodziłyśmy, siedziała na łóżku niczym jakieś bezradne dziecko. Dyrektorka coś do niej mówiła, ale ona nie zwracała na to uwagi.

- Chyba tego nie zniosę - oświadczyła mama, uczepiona futryny.

- Idziemy. Zanim się całkiem rozkleisz. Jeśli po kilku tygodniach będzie naprawdę nieszczęśliwa, zastanowisz się, co robić, ale musisz przynajmniej spróbować. Ten lekarz powiedział, że to jest najlepsze miejsce. - Złapałam mamę za rękaw, oderwałam od drzwi i pociągnęłam korytarzem.

Bertie przebiegł obok, wymachując ogonem. Patrzyłam za nim i trzymałam kciuki. Skreślił do pokoju Nan.

- Muszę się napić - oświadczyła zniecierpliwiona mama.

- Nie powinniśmy wracać ze względu na Debbie?
- Powiedziałam jej, że wrócimy o wpół do trzeciej, a nie ma jeszcze nawet wpół do drugiej. Ma numer mojej komórki, w razie gdyby William dawał jej się we znaki.

Znalazłyśmy więc winiarnię, gdzie przesiedziałyśmy prawie całą godzinę, ot, dwie kobiety przy butelce chardonnay.

Charlotte wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym uzupełniła drzewo genealogiczne na pierwszej stronie książeczki pamiątkowej Williama. Po trzech pokoleniach zabrakło mi informacji, wobec czego poradziłam jej, żeby wypytała Nan.

- I weź ze sobą te stare zdjęcia z pudełka po butach, już od dawna zamierzałam je opisać. A Williama zostaw ze mną, bo inaczej nie będziesz miała spokoju - dodałam.

Wróciła niezwykle ożywiona.

- Boże, mamó, to było zupełne szaleństwo! Kiedy tam dotat-łam, cały personel postawiono na nogi, bo jedna staruszka powiedziała, że widziała, jak jej przyjaciółka zjada kawałek podpałki. Wezwali karetkę, sprowadzili lekarza, biegali w poszukiwaniu podręcznika pierwszej pomocy, żeby się dowiedzieć, czy prowokować wymioty czy nie. I wiesz, okazało się, że to był kawałek nugatu. Dyrektorka musiała potem przysiąc, żeby odsapnąć. W Mayfield nie ma czasu na nudę, sama tak powiedziała.

- A jak tam Nan?

Charlotte zaczęła wyjmować zdjęcia z dużej papierowej torby.

- To było zdumiewające, mamó. Jakby ktoś włączył światło; nagle się ożywiła. Przegadałyśmy kilka godzin i była to niezwykle ciekawa rozmowa.

Wyjęła z koperty parę zdjęć. Ułożyłam Williama pod jego wiszącą kolekcją zabawek i podeszłam obejrzeć zdjęcia.

- To jest z ich ślubu - oznajmiła Charlotte.
- Tak myślałam.

- No tak, ale zobacz ten kapelusz! Prawie nie widać jej twarzy. Czy to ten medalion, który ciągle nosi?
- Zapewne. A niech mnie, czy mój tata nie wygląda elegancko z tym kwiatkiem w butonierce... Był jeszcze młody, kiedy umarł, jaka szkoda. - Podniosłam zdjęcie i oglądałam je pod światło. Tata, którego znałam, był zawsze zmęczony i zdyszany; tutaj był szczęśliwym, pełnym energii młodym człowiekiem dopiero rozpoczynającym życie.
- A wiesz, że był zaręczony z kimś innym, kiedy go poznała?
- Nie. Nigdy nic na ten temat nie mówiła. - Zaskoczona odłożyłam fotografię.
- Tak, naprawdę. Odbiła go innej! Wyobrażasz sobie, że Nan robi coś podobnego? Domyślam się, że w młodości była z niej niezła kokietka. - Charlotte pokręciła głową, udając dezaprobatę.
- Musiała być naprawdę zakochana. — Pomyślałam o swoim albumie ślubnym, okrytym później niesławą i wciśniętym pod szafę. -1 okazało się, że wiedziała, co robi, bo byli sobie oddani przez ponad czterdzieści lat.
- Mój Boże, to fantastyczne. - Charlotte wzięła do ręki kolejne zdjęcie. Nan w gabardynowym płaszczu i grupa dziewcząt w fartuchach. Stoją w towarzystwie postawnego mężczyzny o surowym spojrzeniu, noszącego zegarek na dewizce, ptzed typowym dla tamtych lat autobusem. - Nan powiedziała, że to autobus wycieczkowy. Nazywali go Gwiżdżącym Rufusem i jeździli nim na wycieczki do Blackpool i Southport. Jednak ludzi ze zdjęcia nie pamięta.
- Wyglądają mi na uczennice. Chyba że, nie, ma tu około osiemnastu lat, więc szkołę już skończyła. To muszą być robotnice z przedzalni. Zawsze mówiła, że były to dla niej dobre czasy, ale na tej fotografii dziewczęta nie wydają się zbyt szczęśliwe, prawda? Być może dobre czasy to pojęcie względne... Chatlotte nie słuchała.
- A to, mamo, widziałaś? - zapytała. W ręce trzymała bardzo wyblakłą, pogiętą i pożółkłą fotografię przedstawiającą cztery

osoby: z lewej strony stała dziewczynka, z głową całą w lokach, ze skrzyżowanymi ramionami; obok siedziała ponura starsza pani, w czarnej jedwabnej sukni i w drewniakach z charakterystycznymi, zadartymi nosami; był tam też chłopiec, młodszy od dziewczynki, stał sztywno, w ciemnym ubranku z dużym białym kołnierzem, podobnym do marynarskiego; i ładna, dwudziestokilkuletnia kobieta o zatroskanym spojrzeniu, przycupnięta na krześle, z owalnym medalionem widocznym na tle białej bluzki. - Wiesz, kim są ci ludzie? - dodała.

Stałyśmy tuż obok siebie i wpatrywałyśmy się w uroczyste miny tych czterech osób. Jedyne chłopiec się uśmiechał, zupełnie jakby rozpierała go energia i młodość.

- No cóż, to jest Nan - odparłam, wskazując dziewczynkę. - A ta obok, to będzie jej babcia.

- Florrie Marsh, zgadza się. Zapisałam to sobie na odwrocie. Wygląda na heterę, co? Ta druga kobieta to matka Nan, Polly. Jest smutna, bo ojciec Nan to zniknął, to się pojawiał. Kiedy robiono zdjęcie, mieszkał z jakąś ładacznicą w Chorley.

Pomyślałam sobie, że Polly wygląda na śmiertelnie zmęczoną.

- Biedna kobieta. To straszne, nie wiedzieć, na czym się stoi, to takie upokarzające. Szczególnie w tamtych czasach. Nan niewiele mi o tym mówiła, to zbyt krępujące, ale ja wiedziałam, że w tym układzie było coś dziwnego. No tak, tak. - Musnęłam delikatnie palcem postać chłopca. - Mogę się domyślić, kto to jest, ten mały aniołeczek. - Jego ciemne ubtanko przecięte było białą linią załamania na papierze, biegnącą przez całą długość jego ciała. - To straszne, umrzeć tak wcześnie.

- Brat Nan, Jimmy. O, zobacz, opada mu jedna skarpetka.

- Mówiła coś o nim?

- Ze utonął w kanale.

- Naprawdę? Biedactwo.

- Płakała, kiedy mi to powiedziała, myślę, że byli sobie bardzo bliscy. Ale potem już było dobrze - dodała pośpiesznie. -

Zacząłam jej opowiadać o tym, jak Will zwymiotował do torby na zakupy Ivy, i natychmiast poweselała.

Złożyłyśmy zdjęcia i Charlotte wsunęła je z powrotem do koperty.

- Wiesz co, mamó - powiedziała, kiedy już przykryła pudełko po butach - zamierzam wziąć magnetofon i nagrać kilka opowieści Nan, bo one są naprawdę ciekawe, jak to kiedyś żyliśmy i tym podobne. Mogłabym zachować te kasety dla Willa, gdy podrośnie, będzie miał historię swojej rodziny.

(Historię mojej rodziny, pomyślałam.)

- To jest tak jakby... - Charlotte postawiła pudełko u stóp schodów i wróciła do pokoju. - No wiesz, kiedy włączony jest telewizor, a my nagrywamy jakiś inny kanał, a nie ten, który właśnie oglądamy. Tak właśnie jest z Nan. To, co widzimy na zewnątrz, jest czymś zupełnie innym od tego, co dzieje się wewnątrz. Często uważamy, że zachowuje się jakby była nieco szalona, tymczasem ona, w pewnym sensie, żyje w jakimś innym wymiarze niż my wszyscy. — Charlotte pośpieszyła z pomocą Willowi, który utknął w kącie przy kominku, i przytuliła jego buzię do twarzy. Śmiał się i próbował chwycić ją za włosy. - No tak, na pewno ona żyje w innych ramach czasowych niż my - mówiła dalej. - Przeszłość Nan jest jej tetaźniejszością. Chodzi mi o to, że jej wiek niewiele ma jej do zaoferowania, prawda? Bo wiesz, gdyby dwudziestokilkuletnia kobieta owdowiała, a potem została kaleką, wszyscy by powtarzali, jaka to tragedia, ale ponieważ Nan jest stara, oczekuje się, że musi się z tym pogodzić. W rzeczywistości jest zadziwiająco kobietą. Jestem przekonana, że ma dużo bogatsze życie wewnętrzne, niż komukolwiek by się mogło wydawać.

Stuchatam rozgłośni Radio 4, gdzie nadawali rozmowę z Kate Adie. Zapytano ją, jak to jest być korespondentką

i relacjonować wydarzenia podczas konfliktu w Bośni. Powiedziała, że ludzie tam nie rozumieją, że coś może nastąpić na skutek jakiegoś odosobnionego działania, uważają, że wszystko, co się dzieje, jest rezultatem nagromadzenia zdarzeń ciągnących się przez całe dziesięciolecia. Kiedyś wysłano ją, żeby przekazała informacje o masakrze, do jakiej doszło w miasteczku niedaleko terenów walk.

-Co się tu wczoraj wydarzyło? - spytała naocznego świadka.

-W roku 1943... - zaczął tamten człowiek.

Historia każdego z nas jest owocem historii kogoś innego; to, co uważamy za osobiste doznania i przeżycia, zostało nam już przekazane przez innych i nie da się od tego uciec.

Zresztą po co?

## MIGAWKI Z PRZYSZŁOŚCI

Will pierwszy raz staje samodzielnie, przewraca się i uderza głową o marmurowy kominek. Przez dziesięć sekund myślę, że nie żyje, i w tej otchłani rozpacz, w którą zapadłam, uświadamiam sobie, jak bardzo go kocham. To musiało podkraść się do mnie zupełnie zniecka.

Mama wraca ze szkoły z informacją, że Leo Fairbrother się żeni, to zupełnie nieoczekiwana wiadomość. Z jakąś zamożną panią po pięćdziesiątce, którą poznał we Włoszech, z wyglądu podobną do Marii Callas, choć w rzeczywistości pochodzi ona z Oldham. Zastanawiam się, jak mama przyjmie ten straszny cios. Szczerze mówiąc, zdaje się tym w ogóle nie przejmować; być może byli tylko dobrymi przyjaciółmi. Jak się okazuje pani F zapewnia mamie podwójną dawkę życia towarzyskiego (uczy ją gry w brydża, zaprasza na degustację wina) i przekazuje jej swoje stare kreacje z Aquascutum i od Jaques'a Verta, wszystkie przyjmowane z wdzięcznością. Teraz chodzą do Ośmiokąta we trójkę (choć sędzę, że na tym ten trójkąt się kończy).

Wchodzę po cichu tylnym wejściem. Na uniwersytecie trwa ostatni tydzień zajęć i nikt się mnie tutaj nie spodziewa. Już na zewnątrz słyszę dochodzące ze środka głosy.

Mama siedzi na sedesie przy otwartych drzwiach toalety i nadmuchuje balon, podczas gdy Will biega wokół kuchni i wrzeszczy.

- Mamaa! - wydaje radosny pisk.

- Dobry Boże, czy człowiek w tym domu nie ma już prawa do prywatności? - jęczy moja matka, a jej głos odbija się echem od kafelków.

Stawiam torby na lodówce i kładę się na podłodze, żeby mój syn, chichocząc ucieszenie, mógł się na mnie wdrapać. Dobrze być w domu, ale tylko dlatego, że tu nie mieszkam. Może i zła ze mnie matka, bo nie jestem tutaj przez cały czas; ale chwileczkę, przecież staram się najlepiej, jak umiem. Cóż więcej my wszyscy możemy zrobić?

Jest piąty listopada, piątkowe popołudnie i, jak zwykle, dzwonię do domu.

-Dać ci Nan? - pyta mama. - Była dziś na pogrzebie, więc ją zabrałam do domu na podwieczorek.

-Jasne.

Słyszę z daleka jakąś szamotaninę i głos: „A niech to wszyscy diabli”, a potem ciężki oddech w słuchawce.

- Halo? Halo? (-Tam nikogo nie ma - mówi do mamy. -Owszem, jest - rzuca mama - miej trochę cierpliwości, na miłość boską.)

-HALO, NAN.

- U nas jest ciemno. A tam, gdzie jesteś, też jest ciemno? -TAK. PRZECIEŻ JESTEM NIEDALEKO, W YORKU.

- U Pracujących mają wielkie ognisko. Wy też macie ognisko?

-PÓŹNIEJ BĘDZIEMY MIELI FAJERWERKI. -A ognisko?



-NAN?

-To było piękne kazanie.

-NAN.

-Co?

-KOCHAM CIĘ.

-Ja też cię kocham. (- Zobacz, Karen, jakem to się zamotała w ten sznur.)